

GEORGE BIDWELL

# Pod piracką flagą

PODRÓŻE WILIAMA DAMPIERA  
PIRATA I PRZYRODNIKA

z rękopisu angielskiego przełożyła

ANNA BIDWELL

Wydawnictwo – MS



WILLIAM DAMPIER (1652—1715) według T. Murraya

# CZĘŚĆ PIERWSZA

## Rozdział I

### PODZIAŁ ŁUPÓW

Nad wyspą La Plata, w pobliżu zachodniego wybrzeża Ekwadoru, zawisły nieruchomo w powietrzu, jak czarne latawce, ptaki-fregaty. Leniwie, z rzadka poruszały długimi skrzydłami, niezdarnie zwisały ich cienkie, wężle nogi o palcach spiętych płetwą. Od czasu do czasu jedna z fregat spadała nagle z wysokości czarną błyskawicą na skraj błękitnych, biało obramowanych fal sennie podpływających do piaszczystego wybrzeża. Tuż nad powierzchnią ptak przyhamowywał i z przezroczystej wody wyławiał jednym zręcznym ruchem rybę, którą wypatrzył bystrym wzrokiem. I znów — tak samo błyskawicznie jak spadał — unosił się prawie prostopadle w górę.

Z tej wysokości fregaty mogły objąć wzrokiem całą niemal wyspę, nie dłuższą niż cztery mile, a szeroką zaledwie na półtorej mili. Z trzech stron wyspy La Plata wznosiły się wprost z morza strome, wysokie skały tworzące jałowy płaskowyż, porośnięty skarłowaciałymi drzewami i ostrą trawą, gdzie pasły się dzikie kozy. Tylko od wschodniej strony był otwarty dostęp do wyspy — biała, piaszczysta zatoka, osłonięta od przeważających tu południowych wiatrów półwyspem, który wybiegał daleko w morze otoczony nieustannym poszumem zwiastującym podwodne skały. Z płaskowyżu spływała do zatoki struga czystej, źródlanej wody — jedynej zdatnej do picia wody na wyspie.

Wyspa La Plata była nie zamieszкана, jeśli nie liczyć kóz, fregat i głuptaków, jednakże posiadała tradycje, dobrze znane tym, którzy korzystali czasem z jej ubogiej gościnności. Niegdyś, w roku 1579, Franciszek Drake, sławny korsarz angielski, a później admirał królewskiej floty za panowania Elżbiety I, wzięwszy do

niewoli przy wybrzeżach Peru galeon hiszpański z ładunkiem trzy-nastu skrzyń z dublonami — złotą monetą wartości ćwierć funta szterlinga — osiemdziesięciu funtów brantu, czyli przetopionego złota, z niezliczonymi klejnotami i srebrem, załadował powyżej linii zanurzenia swój statek, słynną „Złotą Łanię”, i wpłynął do zacisznej zatoki przy wyspie La Plata. Tu kazał zakotwiczyć, śmiał się z zabawnych ruchów głuptaków, podziwiał nurkujące z wysokości fregaty i na piaskach wybrzeża rozdzielił między swych ludzi bogate łupy. Za zgodą załogi, ale też i ku jej szczeremu zmartwieniu postanowił srebro i część złota zatopić w wodach zatoki, gdyż nie sposób było z tak przeładowanym statkiem puszczać się w daleką podróż — na zachód, w bezmiar Pacyfiku, zwanego Złotym Morzem. W sto lat później korsarscy następcy Drake’a, którym co prawda zbywało na rycerskości wielkiego żeglarza, nieraz próbowali wyłowić zatopiony skarb u wybrzeży wyspy La Plata, ale zawsze daremnie.

Krążąc wysoko nad wyspą fregaty bystrym okiem śledziły głuptaki w dole, szeroko rozproszone nad wodą dla większego bezpieczeństwa. Spadając zniecała z podobłocznej wysokości fregata silnym uderzeniem dzioba w kark zmuszała oszołomione głuptaki do zwrócenia dopiero co połkniętej ryby, czasem nawet paru ryb naraz; zręcznie pochwyciwszy w powietrzu wyrzucony z gardła łup, wracała na swój podniebny posterunek.

Tego dnia, w połowie kwietnia 1681 roku, głuptaki podpływały trwożnie, ale ciekawie ku nowym przybyszom w zatoce, fregaty krakały gniewnie na intruzów, którzy przeszkadzali im w nurkowaniu i zmuszali do odlotu na połów do innych, mniej osłoniętych brzegów wyspy. Głuptaki nie bały się ludzi. Uciekały niezdarłym, rozkołysanym krokiem dopiero, gdy któryś z bosonogich żeglarzy — w jaskrawym kaftanie i szerokich pantalonach, o włosach splecionych w harcapy pod zatłuszczoną czerwoną chustką, zawiązaną na głowie na kształt turbanu — ciskał w ptaki kawałkiem wyłowionego z morza drewna lub kamieniem, dodając soczyste przekleństwo.

Ponad stu takich przybyszów o skórze spalonej wichrami i słońcem i wytatuowanej w różne wzory — krzyże, diabły, nagie kobiety — roztasowało się na piasku wybrzeża. Poprzysiadali na skrzynkach i beczułkach albo wprost na ziemi, a kłęli i powarki-

wali jak złe psy. Nie dla czezej ozdoby nosili pistolety i kordelasy zatknięte za barwny, jedwabny pas: widać to było po świeżych bliznach na twarzy, po skrwawionych szmatach przewiązanych na głowie czy ramieniu, po pustym rękawie lub z gruba ciosanej, drewnianej kuli, którą ten i ów kładł obok siebie na piasku. Czasem rozległ się ochrypli, ciężki kaszel, a bardzo niewielu, przeklinając i krzycząc, ukazywało zęby bez szczerb. Ci piraci czy bukanierzy, jak ich wówczas zwano, grasowali po wodach i wyspach Zachodnich Indii; byli wśród nich Anglicy, Szkoci, Irlandczycy, Walijszczy — nie brakło też i innych europejskich narodowości — prócz tego garść miedzianoskórych Indian i kilkunastu czarnych niewolników.

W poszukiwaniu hiszpańskich osiedli i statków przekroczyli właśnie przesmyk Darien i zamierzali zabrać się do rabowania wybrzeży Ekwadoru, Peru i Chile. Sypiali na deskach pokładu przy każdej prawie pogodzie; tylko szorstki koc lub na wpół wyprawiona skóra upolowanego zwierzęcia chroniła ich od nocnego wiatru czy gwałtownej ulewy. Jednego dnia ucztowali i objadali się najwykwintniejszymi przysmakami, zrabowanymi ze wspańskiego galeonu hiszpańskiego, a potem całymi tygodniami przydzielali głodem, aż oczy ich gorzały niezdrowym blaskiem gorączki, a policzki zapadały głęboko. Do okrucieństw i zabójstw, do ciągłej brutalności tak już przywykli, że stali się zupełnie niewrażliwi.

Nadchodził wieczór, ale tu, w pobliżu równika, panował upał i nocą, nawet w kwietniu. Karłowate drzewka i kolczaste krzewy, pod którymi rozsiadła się piracka drużyna, rzucały skąpy cień. W pewnym oddaleniu od pozostałych — nie dlatego iżby od nich stronił, ale po prostu po to, by poświęcić wolną chwilę ulubionemu zajęciu — chudy, długi pirat usadowił się na niskiej skrzynce. Nogę założył na nogę, na kolanie oparł papier, obok umieścił inkaust w kałamarzu zrobionym z zakręconego rogu. Spod czarnych brwi spoglądały przenikliwe, głęboko osadzone piwne oczy, wydatny nos pomniejszał wypukłe usta o obwisłej dolnej wardze, długa szczęka i wystająca broda zdradzały upór. Pociągła twarz, posepny wzrok i zwrócone ku dołowi kąciaki ust nadawały mu melancholijny wygląd. William Dampier pisał wytrwale, równym płynnym pismem, podnosząc chwilami wzrok i bacznie przypa-

trując się temu czy innemu ze swoich kamratów, jakby go chciał zmierzyć, ocenić i do głębi przejrzeć. Czasem wzrok jego błędził po wyspie lub zatrzymywał się na czarnych sylwetkach fregat wysoko na niebie. Nie mówił nic i nie odrywał się od pisania. Podobny był do malarza utrwalającego każdy szczegół odtwarzanego obrazu.

Wśród bukanierów owego czasu znalazła się spora garść pamiętnikarzy, nawet w otoczeniu Dampiera, którego diariusz miał zyskać największą sławę. Pisali dzienniki i notatki niektórzy kapitanowie, pisali i marynarze. Bywali prości marynarze — jak Dampier, gdy w roku 1681 przybył na wyspę La Plata — którzy bardzo różnili się od niewykształconych gburów wałęsających się w portach angielskich w poszukiwaniu pracy na statku. Przygody na dalekich oceanach i nieznanach lądach pociągały ludzi różnego typu. Wielu prowadziło amatorskie, lecz dokładne obserwacje zjawisk przyrody, flory i fauny, obyczajów życia w odległych krainach. Czasem ludzi wykształconych, a bez fortuny, gnała na morze chęć zdobycia bogactwa.

Hiszpania, władająca Nowym Światem, wzbraniała dostępu do jego naturalnych bogactw i skarbów wszystkim innym narodom. Katolicycy arystokraci hiszpańscy, którzy dowodzili pysznymi galeonami, wydawali każdego schwytanego protestanckiego żeglarsza, jako heretyka, w ręce straszliwej inkwizycji. Tak więc, bogobojni skądinąd angielscy szlachcice wmawiali sobie, że napaść na hiszpański okręt lub miasteczko kolonialne i grabież skarbów były ich obowiązkiem patriotycznym i religijnym. W początkach swojej kariery brzydzili się zwykle mordem i gwałtem, ale twarde życie korsarskie szybko znieczulało ich sumienia. W obawie przed potęgą Hiszpanii królowie angielscy początkowo wypierali się — przynajmniej publicznie — pirackich wypraw swoich poddanych, ale w poczuciu własnej wzrastającej mocy Anglia zaczęła się chlubić swymi korsarzami. Henryk Morgan, największy z korsarzy angielskich XVII wieku, otrzymał tytuł szlachecki i został mianowany wicegubernatorem Jamajki; Woodes Rogers — ten sam, z którym Dampier miał popłynąć na swoją ostatnią wyprawę — jako gubernator Wysp Bahama przyczynił się walnie do ostatecznego wykorzenia piratów (własnych niedawnych towa-

rzyszy) z Morza Karaibskiego. W najgorszym razie monarchowie angielscy co najmniej przebacжали skruszonemu morskemu rozbójnikowi, który powracał do ojczystego kraju, by w bogactwie i dostatkach dożywać starości.

Palcami lewej ręki Dampier zabawiał się złotym medalionem zawieszonym na łańcuszku na piersi pod koszulą. Wysunął go ukradkiem, otworzył i z zagadkowym wyrazem popatrzył na lok włosów — jasnych, złocistych, barwy dojrzałej pszenicy. Zmarszczył czoło, z niechęcią wydymając wargi, a zatrzasnąwszy z powrotem medalion pochylił się i podniósł flaszkę, która stała obok na piasku, między pistoletem, skrzynką i grubym kijem bambusowym. Gdy pił, od strony bandy bukanierów dobiegły go zachryple głosy:

— A zostawże nam choć łyk, ty skrybo zapijaczony! Nie mamy już ani kropli, a pić się chce jak sto diabłów!

Pewną ręką Dampier rzucił celnie flaszkę w sam środek grupy. Pół tuzina brunatnych włochatych rąk podniosło się, by ją schwycić, ale w zamieszaniu reszta rumu wylała się na piasek. Ktoś pochwycił pustą flaszkę i cisnął nią z powrotem w Dampiera, który uchylił się zręcznie, a flaszką poleciała daleko na brzeg, budząc popłoch wśród głuptaków. Tylko jeden ptak pozostał na piasku trzepocząc żałośnie skrzydłem, widocznie raniony uderzeniem flaszki. Dampier wstał i podszedł do ptaka, a podniósłszy go, obejrzał dokładnie. Stwierdziwszy, że nieborak nie będzie mógł już chodzić ani latać, jednym zręcznym chwytem zakończył jego cierpienia. Opodał bukanierzy ryczeli ochryplymi głosami pijackie piosenki.

Usadowiwszy się znowu na swoim zaimprovizowanym krześle, Dampier nie wziął jednak pióra do ręki. Przyglądał się towarzyszom okrętowym. Kapitan siedział okrakiem na dębowej, okutej skrzyni pod drzewem, nieco oddalony od całej kompanii i, dzieląc końcem kordelasa na części skąpy łup, kłął donośnie a soczyście. Drake kpiłby z takiego łupu i nawet nie raczyłby się kłopotać o niego, ale tu wciąż o ten czy inny przedmiot wybuchały spory, które kapitan rozstrzygał rzutem kości. Przed paru godzinami wprowadzili do tej zacisznej zatoki statek, który zdobyli

również na Hiszpanach — zwał się „Przenajświętsza Trójca” — a zdobywali go zupełnie tak, jak fregaty obrabowywały biedne głuptaki: uderzeniem w kark, które zmusza do zwrócenia nie strawionej jeszcze zdobyczy.

Cnotliwe dziewczę z pewnością nie chciałoby spotkać się z kapitanem Bartłojem Sharpem w ciemną noc. Wyglądał na skończonego draba. Jego pokiereszowana twarz opalona była na kolor starego rumu, krzaczaste brwi szerniały od wybuchów prochu armatniego, a długie włosy, na wół spalone w ostatniej bitwie i zwinięte w kusy harcap, wydawały odrażający odór, który co prawda jego załogi wcale nie zrażał, bo i oni śmierzdzili niezgorzej. Miał na sobie długi, haftowany złotem surdut — o rękawach rozciętych nożem, aby pomieścić muskularne mięśnie włochatego przedramienia — zdarty z jakiegoś hiszpańskiego granda, o którego losie można było wnioskować na podstawie okrągłej dziurki od kuli w samym środku pleców surduta. Jedyńy z całej kompanii kapitan Sharp nosił obcisłe spodnie i to z najwykwintniejszego jedwabiu, a podarte, poplamione krwią i zabrudzone tak, iż trudno było odgadnąć ich pierwotny kolor. Gdy postawił muskularną nogę na dębowej skrzyni, sprzączki przy jego pantoflach zamigotały poczerniałym srebrem.

Obserwując go z daleka Dampier pomyślał, że pod pozorami grubiańskiej chełpliwości twarz Bartłojego Sharpa świadczy jednak o energii i silnej woli. Właśnie w tej chwili kapitan zeskokczył ze skrzyni, zamaszystym ruchem podnosząc w górę kordełas, jakby chciał rzucić się na bezczelnego nicponia, który śmiał mu się sprzeciwić.

— Ty bękarcie małpiej ladaczny! — wrzasnął. — Już ja cię rozplątam i wypatroszę od twego pustego łba aż po nażarte kiszki!

Bukanier, który dobrze wiedział, że od groźby kapitana Sharpa niedaleko było do uczynku, porwał się do ucieczki krzycząc:

— Zgadzam się! Bodajbyś oślepl! Zgadzam się!

Gdy poskromiony buntownik z głupawym uśmiechem powracał chyłkiem na swoje miejsce, pokrytą bliznami twarz kapitana rozjaśnił na krótką chwilę półuśmiech, który był wyrazem tryumfu i dumy.

Trzeba przyznać, że Bartłoj Sharp miał pewne powody do dumy. Dowodzić załogą tego pokroju, zwyciężać z nimi rozszałale



sztormy na statkach, z których nawet największy był właściwie niezdatną łupiną, wyzyskiwać sprzyjające wiatry, o których nadzieju nic nie wiedzano, gdyż za meteorologię służyły zabobonne przesady, docierać do odległych wysp i łądów wbrew potędze żywiołów — wymagało to uporczywości i wytrwałości, które same w sobie przynosiły zaszczyt ludzkiej naturze. Taki właśnie bezwzględny, zaciekły upór posiadał Sharp, prócz odwagi, która go nie opuszczała w żadnej sytuacji i prócz instynktu żeglarskiego, który cechował tych doskonałych i sławnych żeglarzy w czasach, gdy nawigacja polegała na wyczuciu, a sztuka żeglarska na doświadczeniu i szybkiej orientacji. Tylko stary wyga morski przestrzegający prymitywnej sprawiedliwości obowiązującej wśród tych ludzi, mógł mieć nadzieję utrzymania w korbach załogi. Każdy z tych zatwardziały korszarzy był sam sobie prawodawcą, każdy chronił tylko siebie samego, a razem składali się na różnorodną zbieraninę bezczelnych awanturników, dobrze urodzonych poławiaczy fortun, skoczków z szubienicy, uciekających od wyroku śmierci, i przeróżnych rzezimieszków, których trzymała w kupie tylko pewność, że każdy z nich pojedynczo zginąłby niechybnie.

Ale tym razem nie powiodło się nawet Bartłomiejowi Sharpowi, na którego głowę Hiszpanie nałożyli cenę i przezwali morskim opryskiem. Nawet on, znany wśród tysięcy bukanierów zachodniej półkuli, osławiony dowódca i kapitan zawiódł tym razem, gdyż nie potrafił utrzymać zaufania swoich ludzi. Dlatego właśnie zawiązał do zatoki na wyspie La Plata i zabrał się do dzieła nędznej zdobyczy, którą miała do rozporządzenia załoga „Przenajświętszej Trójcy”. A utracił zaufanie nie dlatego, iżby mu brakowało umiejętności żeglarskiej, odwagi czy owej twardej sprawiedliwości, jaką się rzadzili bukanierzy — bynajmniej. Część ludzi zbuntowała się przeciw niemu dlatego, że na jego statku nie odprawiano regularnie nabożeństw niedzielnych.

Bukanierzy nie są mniej zabobonni od innych żeglarzy. Piraci Sharpa byli zdania, iż nie natrafiają na okręty z bogatym łupem ani na miasteczka warte rabunku, jeśli będą zaniedbywać modlitwy i hymny; nie mogą się spodziewać przychylnych wiatrów, ani umknienia groźnym sztormom. Każdy dzień mógł być ostatnim dniem ich życia. A któż, kończąc żywot złodzieja, gwałtownika i mordercy będzie mógł spokojnie stanąć w obliczu swego

Stwórcy, jeśli nie przestrzegali tego najwyższego w ich pojęciu przykazania — udziału w nabożeństwie i świętowaniu siódmego dnia tygodnia?

Gdy pomruki i szemrania przybrały na sile, Bartłomiej Sharp poddał głosowaniu swoje dowództwo. Stronnicy jego stanowili większość, ale czterdziestu czterech białych marynarzy, którzy głosowali przeciwko niemu, mogło stać się załączkiem groźnego niebezpieczeństwa. Postanowiono więc się rozdzielić. Partia przeciwna kapitanowi zażądała swego udziału w łupach, po czym miała otrzymać szalupę „Przenajświętszej Trójcy”. Kodeks korsarski — oparty na zasadzie: „gdy nie ma łupów, nie ma płacy” — przewidywał, iż każdy z załogi może zażądać zwolnienia go i odesłania na ląd lub na inny okręt.

William Dampier, nawet po pijanemu posepny i zamyślony, nie brał udziału w naradach i kłótniach przed głosowaniem, ale podniesieniem ręki opowiedział się po stronie mniejszości, gdyż tam znaleźli się najwytrawniejsi żeglarze. Wszystko odbywało się o tyle przyjaźnie i spokojnie, o ile jest to w ogóle możliwe wśród ludzi tego pokroju. Dampier, piórem wydartym ze skrzydła mewy, starannie zanotował na żółtych kartkach papieru przebieg wydarzeń.

Opisał też całą dotychczasową wyprawę pod wodzą Sharpa. Ludzie, którzy w tej chwili kłócili się, pili i wrzeszczeli ochryplymi głosami pijackie piosenki na piaszczystym wybrzeżu wyspy La Plata, przed kilku miesiącami zaatakowali miasto Ilo na południowym krańcu Peru. Gdy łodzie bukanierów podpływały do przybrzeżnych zabudowań miasta, jeźdźcy hiszpańscy, zbrojni w szable, dzidy i muszkiety, galopowali tam i z powrotem po brzegu, krzykiem i groźbami starając się odstraszyć napastników. Ale kiedy łodzie zachręściły na piasku, a przeważający liczbą bukanierzy jęli wyskakiwać na ląd — jeźdźcy zawrócili i uciekli w nieładzie najpierw do miasta, a potem jeszcze dalej.

W Ilo nie brakło wina, oliwy, mąki i owoców. Bukanierzy, którzy nie spotkali się z żadnym oporem, ucztowali bez przeszkód i objadali się oliwkami, cytrynami, słodyczami i wszelkimi przysmakami przynoszonymi pośpiesznie w odpowiedzi na przekleństwa i groźby, które wywierały pożądaną skuteczną, choć słów nie rozumiano. Z kobietami w miasteczku — mężczyźni przeważnie

uciekli — z kobietami o czerwonych ustach, bujnych piersiach i wyzywających spojrzeziach bukanierzy szybko doszli do porozumienia. Obżarci, opici, napastnicy pozostawili zapłatę pod postacią domieszki krwi angielskiej u następnych pokoleń.

Opuściwszy łóżce, na którym trzy dziewczyny rozprawiały z podziwem o jego męskich wyczynach, Bartłomiej Sharp poprowadził część swej rozhułanej załogi do doliny za miastem, by nie dopuścić do powrotu ojców i mężów pozostawionych w mieście kobiet. Reszta załogi przez ten czas znosiła do łodzi srebra, klejnoty i pieniądze, zrabowane ze szkatuł i schowków. Ze skarp wokół doliny Hiszpanie jęli staczać głazy na zbliżających się bukanierów. Oddziały pieszych żołnierzy stały na wzgórzach z rozwiniętymi chorągwiami, z bębniącą orkiestrą doboszów; ale nieregularny ogień muszkietów, jaki otworzyli bukanierzy, spłoszył ich od razu i każdy Hiszpan ukrył głowę za występy skalne.

Hiszpanie amerykańscy zgnuśniali w lenistwie i dobrobycie kolonialnego życia. Regularni żołnierze i oficerowie hiszpańscy umieli walczyć i bukanierzy dokonywali brawurowych wyczynów, porywając się na okręty o wielokroć liczniejszej załodze. Ale gdy przychodziło do zdobywania miast i osiedli na lądzie, to przeważnie strwożeni mieszkańcy nie stawiali żadnego oporu. Tylko kilka najbogatszych, dużych miast posiadało mury obronne i załogi regularnych żołnierzy.

W diariuszu Dampiera znajdowały się też zapiski sprzed kilku tygodni, świadczące o odwadze Bartłomieja Sharpa w innych okolicznościach. Porwano do niewoli starego, siwowłosego Hiszpana i zaczęto go wypytywać o skarby zgromadzone w słynnym z bogactw chilijskim mieście Arica. Bukanierzy zamierzali napaść na to miasto, które zdaniem jeńca było dość obronne. Wśród załogi rozległy się krzyki, że jeńiec kłamie. Powiesić go! Klnąc jak zwykle, Sharp sprzeciwił się temu.

— Niczyjej krwi się nie boję, jeśli jest przelana w uczciwej walce albo jako sprawiedliwa kara — wołał do swoich rzezimieszków. — Ale ten dziadek nic złego nam nie zrobił, spokojnie sobie rum pociągał i sypiał ze swymi kobietami. Po cóż mamy się brudzić bezmyślnym okrucieństwem?

Piraci się uparli. Najpierw oznajmili, że mu odbiorą dowódz-

two, a gdy to Sharpa nie wzruszyło zaczęli grozić, iż go zastrzelą, jeśli nie ustąpi przed wolą większości.

— Przynieś mi wody, ty czarny synu morskiej krowy! — wrzasnął do jednego z murzyńskich niewolników. A zanurzwszy ręce w przyniesionym naczyniu, oświadczył bandzie zbirów cisnących się groźnie do niego: — Nie jestem winien krwi tego starego człowieka. A co więcej, ostrzegam was, iż niedługo przyjdzie dzień, gdy za waszą głupotę drogo zapłacimy pod Aricą.

Jego przepowiednia się spełniła. Blisko stu bukanierów wybrało się na zdobycie Arici. Po całodziennej krwawej bitwie napastnicy ponieśli tak ciężkie straty, iż nieliczne ich resztki musiały odstąpić od murów i powrócić na statek z próżnymi rękoma.

Dampier przewrócił kartkę papieru i zaczął pisać o zwyczajach fregat i głuptaków. Był to jeden z tych dokładnych, wiernych opisów, jakie miały wyróżniać jego sprawozdania z podróży, pod względem wartości naukowych, spośród wszystkich ówczesnych książek. Cichymi krokami podszedł do niego wysoki, grubokościsty, młody Indianin o długiej twarzy i czarnych włosach. Różnił się od swych współplemieńców, zazwyczaj surowych i ponurych, miłym uśmiechem, który często rozjaśniał jego twarz. Dampier spojrzął na niego.

— Czego chcesz, Vasco? — mruknął.

Ale siedemnastoletni młodzik potrząsnął głową: nie chciał niczego. Przyszedł tylko, by śledzić, jak urzeczony, poruszające się płynnie pióro, które zostawiało na papierze równe linie niezrozumiałych dla niego znaczków.

Losy młodego Indianina były równie niezwykle jak jego imię. Przed dwoma laty pewien stary, zdziwaczały kaper angielski spotkał u wybrzeży Peru indiańskiego wyrostka płynącego prymitywnym czółnem. Wzięto go na pokład. Ulegając kaprysowi kaper przebrał pięknego chłopca w strój angielski i postanowił zrobić z niego Anglika. Wyuczył go języka angielskiego, ale zanim zdołał urzeczywistnić swój pomysł, statek jego rozbił się na przybrzeżnych skałach. Młody Indianin dopłynął do brzegu i ocalał, ale po to tylko, by wpaść w ręce Hiszpanów z załogi „Przenajświętszej Trójcy”. Traktowany jako niewolnik, niemiłosiernie bity, biedny Vasco da Gama — imieniem tym ochrzcił go kapitan statku kaperskiego — harował dniem i nocą bez od-

poczynku, bez chwili wytchnienia. Gdy ludzie Sharpa napadli na okręt, Vasco stanął po stronie Anglików, którzy zazwyczaj dobrze się obchodzili z Indianami, jako cennymi sprzymierzeńcami w walkach z Hiszpanami. Trzech oficerów hiszpańskich zawzięło się, by zabić nieuzbrojonego wyrostka, ale William Dampier zabił dwóch w jego obronie, a trzeciego zmusił do złożenia broni. Od tej pory Vasco darzył swego wybawcę głębokim przywiązaniem, usługiwał mu z respektem i tak umiejętnie, że nawet sam kapitan Sharp nie mógł zmusić swoich niewolników murzyńskich ani przekleństwami, ani uderzeniem pięści do tak wprawnych i szybkich posług.

Tymczasem piracka banda na brzegu wyspy La Plata, rozlawszy resztki rumu Dampiera, zaczęła się oglądać za innym trunkiem, który by rozweselił resztę wieczoru. Wszyscy oni należeli do partii, która postanowiła opuścić Bartłomieja Sharpa.

— Bo mnie się coś wydaje, że kapitan Sharp nosi znamię wczesnej śmierci na sobie — rzekł Edmund Cooke, celowo wszczynając rozmowę o przesądach i zabobonach, co zawsze budziło najwyższe zainteresowanie żeglarzy.

Edmund Cooke wyglądał na jeszcze gorszego zbira od samego Sharpa. Małe, biegające, świńskie oczka, zatopione w dużej, jakby obrzękłej twarzy niczym nie zdradzały odwagi ani siły fizycznej, jaką mogły się poszczycić jego małpie ramiona, nazbyt długie przy stosunkowo niskim wzroście. Nosił wypłowiałą koszulę, niegdyś jaskrawo niebieską, czerwone pantalone i zepchnięty na tył głowy obszarpany, trójgraniasty kapelusz, który świadczył, że Edmund Cooke piastował kiedyś rangę kapitana. Mianowali go kapitanem pewnego zdobytego na Hiszpanach statku piraccy współtowarzysze. Przed półtora rokiem jego własna załoga w jednomyślnym głosowaniu złożyła go z urzędu za okrucieństwo.

Sharp rzucał bystre i nieufne spojrzenia w stronę hałasującej grupy, ale nie przerywał podziału zdobyczy, który dobiegał już końca.

Edmund szturchnął łokciem swego kamrata Dawida Greena, łajdaka i szubrawca, o jednym oku dziwacznie wytrzeszczonym, a drugim na wpół ukrytym pod opadającą powieką. Zbrodniczość tego odrażającego oblicza podkreślał jeszcze okrągły złoty kolczyk, zwisający z jednego ucha. Zza czerwonego pasa sterczały

rękojeści dwóch pistoletów. Greena nie trzeba było długo namawiać. W lot zrozumiał intencję kamrata.

— Chytry psi syn, ten nasz kapitan Sharp, zawszem to sobie myślał! — Zerknąwszy spod obwisłej powieki na Edmunda Cooke'a, Green mówił dalej podniesionym głosem tak, aby wszyscy go mogli usłyszeć. — Wiecie, że ja portkami ze strachu nie zwykłem trząść. Widzieliście mnie w walce, widzieliście, jak rozplątałem na pół tego draba, co mi oko naszpikował. Ale zawierzyć się człowiekowi, który nosi na sobie zamię śmierci? Nie, bodajbym szczał! Nie ja będę wyzywał piekielne moce...

Bywało, że takie zabobonne przepowiednie skracały czyjeś życie. A rzekome zamię wczesnej śmierci, które wywołało popłoch wśród towarzyszy Sharpa — obawiających się, że im się coś z reszty dostanie, gdy ich kapitan zginie — nie sprawdziło się. Sharp żył niezwykle długo, jak na korsarza: dożył nawet chwili, gdy przekształcił się w lojalnego obrońcę korony angielskiej i cnotliwego, szanowanego obywatela.

Schrypnięty, zająkliwy głos Greena przerwał nagle inny głos, tak potężny, iż mógł przekrzyczeć ryk najgwałtowniejszego nawet sztormu:

— Zamknijcie wasze opite pyski, wy żłoby, moczymordy, beczki bez dna!

Był to Bazyli Ringrose, olbrzym o nadzwyczajnej sile fizycznej, w kaftanie rozdartym na barczystych plecach, w żółtych pantalonach tak ciasnych i opiętych, iż groziły każdej chwili wypowiedzeniem dalszej służby. Ringrose był prostym marynarzem, ale jego odwaga i inteligencja wyrobiły mu autorytet wśród towarzyszy. W wiele lat później miał napisać barwny i ciekawy opis tej podróży.

— My pójdziemy z Sharpem w jedną stronę, a wy w drugą — ciągnął Bazyli. — To było uzgodnione. I niech na tym zostanie! A bodaj diabeł, któremu służycie, nie okazał się gorszy od naszego kapitana!

— Diabeł, któremu służymy? — podchwycił Edmund Cooke. — Przecież to my właśnie żądamy niedzielnych nabożeństw, nie wy!

— Kto najbliżej diabła siedzi, ten pierwszy dzwon kościelny usłyszy — ryknął w odpowiedzi Bazyl Ringrose.

— Ty wyrodny przyplodku — zaskrzeczał Green. — Ty się z pewnością diabła nie boisz, bo twoja suka matka była jego ladcnicą!

Edmund Cooke i Green chwyтали już za broń. Ringrose też porwał się na równe nogi, z krótkim sztyletem w dłoni.

— Możemy sobie nawzajem wymyślać, ile wlezie, ale mojej matki nie tykajcie, pieskie dusze!

Partia przeciwna Sharpowi opowiedziała się po stronie Edmunda i Greena — nie dlatego, iżby pochwalali ich docinki, ale ponieważ czuli się zobowiązani do solidarności. Przekleństwa i wymyślenia krzyżowały się w powietrzu. Sharp podniósł się ze skrzyni z pistoletem w lewej ręce, a kordelasem w prawej.

— Hej tam, rumożłopy! — zawołał. — Dość tych bająn o znakach śmierci. Jutro ci, którzy mi wymówili posłuszeństwo, odejdą sobie. Dziś bądźmy przyjaciółmi i pożegnajmy się jak przyjaciele. Możemy się spotkać znowu. Nie wiadomo, kto czyjej pomocy będzie jeszcze potrzebował!

Edmund Cooke i jego pijacka kompania nie chciała stracić okazji do bójki. Zakrzyczeli Sharpa, a rozszłoszczeni stronnicy kapitana odpowiadali im sprośnymi wymysłami i groźbami. Słowa Sharpa usłyszało zaledwie paru najbliższych. Edmund i Green popatrzyli na siebie znacząco, wydobyli kordelasy, a potem nągłym prędkim skokiem rzucili się na Bazylego Ringrose.

Słońce już znikło za horyzontem, ale wczesny wielki księżyc zalewał światłem piaszczyste wybrzeże. Głuptaki i fregaty ułożyły się do snu w gniazdach ukrytych wśród nadbrzeżnych skał. Dampier zwinął papier, na którym pisał, a Vasco podał mu podniesioną z ziemi grubą łaskę bambusową. Zwinięty ciasno diariusz umieszczono w wydrążonym bambusie, którego oba końce Dampier zapieczętował woskiem. Gdy sprzeczka przekształciła się w bójkę, Vasco pochwycił bambus i zagrzebał go pospiesznie w piasku pod drzewem, a dopiero potem w ślad za Dampierem pobiegł w stronę walczących.

Wesoły, rudowłosy Irlandczyk nazwiskiem Patryk Hagan, wysoki, chudy, ale muskularny i żyłasty Ambroży Cowley, jas-

nowłosy Holender Ned Daws i Ryszard Gopson, kryjący łąsą czaszkę pod kapeluszem z liści palmowych, były student uniwersytetu w Oxfordzie, wypędzony stamtąd przez mściwego męża, któremu uwiódł żonę — wszyscy wraz z Dampierem otoczyli kręgiem Bazylego Ringrose, zanim Edmund Cooke i jego poplecznicy dopadli swej ofiary. Należeli oni wprawdzie do tego samego stronnictwa, co Edmund, ale podobnie jak Sharp chcieli uniknąć przelewu krwi. Vasco przyłączył się również do nich zdyszany od szybkiego biegu i stanął u boku Dampiera. Tych siedmiu udawało, że na wół żartem atakują Bazylego Ringrose, a jednocześnie nie pozwalali Edmundowi Cooke i Greenowi zbliżyć się do niego z prawdziwie morderczymi zamiarami. Green pienił się ze złości w napadzie pijackiego szału, ponieważ udaremnił jego krwiozercze intencje.

— Z drogi, ty kapłonie z gęsim piórem — wrzasnął do Dampiera, który go odpychał.

Green wyglądał przerażająco: w jego wytrzeszczonym oku błyszczało obląkanie pijackie, twarz wykrzywił mu straszliwy grymas. Podniósł kordelas do ciosu, zamierzając radykalnie usunąć ze swej drogi żywą przeszkodę. Dampier, na wół odwrócony od niego, nie mógł w tłoku zasłonić się od ciosu ani zająć pozycji obronnej.

Bójka rozgorzała na dobre, ale kapitan Sharp dopadł już zbiegowiska i rozdzielał na prawo i lewo ciosy swymi potężnymi ramionami, bezstronnie tłukąc i swoich stronników, i przeciwników. Bukanierzy cofali się z okrzykami bólu, ale twarde pięści kapitańskie nie wyrządzały nikomu większej szkody, ostudzały tylko nazbyt bojowe temperamenty. Niewolnicy murzyńscy, skuleni razem, przyglądali się z dala bójce, nie bez obawy, iż złość bukanierów wyładuje się w końcu na ich własnych plecach.

Ścinający krew w żyłach wrzask rozdarł nagle powietrze i zatrzymał każde wzniesione ramię, sparaliżował każdą stopę, skradającą się do skoku na przeciwnika. Wszystkich oczy — rozgorzałe, przekrwione, błędne od przepicia — zwróciły się w stronę kotłowaniny ciał tuż przed Bazylim Ringrose. Ale dostrzegli tylko wylatujący wysoko w powietrze kordelas, którego ostrze błysnęło srebrościcie w świetle księżyca.

— Ty przeklęty bękarcie... synu rudej suki... — przeraźliwy



wrzask Greena urwał się. Teraz z trudem wypluwał słowa przez zaciśnięte zęby, skręcając się z bólu. Zgięty w pół, wycofał się z tłoku bójki, przez który chciał sobie utorować drogę zabijając Dampiera. Długimi, szponiastymi palcami lewej ręki obejmował i przyciskał do piersi prawe ramię, dotykał go i cofał, gdy ból przeszywał go na nowo. — Już ja cię wybebeszę za to — warczał. — Powieszę cię za twoje bebechy na najwyższej palmie. — Skurczony osunął się na piasek i omdlał z bólu.

To Vasco w chwili, kiedy Green podniósł kordelas na Dampiera, pochwycił jego ramię i pogruchotał mu kości, jakby to była wiązka zeschniętych badyli.

Edmund Cooke rzucił się na Vasco, ale Dampier i olbrzymi Bazyli Ringrose, choć należący do przeciwnych stronnictw, jednocześnie zagrodzili mu drogę. Edmund schylił się i przyczał do skoku, gdy wtem wielka kosmata ręka chwyciła go z tyłu za kark, uniosła w powietrze i rzuciła daleko na piasek twarzą do ziemi, jak kociaka. Spłoszony głupek uciekł z wrzaskiem z gniazda, w pobliżu którego wylądował Edmund. Kapitan Sharp popatrzył jeszcze na swoją ofiarę, która wstawała pomału, i roześmiał się z zadowoleniem, ukazując szczerbate zęby.

Podział łupów dobiegł końca. Bójka — rzecz codzienna — została w chwilę później zapomniana przez wszystkich, wyjąwszy Dawida Greena. Zmęczeni bukanierzy układali się na spoczynek. Dampier odkopał swój cenny bambus. Lionel Wafer, cyrulik, który trudnił się swoim zawodem w Port Royal na wyspie Jamajka, dopóki nie skusiły go perspektywy łatwego zarobku wśród korsarzy, nastawił połamane kości Greena i nałożył mu opatrunek. Petem podszedł do Dampiera i rozciągnął się obok niego na piasku.

— Hazardowe jest to nasze jutrzejsze przedsięwzięcie — powiedział z westchnieniem. Gdyż i on wypowiedział posłuszeństwo kapitanowi.

— Jestem zdania, że powinniśmy jak najprędzej dostać się na ląd i przeprowić się przez Przesmyk Panamski do Morza Karaibskiego — rzekł sennie Dampier.

— Chyba, żeby się nam udało zdobyć jakiś statek. Załogę mogliśmy dokompletować spośród niewolników murzyńskich albo Indian — odrzekł cyrulik.

— Kogo byś wysunął na kapitana? — Dampier uniósł się na łokciu.

— Ambrożego Cowleya albo Cooka — powiedział Wafer.

— Cooke’a...?

— Johna Cooka, oczywiście. Nie tego pijaka Edmunda, który, gdy jest na tyle trzeźwy, by o tym pamiętać, pisze swoje nazwisko z „e” na końcu.

— Racja. John Cook — zgodził się Dampier. — Zaradny i odważny.

Zapadło milczenie. Nieśmiałym ruchem Dampier wysunął rękę i dotknął ukradkiem medalionu na piersi pod koszulą. Księżyc wzbijał się już wysoko w górę.

Zasnęli wreszcie obaj; a Vasco czuwał opodal, oparłszy brodę na podniesionych kolanach. Młody Indianin sypiał dorywczo, najczęściej w dzień, wtedy, gdy Dampier równymi szeregami znaczków czernił białe karty papieru.

## Rozdział II

### OD DRWAŁA DO PIRATA

Gdy Vasco czuwa, a Dampier śpi, przenieśmy się na chwilę do dalekiej Anglii i zajrzyjmy przez ramię młodej dziewczyny o włosach koloru dojrzałego zboża do rękopisu, który rozłożyła przed sobą na otwartym sekretarzyku. Melancholijne spojrzenie i przygarbione ramiona przydają jej lat, ale pomimo bladych policzków i wychudzenia jest piękna, pełna słodyczy i uroku. Usiadła w rzeźbionym krześle, obitym adamaszkiem i pochyliła się nad oprawnym w skórę manuskrytem o kartach pokrytych równymi liniami regularnego pisma. Narożną komnatę we dworze jej ojca, która jest jej buduaem, urządzone gustownie nie żałując kosztów. Podłogę pokrywają perskie kobierce, na orzechowej komodzie złocą się rzeźbione narożniki i herby, gotownia lśni od srebra i cennych kryształów, pod ścianą stoi długa, obita drogim broka-

tem kanapa o czterech rzeźbionych nogach z przodu i czterech z tyłu. Powłóczysta spódnica, mieniać się jedwabście, opada fałdami po obu stronach krzesła, ciasno zasnurowany staniczek o głębokim dekolcie odsłania szczupłe, drobne piersi.

Młoda dziewczyna czyta manuskrypt. Zostawił go jej kuzyn, William Dampier, ten sam, którego by poślubiła, gdyby miała wolny wybór. William zapisywał te karty swoim równym pismem w ciągu czterech lat, jakie spędził w dalekich krajach, aby zdobyć dla niej fortunę. Gdy losy rozdzieliły ich na zawsze, William wręczył jej na pamiątkę te zapiski. Nie znużyła się nigdy odczytywaniem ich, aż znała je prawie na pamięć — dalekie kraje, w których przebywał, stały się znajome; przeszkody i trudności, które przezwyciężał, wspominała jak swoje własne. Była to jej jedyna przyjemność.

W dzienniku nie było żadnych szczegółów z dzieciństwa ani wczesnej młodości jej ukochanego, ale ona je dobrze znała i tak. William Dampier urodził się w East Coker w pobliżu Yeovil w hrabstwie Somerset w roku 1652. Rodzice, zamożni farmerzy, osierocili wcześniej dwóch chłopców: Williama i George'a. Ulegając gorącym prośbom i naleganiom Williama, opiekunowie pozwolili mu w siedemnastym roku życia popłynąć na morze. Statek, na który zaciągnął się jako chłopiec okrętowy, dotarł do Nowej Fundlandii. Wkrótce został marynarzem, a gdy wybuchła wojna z Holandią, brał w niej udział jako podoficer okrętu wojennego, aż ranny w trzeciej z kolei bitwie powrócił na rekonwalescencję do domu brata w Somerset. Wtedy właśnie zakochał się w Grace, swojej dalekiej kuzynce i towarzysze lat dziecińczych, która teraz pochylała głowę nad jego dziennikiem, a kiedy ich wzajemna miłość dojrzała, popłynął na Jamajkę, gdzie jako zarządca plantacji spodziewał się szybko dorobić majątku, który chciał ofiarować ukochanej.

Grace nie czytała dziennika słowo po słowie. Gdy wzrok jej padał na jakieś zdanie, opierała głowę o poręcz krzesła, zamykała oczy i próbowała wyobrazić sobie widoki i zdarzenia, jakie dobrze znała z opisów Dampiera.

Młodzieniec prędko się znużył zarządzaniem plantacji, nie widząc w tym możliwości zdobycia pieniędzy, których potrzebował. Popłynął znowu na morze, a krążąc wzdłuż wybrzeży Zachodnich

Indii, poznał ich zatoki, przystanie i porty. Dostał się na statek, wiozący z Zatoki Meksykańskiej drewno kampezowe.

Dampier z zamięłowaniem i szczegółowo notował wszystko, co widział w tych dalekich krajach. Grace odczytywała po raz setny opis leniwca: długowłosego, burego zwierzęcia o małych oczkach, który miał zwyczaj łązić do góry nogami po gałęziach trzymając się ich niezwykle długimi, hakowato zakrzywionymi pazurami krótkich łap.

»Leniwce poruszają się tak powoli, że gdy objadły wszystkie liście z jednego drzewa, to zanim zleżą z niego i wdrapią się na następne, choćby zupełnie bliskie, mija pięć do sześciu dni. Leniwiec przez ten czas chudnie tak, że zostaje z niego tylko skóra i kości, chociaż gdy rozpoczynał złażenie, był gruby i opasły... mija osiem do dziewięciu minut, zanim leniwiec przesunie łapę o trzy cale naprzód.«\*

Dampier próbował poganiać zwierzę uderzeniami bicia, ale nie udało mu się zmusić go do żadnego pędzszego ruchu, choć dzisiaj zoologowie stwierdzili, że w razie potrzeby leniwiec potrafi poruszać się dość prędko. Obraz leniwca, który zarysował się w jej wyobraźni, przywołał blade uśmiech na usta dziewczyny. Lubiła też opis dziwnego zwierzęcia, nazwanego mrówkojadem. Wielkości mniej więcej średniego psa, o krótkich łapach i długim ogonie pokrytym czarnobrunatnym, szorstkim włosiem, o mocnych pazurach przednich łap, wyróżniał się długim, cienkim pyskiem i jeszcze dłuższym językiem.

»Mrówkojad kładzie pysk płasko na ziemi, tuż przy rojnej od mrówek ścieżce prowadzącej do mrowiska (których bardzo wiele jest w tym kraju) i wyciąga swój długi jęzor w poprzek ścieżki: mrówki, wędrujące nieustannie po ścieżce włożą na język i zatrzymują się na nim. W parę minut język jego cały pokryty jest mrówkami, a wtedy wciąga go z powrotem do pyska i zjada je.

---

\* Wszystkie przytaczane w niniejszej książce cytaty pochodzą z następujących dzieł: Captain William Dampier — *A New Voyage Round the World*. London 1717; tom I i II oraz: Captain William Dampier — *A Voyage to New Holland in the Year 1699*. London 1729; tom I i II.

Zwierzęta pachną silnie mrówkami, a nawet ich mięso przesycone jest tym odorem, co wiem, gdyż jadłem je nieraz.«

Młoda dziewczyna wzdrygnęła się na myśl o jedzeniu takiego zwierzęcia, a mimochodem zastanowiła się, dlaczego właściwie mrówki zatrzymują się, gdy włożą na język mrówkojada, zamiast uciekać stamtąd jak najszybciej. Zapiski nie poinformowały jej o tym, że język mrówkojada pokrywa lepka ślina. Grace myślała jednakże z sympatią o tym zwierzaku, ponieważ niszczył tyle dokuczliwych mrówek, jakie nieraz dały się dobrze we znaki jej Williamowi. Może dokuczają mu i teraz? Gdyż pisywał również o wielkich, czarnych mrówkach, które w swym pochodzie nie znały przeszkód: maszerowały przez szalasy, przez legowiska ludzi, przez skrzynie i tobołki, a tak były liczne, iż przemarsz trwał czasem pełne dwie godziny. Czarne mrówki gryzły tak dotkliwie, jak skorpiony; ukąszenie żółtej mrówki paliło niby ogniem. A pająki! Na samo wspomnienie o nich Grace miała ochotę unieść fałdzistą spódniczkę i uciekać: pająki tak wielkie, jak pięść mężczyzny, z zakręconymi rogami długości dwóch cali. Rogów tych marynarze używali do czyszczenia fajek albo jako wykałaczek do zębów. Wieść głosiła, że taka wykałaczka z pajęczego rogu leczy ból zębów, ale Dampier nie sprawdził tego na sobie.

Sama nie wiedziała, czy bardziej ją przerażały, czy też urzekały opisy nieznanymi zwierząt, ptaków, owadów. Na stałym lądzie w Meksyku spotykał Dampier małpy:

»Najbrzydsze, jakim widział kiedykolwiek. Większe od zająca, o długich ogonach, pokryte czarnym, szorstkim sterczącym włosom, ponure i dzikie, nie dawały się oswoić. Uciekały na widok grupy ludzi, ale napotkawszy pojedynczego człowieka przybierały groźne postawy... uganiały po gałęziach drzew hałasując i dziwne grymasy wyczyniając. Czasem rzucały na mnie połamane zeschnięte gałęzie, inne pluły albo załatwiały swoje potrzeby wprost na moją głowę. Wreszcie jedna, większa od innych, zeskoczyła z gałęzi prosto na mnie, ażem się cofnął, wszelako małpa złapała za niższą gałąź końcem ogona i tak zawisła kołysząc się i wykrzywiając do mnie.«

Oczy Grace złagodniały, gdy w tych zapiskach odnajdywała dowody współczującego, dobrego serca swego ukochanego: »Postrzeliłem takową małpę, ale więcej tego nie czyniłem ujrzawszy, jak biedaczka skarżyła się i łapę zranioną oglądała.«

Grace nie pomijała nawet opisów spraw żeglarskich, których nie pojmowała dobrze. Zastanawiała się i próbowała z niezajomych sobie słów wytworzyć zrozumiały obraz. Przesuwała palcem po słowach i czytała uważnie, ze szczegółami, jak po opuszczeniu Zatoki Meksykańskiej na statku naładowanym drewnem kampszowym towarzysze Dampiera wykorzystywali silny wiatr północno-zachodni, pędzący często nabrzmiąle deszczem chmury.

»Z północnym wiatrem żeglowaliśmy prawie do Jamajki i żaden z naszych statków nie zatonął w tych sztormach, choć zdarzały się uszkodzenia. Natomiast Hiszpanie, jakem słyszał, wielkie straty od północnych sztormów ponoszą i rzadko rok minie, aby morze nie wyrzuciło wraka na piaski Zatoki Campeche, gdyż Hiszpanie całkiem inaczej statkami powodują. Zawsze kładą statki w dryf pod fokiem i bezanem, co jest z wielkim dla statku wysileniem — zwłaszcza jeśli ma długi kadłub — lecz nigdy pod grotem i bezanem ani też pod samym bezanem; my najczęściej stajemy w dryf pod grotem i bezanem, a gdy sztorm jest bardzo gwałtowny, pozostawiamy tylko bezan. A gdy i tego za dużo, refujemy. Jeśli i mimo to nie możemy wytrzymać pod naporem wiatru i fali, wtedy puszczamy statek z wiatrem, ale tylko po uczynieniu wszystkiego, co w naszej mocy.«

Takie żeglarskie zapiski przestraszały Grace, gdy myślała o niebezpieczeństwach, na jakie codziennie naraża się jej ukochany. Ale dziewczyna nie mogła sobie zdać sprawy, jak to dziś pojmie każdy, choćby pobieżnie tylko obznajmiony z zagadnieniami żeglarskimi czytelnik, jak bardzo prymitywne, ciężkie i niezdarnie ożaglowane były owe statki, na których pływał William Dampier. Miały wysokie rufy, szersze na linii wodnej i zwązające się ku nadburciu. Na rufówce budowano wielopokładowe kasztele, jakby to były pływające zamki. W rezultacie statki miały pokładówki o niebezpiecznej wysokości. Długość rzadko przekraczała potrójną szerokość, a że w dodatku żagle były nisko noszone, toteż żeglo-

wanie pod wiatr stanowiło nie lada sztukę. Kadłub statku nie był obity blachą miedzianą, a tylko smołowany. Dlatego też tak często statki ówczesne musiały zawijać do osłoniętych od wiatru zatok, gdzie podczas odpływu można było statek przechylić i zeszkrobać nagromadzone muszle i wodorosty hamujące bieg. Jeśli chodzi o ożaglowanie, statki, na jakich pływał Dampier, miały przeważnie u masztów okrągłe platformy, duże jak „sala balowa”. Na dziobie dodatkowe żagle rejowe obciążały bukszpryt. Rzadko kiedy podnoszono wyższe żagle niż marsle. Toteż na podróż, którą statek żaglowy odbywał w XIX wieku w osiem tygodni, trzeba było w XVIII wieku całego roku.

Zetknąwszy się z drwalami, którzy ścinali i zwozili do przystani drewno kampseszowe, Dampier zapalił się do tego bardzo dochodowego zajęcia. Tak więc z początkiem roku 1676, wyekwirowany w siekiery, topory, strzelbę i amunicję, a także materiał do budowy szałasów, który w swym pamiętniku nazwał cokolwiek pompatycznie pawilonem — Dampier popłynął z Jamajki w stronę wschodniego krańca Zatoki Campeche, gdzie okolica służyła z obfitości drzew kampseszowych. Morze łączyło się tu z ziemią płytkimi lagunami, wcinającymi się głęboko w stały ląd, niski i podmokły. Dopiero nieco głębiej wznosiły się gliniaste skarpy pokryte cienką warstwą żyznego czarnoziemiu. Tu rosły najpiękniejsze drzewa kampseszowe, zwane też drzewami krwistymi, z wyglądu przypominające nieco wysokie głogi, lecz o potężniejszych pniach — do sześciu stóp w obwodzie — i korze ciemnej, porowatej. Białą miazgę wiązkową pod korą zdzierano obnażając czerwone drewno — cenny surowiec.

Anglicy początkowo nie znali wartości ani zastosowania drzewa kampseszowego. Zdarzyło się raz, że pewien kapitan kaperski, który zdobył hiszpański statek z ładunkiem tego drewna, używał go na opał w czasie podróży i zdziwił się niesłychanie, gdy usłyszał, jak wielką sumę zaproponowano mu po przybyciu do portu za resztę drewna. Kupcy znali wysoką wartość drewna kampseszowego, używanego do sporządzania cennego barwnika do tkanin, o czym niektórzy żeglarze jeszcze nie wiedzieli.

Ta część dziennika Dampiera, w której opisywał zdarzenia z okresu spędzonego na ścinaniu drzewa kampseszowego, napisała była kolorem brunatnoczerwonym. William wyjaśnił, że spo-

rządzał sobie sam inkaust mocząc kawałek drewna kampešowego przez dłuższy czas w wodzie. Grace, odcytując dobrze sobie znane zapiski, myślała o tym, ile ciekawych umiejętności zdobyli tacy jak William podróżnicy. Ścinanie drzewa kampešowego na przykład wymagało nie lada znajomości rzeczy. Pnie były często tak twarde, iż trudno je było porąbać na kawałki, które by się dało przenieść i załadować na statek: wysadzano więc pnie dynamitem.

William Dampier przyłączył się do grupy drwali, mężczyzn silnych i wytrwałych, którzy podnosili na plecach stukilogramowe ciężary. Wkrótce William wyrobił sobie tak mięśnie, że pod każdym względem dorównywał swym towarzyszą. Gdy mieli okazję, pili na umór. Grace nie mogła powstrzymać uśmiechu czytając, jak drwale oszukiwali szyprów, którzy skąpili im zwyczajowego poczęstunku rumem: »Dostarczano im wydrążone pnie, napełnione piaskiem i zakorkowane kawałkiem drewna; a koniec tak spreparowanego drewna kampešowego dla niepoznaki odpilowywano.« Ale na ogół biorąc szyprowie, jeśli nie żalowali trunku, otrzymywali wartościowe drewno, płacąc za nie kwitami, za które na Jamajce drwale dostawali gotówkę. Gdy po załadowaniu statku popijano rum, strzelano jednocześnie na wiat i statek odpływał wśród wesołej wrzawy.

W soboty drwale wybierali się na polowanie, by zaopatrzyć obóz na cały tydzień w świeże mięso. W głębi lądu było pod dostatkiem dzikiego bydła. Upolowaną zdobycz na miejscu obdzierano ze skóry, patroszono i ćwiartowano. Potem każdy wycinał nożem otwór w ćwiartce, którą miał nieść i nakładał ją sobie na szyję.

Jeden był w dzienniku ustęp, który Grace zawsze omijała. William opisywał tu, jak drwale od czasu do czasu najeżdżali indiańskie osady w głębi lądu i uprowadzali najmłodsze i najładniejsze dziewczęta. Odwracając wzrok od tych kart dziennika młoda dziewczyna rozejrzała się jakby z poczuciem winy po zacisznym buduarze. Z westchnieniem porównywała z nim w swej wyobraźni nędzny szałas Williama, zamknięty pomimo upału, z każdą szparą zalepioną błotem dla osłony przed dokuczliwymi moskitami, legowisko, na jakim sypiał, podniesione o trzy stopy ponad



ziemię, by go w deszczowej porze roku nie zalewała błotnista woda, w której brodził po kolana przez cały dzień.

I znowu ustęp, przed jakim — choć z innych powodów — wzdrygała się jej wrażliwa natura. Na nodze Williama, tuż koło kostki, wytworzył się czerwony guz. Doszło do tego, że William nie mógł chodzić, choć przyłożył sobie plaster, który miał doprowadzić do zebrania i pęknięcia nacieku. Wreszcie ropień pękł, a w nim ukazał się cienki, długi robak. Dziś w zoologii oznacza się go nazwą *Filaria medinensis*. Za poradą Indian Dampier wyciągnął bardzo ostrożnie, żeby go nie przerwać, część robaka długości trzech cali i nawinął go na patyk, który przywiązał sobie do nogi. »Później co rano i co wieczór wyciągałem robaka po trochu, nie bez bólu, nawijając go dalej na patyk, aż wyciągnąłem w ten sposób przeszło dwie stopy tego okropnego pasożyta.« Wreszcie robak urwał się, nie wydobyty w całości; ale rana zasklepiła się i wygoiła, nie sprawiając mu więcej kłopotów.

Dampier był zdania, że pasożyt znalazł się w jego ciele wskutek picia niezdrowej zakażonej wody. Do dziś dnia nie jest ustalone, czy *Filaria medinensis* wkręca się w skórę człowieka, czy też pod postacią larwy przenika przez przelyk i narządy trawienne, by z krwią dotrzeć do kończyn, w których się osadza i przekształca.

Grace czytała dalej:

»W piękną pogodę owego dnia fregaty mnogimi stadami nadleciały w głąb lądu, co nie jest ich zwyczajem. W obozowisku niektórzy twierdzili, iż to znak, że wkrótce nadpłynie wiele statków; tyle, ile tych ptaków krąży nad głowami. Głupio mówili, gdyż ptactwa było mnóstwo wielkie i nigdy by ani setna część tej liczby statków nie mogła tu przybyć.«

Następnym zadziwiającym fenomenem po pojawieniu się ptaków był głęboki odpływ morza, które pozostawało przez dwa dni na najniższym poziomie, nieporuszone żadnym przyplływem. Wąski, wcinający się daleko w głąb lądu pas wody, nad którym roztasowali się drwale, zazwyczaj od siedmiu do ośmiu stóp głęboki, wysechł prawie zupełnie; zaledwie w samym środku pozostała struga wody. Trzeciego dnia po południu niebo pociemniało,

wstał wiatr z południowego wschodu i dał coraz silniej. Wkrótce lunął gwałtowny deszcz. W zatokach, lagunach i cieśninach woda podnosiła się z niebywałą szybkością. »W parę godzin wichura zmioła wszystkie nasze szałasły prócz jednego. Ten jeden umocniliśmy z wielkim trudem palami i linami, które poprzywiązywaliśmy do pni co najgrubszych drzew. Tutaj stłoczyliśmy się wszyscy razem.«

Towarzyszy Dampiera było podówczas około trzydziestu. Przeżyli razem okropną noc, którą bujna wyobraźnia Grace odtwarzała ze wszystkimi szczegółami. Wielkie drzewa, wrywane z korzeniami, padały jak trzciny, z trzaskiem łamały się twarde pnie. A ulewa szumiała bez przerwy, woda przenikała przez dach sporządzony z palmowych liści. Szalas szczęśliwym trafem ocalał, gdyż od najsilniejszych uderzeń burzy osłaniał go wysoki występ skalny.

O świcie, znużeni i wyczerpani po bezsennej nocy drwale odkryli, że woda w cieśninie występuje z brzegów. Było to tym dziwniejsze, iż wypełniając cieśninę woda płynęła pod wiatr w głąb łądu.

Pozbawieni ciepłej strawy, zgłodniali, stłoczeni w ciasnym szałasie ludzie czuwali i z trwogą oczekiwali końca szalejącej burzy. Przez cały ten dzień aż do dziesiątej wieczór burza nie słabła ani na chwilę. Wielkie drzewo tuż przy ich szałasie ułamało się z przerażającym trzaskiem o cztery stopy nad ziemią. Drwale rzucili się na ziemię, jeden na drugiego, instynktownie rękoma osłaniając głowy. Nie na wiele by to się zresztą przydało, gdyby leśny olbrzym padł na dach ich szałas. Na szczęście tylko końce gałęzi zatarasowały wejście. W południe, gdy woda z cieśniny biegła z szumem coraz wyżej, postanowiono wyjść z szałas i przyholować łodzie, które teraz były jedyną szansą ocalenia. Zapasy żywności porwał prąd. Za nimi w głębi lasu grunt obniżał się i teraz woda stała tam tak głęboko, że nie mogliby przebrnąć nawet, gdyby potrafili się przedostać przez gąszcz świeżo zwałonych olbrzymich pni.

W drugą noc sztormu, gdy wichura i ulewa nieco pofolgowały, Dampier odbył ze swymi towarzyszami krótką naradę. Pocięszali się tym jedynie, że pieniądze ich, zarobione na sprzedaży

drewna kampseszowego statkom kupieckim, leżały bezpiecznie w domach bankowych w Jamajce.

Ranek wstał jasny i najzupełniej spokojny. Dampier wziął trzech towarzyszy i wsiadłszy w łódź powiosłował do odległej o szesnaście mil zatoki, gdzie przed burzą stało na kotwicach osiem statków. Po drodze widzieli niezliczone ilości martwych ryb wyrzuconych na brzeg lub bielejących bladymi podbrzuszymi w lagunach. A kiedy wreszcie dotarli do celu — nie ujrzeli ani jednego statku. Sześć zdryfowało na kotwicach lub zerwało się z nich, dwa sztorm zniósł na morze i o jednym z nich słuch zaginął. Z sześciu, które się zerwały z kotwic, odnaleziono tylko dwa, zniesione na ląd, gdzie odpływ pozostawił je wysoko wśród drzew z flagą trzepocącą ponad konarami. Kapitan i załoga przyjęli gościnnie Dampiera i posłali łódź po resztę jego towarzyszy. Ale nie był to statek handlowy, lecz piracki — i od tej chwili datuje się piracka kariera Williama Dampiera.

Grace potrząsnęła smutno głową. Romantyczne usposobienie pozwalało jej zachwycać się ryzykownymi wyczynami Franciszka Drake i Waltera Raleigh. Ale człowiek, którego kochała, którego chciała mieć za męża? Wolałaby, żeby miał czyste ręce, nie splamione cudzą krwią i kradzionym złotem. Wzruszyła szczupłymi ramionami, westchnęła, otarła łzę spływającą po policzku.

— Cóż to za głupota — powiedziała sobie — oddawać się próżnym żalom. — Co dziś porabiał i jakie były motywy jego postępów — mogła tylko, odgadywać. Ale to, co czynił w ciągu tamtych lat, wypływało z miłości dla niej, z zapamiętałego dążenia, by jak najprędzej się z nią połączyć.

Dampier w dzienniku wyjaśnia pochodzenie popularnie wówczas używanej nazwy bukanierów. Przed laty statki francuskie, angielskie i holenderskie utorowały sobie drogę do bogatych wysp i ziem wokół Morza Karaibskiego w nadziei zagarnięcia części przynajmniej niezmiernych skarbów, jakie Hiszpanie corocznie wywozili ze swoich posiadłości. Nowi przybysze osiedlali się na zachodnim brzegu wyspy Hispaniola\*. Jedni zajęli się uprawą roli, inni rybactwem, ale największa część polowała na dzikie bydło, którego pod dostatkiem było na wyspie. Prymitywnie wyprawione skóry tego bydła służyły do handlu wymiennego, a mięso wędzo-

\* Później nazywana San Domingo, a obecnie Haiti. (*Przyp. red.*)

no sposobem krajowców na drewnianej kracie, zwanej bukan. Uwędzone na bukanie mięso stało się również przedmiotem handlu, a ludzi, którzy je wędzili, nazwano bukanierami. Bukanierzy nosili koszule i szerokie pantalone, ufarbowane na ciemnoczerwony kolor krwią zabitych zwierząt. Na nogi wkładali obuwie sporządzone z wyprawionej skóry, a zamiast saszy, czyli pasa z materiału, nosili pasy skórzane, za które zatykali szable i noże. Sypiali na gołej ziemi, a ich ulubionym przysmakiem był surowy szpik z kości świeżo zabitego zwierzęcia.

Ci bukanierzy, gdy opuszczali swoje rodzinne strony, by wybrać się w daleką podróż na Morze Karaibskie, nie przewidywali wcale, że zostaną handlarzami wędzonego mięsa. Marzyli o łatwiejszym zdobyciu fortuny. Toteż zajmowali się piractwem, ilekroć tylko nadarzyła się sposobność. Początkowo rabowanie statków uprawiali jako zajęcie dodatkowe, uboczne: w łodziach sporządzonych na sposób krajowców napadali nocą na mniejsze statki hiszpańskie, które zapuściły się niebacznie na pobliskie wody. Niektórzy z bukanierów ciułali swoje wątpliwymi sposobami zdobyte złoto ukrywając je przede wszystkim przed własnymi kompanami i wreszcie odpływali szczęśliwie z powrotem do kraju. Inni trwonili pieniądze pełnymi garściami w tawernach portów na Jamajce, a potem wracali na Hiszpanię do dawnego trybu życia. Wielu zginęło w walkach z Hiszpanami lub ciągłych bójkach, które wybuchały w pijackich hulankach.

Hiszpanie, rozgniewani napaściami na ich statki na Morzu Karaibskim, zaczęli się obawiać, że osadnicy na Hiszpanii, groźni już teraz, staną się zaczątkiem bardziej zorganizowanej, wrogiej kolonii. Wyprawili więc flotę okrętów wojennych na wyspę, by dosięgnąć bukanierów w ich własnym gnieździe i pozbyć się ich raz na zawsze. Wyrzuceni ze swoich kryjówek bukanierzy opuścili wyspę, ale powracali tam często, by zaopatrzyć się w mięso. Wówczas Hiszpanie przeprowadzali masową rzeź bydła. Powodzenie tego przedsięwzięcia okazało się zgubne w skutkach. Przedtem bukanierzy niekiedy tylko puszczali się na rozbój, ale od chwili wyrzucenia ich z wyspy poświęcili się piractwu całkowicie. Napadali na statki regularnie i rozszerzyli swój zasięg, a nawet przeszli przez Darien i Panamę do wybrzeży Pacyfiku zaczęli napadać na tamtejsze nieobronne miasta hiszpańskie i ciężkie galeony, które przewoziły bogate ładunki.

Z kobiecą wrażliwością Grace wyczuła ze słów dziennika, że William przyłączył się do bukanierów bez zapału. Nie dlatego zresztą, aby miał szczególnie wrażliwe sumienie: wieloletnie tradycje przemysłowe i patriotyczna nienawiść do Hiszpanii pozwalała ówczesnym Anglikom rozgrzeszać korsarskie wyczyny. Dampier potrzebował pieniędzy, by spełnić własne marzenia i dotrzymać danej jej obietnicy.

Na schodach rozległy się mocne, rytmiczne kroki. Grace pośpiesznie schowała dziennik, a klucz od sekretarzyka powiesiła na gwoździu za lustrem gotowalni.

Szybko usiadła przy oknie z cienkim tomikiem poezji w rękę. Drzwi otworzyły się. W progu stanęła wysoka, postawna kobieta w strojnej sukni. Popatrzyła z nieco ironiczną czułością na swoją pasierbicę.

— Młody Elliot przyjeżdża niezadługo — rzekła. — Zejdź do salonu. Przyjmiesz go w mojej i ojca obecności.

— Tak, pani — powiedziała posłusznie Grace.

Macocha spojrzała na nią ostro.

— Ufam, że jesteś w lepszym usposobieniu.

— Dziękuję, czuję się zupełnie dobrze, pani.

— Nie udawaj. Wiesz doskonale, o czym mówię. Spodziewam się, że będziesz dziś uprzejma dla niego.

Imponująca postać zagradzała dziewczynie drogę. Grace podniosła oczy na piękną, obficie upudrowaną twarz i powiedziała cicho, błagalnie:

— Mam nadzieję, że zawsze jestem uprzejma...

— Zawsze jesteś uparta, ot co! Powtarzam jeszcze raz: wiesz doskonale, o co mi chodzi. Elliota trzeba tylko ośmielić. Zakochany jest w tobie po uszy. Rada jestem z tego, choć nie pojmuję, co on widzi w takiej niewdzięcznicy!

Pociągnęła dziewczynę za ucho gestem niby żartobliwym, ale w którym czaiła się złość. Grace zareagowała niespodziewanym wybuchem:

— Proszę mnie nie dotykać!

Piękna twarz macochy ściągnęła się, oczy zwęziły, wargi zacisnęły mocno.

— A ja proszę, żebyś zechciała być wdzięczna za troskliwość, z jaką myślę o twojej przyszłości. I uprzedzam, że jeśli tym razem znowu będziesz stroiła fochy, nic więcej dla ciebie nie zrobię. Możesz się zabrać choćby na śmietnik razem z twoimi głupimi romantycznymi rojeniami.

— Za to pozwolenie będę wdzięczna, i owszem — odparła Grace sztywniejąc nieświadomie i podnosząc głowę, by z godnością przyjąć cios.

Macocha istotnie drgnęła i zamierzyła się, ale zamiast tego odwróciła się i wyszła z pokoju, rzuciwszy jeszcze przez zaciśnięte zęby:

— Chodź ze mną!

Ramionami Grace wstrząsnął dreszcz. Pochyliła głowę i poszła za nią.

### Rozdział III

#### KU MIĘDZYMORZU

Dampier klęczał na dziobie długiej łodzi. Vasco przykucnął obok niego. Razem z sześciu innymi, którzy porzucili kapitana Sharpa, płynęli teraz wokół przybrzeżnej wyspy, by niepostrzeżenie dostać się do ujścia rzeki wpadającej do zatoki. Ostrzegawczym ruchem Dampier podniósł rękę: wiosła zawisły nieruchomo w powietrzu. Wskazał na niski półwysep oddzielający ich od zatoki. Przy brzegu widać było duży okręt, na lądzie stał namiot. Bukanierzy jęli wiosłować wstecz.

— Zawróćcie z powrotem do cieśniny — rozkazał szeptem Dampier cofając się na czworakach na dnie łodzi do swoich towarzyszy. — Stamtąd będziemy mogli obserwować ich bezpiecznie.

W chwilę później łódź zawrócono zrzęcznie i wprowadzono do cieśniny. Czerwonowłosy Irlandczyk Patryk Hagan zsunął się do wody i wczołgał na brzeg. Pozostali leżeli na dnie łodzi wyglądając przez burtę. Vasco opowiadał przyciszonym głosem:

— W moich stronach Hiszpanie często porywali nas z członów na swoje okręty. Więc gdy dostrzeżemy z dala żagle, zanurzamy nasze czółna aż po burtę — tak są zbudowane, że nie pograżają się głębiej. A my leżymy na dnie łodzi tylko nosy wychylając na powierzchnię, dopóki niebezpieczeństwo nie minie.

William Dampier uśmiechnął się. Uśmiech na jego posępnej, długiej twarzy zaznaczał się tylko łagodniejszym wyrazem oczu i ledwo dostrzegalnym wyrównaniem opuszczonych kątów ust.

— Często patrząc z pokładu statku zastanawiałem się, gdzie znikło czółno indiańskie, które dostrzegłem przed chwilą — powiedział.

Vasco uśmiechnął się szeroko, z zadowoleniem przyjmując te słowa jako komplement dla zręczności swoich ziomków.

Po pół godzinie Patryk Hagan, czuwający na wybrzeżu, dał znać, że z okrętu spuszcza ją na wodę małą łódź.

— Jeśli skierują się w naszą stronę, włącz z powrotem do łodzi — rozkazał Dampier.

W parę minut później Patryk Hagan zwinąwszy dłonie w trąbkę, żeby głos się nie rozchodził, zawołał:

— Tylko trzech ludzi w łodzi! Białych i dwóch Indian!

— W takim razie w złą godzinę wybrali się tutaj!

Łódź skierowała się wprost do cieśniny.

— Nie widzieli nas — zapewniał Hagan przykucnąwszy na dnie. — Pewno chcą łowić kraby albo żółwie.

— Niech nikt się nie waży poruszyć, dopóki nas nie miną — ostrzegł Dampier.

Biały człowiek, który znajdował się w łódce z dwoma Indianami, gdy tylko zrozumiał, że jest odcięty od swoich, rzucił do wody swoje pistolety i kordelas — bezbronny i wzięty do niewoli miał większą szansę uratowania życia. Zeznał, że okręt zakotwiczony u ujścia rzeki czeka na niejakiego kapitana Bartłomieja Sharpa i jego ludzi, piratów, którzy wyrządzili wielkie szkody na całym wybrzeżu. Okręt miał dwanaście armat i liczył stu pięćdziesięciu ludzi załogi, marynarzy i żołnierzy. W rezerwie na brzegu znajdował się oddział wojska w sile trzystu ludzi. Prócz tego jeszcze dwa okręty krążyły w pobliżu, również wypatrując Sharpa.

— Niech ich licho porwie! — mruknął Hagan. — Nie będziemy mogli dostać się w górę rzeki. Musimy szukać innej drogi.

— Łądem. Dużo trudniej — dorzucił Dampier.

— Nie powinniśmy byli nigdy odejść od Sharpa! Cóż teraz poczniemy! — narzekał jeden z ludzi.

— Stul pysk, ty zajęcze serce — pogroził pięścią Irlandczyk.

Zatopiwszy małą łódź i zabrawszy jeńców ze sobą bukanierzy popłynęli z powrotem wokół wyspy do swego barku, gdzie czekano na wieści. Załogę tego barku stanowiło owych czterdziestu czterech ludzi — wśród nich Vasco, dwóch jeszcze Indian i pięciu niewolników murzyńskich, przydzielonych jako udział w łupach — którzy opuścili kapitana Sharpa i zamierzali wpłynąć w ujście rzeki Congo. Z biegiem tej rzeki mogli odbyć łodziami znaczną część drogi z południa na północ przez Przesmyk Panamski.

Wyspę La Plata opuścili przed dwoma tygodniami, zabrawszy swój udział w łupach i tyle mąki, ile mogli unieść niewolnicy. Dostali również około trzydziestu funtów kakao z dodatkiem cukru, pinasę, łódź i jolkę, którą poprzednio przepiłowano na części, aby zrobić beczki na wodę, a teraz złożono z powrotem. Koślawą to była flota i w gruncie rzeczy nie nadawała się zupełnie do przebycia pięciusetmilowej przestrzeni morza, dzielącej ich od zatoki Miguel, do której wpada Congo. Ale szczęście im sprzyjało. Na drugi dzień podróży wypatrzywszy niewielki bark z ładunkiem drewna zdobyli go i dopłynęli do zatoki bez przeszkód.

Gdy powracając z rekonesansu Dampier i jego towarzysze wdrapali się na pokład barku wraz z trzema jeńcami, reszta bukanierów czekała na wieści zgromadzona wokół Johna Cooka, którego Dampier i cyrulik Wafer wysunęli na kapitana. Jak często wśród piratów, nie było właściwie prawidłowego głosowania. Ten miał władzę, kto ją zagarnął. Nigdy nie brakło niezadowolonych i narzekających, ale do sprawowania władzy mało kto się kwapił. Niewdzięczne to było zadanie wśród wiecznie buntujących się, niezdyscyplinowanych awanturników, a karą za niezawinione czasem niepowodzenia wyprawy bywał aż nazbyt często cios sztyletem między łopatki.

Kapitanem więc został John Cook, który niegdyś dowodził dużym statkiem handlowym. Przed kilku laty Hiszpanie zatopili



mu statek koło wybrzeży Nikaragui, a jego samego puścili na morze w łodzi ratunkowej, gdzie na wpół oszalały z głodu i pragnienia zaprzysiął na Biblię, którą zawsze nosił przy sobie, krwawą zemstę. Wyratowawszy się szczęśliwym trafem, przystał do bukanierów, by dopełnić swej przysięgi. Był bodajże najniższy z całej załogi, jego czarne włosy przyprószyła już gęsto siwizna, ale oczy nie straciły przenikliwego blasku. Nie słyszano nigdy, by kłął czy wymyślał, nie brał udziału w orgiach wyprawianych przez bukanierów w zdobytych miastach, i stale czytał ową Biblię. Wyśmienity żeglarz, wyróżniał się znajomością wiatrów i prądów na tych morzach.

Na widok Hiszpana wchodzącego z Dampierem na pokład, prawa ręka Johna Cooka sięgnęła do rękojeści kordelasa, a lewa otwierała się i zaciskała konwulsyjnie. Jeniec cofnął się, ujrawszy krwiożerczy wyraz jego oczu. Cook nie miał jeszcze sposobności ozdobić swej połatanej, żółtej koszuli, czerwonych pantalonów i kapelusza z liści palmowych żadnymi oznakami kapitańskiej władzy. Ktoś wprawdzie zaproponował, aby jego imiennik oddał nowo kreowanemu kapitanowi swój trójgraniasty kapelusz, którego jedna, na wpół oddarta część zwisała teraz, jak skrzydło zranionego ptaka, ale Edmund Cooke kurczowo uchwycił ręką swoją własność i wymachując groźnie pistoletem odgrażał się, że zabije każdego, kto by spróbował go ograbić.

Dampier i Hagan przytrzymywali Hiszpana za ramiona, a John Cook z wymierzonym w pierś jeńca kordelasem wysłuchał raz jeszcze jego zeznań o okrętach krążących u ujścia rzeki.

— Puścić go! — rozkazał, gdy tylko Hiszpan skończył mówić.

Jeniec podniósł rozpaczliwym ruchem rękę i próbował uskoczyć w tył. Za późno. Kapitan zemścił się na jeszcze jednym znieprawionym Hiszpanie. Z całkowitą obojętnością Dawid Green wrzucił do morza ofiarę, której głowa była tak przekrojona jednym ciecieniem kordelasa, jak jabłko nożem kucharza.

Dwaj Indianie, wzięci do niewoli razem z Hiszpanem, padli na kolana, błagalnie wznosząc ręce do góry. Ale oni nie mieli się czego bać. John Cook oblizywał wargi, jak dziki zwierz po z dawną pożądanym posiłku. Jego obłąkane oczy z wolna przybierały zwykły wyraz.

— Indianie są naszymi sprzymierzeńcami — rzekł. — Mamy

wśród nas Indian, którym ufamy i pozwalamy im nosić broń. Czy chcecie przyłączyć się do nas?

Indianie rozglądali się nieufnie, aż dostrzegli w pobliżu Vasco w aksamitnym kubraku i jaskrawych spodniach, które choć poplamione i podarte, stanowiły bogaty strój w porównaniu z przepaską na biodrach noszoną przez jeńców. Vasco uśmiechnął się do współplemieńców i kiwnął kilkakrotnie głową.

— Tak, panie — wykrztusili jeńcy.

— Czy jesteście z Panamy?

— Nie, panie. My z wysp Moskito.

— Szkoda. Potrzeba nam przewodników. Ale trudno. Nie macie tam jakiej odzieży dla nich?

Cyrulik Wafer i Hagan uznali, że na spółkę znajdą dosyć łańców, którymi Indianie będą i tak zachwyceni. Otarłszy krew z kordelasa o zrogowaciałą podeszwę swej nagiej stopy John Cook wetknął broń z powrotem za poplamiony, jedwabny pas i spokojnie zaczął się naradzać z towarzyszami, co im wypada teraz uczynić.

Postanowiono ostatecznie poszukać bez zwłoki dogodnego miejsca do lądowania i ruszyć pieszo przez Przesmyk Panamski. W dżungli można było wymknąć się Hiszpanom, a w razie potrzeby łatwiej rozprawić się z nimi. Na morzu czekała ich pewna zguba.

— Zgodziliśmy się wszyscy przed opuszczeniem Sharpa, i przypomnę to wam teraz, że każdy, kto będzie się ociążał i zostawał w tyle przy przeprawie lądowej, zostanie zastrzelony. — John Cook machnął ręką w stronę lądu. — Hiszpańskie świnię będą nas szukać i ścigać. Jeden maruder, który wpadnie w ich ręce, narazi wszystkich, gdyż wzięty do niewoli może zdradzić nasze zamiary.

— Jakiś śmierzdel bez kości może by zdradził — rzekł złośliwie Dawid Green, który wciąż jeszcze nosił ramię na długiej, brudnej szmacie związanej na karku. — Albo jakiś podły czaruch — rzucił nienawistne spojrzenie na Vasco, który tylko uśmiechnął się w odpowiedzi. — Ale nie ja.

— Nie wymieniam nikogo — odparł ostro kapitan Cook. — Nikt nie może przewidzieć, do czego go doprowadzą tortury. Wszyscy się zgadzają?

Ludzie szemrali i pomrukiwali, ale wszyscy podnieśli ręce w górę.

— Ja bym sądził, że powinniśmy zwinąć żagle, obsadzić załogą obie łodzie i holować bark w kierunku zachodnim — zaproponował Dampier. — Hiszpanie nie będą się spodziewali, iżbyśmy mogli popłynąć pod wiatr.

— Dobra myśl! Popieram Śledzia — wtrącił Ambroży Cowley nazywając Dampiera mianem, pod którym był powszechnie znany wśród bukanierów. — W ten sposób uda nam się dotrzeć do lądu i przynajmniej przejść w głąb puszczy parę mil, zanim Hiszpanie wypatrzą, żeśmy im znikli z oczu i wezmą się do ścigania.

Pomysł był istotnie dobry, ale — jak zwykle wśród bukanierów — ci, którym on nie przyszedł do głowy, sprzeciwiali się uparcie. Jedni chcieli pożeglować na południo-wschód i wylądować poniżej Garachine bez względu na to, iż taki manewr doprowadziłby do najdłuższego przemarszu lądowego. Inni wołali, by płynąć jeszcze dalej, aż do wybrzeży Kolumbii — co było narażeniem się na pewną zgubę wobec patrolujących wybrzeże w poszukiwaniu Sharpa hiszpańskich okrętów — i przeprowić się lądem w pobliżu Darien. Wreszcie John Cook, który dotąd nie brał udziału w naradzie przybierającej coraz bardziej charakter kłótni, oznajmił stanowczo:

— Ja płynę na zachód pod wiatr. Kto ze mną?

A ponieważ nikt nie czuł się na siłach sprawować kapitańskiej władzy, więc zamilkli i przestali oponować. Niewolników posadzono przy wiosłach na pierwszą zmianę w dużej łodzi. Biali marynarze mieli ich potem zastąpić. Indianie wsiedli do drugiej łodzi. Cała noc zeszła na wiosłowaniu. Ludzie klęli złani potem i harowali z całych sił, a choć wymyślali sobie nawzajem, nie ustawiali ani na chwilę. Żaden niewolnik nie pracował ciężiej od samego Johna Cooka, którego krótkie, krępe ciało dorównywało siłą wielu, dwakroć wyższym od niego. O świcie 1 maja dotarli bez przeszkód do końca długiej, wąskiej zatoki Miguel, którą skierowali się w głąb lądu. O milę dalej znieśli na brzeg zapasy i osobiste mienie, po czym zatopili bark.

Zabrawszy z pokładu barku swoje czołno wyciosane z jednego pnia drzewa, Vasco z drugim jeszcze Indianinem popłynęli łowić ryby, by zaopatrzyć wyprawę w żywność. Czołno mknęło cicho

po błękitnej wodzie, wiosła zanurzały się i wynurzały bez plusku. Gdy stojący na dziobie Vasco dostrzegł rybę, dawał znak i towarzysz jego przestawał wiosłować. Vasco unosił niewielki harpun na długiej, mocnej linie, sporządzonej z kory drzewa magaguabusz (*Hibiscus tiliaceus*). Korsarze też często używali mocnych lin, wyrabianych z tego drzewa, na olinowanie statków. Z końcem liny, okręconym wokół dłoni, Vasco celnym ruchem ciskał harpun i w chwilę później wyciągał dużą rybę. W godzinę wrócili z napełnionym czółnem, a wszyscy Indianie zabrali się do oczyszczania i przyrządzania ryb.

Pomoc krajowców w takich połowach oraz w polowaniach z harpunem na krowy morskie, zwane również manatami, i żółwie była nieoceniona. Indianie umieli zachować swą niezależność i godność osobistą, a skrzywdzeni czy znieważeni przez bukanierów mścili się ciskając przy najbliższym połowie swoje harpuny tak, by nigdy nie trafić. I nic to nie pomagało, że bukanierzy złościli się i grozili. W im większy wpadali gniew, tym uparciej Indianie odmawiali zaopatrzenia ich w żywność, dopóki nie zostali przeproszeni. O ile zatargu nie załatwiono honorowo, czerwono-skórzy sprzymierzeńcy po prostu znikali pewnej nocy w ciemnościach puszczy.

W boju Indianie posługiwali się nadzwyczaj zręcznie dzidą, którą rzucali na sporą odległość z nieomylną celnością, jak harpunem. Korsarze zwykle dawali im broń palną, a po krótkiej praktyce Indianie stawali się wybornymi strzelcami.

Wczesnym popołudniem w dzień wylądowania bukanierzy gotowi byli do marszu.

— Daleko dziś nie zajdziemy — rzekł kapitan — ale przynajmniej oddalimy się od brzegu.

— Jeszcze tego pożałujemy — narzekał Edmund Cooke. — Ja nie jestem szczurem lądowym. Nie lubię tracić morza z oczu.

— Jeśli tu zostaniesz, ty jęcząca niedorajdo — odparł Patryk Hagan — to zobaczysz więcej morza, niż ci się zachciewa: przykuty do wiosła w hiszpańskim galeonie, z rzemiennym biczem świszczącym po plecach.

— A właśnie, że to głupi pomysł, aby pieszko drałować — wtrącił Dawid Green popierając kamrata.

Ale zarzucili tobołki na plecy i ruszyli wraz z innymi. Niewolnicy nieśli mąkę, kakao i cukier, a Indianie, jako zwiadowcy, wyprzedzali bukanierów i osłaniali skrzydła. Skierowano się na północny wschód. William Dampier idąc tuż za Indianinem Vasco wskazywał kierunek za pomocą niewielkiego kompasu, który trzymał w dłoni. John Cook zamykał ów pochod malowniczych rzezimieszków, gdyż od tyłu najprędzej można się było spodziewać ataku i wobec tego najlepsza była sposobność zabicia paru Hiszpanów.

O paręset kroków od wybrzeża weszli w gąszcz podzwrotnikowej dżungli. Grząskie bagniska, niewidzialne pod roślinnością, groziły wchłonięciem nieostrożnego śmiałka, jadowite żmije czaiły się na ziemi i wśród gałęzi. Nożami torowali sobie drogę przez sprężyste liany i paprocie tak ostre, iż przecinały skórę. Nie można było głośno ostrzegać o trudnych do przekroczenia miejscach, aby hałasem nie zwrócić uwagi Hiszpanów, którzy może ich już ścigali. Obciążeni ładunkiem niewolnicy murzyńscy wpadali do zarośniętych wykrotów i potykali się o termitiery. O ósmej wieczorem wszyscy byli wyczerpani do cna. Na dobitek zaczął padać ulewny deszcz. Zatrzymawszy się wreszcie na postój, pozrzucali swe ładunki i zaczęli ścinać gałęzie na szałas.

W ulewie nie mogli rozniecić ognisk, nawet gdyby nie bali się, że dym zdradzi ich obecność. Poszli więc spać głodni.

U wejścia do szałasu, gdzie schronili się William Dampier, cyrulik Wafer i Irlandczyk Patryk Hagan, usiadł Vasco da Gama. Hagan, zaledwie przyłożył głowę do tobołka, który mu służył za poduszkę, zachrapał donośnie. Wafer i Dampier rozmawiali przyciszonymi głosami o powolnym tempie ich marszu. Przeszli tylko dwie mile. Jeśli nie uda się przyspieszyć pochodu, może upłynąć sześć tygodni, zanim dotrą do Morza Karaibskiego.

— W ciągu sześciu tygodni niewiele z nas pozostanie przy życiu, a ci jeszcze żywi ledwie będą powłóczyli nogami — zamruczał posepnie Dampier.

Nie otrzymał odpowiedzi, prócz regularnego pochrapywania, któremu wtórował szum deszczu na gałęziach szałasu.

Dampier nie spał. Wilgoć z ziemi przesiąkała przez koc, na którym leżał. Lekarstwo, jakie mu Wafer przyłożył na chorą sto-

pę, piekło i dokuczało tak, że chwilami kurczył nogę, a grymas bólu wykrzywił mu w ciemności twarz.

— Deszcz już nie pada — szepnął Vasco.

Dampier przesunął się cicho i wytknął głowę z szałas tuż obok młodego Indianina.

— Nie malowałeś dziś czarnych znaczków na papierze — powiedział Vasco, kiedy jego opiekun się usadowił, tonem, w którym zabrzmiała jakby wymówka. Dampier uśmiechnął się w ciemności. Za najłżejszym powiewem wiatru z liści spadały wielkie, ciężkie krople.

— Nie mogę pisać po ciemku Vasco. Ale tymczasem opowiedz mi, jak żyłeś wśród swoich. Chcę o tym napisać, gdy będę mógł.

Długą chwilę trwała cisza. Wreszcie Vasco rzekł:

— Nie umiem ci tego opowiedzieć, panie. Za mało znam słów.

— Więc odpowiadaj na moje pytania. Słuchaj. Czy mężczyźni u was się żenią, to znaczy czy biorą sobie kobiety?

— Każdy ma jedną tylko kobietę i żyje z nią aż do śmierci. A ty, panie, czy masz kobietę w swojej wiosce?

— Tak, Vasco.

— Czemu nie wracasz do niej?

— Może ci to kiedyś opowiem. Ale teraz ty...

— Rozumiem — przerwał mu Vasco. — Wrócisz do niej, kiedy będziesz mógł jej zawieźć tyle bogactw, aby wam starczyło na całe życie. U nas jest nieco inaczej, chociaż właściwie to na jedno wychodzi. Kiedy mężczyzna bierze sobie żonę, dostaje od plemienia kawałek wykarczowanej ziemi w pobliżu morza lub rzeki. Sadzi banany, słodkie bulwy i kartofle, trochę papryki i ananasów. Potem zostawia żonę, żeby dopilnowała zbiorów, a sam idzie na połów ryb, manatów i żółwi, albo na polowanie na dziki czy jelenie. Gdy już ma tyle mięsa, ile może unieść, wraca do domu, gdzie zostaje tak długo, dopóki nie zjedzą wszystkiego. Z tobą, panie, jest inaczej. Ja rozumiem. Ty też wybrałeś się na polowanie dla swojej żony. Daleko, daleko odszedłeś. Taką podróż można odbyć tylko raz w życiu. Więc musisz zebrać tyle, aby wam starczyło nie tylko na krótki czas miłości, ale na całe życie i na starość. Mam nadzieję, że twoja żona dobrze pielęgnuje przez ten czas twoją plantację.

Vasco, czujnymi oczyma śledząc pograżoną w ciemności dżunglę, nie dostrzegł zaciśniętych z goryczą ust białego człowieka, który powiedział tylko:

— Mówiłeś, że znasz mało słów. Ty mówisz dobrze, Vasco. Teraz opowiedz mi o czym innym. Wiesz, że biali ludzie modlą się do Boga i mają księży, którzy kierują ich modłami. Czy u was jest tak samo?

— My znamy tylko Złego Boga, którego nazywamy Wallasey — odrzekł Vasco. — On się czasem ukazuje starszym naszego plemienia, a oni opowiadają nam o tym. Nie wolno nam go rozgniewać, gdyż zemściłby się na nas albo porwałby naszych starców.

— Za co wasz Bóg się gniewa?

— Jeśli nie postępujemy tak, jak nam starcy nakazują.

— Czy gniewa się, gdy się upijacie?

— Nie. O ile nie zaniedbamy zaprosić starców, aby pili razem z nami. Ale w moim plemieniu żadnej ucztę się nie urządza, żeby nie zaprosić wszystkich sąsiadów i starców także. Ten, który zaprasza na ucztę, przygotowuje trunek — tyle, by napełnić czółno. Zwykle robi to wtedy, gdy chce się zemścić za jakąś krzywdę czy zniewagę. Ale nasz Bóg Wallasey nie lubi, byśmy zaczynali mówić o naszych urazach, dopóki nas trunek nie rozgrzeje. Wtedy dopiero zaczynamy się kłócić, a czasem i bić.

— Nie pozabijacie się?

— Vasco zaśmiał się bezgłośnie.

— Nasze kobiety dbają o to, byśmy sobie nie uczynili krzywdy. Gdy pijemy, ukrywają nasze dzidy i harpuny, i strzały, i wszelką broń. — Zachichotał znowu.

— A czy ty masz swoją kobietę, Vasco?

— Jeszcze nie, panie. — Młody Indianin westchnął.

— Chciałbyś mieć żonę?

— Każdy mężczyzna musi mieć żonę, panie. Bez żony nie będzie mężczyzną. Stanie się zwierzęciem.

Dampier w milczeniu rozważał tę prostą zasadę indiańskiej moralności. Przesuwał palcami po łańcuszku ukrytym pod koszulą na piersi, a otworzywszy medalion dotykał jasnych włosów,

których nie widział po ciemku. Vasco patrzył dalej w puszcę. Nie odwracając głowy zapytał:

— To włosy twojej żony, panie?

— Moja żona, Vasco, nie jest moją żoną — odpowiedział cicho Dampier.

— Mówisz zagadkami, panie.

— Czas spać, Vasco. Pobudzimy innych.

Ale minęło wiele godzin, nim Dampier zapadł w niespokojny sen.

## Rozdział IV

### SPÓDNICZKA KOLORU NIEBA

Podejrzany chłupot — jakby ktoś ostrożnie stapał po trzęsawisku i pomału, krok za krokiem wyciągał nogi z błota. Na wpół zdławione przekleństwo. Czujny Vasco rzucił się jak długi w błotnistą ziemię. W tej samej chwili rozległ się strzał. Zaszleściły gałęzie, kula świsnęła nieszkodliwie w pobliżu Dampiera, w niespokojnym śnie marzącego o ukochanej. Zerwali się na równe nogi wszyscy: Wafer, Hagan i Dampier. Chwyтали za broń, wyskakiwali z szałasu wpadając na Vasco, który właśnie podnosił się na nogi. Bukanierzy nadbiegali ze wszystkich stron, Indianie otaczali Vasco, a niewolnicy trzymali się z dala od zbiegowiska, gdzie w zamieszaniu, depcząc w grząskim, uginającym się błocie, ludzie beładnie pytali, klęli, wołali Dawida Greena i Holendra Neda Dawsa, którzy mieli stać na warcie tej nocy.

— Widziałem, że coś się poruszyło koło szałasu Śledzia! Klnę się na piekło i szatanów, że widziałem! — zapewniał Green z dymiącym jeszcze pistoletem w dłoni, przyciskając owiazaną rękę do piersi. Głos jego brzmiał niezwykle łagodnie.

— W każdym razie nie mnie widziałeś, a mnie mogłeś zabić — burknął Dampier.

Krępa postać Johna Cooka — w koszuli tylko, bez spodni — precyzyjnie się przecisnęła przez zbiegowisko.



— Co widziałeś? Co się ruszało? Gdzie to jest teraz? — rozpytywał ostro Greena.

— Nie wiem. To znikło. Może to był tylko cień. — Green był zmieszany, ale wziął się w garść i dodał wyzywająco: — Nie mogłem ryzykować, gdy powierzono mej pieczy bezpieczeństwo towarzyszy.

Nadbiegł Ned Daws czuwający przy drugim końcu obozowiska.

Bystre oczy Johna Cooka zdawały się przenikać ciemności. Podeszedł do Vasco, dotknął go ręką.

— Dlaczego jesteś cały ubłocony?

— Posłyszałem kroki, panie. Padłem na ziemię. Jeden z tych, co dzisiaj w nocy straż trzymali, ma w sercu nienawiść do mnie.

Dampier, który nie spuszczał wzroku z Dawida Greena, dostrzegł że na jeden krótki, nieświadomy moment wargi jego uniosły się, odsłaniając zęby jak u złego psa, gdy chce kąsać.

— Ostrzegam cię, Dawidzie Green — rzekł bez ogródek John Cook — że jeśli cokolwiek złego przytrafi się Indianinowi Vasco, zanim dotrzemy do morza, nie będę szukał winnych daleko, lecz rozrąbię ci tę złośliwą mózgownicę, jak rozkisie jabłko. — Odwrócił się na pięcie i oskarżycielskim palcem wskazał na Edmunda Cooke'a. — I to samo zrobię z tobą.

Edmund, także bez spodni, zdążył jednakże chwycić i wcisnąć na głowę swój pokiereszowany trójgraniasty kapelusz. Zdjął go teraz ironicznie ceremonialnym ruchem i skłonił się Vasco z przesadną gracją, wystawiając jednocześnie swój goły tyłek — gdyż miał bardzo krótką koszulę — bezczelnym gestem w stronę kapitana. Ale z Johna Cooka niebezpiecznie było kpić. Jednym ostrym kopnięciem odrzucił Edmunda w błoto, po czym, nawet bez uśmiechu, machnął ręką w kierunku szałasów.

— Spać, kamraci — rzekł. — Przynieś mi moje ubranie, Green, i idź do swego szałas. Ja sam będę stał na straży.

Bukanierzy odeszli, ale Indianie zebrali się wokół Vasco przed szałasem Dampiera i przysiedli w kucki.

— Ruszajcie stąd! Macie przecież swoje legowiska! — rzucił ostro Cook.

Nie poruszyli się. Nawet nie spojrzeli na niego. Siedzieli w kuc-

ki kręgiem, w milczeniu, z łokciami wspartymi na kolanach. Nad obozem zapadła znowu cisza.

Chata indiańska była obszerna, prostokątna, o konstrukcji drewnianej na podmurowaniu z wielkich, grubo ciosanych głazów. Spadzisty, dwustronny dach posyty był palmowymi liśćmi. Od frontu ta palmowa strzecha wystawała daleko poza ścianę domu, a podparta drągami tworzyła cienistą werandę, na której kobiety zazwyczaj przyrządzały posiłki gotowane nad ogniskiem na wolnym powietrzu. Na werandzie również mieściło się posłanie z plecionych mat, gdzie wylegiwał się pan domu wsparłszy na stołku nogę obwiązaną szmatami, spod których wyglądały końce opatrunku z liści. Dampier i Ryszard Gopson, zwany „Łyskiem”, podeszli do niego w towarzystwie Vasco i jeszcze jednego Indianina. John Cook wraz z resztą bukanierów pozostał opodal na skraju polany, którą mieszkaniec chaty wykarczował i wydarł podzwrotnikowej puszczy. Środkiem polany płynął bystry, przejrzysty strumień.

Odzież krajowca, na którą składały się płócienne spodnie — za krótkie na jego wysoki wzrost i porządnie już podarte — oraz kaftan, niegdyś jaskrawo pomarańczowego koloru, dodawała mu pewności siebie graniczącej z arogancją. Zazwyczaj Indianie w swoich własnych osiedlach okazywali trwożną nieufność za nadejściem Europejczyków, a taka właśnie trwożna nieufność jeszcze prędzej doprowadzała do walki niż jawna wrogość. Ale ten człowiek — chudy, choć o członkach znamionujących wielką siłę fizyczną, pomarszczony, o włosach przyprószonej siwizną — zachowywał się raczej jak niechętnie usposobiony biały osadnik, a nie jak wystraszony krajowiec. Jego żona przyrządzała kukurydzę karmiąc jednocześnie z obwisłej piersi niemowlę ułożone na kolanach. Inne dzieci rozmaitego wieku, zupełnie nagie, trzymając brudne paluszki w buzi, skupiły się pod ścianą chaty i stamtąd ciekawie śledziły bystrymi, czarnymi oczkami niecodziennych przybyszów.

— Nie znam żadnej drogi na północne wybrzeże — upierał się tępo Indianin. Mówił dobrze i płynnie po hiszpańsku.

— Trudno nam w to uwierzyć — odrzekł Dampier i wydobył długi sztylet w pochwie, który podał Indianinowi.

Mocne, długie, ciemne palce obmacywały starannie i dokładnie broń, próbowały ostrza, sprawdzały ciężar.

— Czemu właściwie miałbym wam pomóc w przedostaniu się na północne wybrzeże? — Indianin niechętnie mierzył wzrokiem obcych.

— Ponieważ my chcemy tam się dostać i gotowi jesteśmy wynagrodzić cię za pomoc — wytłumaczył Dampier. Wzbierała w nim złość, ale trzymał się w ryzach. Położenie bukanierów było takie, iż nie mogli sobie pozwolić na kłótnie z Indianami.

— A potem przyjdą Hiszpanie i też mnie wynagrodzą — powiedział sarkastycznie Indianin. — Za to, że wam pomogłem, spalą moją chatę, zniszczą moje zbiory — wskazał ręką starannie uprawioną rolę na polanie, pociętą na zagony bujnie rosnącej kukurydzy, jamsów, smacznych bulw, i ananasów — zabiorą moją żonę i starsze dzieci, a pozabijają resztę.

— Skąd by Hiszpanie mieli się dowiedzieć — powiedział nieśmiało Ryszard Gopson, potrząsając łysą głową.

Na niego teraz wypadła kolej wręczenia daru. Wyciągnął z kieszeni długi sznur paciorków, na którego widok Indianka odłożyła niemowlę i podniosła się z ziemi. Ale mąż jej wziął już paciorki i oglądał je dokładnie, obmacując palcami każdą błyszczącą kulczkę. Kobieta z westchnieniem usiadła z powrotem na skrzyżowanych nogach i podjąwszy niemowlę, które zaczęło popłakiwać, wetknęła mu znowu pierś w usta.

— Wyście tu przyszli od południowego wybrzeża i myślicie, że Hiszpanie o was nie wiedzą? — rzekł pogardliwie Indianin. — Na pewno ścigają was. I niech was pozabijają, nie mnie. Lepiej się stąd wynoście i to prędko. Niech was zarzynają gdzie indziej, nie na mojej polanie.

Dampier wyciągnął na światło dzienne siekiere, Gopson — młot. Indianin przyjmował wszystko z niewzruszoną powagą, oglądał starannie i ostrożnie odkładał za siebie. Ale zdania nie zmieniał.

— Mówisz bardzo dobrze po hiszpańsku — powiedział Gopson. — To dowodzi, że Europejczycy nie są tobie obcy. Nie chcesz chyba patrzeć, jak nas będą zabijali. Pomóż nam w naszej sprawie, a damy ci złotych pieniędzy.

Oczy Indianina zabłysły na wzmiankę o złocie. Ale odrzekł:

— Nauczyłem się od białych, że niczyje życie nie ma wartości, prócz mego własnego.

Vasco powstrzymał uśmiech. Reszta kompanii, czekająca w pewnym oddaleniu, zaczynała się niecierpliwić i podchodzić coraz bliżej do chaty. Pomrukiwali groźnie, aż John Cook zaczął ich uspokajać i zawracać.

— Byłoby to bardzo niegościnnie z twojej strony, gdybyś nam nie pomógł — zaczął Dampier z innej beczki.

— Słusznie mówisz — rzekł szybko Indianin. — Dam wam przewodnika do Chepo\* albo do Santa Maria. Nie powiecie, że nie chcę dla was nic uczynić. Gdzie są pieniądze?

Dampier i Gopson wiedzieli, że w obydwóch tych miejscowościach znajdują się silne hiszpańskie garnizony. W dodatku, idąc w stronę tych miast oddaliliby się od północnego wybrzeża, zamiast przybliżać. Trudno było o wyraźniejszą wskazówkę, że Indianin nie jest bynajmniej przyjaźnie do nich usposobiony.

Położenie bukanierów zdawało się bez wyjścia. Poprzedniego dnia, drugiego dnia ich wyprawy, znaleźli osadę indiańską w dolinie i tam zasięgnęli wiadomości, że paru Indian z tejże wioski udało się właśnie do ujścia rzeki Congo, gdzie stał okręt hiszpański, od którego bukanierzy uciekli. Indianie ci powrócili w ciągu paru godzin. Jasne było więc, że uciekinierzy niewiele oddalili się od Hiszpanów. Toteż potrzebowali koniecznie przewodnika. Kupili od Indian drób, dzikie świnię — zwane pekari: ciemnoszare w białe pasy — trochę ziemniaków i bananów i najedli się do syta, popijając to wszystko trunkiem indiańskim wyrabianym ze sfermentowanego ziarna, zwanym czicza, o smaku podobnym do piwa, lecz dużo od piwa mocniejszym. Po uczcie, w której wzięło udział paru Indian z wioski, jeden z nich, w przychylniejszym nastroju pod wpływem cziczi, podjął się zaprowadzić bukanierów do chaty Indianina, który mówił dobrze po hiszpańsku i znał — jak głosiła fama — wszystkie przejścia w puszczy. Przed tą chatą teraz się znaleźli.

Gdy pertraktacje utknęły na martwym punkcie, Dampier i Gop-

---

\* Na mapie przedstawiającej trasę podróży bukanierów przez Przesmyk Panamski oznaczone jako Cheapo. Por. mapa 1. (*Przyp. red.*)

son pozostawili przed chatą gospodarza dalej rozpatrującego podarunki, które wcale nie zmiękczyły jego uporu, i wrócili do towarzyszy, aby się z nimi naradzić. Dzieciarnia trwożna ale ciekawa szła z dala za nimi.

— Zostawcie go mnie — nalegał Edmund Cooke. — Zaręczam, że Dawid i ja doprowadzimy go do rozumu bez straty czasu. — Mówiąc to, wyciągnął pistolet i zaczął go ładować.

— Odlóż to w tej chwili. — rozkazał spokojnie John — osiągniesz tyle, że wszyscy Indianie na całym przesmyku będą urządzali zasadzki na nas.

Tymczasem rudowłosa Patryk Hagan rozwinął tobołek, w którym niósł swój cenny dobytek. Z tobołka wyciągnął, śmiejąc się szeroko całą ogorzałą twarzą, niebieską spódniczkę.

— Najważniejsza rzecz przekonać kobietę — rzekł. — Chodźcie ze mną, wy dwaj. — Poprowadził Dampiera i Gopsona z powrotem przed chatę, a stanawszy, przyłożył szeroką fałdzistą spódniczkę do własnych bioder.

Indianka spojrzała, odrzuciła ssące niemowlę takim ruchem jakby odganiała muchę, odstawiła kukurydzę i podniosła się z ziemi. Hagan cofnął się nieco i nadal przytrzymując na sobie spódniczkę zaczął tańczyć niczym baletnica. Bukanierzy pod lasem wybuchnęli śmiechem. Indianin skoczył z wyciągniętą ręką, ale spóźnił się: jego połowica choć otyła i na pozór przyciężka, wyprzedziła go. Hagan w mgnieniu oka zarzucił spódniczkę przez jej głowę i ramiona i zapiął ją z tyłu z wprawą, która świadczyła, że nie marnował czasu z dziewczętami w portach.

Irlandzka pomysłowość i spódniczka koloru nieba zwyciężyły Indianina. Jego żona podbiegła do niego unosząc zgrabnie spódniczkę nad ciemnymi, bosymi stopami, po czym wsparłszy się pod boki, zalała go istnym potokiem słów. Mążzonek rozłożył desperacko ręce i kulejąc schował się do wnętrza chaty ścigany wymyślaniami Indianki.

Bukanierzy u skraju polany pękali ze śmiechu, nawet Indianie, z Vasco na czele, przyłączyli się do ogólnej wesołości. Szeroko uśmiechnięty Irlandczyk otrzepał palce i rozłożył szeroko dłonie gestem, który miał znaczyć:

— Zrobione!

Dampier i Gopson, których dyplomatyczny kunszt zawiódł, śmieli się tak serdecznie, że ledwie mogli wykrztusić:

— Niech cię kule biją, Pat! Górą Irlandia!

Indianin wylażł wreszcie z chaty z dosyć głupią miną i w towarzystwie żony w błękitnej spódniczce. Kobieta podniosła wrzeszczące niemowlę, zręcznie uniosła spódniczki i wśród powodzi fałdzistego jedwabiu siadła na dawnym miejscu.

— Znam drogę do północnego wybrzeża — przyznał Indianin.  
— Ale mówiliście o złocie?

Dampier wyjął garść dublonów. Błękitna spódniczka podziała istotnie czarodziejsko. Wydawało się, jakby błękit nieba zaświecił po burzy. Indianin wytłumaczył, że on sam z powodu zranionej nogi nie będzie mógł pójść z nimi, ale da im mówiącego po hiszpańsku przewodnika, który zaprowadzi ich o dwa dni drogi i odda w ręce następnego. Poradził nie dawać przewodnikowi pieniędzy: topór będzie wystarczającą zapłatą. Potem, zupełnie już przyjaźnie, Indianin opowiedział im, że znał bukanierów, którzy zawsze go traktowali przyzwoicie, dawali mu odzież i proch. Chętnie się teraz odwzajemni, tylko w pierwszej chwili obawiał się Hiszpanów. Ale jego żona przekonała go, że nic im ze strony Hiszpanów nie grozi, więc teraz wszystko będzie dobrze.

— Oj! — rzekł Dampier do Indianina Vasco — jeśli jego żona nie schowa tej spódniczki, to będzie im groziło od Hiszpanów większe niebezpieczeństwo niż kiedykolwiek.

— Nie bójcie się, panie. Ona ją zakopie, jak skarb, gdy tylko posłyszycie o zbliżaniu się obcych — uspokoił go Vasco.

Tego wieczoru Dampier zapisał w swoim dzienniku:

»Chromy Indianin zatrzymywał nas i ugaszczać chciał przez cały dzień, jako że lunął rześisty deszcz. Ale nie mogliśmy zwlekać. Przeszliśmy jeszcze trzy mile, zanim roztasowaliśmy się na nocleg.«

Przez dwa dni przebijali się przez gęstwinę, z każdym krokiem zdając sobie lepiej sprawę, iż gdyby nie Indianie, ugrzęźliby w tej puszczy bez ratunku. Nie było żadnych dróg, a przewodnicy kierowali się tylko biegiem strumieni, które obcym przybyszom wy-

dawały się wszystkie jednakie. Wycinali sobie nożami drogę przez gęste podszycie, wyrąbywali przejścia siekierami, brnęli przez błoto aż po pas, wspinali się po oślizłych pagórkach, leźli na czworakach, padali, podnosili się i szli, szli uparcie, bez ustanku. Niewolnicy murzyńscy nieśli najcięższe pakunki, ale każdy z białych dźwigał własny dobytek, z którym nie rozstałby się nawet pod grozą śmierci.

Pierwszego dnia przeszli dwanaście mil, ale musieli się zatrzymać przed wieczorem z powodu ulewnego deszczu. Niektórzy z bukanierów, między innymi Ryszard Gopson, byli ledwie żywi z wyczerpania. Nie można było rozpaścić ognia, aby osuszyć przemoczoną odzież — a w ciągu dnia przeprawiali się trzydzieści razy w bród przez strumienie i rzeczulki — ani ugotować gorącego posiłku. Gdy pokładli się wreszcie pod osłoną naprędcie skleconych szałasów, grunt pod nimi ugiął się, przesiąkał wodą i bulgotał podziemnymi gazami. Twarze im popuchły od ukąszeń owadów tak, że z trudem otwierali oczy, skóra na całym ciele swędziała z powodu drobniutkich kleszczy, które ich oblażyły. Ale najgorzej dokuczał im głód. Edmund Cooke, Dawid Green i paru ich kamratów nieustannie narzekali i dowodzili, że lepiej by było wpaść w ręce Hiszpanów, niż dać się zjeść żywcem złośliwym insektom w tej diabelskiej puszczy.

O świcie powlekli się znowu naprzód. Przebywali wpływ niezliczone rzeki, i strumienie, czasem brodząc aż po pas, w najlepszym razie grzęznąc w błocie. Powrót oznaczałby wydanie się w ręce Hiszpanów. Pozostanie na jednym miejscu było jednoznaczne ze śmiercią z głodu, febry lub od ukąszeń owadów czy płazów. Pozostawała tylko jedna droga: naprzód. A jeśli który miał paść po drodze, żywił tylko nadzieję, że śmierć nie każe długo na siebie czekać.

Po siedmiu milach drogi wyszli nagle, bez żadnego pośredniego przejścia, z dżungli na jasną przestrzeń suchej prerii, dzikiej i malowniczej. Przewodnik, przystanąwszy na skraju zarośli, dramatycznym gestem brunatnych ramion wskazał uśmiechniętą krainę na dowód, że oto nie zawiódł ich i że niesłusznie narzekali na niego bez przerwy i oskarżali go, że nie zna drogi. Wzrok sięgał daleko. Na wpół ukryta wśród palm i drzew mahoniowych widniała wioska indiańska o strzechach poszytych liśćmi.

Za bukanierami w dżungli rozległy się dwa wystrzały muszkietowe.

— Chryste! Dogonili nas! — wrzasnął Edmund Cooke.

A choć niedawno dowodził głośno, że chciałby dostać się w ręce Hiszpanów, teraz wziął nogi za pas i umykał co tchu w stronę wioski. W ślad za nim biegł Dawid Green podtrzymując złamane ramię i wołając:

— Zaczekaj na mnie, ty podwójny zdrajco! Zaczekaj albo ci strzelę prosto w plecy!

Cooke zatrzymał się i odwrócił z pistoletem wymierzonym w kamrata, którego pogrożki wołał uprzedzić. Zarazem wszakże dostrzegł powód swej przedwczesnej paniki. Z zarośli na skraju dżungli wynurzył się jasnowłosy Holender, Ned Daws, ciągnąc za sobą świeżo ustrzeloną, tłustą małpę. Za nim szedł John Hingson objuczony podobnym łupem.

## Rozdział V

### O NIESZCZĘŚLIWYCH WYPADKACH

Młody Indianin, do którego posłał bukanierów mąż rozpromienionej właścicielki spódniczki koloru nieba, był przez kilka lat na służbie biskupa Panamy, mówił więc nieźle po hiszpańsku. Przyjął ich dobrodusznie, zaopatrzył w słodkie bulwy i kartofle, poczęstował mocną cziczą i przyrzekł nazajutrz dostarczyć przewodników. Bukanierzy rozpalili ogromne ognisko, wysuszyli odzież i upiekli ustrzelone małpy. Najdelikatniejsze kawałki pieczeni razem z kupionymi w wiosce jajami oddano chorym. Dampier w rozmowie z gospodarzem dowiedział się, że przepływająca w pobliżu rzeka spławna aż do morza — to Congo. Znaczyło to, że gdyby nie hiszpański okręt pilnujący ujścia rzeki, bukanierzy dopłynęliby tutaj łodziami i zaoszczędziliby sobie utrudzeń i znojów dotychczasowego marszu.

— Tak, ale to znaczy również, że Hiszpanie mogliby aż dotąd dotrzeć łatwo i szybko na łodziach — wmieszał się do rozmowy



Gopson, cokolwiek wzmocniony posiłkiem i przebrany w suchą odzież.

— Jeśli do dziś tu nie przyplłynęli, to możecie spać spokojnie — odparł Indianin. — Nie ścigają was. Hiszpanie nie zapuszczają się nigdy w głąb lądu dalej niż do naszej wsi.

— Ale przypuścimy, że przyszliby tu już po naszym odejściu i odkryli, że wyście nas ugościli i pomogli nam? — zapytał niespokojnie Dampier.

Przystojną, pociągłą twarz Indianina rozjaśnił przebłysk uśmiechu.

— Rozstawiliśmy naszych ludzi na czatach w dżungli wzdłuż całej rzeki — rzekł. — Gdyby Hiszpanie nadplłynęli w pościgu za wami, będziemy o tym wiedzieć w porę. Każę wtedy spalić te dwie stare chaty na skraju naszej wioski, wykopujemy parę niby to świeżych mogił, kilku naszych mężczyzn zrani się nieszkodliwie nożami. Ja sam położę się z głową owiązaną skrwawionymi szmatami, dziewczęta będą się zaklinały, że je zgwałcono. Winę za to wszystko na was się zwali. Hiszpanie będą nam współczuli i zostawią nam pieniądze i odzież na pociechę. — Podniósł znacząco jedną brew do góry, którego to zwyczaju nauczył się od zacnego biskupa, swego dawnego pana.

— Spodziewam się, że nie dojdzie do tego — powiedział John Cook.

— I ja tak sędzę — odrzekł Indianin. — U nas mówi się: kiedy chcesz ścigać, wysforuj się naprzód. Hiszpanie...

Przerwał mu niespodziewany huk detonacji. Ostry blask płomienia przeciął blade, wilgotne światło dzienne, jak stal przecina ołów. Lionel Wafer padł na ziemię zgięty we dwoje, kurczowo chwytając się za nogę. Indianin pomknął do niego szybkimi i cichymi ruchami leśnego zwierza. Zanim Dampier, Gopson i Cook dopadli do krzyczącego, hałasującego zbiegowiska, młody Indianin klęczał już przy Waferze i łagodnie odsuwał jego ręce od zranionej nogi.

— To z winy Gayneya! — wołał Edmund Cooke.

— Jeśli już musisz kogoś zranić, to nie wybieraj medykusa! Nie mamy innego, a moje przekłete ramię jeszcze nie wyleczone — złościł się Dawid Green, mimo woli zwracając swoje jedyne

oko w stronę brązowoskórej, smukłej a muskularnej postaci. — Gnoi się i gnoi bez końca. Ten indiański diabeł musiał rzucić jakiś urok — warknął na Vasco, jak zły pies.

— Słuchaj, Vasco, przynieś moją skrzynkę z lekarstwami — wykrztusił Wafer z twarzą ściągniętą bólem. — A wy poniechajcie Gayneya. Nie zrobił tego naumyślnie.

Jego prawe kolano było czarne od spalenizny, a udo czerwone, pokryte szybko tworzącymi się bąblami.

Gayney, prostoduszny wesołek, jeden z najpocziwszych w całej kompanii, stał oszołomiony i zrozpaczony.

— Sam nie wiem, jak to się stało! — łamał ręce i tłumaczył Johnowi Cook. — Ale to moja wina! Całkiem na pewno moja! Własną ręką to zrobiłem!

— Opowiedz, co zaszło — rzekł John Cook, a głos jego zabrzmiał dziwnie spokojnie na tle rozkrzyczanych, przeklinających bukanierów.

— Suszyłem przemoczony proch na tym srebrnym talerzu — Gayney wskazał na szerniały krąg metalu, który odrzucił zbyt późno. — I taki ze mnie dureń, że paliłem przy tym fajkę. Jedna iskierka i ot! — rozłożył ręce żalonym gestem.

Vasco biegł dźwigając podręczny kuferek Wafera z lekarstwami. Młody gospodarz indiański zaofiarował się opatrzeć ranę, ale cyrulik odtrącił zdecydowanie jego pomoc.

— Cierpi więcej, niż nam pozwala odgadnąć — powiedział cicho Dampier do Johna Cooka. — Co za wytrzymałość w tym wątłym ciele! Ten pochód kosztuje go dziesięć razy więcej wysiłku niż każdego z nas. Ale nigdy się nie poskarży.

John Cook miał posępną twarz. Dosłyszał już uwagi, które przyciszonym głosem wymieniali bukanierzy z dala od Wafera:

— Nie będzie mógł iść... — Najlepiej, żeby został w wiosce...

— Nie wolno nikogo zostawić żywego. Wszyscyśmy się na to zgodzili. Gdyby go Hiszpanie przyłapali...

— Pociągniemy losy, kto z nas będzie musiał to zrobić...

— Gayney spowodował cały ten kłopot, niech on to weźmie na siebie...

— Jeśli tak być musi, Wafer sam to zrobi. Znam go... Otworzy sobie żyłę...

— Powinniśmy zrobić nosze i ponieść. To jedyny lekarz, jakiego mamy. Żaden z nas nie wie, kiedy będzie jego pomocy potrzebował.

Cook rozkazał bukanierom, aby się zabrali do budowy szałasów na nocleg. Nie chciał, by ich Wafer przypadkiem dosłyszał. O zmroku wszedł do szałasów medyka i zapytał bez ogródek, czy sądzi, że będzie w stanie nazajutrz pójść w dalszą drogę.

— Powiem ci, kiedy czas nadejdzie — odrzekł Wafer z uśmiechem. Twarz miał już spokojniejszą, bez tego wyrazu nadludzkiego napięcia. — Nie będę wam ciężarem ani też nie dorzucę nowego kłopotu na twoje barki, John.

Cook pochylił się nad nim i przewiercił go swym przenikliwym; spojrzeniem.

— Nie próbuj tylko sam niczego — ostrzegł. — Wyciągniemy cię z biedy. — I wyszedł.

Ale nim zasiadł nad Biblią w swoim szałasie, wziął na stronę Dampiera i kazał mu czuwać przy Waferze, aby nie dopuścić do jakiegoś desperackiego postępu.

— Nie bój się — uspokoił go Dampier. — Nie spuścimy z niego oka, Vasco i ja.

Rankiem nikt o nic nie pytał. Dampier bacznie spoglądał na towarzysza, ale Wafer wstał i kuśtykał nie wspominając w ogóle o swojej nodze. Obóz ledwie się budził do życia, gdy John Cook i Gayney już się zjawili u wejścia do szałasów.

— Daj mi twój kuferek z lekarstwami — rzekł krótko Cook. — Pozmieniałem ładunki niewolników. Jeden z nich będzie mógł ponieść kuferek.

— A ja wezmę twoje osobiste rzeczy — nalegał Gayney.

Uwolniony od pakunków Wafer ruszył razem z innymi. I okazało się, że to nie on nie mógł nadążyć. Dwaj bukanierzy: Robert Spratlin i William Bowman, którzy dostali febry w wilgotnej dżungli, odłączyli się od pochodu i pozostali. Nie zauważono ich braku aż do następnego postoju, gdyż szli znowu przez gęste podszycie leśne i każdy miał pełne ręce roboty. Przeprowadzając się przez rzeki najwyżsi i najsilniejsi przynosili słabszych, podając ich jeden drugiemu. Ostatnio spadły takie ulewy, iż każdy strumyk wezbrał i wystąpił z brzegów. Czasem w ciągu nocy woda

podchodziła do szałasów wzniesionych wieczorem na suchym miejscu i zmuszała bukanierów do ucieczki. Chronili się na suchsze kępy, pod drzewa, gdzie nie byłoby nawet najgorzej, gdyby pogoda sprzyjała. Ale przeważnie lało bez ustanku, błyskawice rozdzierały niebo, a długotrwałe grzmoty wstrząsały dżunglą.

W tych warunkach przytrafiła się Waferowi druga niemiła przygoda. Bukanierom nie groził już pościg ze strony Hiszpanów, a wyczerpani trudami pochodu przestali dbać nawet o zachowanie środków ostrożności na postojach. Niewolnicy skorzystali ze sposobności i pewnej nocy, gdy nie wystawiono straży, uciekli zabierając ze sobą resztę zapasu mąki a co gorsza — skrzynkę z lekarstwami. Wafer nie mógł opatrywać swojej rany. Od tej pory stan jego pogarszał się z każdym prawie krokiem, a i inni nie mogli korzystać z maści, leków i opatrunków, którymi medyk z kobietą prawie tkliwością łagodził ich dokuczliwe cierpienia wywołane skaleczeniami, ukąszeniami, startą na stopach skórą.

Następnego dnia po ucieczce Murzynów bukanierzy doszli do rzeki zbyt głębokiej, aby można ją było przejść w bród. Wysokie brzegi utrudniały dostęp, tylko w paru miejscach znaleźli płytkie zatoczki, gdzie można było stanąć na piasku. Przepłynięcie wzburzonej, bystrej wody było trudne nawet bez ciężaru, a przeniesienie ładunków i chorych — nie do pomyslenia. Bukanierzy zebrali się na brzegu na naradę, co znaczyło, że wszyscy mówili i hałasowali jednocześnie.

— Lina! To jedyny sposób! — przekrzyczył innych Ambroży Cowley.

— To by było nieźle — zgodził się Holender Daws pocierając uda rękoma. — Będziemy mogli najpierw ciągnąć ładunki, a potem każdy z nas się przeprawi po kolei.

— Dobrze, ale kto przeniesie na tamten brzeg linę? — zapytał John Cook, zawsze praktyczny. — Ja wam tu nie pomogę. Nie umiem pływać.

— Ja! — zawołał Patryk Hagan, o twarzy tak napuchłej od ukąszeń owadów, że trudno było rozróżnić jego rysy.

— Ja, ja pójdę! — wołał John Hingson.

Gayney już zawiązywał sobie linę pod ramionami.

— Pływam lepiej od któregokolwiek z was — rzekł. — Gdy-

bym chciał się dostać do Anglii, nawet by mnie Atlantyk nie przestraszył. Hej, weź no koniec tej liny i luzuj! — rzucił linę Nedowi.

W chwilę później nurknął w burzliwy wir. Cały swój własny i Wafera dobytek miał nadal umocowany na plecach. Zniosło go z prądem, ale posuwał się też i w stronę przeciwnego brzegu, aż minął środek rzeki. Zmacawszy mieliznę pod stopami, przystanął i rozejrzał się. Musiał teraz płynąć pod prąd, by nadrobić stracony kawałek drogi. Ned Daws trzymał linę, która pływała na wodzie. Widząc, do czego Gayney zmierza, ściągnął linę, a w tej samej chwili Gayney skoczył w wodę i prąd porwał go z wielką siłą. Lina zacisnęła się, powstrzymała pływaka i przewróciła go na plecy.

Na brzegu wybuchła panika.

— Zluzuj linę! — krzyknął John Cook.

— Czy ty chcesz go utopić? — wołał inny.

Gayney rzucał się bezładnie po wodzie, gwałtowny prąd unosił go, przewracał i kręcił nim niby korkiem. Ciężar na jego plecach udaremniał wszelkie wysiłki.

— O Boże! On tonie...

— Najlepszy pływak ze wszystkich...

— Rzucić linę. Może sam sobie poradzi!

Ned Daws rzucił linę, jak mu kazano i uklękawszy zaczął się w głos modlić, by nie spadła nań wina za śmierć towarzysza.

Jego prośba nie została wysłuchana. Gayney znikł pod wodą, wypłynął o sto jardów niżej, potem znowu poszedł pod wodę i już go więcej nie widziano. W milczeniu bukanierzy zabrali się do ścinania drzewa, by rzucić pomost przez rzekę.

— Dużo miał twoich pieniędzy? — spytał cyrulika Dampier.

— Trzysta dolarów — brzmiała odpowiedź.

Tragiczny dzień zakończył się nieco pogodniej, gdy po przebyciu rzeki wyprawa dotarła do szerokiej doliny, najżyźniejszej jaką do tej pory napotkali. Drzewa rosły tu z rzadka, ale tak olbrzymie jakich Dampier nigdzie nie widywał. Na ziemi widniały liczne ślady dzikich świń, zwanych pekari. W dolinie przewodnik powierzył ich Indianinowi z pobliskiej wioski, gdzie też zaopatrzyli się w jamsy i banany.

W tej zacisznej wiosce w dolinie pozostawili następnego dnia wycieńczonego febrą Ryszarda Gopsona i cyrulika Wafera, któremu noga sprawiała dokuczliwy ból. Znikła już obawa pościgu, nie było ryzyka, że maruderzy dostaną się do niewoli. Nie odnaleziono tych dwóch, którzy poprzednio odłączyli się w czasie marszu, więc liczba bukanierów po utonięciu Gayneya zmniejszyła się o pięciu ludzi. Jako szósty został poczciwy John Hingson, który podjął się zaopiekować dwoma chorymi i doprowadzić ich szczęśliwie do oceanu.

Wyprawa pogrążyła się w wilgotną posępną dżunglę. Pot zlewający ciała bukanierów mieszał się ze strumieniami deszczu tak, iż zawsze przemoczeni byli do nitki. Któregoś dnia przeszli tylko dwie mile wycinając sobie każdy krok w gęstwinie lian i leśnego podszycia. Nowi przewodnicy poprowadzili ich na wschód, a gdy Dampier, doświadczony nawigator, pokazał im na kompasie kierunek północny, którego — jego zdaniem — powinni się trzymać, Indianie potrząsali tylko głowami, mówiąc, że to śliczne cacko, lecz bezużyteczne.

Od chwili ucieczki niewolników nie mieli ze sobą żywności. Gdy Dampier zabił »ptaka wielkości indyka zwanego kwaum« oddał go przewodnikom, którzy zaczęli już narzekać na głód i grozić, że wrócą do wsi. Dwaj przewodnicy oskubali ptaka do czysta, a bukanierzy musieli się zadowolić wieczerzą z leśnych jagód. Gdyby nie dziennik, Dampier straciłby bez wątpienia rachubę czasu.

Szesnastego dnia wyprawy — była to niedziela — lepiej im się poszczęściło, gdyż napotkali stado małp i zabili cztery tłuste sztuki. Ponieważ przed rozpoczęciem dziennego marszu John Cook odprawił rodzaj nabożeństwa czytając na głos swoją Biblię, więc niektórzy z bukanierów uznali opatrnościowe małpy jako nagrodę za pobożność. Ale jeszcze ważniejsze było to, że wydostali się poza obszar nieustannych deszczów, co zapewne uratowało im życie, choć nie zdawali sobie z tego sprawy. Dampier tego wieczoru notował w swoim diariuszu, niesionym we wnętrzu zapieczętowanego woskiem bambusa:

»Nie ma człowieka wśród nas, który by nie życzył sobie gorąco końca tej wyprawy. Nasze stopy pokryte są pęcherzami, a całe

nogi łuszczą się od ciągłego brodzenia w wodzie. Droga wiodła przez niezliczone rzeki i leśne bezdroża.«

Dziewiętnastego dnia przewodnicy zabłądzili i wyprawa kołowała w beznadziejnym zamieszaniu. Następnego ranka przygnębieni bukanierzy leżeli długo w swych szałasach i w ogóle nie chcieli ruszyć w drogę. Gdy wreszcie zaczęli się zbierać, okazało się, że nie ma Dawida Greena. Jeden z indiańskich przewodników powiedział, że Dawid Green przyszedł do niego o świcie i zapytał, którędy pójdą w dalszą drogę. Poprzedniego wieczoru odnaleziono drogę, więc przewodnik doprowadził Greena, a wskazawszy kierunek wrócił do siebie. Zanim wszakże wszczęto poszukiwania, Green znalazł się w obozowisku i zerkając chytrze jednym okiem, witał wszystkich przypochlebnym tonem.

— Śpiochy z was — pokpiwał. — Już myślałem, że w ogóle dziś nie wstaniecie. A ja poszedłem na mały spacerok poranny, żeby poszukać bananów na śniadanie albo puknąć sobie do jakiejś małpki.

Dźwignął swój tobół na plecy i oświadczył, że chciałby iść za Dampierem. Vasco, jak zwykle, szedł na czele pochodu. Przewodnicy poszli już wcześniej, a wyprawa miała iść wzdłuż rzeki i nie było obawy zmylenia drogi. O dwie mile dalej mieli się spotkać z przewodnikami.

Ledwie jednak bukanierzy uszli pół mili od miejsca noclegu, gdy Vasco stąpając lekko, jak kot, nagle uskoczył w tył. Padł na Dampiera i przewrócili się razem na ziemię. Jednocześnie rozległ się trzask i zgrzyt łamanych gałęzi. Nim Dampier pozbierał się z ziemi, już Vasco i inni Indianie z wyprawy zdzierali cienkie gałęzie i liście okrywające głęboki dół.

— Co się stało? O, do czarta! Toć to pułapka! — To Green mówił. — Kto by pomyślał, że natkniemy się tutaj na taką rzecz. Musieli ją krajowcy wykopać, by upolować jakiego zwierza.

— Nikomu nic się nie stało — orzekł John Cook podszedłszy bliżej. — Ruszamy dalej.

Las był tu rzadszy, wysokopienny, prawie bez podszycia. Dampier szedł obok Vasco.

— Krajowcy mogli dół wykopać — powiedział młody India-

nin. — Ale żaden Indianin nigdy by tak niezdarnie nie przykrył dołu.

Zapomniano o incydencie, gdy wydostawszy się znowu z lasu bukanierzy minęli parę wysokich wzgórz i wreszcie dojrzeliz dała Morze Karaibskie. Było to dwudziestego drugiego dnia wyprawy, w ciągu której przeszli sto dziesięć mil przez jedną z najtrudniejszych do przebycia dżungli na świecie. Przemierzylidwakroć dłuższą drogę, niż wynosiła odległość w prostej linii między początkiem a końcem ich marszu.\*

Gdy wyprawa Johna Cooka — zmniejszona o pięciu niewolników i sześciu Europejczyków — ruszyła w ostatni etap podróży do oceanu, ludzie byli w opłakanym stanie. Każdy prawie kulał czy utykał, wielu cierpiało na febrę, wszyscy byli pokryci ropiejącymi skaleczeniami i pęcherzami. Odzież wisiała na nich w strzępach. Ale dokonali czegoś, co miało zapewnić im sławę wśród piratów i korsarzy Nowego Świata, a teraz wracali do życia na morzu, co było ich żywiołem.

I znowu Dawid Green się gdzieś zapodział. Tym razem nikt nic o nim nie wiedział. John Cook wypytywał o niego Indian, a Edmund warcząc i grożąc próbował z nich wymusić jakąś odpowiedź. Ale czerwonoskórzy potrząsali głowami w doskonałej obojętności, nie chcieli zrozumieć ani jednego pytania i spokojnie zajmowali się swoimi sprawami. Był to ostatni dzień marszu. Wyprawa ruszyła w drogę, a Greena nie było. Brakło więc siedmiu Europejczyków. Dampier poprowadził pochód po rozległej plantacji bananów. Szli między pniami tych drzew, a właściwie nie pniami, lecz stwardniałymi liśćmi, zachodzącymi jeden na drugi do wysokości niekiedy dwudziestu stóp, gdzie wreszcie rozchodziły się w szeroką koronę drzewa. John Cook podszedł do czoła pochodu i bez ogródek zapytał Vasco:

— Czy twoi współplemieńcy sprzątnęli Dawida Greena?

Vasco wzruszył ramionami.

— Jeżeli oni mają własne poglądy — rzekł — na to, kto jest pomocą w wyprawie, a kto jej zagraża — to ich rzecz.

---

\* Patrz mapki 1 i 1a



## Rozdział VI

### PIRACKIE ZABOBONY

Dotarłszy do Morza Karaibskiego, Dampier z nieodłącznym Vasco i kilku innymi uczestnikami przeprawy przez międzymorze zaciągnęli się na statek niejakiego kapitana Wrighta, z którym mieli pozostać aż do połowy roku 1682. Włóczyli się od portu do portu przy wybrzeżach Nikaragui i Panamy, rzucali kotwicę przy niezliczonych wyspach, rozsianych wzdłuż północnych wybrzeży Południowej Ameryki, od Wysp Perłowych, zwanych dziś Archipelagiem Perłowym, aż po Wyspy Zawietrzne.

Pijatyki, kłótnie i bójki pięćdziesięcioosobowej załogi statku kapitana Wrighta nie raziły Dampiera. Nie widział też nic niezwykłego w napaściach na stateczki z ładunkami trzciny cukrowej, ziarn kakaowych i skór. W jego oczach była to wyprawa spokojna, raczej nudna, choć z punktu widzenia dzisiejszych marynarzy nie brakło tam przygód i wstrząsających zdarzeń.

Gdyby marynarz z dzisiejszego okrętu został niespodziewanie przeniesiony w tamte czasy, na pokład ówczesnego statku, przekonałby się osobiście jak kruchej łupinie powierzano wówczas swoje życie. Niespodzianką byłby dla niego pierwszy nocleg, który by musiał spędzić na twardych deskach pokładu, czasem z plecioną matą zamiast poduszki pod głową, rzadko kiedy pod kocem. Dalszą niespodzianką byłby posiłek z solonego mięsa twardego jak drewno. Ale najgorszy wstrząs przeżyłby przy zapoznawaniu się z nawigacją.

Korsarze posiadali zazwyczaj wszelkie znane podówczas pomoce nawigacyjne, ale sztuka żeglarska nie posunęła się wiele naprzód od czasów Kolumba. Wright opuścił Anglię jako kapitan małego statku handlowego, lecz załoga zmusiła go — pod grozą powieszenia na rei — do zajęcia się piractwem, które mu zresztą przypadło do gustu. Jego zwykła nerwowość zniknęła w mgnieniu oka, gdy tylko przez lunetę dostrzegł możliwy łup na horyzoncie. W ciągu swych różnorodnych przygód na Morzu Karaibskim pilnował instrumentów żeglarskich jak oka w głowie.

Ale nasz współczesny marynarz, stanąwszy na rufówce obok kapitana Wrighta i Dampiera, zamierzając określić położenie stat-

ku stwierdziłby przede wszystkim, że nie ma sekstantu. Do określenia szerokości geograficznej służyłoby mu jedynie astrolabium. Do określenia długości geograficznej nie miałby żadnych instrumentów w ogóle. Musiałby określić położenie statku na mapie na podstawie zliczenia nawigacyjnego z uwzględnieniem znosu i poprawek kompasowych. Ustalanie szybkości statku odbywało się za pomocą wyrzucenia za burtę kawałka drewna, umocowanego na lince z węzłami. Obliczało się szybkość na podstawie liczby węzłów na wyluzowanej lince przychepionej do drewnianego kwadranta; były ponadto drewniane ekierki i kompas magnetyczny. W wolnym czasie sporządzano nowy kwadrant własnym przemyśleniem, by zastąpić urwany lub zniszczony.

Jako jedyny rocznik astronomiczny i locja służyła prymitywna książka Wagenera pod tytułem: „Speculum nauticum”. Zawarte w niej informacje o wybrzeżach, prądach i mieliznach były bardzo niedokładne. Każdy doświadczony nawigator sporządzał własną locję. Autorami takich locji byli również Dampier i jego dawniejszy druh okrętowy, włochaty olbrzym Bazyli Ringrose. Na mapach tylko z grubsza naszkicowano linię wybrzeży, nie bawiąc się w szczegóły.

Wobec takiego wyposażenia nawigacyjnego bukanierzy, jak i inni żeglarze owych czasów, musieli czuwać nieustannie. Karano najsurowiej każdego, kto nie dość czujnie sprawował wachtę. Musieli też polegać na własnym doświadczeniu i instynkcie żeglarskim w stopniu znacznie większym, niż możemy to pojąć dzisiaj, gdy mamy do pomocy sprawne przyrządy i cały aparat wiedzy nawigacyjnej. Jeśliby można zaryzykować twierdzenie, że byli oni lepszymi żeglarzami od nawigatorów i pilotów naszych czasów, to nie dlatego, aby ujmować zasługi i wiedzy współczesnym marynarzom, ale by podkreślić, jak powinniśmy podziwiać tych ludzi, którzy przed trzystu blisko laty przemierzali Atlantyk i Pacyfik na swych wątych i prymitywnych statkach.

Nic więc dziwnego, że przy tak skąpej pomocy ze strony nauki do walki z żywiołem żeglarze ówcześni byli głęboko przesądni i chętnie wierzyli we wszelkie złe czy dobre przepowiednie.

Pewnego razu w czasie burzy na masztach pokazały się tańczące płomyki, jak światła świec, zwane ogniami świętego Elma. Wiemy dziś, że zjawisko to powodują wyładowania nagromadzo-

nej w atmosferze elektryczności. Załoga statku Wrighta na ten widok padła na kolana śpiewając w głos litanie, gdyż płomyki poczytywano za widomy znak obecności i opieki patrona żeglarczy, świętego Erazma, zwanego też Elmem.

Kiedy indziej, gdy długie fale kołysały kapryśnie statkiem bukanierów, Edmund Cooke przyszedł do kapitana z naleganiem, by zmienić kurs. Twierdził, iż znajdują się w pobliżu zaczarowanej wyspy, która czasem wynurza się na powierzchnię morza, a czasem zapada w głąb.

— Patrzcie tylko, patrzcie! — wołał wskazując z przerażeniem na fontannę wody wytryskującą prostopadle w górę w oddali po nawietrznej. — Tę wodę wyrzucają potwory morskie, które są na wpół rybą, a na wpół kobietą. Zmień kurs, kapitanie. Bo inaczej wyspa się uniesie pod nami, a nasz kil ugrzęźnie w błocie tak gęstym jak klej, a potem wciągnie nas pod wodę i pochłonie!

Kapitan Wright zakłopotał się poważnie. Tylko Dampier, zawsze rzeczowy, nie stracił humoru.

— Dostać się na tamtym świecie wprost w objęcia pięknych syren, to by nie było tak źle, Edmundzie — rzekł.

— Nie pora na żarty, ty przekłety synu kudłatej owcy! — wybuchnął Edmund Cooke, wygrażając pięścią. — Zmieńcie kurs albo podburzę załogę, by wrzuciła do morza i ciebie, i kapitana Wrighta.

Patryk Hagan, w którego powolnym umyśle kłębiły się wspomnienia złośliwych elfów, wciągających ludzi w irlandzkie trzęsawiska, był mocno przejęty.

— Na świętego Patryka, zmieńmy kurs! — nalegał. — Po co wystawiać się na hazard?

Kapitan Wright nie mógł się jeszcze zdecydować. Vasco i inni Indianie na pokładzie rzucili się plackiem na deski, zakrywając głowy ramionami. Trzeba było ustąpić wobec przewagi zabobonu. Kurs zmieniono kierując się ku wybrzeżom Panamy.

I tu właśnie w sierpniu 1681 roku Dampier i Hagan odnaleźli szczęśliwym trafem dawnych przyjaciół, których nie spodziewali się już więcej zobaczyć przy życiu; przyjaciół, którzy musieli odłączyć się od wyprawy w czasie słynnego marszu bukanierów przez Przesmyk Panamski. Tu, przy wybrzeżu Panamy, odbyła się wielka i radosna uczta.

Nie wszyscy z tych, co przedzierali się razem przez podmokłe dzungle międzymorza, zasiedli w kajucie statku kapitana Wrighta. Zabrakło nie tylko George'a Gayneya, który utonął, i Dawida Greena, który zaginał bez wieści. Na północnym wybrzeżu wyprawa rozpadła się i każdy szukał szczęścia na własną rękę. Zabrakło więc również Johna Cooka i Ambrożego Cowleya, ale gdy Dampier, bawiąc się medalionem zawieszonym pod koszulą, rozglądał się dokoła, wzrok jego napotkał krępą postać kłótliwego Edmunda Cooke w nieuniknionym trójgraniastym kapeluszu; wysoką sylwetkę jasnowłosego Neda Dawsa, który sposepniał bardzo od czasu tragicznej katastrofy z Gayneyem; grubokościstego, płaskostopowego Johna Hingsona. „Łysek” Ryszard Gopson, wychudły i schorowany, przysiadł na koi, wspierając głowę na dłoni. Dalej siedzieli Robert Spratlin i William Bowman, ci dwaj maruderzy, którzy pierwsi odłączyli się od wyprawy. Obok wiecznie zakłopotanego kapitana Wrighta usadowiła się dziwaczna figura — niski, szczupły mężczyzna, którego pierś, widoczną spod rozchełstanej koszuli, twarz i ramiona pokrywały malowidła w kolorach czerwonych, niebieskich, żółtych i zielonych. Tylko oczy i rysy twarzy zdradzały Europejczyka.

Kapitan Wright odchrząknął i zaczął mówić. Dampier spojrzał jeszcze w głąb obszernej kabiny, gdzie na przeciwległej ścianie wisiało owalne, duże lustro w rzeźbionej i połączanej ramie. Odbite w zwierciadlanej tafli, ujęte w te pyszne ramy dziwacznie wyglądały surowe oblicza bukanierów i ich malownicze łachmany. I inne sprzęty były tu dziwnie nie na miejscu — czy też może bukanierzy byli nie na miejscu? W kącie wisiały potrójne rokokowe półeczki z filigranowymi balustradami, na podłodze walały się poduszki w ręcznie haftowane wzory, z falbankami z atlasu. A najdziwniejsze z dziwnych sprzętów stało pośrodku kabiny, przyśrubowane do podłogi — biblioteczne krzesło z poręczami i podstawą na książkę z tyłu, u szczytu oparcia; siadało się na takim krześle odwrotnie niż na normalnym, twarzą do oparcia. Szeroko rozstawiwszy nogi, oparłszy łokcie na wygodnych poręczach można było czytać rozłożoną na podstawce książkę i jednocześnie grać plecy przed ogniem kominka. Musiał mieć zamiłowanie do domowych wygod ów hiszpański kupiec i armator, który zajmował tę kabinę, zanim Wright, zdobywszy statek, nie wysadził go na bezludnej wyspie.

— Moi przyjaciele — zaczął kapitan Wright, odchrząknawszy nerwowo. — Nie byłem z wami w pamiętnym marszu przez Przesmyk Panamski. Z tego com słyszał, nie była to ekspedycja, jaką bym chciał przedsięwziąć. Ale rozumiem dobrze waszą radość z odnalezienia zaginionych druhów, których straciliście już nadzieję zobaczyć przy życiu. Fortuna im sprzyjała i w tym także, że przybyli do portu ostatniego dnia przed naszym odpłynięciem. Osądziłem więc, że musimy przygotować gorącego ponczu, by godnie uczcić powrót Ryszarda Gopsona, Johna Hingsona, Roberta Spratlina, Williama Bowmana, no i naszego fałszywego Indianina!

— Każda okazja dobra, żeby popić — mruknął Edmund Cooke, znacznie pokorniejszy od czasu zniknięcia swego kamrata, Dawida Greena. Spoglądał teraz na zawsze uśmiechniętego Vasco z respektem i zabobonną trwogą.

— Pierwszy toast — ciągnął kapitan Wright — wypijemy za pańskie zdrowie, doktorze Wafer, który tak zachwyciłeś swych indiańskich gospodarzy, iż gotowi byli czcić ciebie jak bożka. Kto pije pierwszy?

— Ja — wystąpił Patryk Hagan. — A ponieważ złożyłem ślubowanie, że nie będę pił więcej, jak trzy łyki mocnego trunku dziennie, więc pociągnę tylko trzy razy, ale solidnie. W twoje ręce, najzaciejszy z lekarzy! Oby święty Patryk i wszyscy irlandzcy święci — a jest ich ilość niebagatelna — opiekowali się tobą!

Z tymi słowy Patryk podniósł do ust wazę zawierającą sześć kwart gorącego ponczu. Śledziły go coraz bardziej wytrzeszczone oczy i otwierające się w podziwie usta bukanierów, zbyt zdumionych by protestować. Patryk z wolna przechylał głowę i wazę coraz bardziej w tył, wlewając w siebie trunek bez łykania, jednym jedynym pociągnięciem, aż do zupełnego opróżnienia wazy. Odjawszy wreszcie naczynie od ust, postawił je na stole i oparł się o niego ciężko. Potem zakręcił się nieprzytomnie w kółko, jednym machnięciem ramienia obalając na ziemię Gopsona, postąpił o krok i runął na ziemię jak długi, aż zadudniło. Rozłożył ręce i nogi, otworzył usta, powieki opadły mu na oczy. W chwilę później chrapał donośnie.

Wright spojrział żałośnie na pustą wazę.

— Z Irlandczykami zawsze tak — rzekł. — Nigdy nie wiedzą,

kiedy mają dosyć, w bójce czy pijatyce. Teraz będziemy siedzieć o suchym gardle, dopóki nie przyrządzą nowego ponczu.

Poszedł więc do kubryku, a Wafer przy pomocy Vasco zabrał się do ponownej, którejs tam z rzędu próby zmycia z twarzy i ciała kolorowych dowodów indiańskiej czci. Wydawało się jednak, że te malowidła zejda z niego chyba razem ze skórą. Opowiadał podczas tej czynności Dampierowi o swoich przygodach, których zaznał od czasu, gdy go pozostawiono w panamskiej dżungli.

Najpierw wyleczył Lacentrę, żonę naczelnika wsi, a potem jeszcze paru Indian i gdy w ten sposób wykazał się swoją umiejętnością, zaczęto go traktować ze czcią tak wielką, jakby był jakimś bożkiem. Wybudowano mu oddzielny dom, dorównujący rozmiarami i wyposażeniem chacie naczelnika. Indianie póty nalegali, aż zgodził się, by zdjęto zeń pozostałe jeszcze strzępy europejskiej odzieży i wymalowano go, co było największym ze strony Indian dowodem przyjaźni i czci. We wszelkie dostatki opływali również, jako świta lekarza cudotwórcy, Gopson i Hingson. Wkrótce przyłączyli się jeszcze do nich dwaj bukanierzy, którzy w czasie marszu pozostali w puszczy: Spratlin i Bowman. Naczelnik ofiarował Waferowi swą córkę za żonę i zacny lekarz z trudem tylko zdołał się wykreścić od ceremonii zaślubin, która by go związała na resztę życia z indiańską wioską i naraziła na zemstę w razie, gdyby próbował uciec. Zapewniając wszakże, iż ma już żonę w Indiach Zachodnich — co nie było prawdą — Wafer namówił wreszcie naczelnika, aby dał mu przewodników, którzy by go razem z towarzyszami zaprowadzili do oceanu.

Spratlin opowiedział, jak wlokąc się z trudem razem z Bowmanem śladem bukanierów natrafił na zwłoki biednego Gayneya, którego woda wyrzuciła na brzeg. Biedaczysko leżał z rozrzuconymi ramionami, a sakwy Wafera i jego własne wciąż jeszcze tkwiły przymocowane do jego pleców.

— Więc przynieśli ci twoje pieniądze? — zapytał chciwie Edmund Cooke.

— O nie! — wtrącił Spratlin, zanim lekarz mógł odpowiedzieć. — Tylko ten, co diabłu duszę zaprzedał, obrabowuje zwłoki!

Edmund Cooke uśmiechnął się złośliwie.

— Więc sprzedaj tę swoją duszę! — rzekł. — Albo będziesz chodził w lachmanach do końca życia!

Tak więc Wafer z czterema swymi współtowarzyszami znalazł się znów wśród bukanierskiej drużyny. Tylko Gopson nie cieszył się długo towarzystwem odnalezionych druhów. Przeznaczone mu było dotrzeć do morza po to tylko, by umrzeć. Biedny „Łysek”! Już niedaleko wybrzeża, ostatniego dnia marszu, bukanierzy znaleźli w cieniu wielkich opuncji czerwone kraby, które są jadalne, a nawet cenione jako przysmak. Indiańscy przewodnicy nie radzili jeść krabów, ale wygłodniały Gopson nie posłuchał ich. W pobliżu rosły drzewa mancinelli, pokryte apetycznie wyglądającym owocem przypominającym śliwki. Te zdradzieckie owoce kosztowały życie niejednego nieostrożnego podróżnika po Nowym Świecie. Ptaki nigdy nie tykały mancinelli, ale kraby jadły je bez szkody dla siebie. Gopson padł zapewne ofiarą trucizny mancinelli w mięsie krabów. Chorował długo. Pomimo wszelkich wysiłków Wafer już go nie odratował. Dampier pisał w swoim dzienniku o owocach mancinelli:

»Strześliśmy się, by nie tykać żadnych zwierząt, które się mancinellą żywiły. I przyjęliśmy jako zasadę przy napotykanii nieznanach owoców: jeżeli ptaki je dziobały i jadły, mogliśmy i my jeść bez obaw. Ale jeśli jakiegoś owocu ptaki nie dziobały, myśmy go także nie ruszali. Gdyż owocu mancinelli żaden ptak nie dotknie.«

## Rozdział VII

### ŁUDZIE KAPITANA WRIGHTA

W oczach Dampiera żegluga na statku kapitana Wrighta nie obfitowała w przygody, ale każda podróż była dla niego ciekawa, gdyż wszystkie zjawiska przyrody budziły jego zainteresowanie i dla wszystkiego, co widział, szukał wyjaśnień i przyczyn.

Po odnalezieniu zagubionych w puszczy towarzyszy popłynęli

znowu do zatoki Darien wzdłuż wybrzeży dzisiejszej Kolumbii. Bukanierzy uskarżali się na zbyt długi pobyt na morzu, a ich pragnienia rubasznie i bez ogródek wyraził Ned Daws:

— Jeśli nie zdobędziemy prędko jakiegoś miasta i nie pobawimy się z dziewczętami, to ja chyba pękne!

Kapitan Wright uznał, że trzeba poszukać jakiejś osady indiańskiej i w tym celu zawiązał do ujścia niewielkiej rzeki. Ale choć wiadomo było, że Indianie w tych stronach przebywają, nie znaleźli żadnych osiedli.

Vasco z paru Indianami poszedł polować na krowy morskie, gdyż w kubryku nie widziano świeżego mięsa już od dłuższego czasu. Dampier szczegółowo opisuje manata, którego nazywa też morską krową, zamieszkującego zatoki, laguny i ujścia rzek, ale rzadko wypływającego na pełne morze. Maści niebieskoszarej, o skórze drobno pomarszczonej manat dorównuje wzrostem dobremu koniowi, a długość jego wynosi dziesięć do dwunastu stóp. Jego mięsisty, pulchny pysk przypomina zwykłą krowę, lecz oczy są małe, a uszy płaskie, na wpół ukryte. Im dalej od głowy, tym szyja jego staje się grubsza, a ramiona stanowią najszerszą część wrzecionowatego ciała, które zwęża się ku ogonowi. Ogon płaski, gruby; jedynymi odnóżami zwierzęcia są dwie grube, owalne płetwy w miejscu przednich łap, każda zakończona trzema drobnymi płaskimi paznokciami.

Gdy Indianie polują na manaty, niechętnie zabierają białych ludzi do swych czółen — są zdania, że Europejczyk nie potrafi zachowywać się dość spokojnie. Rzucanie harpunem odbywa się tak, jak przy polowaniu na ryby, ale manat z utkwionym w ciele harpunem rzuca się do ucieczki. Jest to moment pełen napięcia i wszystko wówczas zależy od zręczności Indianina przy sterze. Jeśliby nie udało mu się zawrócić natychmiast czółna w kierunku ucieczki manata, zwierzę z pewnością przewróciłoby i zatopiło łódź. Znużony długotrwałą ucieczką manat leży spokojnie, dopóki czółno się nie przybliży, a wtedy znów rzuca się do ucieczki i powtarza ten manewr, aż dopóki zupełnie nie opadnie z sił. Wtedy Indianie przyciągają go do burty, zabijają silnym ciosem w głowę i holują do brzegu, gdzie pozostawiają zwierzę na piasku, a sami udają się na poszukiwanie następnej zdobyczy.

Manat żywi się specjalnym rodzajem wodorostów, a mięso



jego, utuczone na tej diecie jest białe, pożywne i smaczne. Najdelikatniejszym przysmakiem jest ciele, które jeszcze ssie. Bukanierzy piekli je na otwartym ognisku.

Nie tylko świeże mięso manatów było dla bukanierów pożądaną zdobyczą. Skórę cięto na pasy, z których sporządzano dulki do wioseł, różne rzemienie, długie na parę stóp bicze.

Zaopatrzeni w świeże mięso bukanierzy wypłynęli znowu na morze, szerokim łukiem omijając Cartagenę, w której stronę Ned Daws i inni pożądliwie popatrywali.

Cartagena była w owym czasie najważniejszym miastem północnych wybrzeży Ameryki Południowej i nie brakowało tam wesołych panienek, które by w zamian za parę dublonów chętnie zaspokoili wszelkie pragnienia bukanierów, ale Cartagena była całkowicie niedostępna dla pięćdziesięciu rzezimieszków, którym przewodził kapitan Wright. O sto lat wcześniej Franciszek Drake potrzebował kilkakrotnie więcej ludzi, by zdobyć miasto, gdyż Cartagena miała nie tylko silny garnizon, ale była obronna z natury. Port wewnętrzny łączył się jedną wąską cieśniną z portem środkowym, do którego wejście też było zaledwie na milę szerokie i prowadziło do portu zewnętrznego, bronionego przez wyspę Tierra Bomba. Drake i jego ludzie po zdobyciu miasta spędzili w Cartagenie sześć tygodni na ucztach i hulankach. Z pewnością nie brakowało im tego, za czym teraz tak tęsknili towarzysze okrętowi Dampiera, ale w obronie miasta kobiety odegrały dużą rolę, spisywały się dzielnie, rzucały kamienie i lały wrzącą wodę na napastników.

Statek bukanierów przepływał koło Cartageny w pogodny dzień i w czystym powietrzu widać było doskonale klasztor Nuestra Señora de Popa na stromej górze nad miastem.

— Niezmierzone są ponoć bogactwa mnichów — mówił Wafer wsparty o burtę statku, śledząc wzrokiem białe mury klasztoru, z którego Drake ściągnął niegdyś olbrzymi okup. — Najbogatsi kupcy i plantatorzy zawieszają tu szczerozłote wota i składają wielkie ofiary.

— Nieraz sobie rozmyślałem, że dobrze by było mieć dosyć ludzi zaprawionych do boju, aby zdobyć ten klasztor i zajrzeć do jego skarbcza — mruczał kapitan Wright, który widocznie odkrył w sobie szczerą skłonność do pirackiej profesji, choć go do niej

rzekomo przemocą wciągnięto. — Wykalkulowałem, że można by okrążyć Cartagenę nocą, zrabować skarby i zdażyć z powrotem na statek jeszcze przed świtem...

— Przekleństwo na twoją głowę za takie myśli — wybuchnął Edmund Cooke. — Jakbyś nie wiedział, że święta patronka tego miejsca ściga nieszczęściami korsarzy, a ty chcesz jeszcze ją drażnić zabierając złoto! Napytasz ty się biedy!

— Zabobonne głupstwa — rzekł pogardliwie Dampier.

— A jednak sam musisz przyznać, że to dla korsarzy pechowe wybrzeże — odparł Edmund Cooke. — Przecież ledwie przed paru laty „Oxford”, wielki okręt, świetnie uzbrojony, wyleciał w powietrze o kilka mil stąd, a tych paru szczęściarzy, co się z całej załogi uratowało, mówiło, że widzieli świętą na wodzie tuż przed wybuchem.

— Spędzili na morzu kilkanaście dni bez wody, przywiązawszy się do jakichś belek. Gdy ich wyłowiono, byli nieprzytomni, na wół obłąkani — tłumaczył Dampier.

— Ty byś znalazł przyczynę wszystkiego — burknął Edmund — ale ja wolę nie ryzykować. Nie przyłożę ręki do żadnej wyprawy na klasztor. Jej wielmożność, święta patronka, nie ma się czego obawiać z mojej strony.

— Ja bym się też w to nie mieszał — wyznał Patryk Hagan. — Nie pochwalam świętokradztwa. Ale się nie spodziewałem, że ty, Edmundzie, będziesz występował w obronie katolickich świętych.

— Ja tam nie jestem żadnym papistą — rzekł Edmund agresywnie. — Ale powiadają, że następnego ranka po zatonięciu „Oxfordu” posąg w klasztorze był całkiem mokry.

Dampier, choć rzadko się śmiał, tym razem nie powstrzymał chichotu, a medyk zarechotał niespodziewanie donośnie. Aż dziwne było Skąd z tak szczupłego i wątłego ciała dobywa się taki głośny śmiech.

Ned Daws znowu zaczął nalegać, aby przybili do brzegu. Kapitan zdecydował więc wybrać się do La Hacha. Niegdyś było to zamożne i silnie ufortyfikowane hiszpańskie miasto, ale tyle razy padało ofiarą korsarskich napaści, że ostatecznie prawie wszyscy Hiszpanie je opuścili.

Wielką pokusą dla piratów wszelkiego pokroju w La Hacha były ławice perłopławów, położone o jakieś dwanaście mil w głąb morza. Dawniej napaść na miasto przynosiła bogaty łup w postaci wielkich ilości cudnych pereł. Ale za czasów Dampiera w mieście było tylko paru hiszpańskich dozorców, którzy pośpiesznie uciekli w głąb łądu, jak tylko zobaczyli podpływający nie znany statek. Zabrali przy tym cały zapas pereł i popędzili przed sobą w głąb puszczy młodych indiańskich nurków, aby piraci nie mogli ich zmusić do wylawiania perłopławów.

Jeden z Indian z załogi Wrighta spędził kilka lat w pobliżu Rio Hacha i zszedłszy teraz na ląd z Dampierem, opowiadał przy pomocy Vasco — gdyż jego własna znajomość angielskiego i hiszpańskiego była bardzo ograniczona — jak hiszpańscy dozorczy organizowali połów pereł. W spokojny dzień płynęli na ławicę: dozorca w szerokiej barce, indiańscy nurkowie w wąskich pirogach. Opuszczano na dno duże kosze na sznurach, a Indianie nurkowali parami i zapełniali kosze perłopławami. Gdy barka była już załadowana mocno zamkniętymi w swych skorupach małżami, wszyscy powracali na brzeg, gdzie starcy, kobiety i dzieci otwierali muszle pod czujnym okiem hiszpańskich dozorców.

— On powiada, iż rzadko trafia się więcej, jak jedna perła na tysiąc muszli — tłumaczył Vasco. — A najładniejsze z tych pereł Indianom zawsze udaje się ukryć.

— Gdzie ukryć? — spytał z naiwną ciekawością Dampier.

— Starcy w ustach, a kobiety...

Dampier machnął ręką: gest opowiadającego był aż nadto wymowny.

— Ach, kobiety! Nie tylko dzięki perłom są cenne, wierzajcie mi — rozległ się głos Neda Dawsa, który wracając od strony miasta, przystanął obok rozmawiających na piaszczystym wybrzeżu. Wyraz gniewnego napięcia znikł z jego oczu: uśmiechał się rozkosznie i poklepywał po szerokiej piersi brunatnymi rękoma. Zdało się, że za chwilę zacznie mruczeć, jak kot wygrzewający się w słońcu. — Teraz idę się wyspać! Będę chrapał jak suseł! Od tygodni nie mogłem spać porządnie! — kiwnął im wesoło ręką na pożegnanie i w chwilę później znikł pod pokładem statku.

Na nie zamieszkałych wyspach Los Roques, o sto mil na północ od Caracas, bukanierzy znaleźli piaszczystą, zaciszną zatokę,

gdzie mogli oskrobać kadłub swego statku, obrośnięty wodorostami i muszlami.

»Przenieśliśmy — pisał Dampier — najpierw nasze armaty na ład, na usypany starannie okop, aby w razie potrzeby odeprzeć nieprzyjaciela. Wnet zbudowaliśmy porządny, duży szałas, któryś przykryli żaglami i umieścili tam nasze ładunki i prowiant.«

Przezorność okazała się zbyteczna. Do zatoki zawinął jedynie wojenny okręt francuski o trzydziestu sześciu armatach, a jego kapitan kupił od bukanierów dziesięć ton cukru. Dampier poszedł na pokład okrętu, aby przeprowadzić transakcję, a dowódca i jego oficerowie zaczęli nalegać, aby porzucił piratów i pożegłował z nimi. Ujęci kurtuazją i widocznym wykształceniem Dampiera, obiecywali mu swą pomoc i protekcję we Francji.

— Dziękuję wam, panowie — odrzekł Dampier — za gościnność, za wyborny trunek, którym mnie potraktowaliście, i za tak przyjacielską propozycję. Ale chociaż moi druhowie okrętowi są nieokrzesani i kłótniwi, choć często budzą we mnie niesmak, a i ja ich irytuję zapewne, jednak to moi rodacy. Zostanę z nimi.

Propozycja Francuzów nie stanowiła może tak wielkiej pokusy. Dampiera nic teraz nie pociągało do powrotu do Europy. Natomiast mówił prawdę, gdy wspominał o kłótniwości swych nieokrzesanych towarzyszy. W jego dzienniku co rusz znajdujemy wzmianki o bójkach i pijaństwach. Nie pisze jednak o tym z gorczyczą, a raczej tak, jak realistyczny pisarz wspomina o naturalnych funkcjach organizmu swoich bohaterów.

Mniej go interesowały te ludzkie słabości, niż na przykład skaliste wapienne wybrzeża najbardziej na północ wysuniętej wyspy archipelagu Los Roques, gdzie »roilo się od pięknie upierzonego ptactwa: rybołówek, fregat, głuptaków i faetonów«, które, jako symbol strefy podzwrotnikowej, Dampier nazywa ptakiem tropików. Opisuje też dokładnie gatunek rybołówki, znanej dziś pod nazwą *Anous stolidus*:

»Wielkości kosa, o grzbiecie błękitnoczarnym i jasnoszarym czubku, są jadalne i smaczne. Chętnie też spożywaliśmy faetony, cudne ptaki o białoróżowym upierzeniu o jednym jedynym piórze długości siedmiu cali w ogonie.«

Jeśli już mowa o ogonach i jedzeniu... to w dalszym ciągu swego dziennika Dampier opisuje legwana, zwierzę podobne do dużej jaszczurki, które szczególnie zwróciło jego uwagę, ponieważ kiedy chwycił je za ogon — legwan zręcznym ruchem ułamał koniec ogona i pozostawiając mu go na pamiątkę, uciekł w krzaki. Ciekawość Dampiera obudził również zwyczaj legwana zmieniańa zabarwienia skóry w zależności od otoczenia. Legwany zamieszkujące przybrzeżne jaskinie i głębokie zatoki pod skałami mają zabarwienie czarne; te, które żyją wśród drzew i krzewów, są zielone, a te, które gnieźdzą się wśród pustynnych piasków i skał, mają zabarwienie żółtawe. Bukanierzy chętnie jadal legwany stwierdziwszy, że mięso tych gadów jest smaczne i że można z niego ugotować bardzo pożywny rosół.

Na wschodnim krańcu wyspy rosły trzy rodzaje drzew mangrowiowych, popularnie zwane przez bukanierów mangrowią czarną, białą i czerwoną. Czarna mangrowia wyrasta na olbrzymie drzewa o pniach tak grubych jak stare dęby, sięgających dwudziestu stóp wysokości. Drewno jest twarde, ale tak ciężkie, że do celów budowlanych rzadko się go używa. Biała mangrowia, o pniach delikatniejszych i słabszych, była zazwyczaj lekceważona przez bukanierów, którzy tylko w ostateczności sporządzali sobie wiosła z tych drzew.

Najbardziej użyteczniejsza dla nich była czerwona mangrowia, po dzień najwięcej ceniona, która rośnie na wybrzeżach morza lub w pobliżu rzek. Korzenie tego drzewa wyrastają wysoko ponad ziemię, zanim złączą się w jeden pień, często dopiero na wysokości od sześciu do dziesięciu stóp, co sprawia wrażenie, jakby drzewo było podparte drągami. Czerwony barwnik kory używano przy wyprawianiu skór, a napary z tej kory stosowano w leczeniu do łagodzenia gorączki i omywania pokąsanej przez moskity skóry. Bukanierzy oceniali użyteczność tych drzew, ale i narzekali na nie:

»Zarośla drzew mangrowiowych są trudne do przebycia, a to z powodu niezliczonych korzeni, poplątanych i wysoko ponad ziemię wystających. Kiedy byłem zmuszony przejść pół mili przez las mangrowiowy nie postawiłem ani razu stopy na ziemi, tylko przelażem z korzenia na korzeń.«

Na wybrzeżu stałego lądu w okolicach Caracas głównym produktem wymiany i wywozu były owoce drzew kakaowych. Drzewa te, o średnicy pnia do dwóch stóp i koronie, rozrastającej się na wysokości siedmiu do ośmiu stóp, mają lśniące, skórzaste liście, a strąki wielkości dobrych dwóch pięści, zwisające na krótkiej łodydze z grubszych gałęzi na całym drzewie. W każdym strąku mieści się około stu ziaren tak ciasno stłoczonych, iż gdy się je wyjmie, ręka ludzka nie potrafi pomieścić ich z powrotem w ciasnej przestrzeni, którą pierwotnie zajmowały. Krajowcy suszą ziarna kakao w słońcu, na matach rozścielonych na ziemi. Na tle szczegółowych, długich opisów flory i fauny zadziwiają lakonicznością notatki Dampiera, dotyczące zbrodniczych i złodziejskich wyczynów piratów, do których i on sam się zaliczał. Dobrze to ilustruje opis zakończenia wyprawy kapitana Wrighta.

»W pobliżu Caracas udaliśmy się na ląd w jednej z zatok, skąd zabraliśmy siedem do ośmiu ton suszonych ziarn kakaowych, a potem trzy barki, jedną z ładunkiem skór, drugą z towarami europejskimi, a trzecią z trunkiem. Z tymi trzema barkami powróciliśmy do Los Roques, gdzie rozdzieliliśmy zdobycz według przypadającej każdemu części, a potem podzieliła się cała nasza załoga, gdyż statków było dość, aby każdego zabrać, dokąd by chciał.«

Zabieranie kakao oznaczało w najlepszym wypadku rabowanie go z wiosek indiańskich, opuszczonych w popłochu przez Indian, a zapewne łączyło się z przelewem krwi. Trudno sobie również wyobrazić, iżby zdobycie owych trzech stateczków odbyło się bez żadnego oporu i walki. A Dampier zbywa to wszystko paroma ogólnikami, poświęcając całe stronicę szczegółowym opisom zjawisk przyrody. Narzuca się tu przypuszczenie, że Dampier wstydił się po trosze pewnych stron swego trybu życia.

Jedna z grup, na które podzieliła się załoga statku Wrighta, postanowiła popłynąć do Wirginii. Dampier nie znał jeszcze tego kraju, więc przyłączył się do tej grupy jako nawigator, a przybivszy do brzegu w lipcu 1682 roku, pozostał na lądzie przez trzynaście miesięcy.

— Pójdiesz ze mną, Vasco? — pytał Dampier, zanim barka odbiła od wyspy Los Roques.

— Dopóki nie popłyniesz na wschód, przez ocean, pozostanę zawsze z tobą, panie — odparł Vasco. — To mój obowiązek i nie ciężki wcale. Ale dziwiłem się, czemu nie popłynąłeś do Europy z Francuzami. Wróciłbyś do żony.

— Francja to nie Anglia, Vasco.

— Ale słyszałem, że to bardzo blisko — Vasco nie ustępował.

Dampier milczał przez chwilę.

— Widzisz, Vasco, prawdę rzekłszy, ja nie kocham mojej żony.

— Kochać? — zapytał Indianin. — Cóż to znaczy kochać? Mężczyzna jest mężczyzną, a kobieta kobietą. Gdy mężczyzna leżał z kobietą, ona należy do niego, a on do niej na resztę życia. A jeśli będzie leżała z innym, on musi ją zabić. To wszystko.

— A jeśli to się stało wbrew jej woli? — zapytał Dampier myśląc o Nedzie Daws i innych bukanierach, którzy bywali w indiańskich wioskach.

Vasco także myślał o tym samym.

— Kobieta ma nóż, panie. Nóż powinien być silniejszy od pieniędzy białego człowieka.

Ale Dampier wrócił myślą do swej niekochanej żony i do upragnionej, nieosiągalnej Grace o włosach koloru dojrzałej pszenicy. Rzekł:

— Są pewne sprawy, których nie rozumiesz, Vasco.

— Tak, panie. — Indianin uroczyście pokiwał głową. — Im dłużej żyję z białymi ludźmi, tym więcej widzę rzeczy, których nie rozumiem.

Dampier uśmiechnął się smutno i z westchnieniem wziął pióro do ręki.

# CZĘŚĆ DRUGA

## Rozdział VIII

### KU AFRYKAŃSKIEMU WYBRZEŻU

Twarze mieli szare z wyczerpania, oczy nabiegłe krwią, każdy był pokaleczony, potłuczony, pokieraszowany: wydawać by się mogło, że cała załoga brała udział w jakiejś krwawej utarczce. Ale tym razem nie była to żadna bójka, po pijanemu czy na trzeźwo. Przez czterdzieści osiem godzin żaglowiec bukanierów „Revenge” o osiemnastu działach i siedemdziesięciosobowej załodze sztormował z wiatrem pod nagimi masztami. Burza niosła ich od południowego wschodu, olbrzymie fale rzucały statkiem, ulewa chłostała marynarzy w dzień i noc. Nie było mowy o odpoczynku czy śnie, choć właściwie nie mieli co robić bezradni wobec gniewnego żywiołu.

Kto musiał być na pokładzie, pełzał na czworakach trzymając się każdego możliwego występu, by go nie zmyło do morza. Co i raz to któryś staczał się aż do burty i jeszcze był rad, że się tylko na tym skończyło. Patryk Hagan łaził z ręką na temblaku sporządzonym przez cyrulika Wafera. Miał zerwane ścięgno, a na opatrunek założył sobie różaniec, owijając go starannie wokół chorej ręki. Jak widać Edmund Cooke nie był wcale wyjątkiem wśród piratów, starając się w groźnych momentach na gwałt przebłagać. Boga, którego zazwyczaj wspominał tylko przy okazji bluźnierstw i owego zabobonnie przestrzeganego niedzielnego nabożeństwa.

Wypróbowany sposób Dampiera, położenia się w dryf pod gromem i bezanem, a potem tylko pod bezanem — spełził na niczym.

— Nie możemy zrobić nic więcej — orzekł kapitan John Cook. — Dajmy spokój, niech się burza przesili.

Gdy załoga ryzykując nieustannie życiem zmagająca się z wichurą, aby zwinąć każdy pozostały kawałek żagla, kapitan — był nim ten sam John Cook, pod którego wodzą przeszli międzymo-



rze — zszedł do swojej kajuty, a położywszy się na koi, jedną ręką ujął umocowany do ściany sznur, by gwałtowne kołysanie nie strąciło go na podłogę, w drugą rękę wziął Biblię i przestał się troszczyć o burzę, statek i załogę.

Ambroży Cowley — ozdobiony blizną przez lewy policzek i szczękę, ślad po hiszpańskiej szpadzie, zdobyty już po rozstaniu się z Dampierem na północnym wybrzeżu międzymorza — przywarł do steru. Był tak wyczerpany, iż oczy mu się zamykały, głowa kiwała się i opadała na piersi, budził się wysiłkiem woli i podrywał ją znowu.

— Nie wsadzaj nosa w swój pepek! Uważaj na ster!

To Ned Daws, starszy sternik i pierwszy oficer tej wyprawy, wrzasnął do Cowleya, który był nawigatorem. Ale burza porwała jego głos i uniosła wraz z wichrem.

Gdyby nawet Cowley usłyszał go, i tak już byłoby za późno. Wicher porwał w swoją moc statek przez chwilę pozostawiony bez kontroli. „Revenge” legł burtą do wiatru i zsunął się w głęboką przepaść między ruchomymi górami wodnymi. Na jedno mgnienie oka wszyscy na pokładzie — Daws, Cowley, Dampier, Hagan, Hingson i bosman Smallbone — zamarli z trwogi, oczekując, że olbrzymia fala załamie się i runie na pokład, wtrącając ich w wirującą przepaść. Jakby cudem dzielny statek uniósł się i wyprostował raz jeszcze, i znowu wspinał się na szczyty ogromnych grzywaczy, na zmianę zalewany wodą to z jednej, to z drugiej burty.

Ambroży Cowley, z którego winy znaleźli się wszyscy w tym strasznym położeniu, pierwszy odzyskał mowę, ale bynajmniej nie oprzytomniał. Rzucił się, jakby stracił zmysły i krzychał:

— Siekierę! Przynieście siekierę! Ruszcie się tłumoki! Zrąbać bezan! Za burtę z nim!

— Czekaj no, Cowley! — powstrzymał go Ned Daws. — To prawda, że statek może takim sposobem powrócić na kurs, ale to jednak desperacki sposób. Musimy próbować innego ratunku.

Kapitan Cook wpadł pędem na pokład, wciąż jeszcze z Biblią w rękę. Jednym rzutem oka ocenił sytuację, a jego spokój otrzeźwił obłąkane podniecenie piratów, którzy krzyczeli jeden przez drugiego, a każda rada była gorsza od innej.

— Daws ma słuszność — rzekł kapitan. — Musi być inny sposób ratunku.

Cowley patrzył wciąż nieprzytomnie na rezultaty własnej nieuwagi. W obliczu hiszpańskiej szpady, przyłożonej do swej piersi, tylko się uśmiechał, ale widok zielonej przepaści oceanu wytrącił go zupełnie z równowagi.

— Nie ma innego ratunku! — krzyczał. — Pójdziemy wszyscy do Davy Jonesa!

A statek wciąż pokonywał fale, które wślizgiwały się pod jego bezwładny, zataczający się kadłub i załamywały się, nim dotarły do burty. Edmund Cooke dowodził później, że to tylko modlitwy jego i paru kamratów, którzy pomagali jedynie klęcząc i zawożąc, utrzymały statek na powierzchni.

— Postawcie kliwry! — powiedział Patryk Hagan. — To naprostuje statek. — Irlandczyk ścisnął wciąż różniane w palcach bezwładnej ręki, ale myślał trzeźwo i praktycznie.

— Niemożliwe — odparł Dampier. — Wiatr je zedrze od razu, a jeśli nie, nikt na statku nie zwinie ich z powrotem.

Grot i fokreja były już opuszczone prawie do pokładu i nic więcej nie można tu było zrobić. A każdej chwili statek mógł ulec spienionym górom wodnym, którym dotąd się jeszcze opierał.

Bosman Smallbone szarpnął Dampiera za przemoczony rękaw i krzyknął mu wprost w ucho:

— Chodź! Spróbujemy wdrapać się po fokmaszcie do góry. Czasem to pomaga. Widziałem, że już tak bywało.

Cowley oprzytomniał nieco i ujrawszy swoich kamratów wspinających się z trudem po wantach wystawionych na pastwę morderczych uderzeń burzy, nie ustających w swym ryzykownym przedsięwzięciu — pochwyił znowu ster. »Wdrapaliśmy się do połowy masztów — pisał później Dampier — i rozpostarliśmy nasze kubraki. Statek pochwyił wiatr i wrócił na kurs. Jak sądzę, nie trwało to dłużej niż trzy minuty.«

Okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi, gdy statek wy dostał się z bruzdy i groźne zataczanie zmieniło się znowu w kołysanie, które teraz wydało im się po prostu dziecienną huśtawką.

Ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Zaledwie Dampier i Smallbone dotknęli stopą pokładu, gdy kapitan i Daws wrzasnęli prawie jednocześnie:

— Grot! Cała załoga do grot!

Wiatr pochwyił zwinięty grot i wydał go. Choć grotreję opuszczono tak nisko, jak tylko to było możliwe, i choć wszyscy — wyjąwszy Cowleya przy sterze — leżeli po prostu na żaglu, nie mogli jednak zapobiec wyrywaniu spod nich żagla przez wiatr.

John Cook podniósł się i zawołał:

— Nie dacie rady! Odetnijcie go przy liku!

Najbliżsi kapitana usłyszeli jego rozkaz. Odcięto lik i żagiel spadł na pokład.

„Revenge” gnał teraz znowu z wiatrem, nie poniówszy w ciągu tych niebezpiecznych paru chwil — które wydały się wiekiem żeglarzom — większej szkody, jak odcięty lik grotu. I tak pędził z wiatrem przez cały jeszcze tydzień, bo tyle czasu trwał sztorm.

Gdy wreszcie morze się uspokoiło, Dampier zasiadł pod wieczór na pokładzie i zabrał się do zapisywania notatek: »John Smalbone głównie przyczynił się do uratowania nas wszystkich. A był to jeden z najgorszych sztormów, jakich zaznałem.«

— Co pisałeś, panie? — pytał Vasco siedząc na podwiniętych nogach obok Dampiera na pokładzie.

— Nic, o czym byś nie wiedział, Vasco. Opisuję naszą podróż i jej zdarzenia.

— Płyniemy wciąż w stronę wschodzącego słońca. Jak długo jeszcze będziemy tak płynąć?

— Powiedziałem ci już, Vasco. Zamierzamy pożeglować na południowe morza, a potem do Peru, twojego kraju. Ale na tak małym i kruchym statku, jak „Revenge” nie przeplyniemy Cieśniny Magellana. Dość już żeglowałeś, by sam to zrozumieć. Więc najpierw spróbujemy zdobyć lepszy statek przy wybrzeżach afrykańskich, a potem skierujemy się na południowy zachód.

— Boję się tej Afryki, panie. Obce to wszystko dla mnie. A gdy już tam się dostaniemy, czy kapitan Cook i reszta załogi nie zechcą wrócić do swego kraju? Co by się wtedy ze mną stało?

— Nie martw się, Vasco. Będzie, jak ci powiedziałem. Gdyby się sprawy inaczej ułożyły, przyrzekam ci, że ja pożegluję z tobą z powrotem do twojego kraju.

— To dobrze, panie. Teraz już nie będę wypytywał więcej.

Dampier mówił prawdę o zamierzeniach bukanierów. Kapitan Cook zjawił się na „Revenge” w zatoce Chesapeake na wybrzeżach Wirginii z załogą o wiele zbyt skąpą liczebnie. Dampier i jeszcze paru dawnych kamratów ze wspólnych wypraw przebywali na łądzie i znaleźli się w kłopotach, ponieważ podejrzewano ich — nie bez słuszności — o piracką przeszłość. Chwycili się więc oburącz propozycji małego kapitana i zaciągnęli się na jego statek.

Trochę kłopotu narobił Edmund Cooke, który, gdy zobaczył Indianina Vasco wstępującego na pokład razem z Dampierem, z ordynarnym przekleństwem wrzasnął, że ten Indianin go prześladowa i doprowadzi do jego śmierci. Ale Dampier oświadczył stanowczo, że nie zaciągnie się na statek bez Vasco, a kapitan Cook potrzebował dobrego nawigatora. Edmunda potrzebował również, gdyż ten był wyśmienitym puszkarzem, a o działa okrętowe tak się troszczył, jakby były jego rodzonymi dziećmi: czyścił je i polerował, iż błyszcząły w słońcu jak zwierciadła, a strzelać potrafił celniej i szybciej niż ktokolwiek, kogo do tej pory kapitan widział.

Dampier stał sztywno na pokładzie, gotów od razu zawrócić i zejść na ląd. Żył ostatnio z pewną kobietą — jeszcze jedna próba zagubienia bolesnej, beznadziejnej pamięci włosów koloru dojrzałej pszenicy — i mógł do niej powrócić pewien dobrego przyjęcia. Edmund nie miał gdzie się podziać, gdyby zeszedł z pokładu „Revenge”. Skapitulował więc, a potem przezornie postanowił zaprzyjaźnić się z Vasco i przynosił mu ściągnięte kucharzowi przysmaki. Po powitalnym wybuchu okazał się znacznie mniej wojowniczy niż dawniej. W kubryku mówiono, iż spokorniał, od kiedy zabrakło Dawida Greena, który go podburzał, namawiał do złośliwych wybryków i schlebiał jego próżności. Inni dowodzili, że spuścił nos na kwintę od czasu, gdy straciwszy w czasie burzy swój trójgraniasty kapelusz zapomniał, iż był raz kapitanem statku.

Kapitan Cook i jego ludzie zawładnęli statkiem „Revenge” zwykłym oszukaństwem połączonym z czarną niewdzięcznością, co jednak wcale nie dolegało ani wiecznie czytającemu Biblię kapitanowi, ani Irlandczykowi z różańcem na rękę, ani puszkarzowi, który tak przestrzegał nabożeństw niedzielnych. Gdy po

sławnym przejściu przez Przesmyk Panamski bukanierzy rozdzielili się na dwie grupy, jedna z nich dostała się na statek kapitana Wrighta, drugą zaś, w której znajdował się John Cook, zabrał na pokład swego statku „Revenge” kapitan Tristian, z pochodzenia Francuz. Wkrótce potem Cook zorganizował bunt na statku. Kapitana Tristiania i jego francuskich marynarzy wysadzono na pierwszej napotkanej wyspie, po czym, już we władzy bukanierów, statek pożeglował do Wirginii, gdzie sprzedano ładunek skór i manufaktury europejskiej należącej do Francuzów.

Dnia 23 sierpnia 1683 roku bukanierzy wypłynęli na Atlantyk z półwyspu Accomack, który zamyka zatokę Chesapeake. Wzięli kurs na północ, by trzymać się szlaku najbardziej uczęszczanego przez statki handlowe i wkrótce napotkali statek holenderski, płynący do Wirginii. Ned Daws, pocierając swe ogromne, długie łapy o uda, zaprotestował przeciw napaści na jego ziomków i przypomniał kapitanowi Cook, że jeśli nie napada nigdy na statki angielskie, powinien uszanować również i Holendrów. Nie posłuchano go jednakże i Ned tyle tylko wskórał, że nie dowodził abordażem, co było jego zwykłą funkcją jako zastępcy kapitana. Na czele grupy abordażowej złożonej z trzydziestu osób stanęli Cowley, lepszy do bitki niż do walki z burzą, i Dampier. Statek holenderski nie stawiał oporu. Wiózł do Wirginii blisko tysiąc Murzynów afrykańskich na sprzedaż i żeby tylko ocalić ten swój główny ładunek, okupił się bez targów, oddając piratom sześć beczek dobrego wina z Wysp Kanaryjskich, peklowaną wołowinę i sporo innej żywności, a także pewną ilość płótna i różnych materiałów.

Kapitan holenderski zachowywał się z sarkastyczną kurtuazją.

— Spełnimy wasze żądania — powiedział — gdyż pragniemy uniknąć przelewu krwi. Kiedy indziej nie wdawalibyśmy się w pertraktacje ze zwykłymi przestępcami.

— Przestępcami, mój przyjacielu? A to dobre! — Patryk Hagan zaśmiał się prosto w twarz bladego kapitana o zaciśniętych wargach. — To my uwolniliśmy was od pokusy. Tylko dzięki nam wy nie będziecie przestępcami, bo przecież z pewnością nie zapłaciłibyście cła za to wino i materiały w portach Wirginii. To znaczy że obrabowalibyście króla Anglii! Powinieneś pójść do swojej kabiny, uklęknąć i odprawić za nas pokutę.

— Nie próbuj lepiej zwracać się do mnie, jak gdybym był pa-

pistą — rzekł cichym groźnym głosem kapitan, a jego zimne oczy miały wyraz po prostu okrutny. — Mogę zmienić mój zamiar unikania przelewu krwi.

W rzeczy samej owo chwalebne postanowienie unikania przelewu krwi nadawało się do rozmaitej interpretacji, gdyż grzbiety Murzynów, których wioził stłoczonych jak bydło w ciemnych dusznych pomieszczeniach pod pokładem, ociekały wciąż krwią od chłosty.

O zdarzeniach tego rodzaju, jak napaść na holenderski statek, Dampier nie lubił wspominać w swoim dzienniku, który zawierał bardzo mało zawodowych, jeśliby tak rzec, spraw pirackich. Ale prócz niego również Ambroży Cowley pozostawił sprawozdanie z tej podróży — gorzej napisane, pozbawione informacji cennych dla przyrodników i geografów — w którym bez skrupułów omawiał szczegóły pirackiej profesji.

W październiku „Revenge” dotarł do Wysp Zielonego Przylądka w pobliżu wybrzeża senegalskiego i zakotwiczył przy wyspie Sal, która bierze swą nazwę od wielkiej ilości soli wysychającej w płytkich zalewach. Ludziom wydłużyły się twarze, kiedy zobaczyli, że na wyspie nie ma wcale drzew, tylko skarłowaciałe krzaki.

— Idę spać! — oznajmił rozzarowany Ned Daws. — Może mi się przynajmniej przyśnią jakieś ładne dziewczęta!

Istotnie, parę ubogich baraków nie obiecywało wyposażonym żeglarzom żadnej wesołej pohulanki.

— Zawołaj najpierw kapitana — upominał Dampier. — Widzisz, że łódź jakaś płynie do nas.

Kapitan Cook, przyodziany w swój najlepszy kaftan, zjawił się, by przywitać przybywających. Najlepszy kaftan — znaczyło to, że był bez dziur i z kosztownego materiału. Ale na pierwszy rzut oka, było widać, że ten kaftan nosił poprzednio ktoś o znacznie dłuższych ramionach i szerszych barach. Rękawy trzeba było zawinać, a kołnierzyk tak sterczał na plecach, że aż się prosiło, by chlusnąć tam dzban wody. Zawinił tu Ambroży Cowley, który nie miał dobrego krawieckiego oka. Ściągnął ten kaftan drugiemu oficerowi holenderskiego okrętu wyobrażając sobie, że będzie akurat pasował na jego kapitana.

W każdym razie kaftan aż nadto wystarczył na powitanie portugalskiego gubernatora wyspy, gdyż ten przyodziany był w łachmany. Najważniejszym szczegółem stroju tego dostojnika był według słów Dampiera:

»[...] stary, obdarty kapelusz, którego by i za trzy grosze nikt nie kupił. A jednak biedak oszczędzał go bardzo w obawie, że nie tak prędko dostanie inny, gdyż, jak nam powiedział, nie zawiął tu żaden statek przez ostatnie trzy lata.«

Piracki kapitan i obdarty przedstawiciel władzy przestrzegali ściśle wszelkich form kurtuazji. John Cook skłonił się ceremonialnie, gubernator złożył zamaszty ukłon swym cennym kapeluszem.

— Witam w mej ubogiej dziedzinie — rzekł po hiszpańsku Portugalczyk. Po czym zwracając się do jeszcze bardziej obdartej niż on sam urzędnika, który mu towarzyszył, powiedział: — Przynieście moje dary.

Trzeci mężczyzna, odziany tylko w płócienne spodnie, tak postrzępione od dołu jakby je wydarto z zębów rekina, podał z łodzi na pokład jedną po drugiej — trzy chude kozy.

Ktoś z załogi, zebranej za kapitanem Cookiem, zachichotał. Kapitan uciszył go groźnym wejrzeniem.

— Nędzny to dar — wyznał zmieszany gubernator — ale najlepszy, jakim rozporządzamy na wyspie.

Istotnie, dziwne było tylko, że nawet koza znalazła jakieś pożywienie na tych wydmach.

— Wypraw ucztę, John, i zaprosz ich — podszepnął Hagan, wzruszony nędzą biednego gubernatora, którego urząd można by właściwie nazwać zesłaniem.

I tak zrobiono. Bukanierzy wystąpili wspaniale. Przyrządzili wszystkie smakołyki, jakie jeszcze zostały po zrabowaniu hollenderskiego statku i tegoż wieczora zaprosili na ucztę gubernatora i jeszcze pięciu mieszkańców wyspy. Goście jedli żarłocznie, a wino z Wysp Kanaryjskich uderzyło im do głowy znacznie prędzej niż piratom. Gdy na zakończenie wieczerzy wniesiono wagę z ponczem, sześciu gości już chrapało w stanie krańcowego obżarstwa

i opilstwa. Dampier ostrzegł kapitana, aby nie dał Haganowi rozpocząć ponczu, niech go raczej skończy.

— Nie bój się, Śledziu — zaśmiał się Irlandczyk. — Zostałoby i dla ciebie nawet, gdybym ja zaczynał. Nie mam ochoty zarobić sobie na taki kociokwik, jaki miałem po tamtym jednym łyku.

— Ale przynajmniej masz się czym chwalić do końca życia, ty irlandzki moczymordo — burknął Edmund.

Ned Daws nie marzył tej nocy daremnie o dziewczętach. Gdy gubernator i jego towarzysze spali na pokładzie przez dwanaście godzin bez przerwy, zastępca kapitana z paru kamratami bawił na wyspie. Powrócił w wybornym humorze, jeszcze zanim wyspiarze się obudzili.

— Rozpowszechnianie zdrowej rasy holenderskiej po wszystkich zakątkach świata jest rzeczą wielce chwalebną, toteż ja nigdy nie zaniedbuję okazji po temu — oznajmił, zanim ułożył się w swoim hamaku, jednym z niewielu na pokładzie. Ned nauczył się spać w hamaku od brazylijskich krajowców.

Gdy obżarci, opici i ozdobieni rogami Portugalczycy zwlekli się wreszcie na nogi — z mięśniami obolałymi od snu na twardej deskach pokładu, z głowami tak ciężkimi jak łańcuch kotwiczny — kapitan Cook ofiarował gubernatorowi w prezencie ów sławetny aksamitny kaftan, w którym go powitał poprzedniego dnia na pokładzie. Ułożono jeszcze, że wyspiarze przyślą im dwadzieścia buszli soli w zamian za kilka sztuk różnej odzieży. Ale ludzie, którzy w parę dni później przywieźli sól na statek, popatrywali na bukanierów spode łba, a posepnie.

— Pewno ich żony, przekonawszy się, co znaczy prawdziwy mężczyzna, nawymyślały im solidnie! Mają chuchraki, na co zasłużyli! — chełpił się Ned Daws kpiąc niemiłosiernie z Portugalczyków.

Następnego wieczora Dampier udał się na brzeg, upewniwszy się wpierw, że Portugalczycy — chociaż gniewni — nie odważą się uczynić nic złego bukanierom, których chroniły okrętowe działa i siedemdziesięciu ludzi załogi. Chciał się przekonać, z czego żyli mieszkańcy wyspy. W pewnej chwili dostrzegł z daleka coś, co przyjął początkowo za mur z cegieł. Podeszedłszy bliżej zobaczył, że były to flamingi, które stały jeden przy drugim równym szeregiem. Mógł podejść tak blisko, iż wyraźnie rozróżniał



różowe pióra na podbrzuszu i ciemniejsze pasowe na skrzydłach, długie szyje i nogi, wielkie kaczkowate dzioby, zagięte do dołu. Trzej bukanierzy — gdyż Dampier był w towarzystwie medyka Wafera i Indianina Vasco — podpełzli na czworakach jak najbliżej, starając się nie czynić żadnego szelestu.

Dampier znalazł się na obyczajach flamingów, gdyż obserwował pokrewny afrykańskiemu gatunek tych ptaków na wyspie Hispanioli i w południowym Peru. Ze zwykłą sobie ścisłością obserwacji zanotował:

»Zakładają swoje gniazda na płytkich zalewach czy stawach o błotnistym dnie. Z tego błota budują małe, stożkowate pagórki, które jak wysepki sterczą na stopę lub dwie nad powierzchnią wody. Na szczycie wysepki znajduje się zagłębienie, do którego składają po parę jaj, a później wysiadują je stojąc w wodzie na długich nogach i tylko kuperkami przykrywając jaja. Ich długie nogi przeszkadzałyby im, gdyby próbowały usiąść na gnieździe. Ojciec i matka wysiadują jaja na zmianę.«

Trzy strzelby przemówiły: kilka ptaków padło, reszta uleciała różową chmurą. Myśliwi strzelili jeszcze dwa razy, nim flamingi zdążyły się oddalić i zebrali ponoć czternaście ptaków. Prawdopodobność Dampiera nie bywa na ogół kwestionowana, ale aż trudno uwierzyć, że na dziewięć strzałów pięć okazało się dubletami.

Nie wdając się bliżej w sprawę ilości zabitych flamingów, faktem pozostaje, że myśliwi przynieśli na statek piękną zdobycz, powitaną z głośnym uznaniem, gdyż mięso flamingów jest wyborne, choć ciemne. Zwłaszcza za przysmak są uważane języki flamingów z gruczołem tłuszczowym u nasady: »potrawa z języków flamingów jest daniem godnym książęcego stołu«.

## Rozdział IX

### STATEK ZDOBYTY I STATEK SPRZEDANY

Wkrótce po polowaniu na flamingi bukanierzy mieli sposobność upolować cenniejszą zdobycz. Wpłynęli właśnie w ujście rzeki Sherboro na wybrzeżu Sierra Leone. Na wyspie położonej w ujściu rzeki, znajdowała się faktoria, czyli ośrodek handlowy, prowadzona przez Anglików. Handlowano tu pochodzącym z Gabonu drewnem barowym (*Baphia mitida*), z którego można było wyrabiać szkarłatny barwnik lepszy niż z drewna kampszewego, ale przede wszystkim był to ośrodek handlu niewolnikami murzyńskimi, przywożonymi do Ameryki.

Załoga „Revenge” nie zeszła na brzeg, by spotkać się z rodakami, żywiąc pewne wątpliwości co do przyjęcia, jakie mogło ich oczekiwać. Ci, co handlowali ludzkim ciałem, odnosili się z wysoce „moralną” wzgardą do piratów, o których wiadomo było, że zdobywszy statek handlarzy niewolników, często wypuszczali Murzynów na wolność. Bukanierzy udali się wszakże do osady murzyńskiej, oddzielonej od faktorii gęstym gajem zarośli, gdzie przyjęto ich bardzo ceremonialnie, wprowadzono do największego w osadzie budynku, jakby świątlicy, i poczęstowano winem palmowym. Murzyni wkrótce przyплыnęli na statek i w zamian za potrzebne im przedmioty zaopatrzyli bukanierów w banany, trzcinę cukrową, wino palmowe, ryż, drób i miód.

Było to w listopadzie. O świcie Dampier, który miał nocną wachtę, w wielkim podnieceniu posłał Indianina Vasco, by obudził kapitana Cooka i kazał podnieść kotwicę. W parę minut cała prawie załoga wyległa na pokład rozprawiając gorączkowo i z niespokojnym zaciekawieniem przyglądając się dużemu, pięknemu statkowi, który wpływał w ujście z widocznym zamiarem popłynięcia w górę rzeki.

— Pośpieszcie się z tymi kotwicami! — krzyknął kapitan. — I postawcie wszystkie żagle, bosmanie. Zobaczymy, kto lepiej żegluje.

O tym się przekonali niebawem, gdyż wielki statek doganiał ich bardzo szybko. Edmund Cooke przybiegł na pokład pytając,

czy ma otworzyć ogień ze swoich armat. Paru innych zaraz go poparło wołając, żeby oddać salwę do szybko płynącego statku.

— Czyście powariowali? — zapytał gniewnie kapitan, nie tracąc wszakże spokoju. — Na tym statku jest trzydzieści dział co najmniej i na pewno większych od naszych...

— Jak odpowiedzą, to nas zatopią jedną jedyną salwą — burknął Ned Daws.

— Psiakrew, co za statek! — zachwycił się Edmund Cooke powracając do swoich wypolerowanych dział. — I mogliśmy go zdobyć, gdyby nie ci śmierdzący tchórze, którzy boją się portki zamoczyć. — Edmund wołał nie pamiętać o swoim własnym „strachu przed zamoczeniem” w czasie wielkiego sztormu.

„Revenge” cofnął się głębiej w ujście rzeki, ale zanim zakotwiczyli, Dampier szarpnął kapitana za rękaw i wskazał na wielki statek.

— Na świętego Erazma! — zawołał John Cook. — Więc jednak chce popłynąć w górę rzeki. Nie rzucać kotwicy! Bosmanie! Skrócić żagle!

Edmund, posłyszawszy rozkazy, przybiegł znowu na pokład nalegając, by mu pozwolono oddać salwę do przybysza. Rozkochany w swoich „pieszczoszках”, jak nazywał działa „Revenge”, nie był w stanie ocenić trzeźwo, jak mało mogły być przydatne przeciw dobrze uzbrojonomu statkowi. Ale z tego właśnie powodu bukanierzy pragnęli przeprowadzić się na większy statek.

— Mógłbyś z równym skutkiem strzelać grochem do słońca — rzekł pogardliwie kapitan.

— Swędzą cię ręce do bitki? — zapytał puszkarka Ned Daws.

— Mnie ręce swędzą do moich armat — burknął ze złością Edmund.

— Daj spokój swoim armatom — odparł Daws. — Zejdź pod pokład, zbierz pistolety i szable. Niech trzydziestu ludzi uzbroi się i czeka w pogotowiu, tylko żeby mi żaden na pokład nosa nie wysuwał. Rozumiesz? Będziesz miał bitwę i to porządną niezadługo, a ja was poprowadzę.

— Doskonale, Ned — rzekł kapitan. — Tylko dopilnuj, aby nikt na pokładzie broni nie pokazywał. Pistolety naładować, podsytać i dobrze schować.

Wielki statek pod duńską flagą wyminął „Revenge” i przybił do brzegu dalej w górze rzeki. Dampier zauważył, że pokład miał uprzątnięty, jak do bitwy.

— Nadzwyczajnie! — zaśmiał się Hagan. — Czyżby rzeczywiście przypuszczali, że tacy bogobojni, cisi zakonnicy jak my, mogliby żywić jakieś nieczne zamiary?

Cowley poprowadził „Revenge” powoli śladem pięknego statku, a kapitan klął z żalu, że pewno nie napotka żadnego Hiszpana na pokładzie.

— Mnie smakuje tylko hiszpańska krew — rzekł. — Ned i Ambroży niech się zajmą abordażem. Śledź zostanie przy mnie.

Dampier wziął ster w swoje ręce i zręcznie poprowadził „Revenge” do brzegu tuż przy wielkim duńczyku, którego załoga była co najmniej dwa razy liczniejsza od bukanierów. Na pokładzie statku pirackiego nagle wyroili się ludzie, zarzucając haki i liny na swoją ofiarę. W ostatniej chwili Duńczycy chwycili za broń i oddali salwę muszkietową do napastników, ale już było za późno. John Hingson z jękiem osunął się na ziemię. Doktor Wafer zaniósł sam, bez niczyjej pomocy, tego dwakroć większego od siebie wielkoluda do forkasztelu, ale reszta pod wodzą Dawsa z wrzaskiem jęła skakać na pokład duńczyka ani dbając o strzały. Wyglądali niesamowicie, gdyż każdy miał jaskrawą chustkę wokół głowy, twarz posmarowaną ciemną farbą i kordelas w zębach.

Ned Daws i Edmund Cooke pierwsi skrzyżowali broń z przeciwnikiem, wykrzykując przy tym najstraszliwsze przekleństwa. W mgnieniu oka zapanowało przerażające zamieszanie. Z pokładu „Revenge” można było odróżnić bukanierów po ich czerwonych chustkach na głowie i obserwować, jak spychali swoich dwakroć liczniejszych przeciwników z pokładu. Oficerowie duńscy palili z pistoletów, ale w zamieszaniu trudno im było trafić we wroga.

Piraci wrzeszczeli, szable trzaskały, pistolety grzmiały. Donośne okrzyki w obcym języku dowodziły, że Duńczycy też rozporządzali niemałym zasobem przekleństw. Wkrótce do wrzawy dołączyły się jęki i rozpaczliwe wołania rannych. Stopy walczących ślizgały się we krwi.

Na chwilę przed abordażem Indianin Vasco wspiął się milczkiem na główny maszt „Revenge” ze strzelbą w dłoni. Usadowił się wygodnie, wycelował starannie, pociągnął za spust.. i kapitan

okrętu duńskiego, który kierował obroną z rufówki, osunął się na jedno kolano, potem chwycił ręką za pierś i padł martwy.

Cowley stwierdził niespodzianie, że walczy przeciwko Duńczykom i razem z nimi: dwaj marynarze z załogi okrętowej zwrócili broń przeciw własnym towarzyszom.

Ponad hałas i wrzawę bitewną wzniosł się jakiś głos. Duńczycy zawahali się i zaczęli oglądać za siebie, a piraci, nie rozumiejąc wołania, atakowali tym energiczniej.

— Nasz kapitan zabity! — wołał ktoś z rufówki łamaną angielszczyzną. — Poddajemy się!

Jeszcze przez chwilę walka trwała, potem zamarła, a kapitan Cook wszedł na pokład duńskiego statku, by oznajmić pierwszemu oficerowi, że on i jego ludzie zostaną natychmiast wysadzeni na ląd.

— Ależ Murzyni nas zamordują — zaprotestował Duńczyk.

— Nas wcale nie zamordowali — odparł chłodno John Cook. — Przeciwnie, okazali się przyjaźni i gościnni.

— Ale przecież wiedzą, że my jesteśmy handlarzami niewolników — wyznał z trudem Duńczyk, a oczy mu prawie na wierzch z głowy wyłaziły.

— To wasza wina, nie moja — rzekł krótko kapitan. — Macie prawo wsiąść na waszą łódź, a każdy może zabrać swoje osobiste rzeczy. Nic więcej. Mój zastępca dopilnuje, alby tak się stało. Na masztach mego statku będą czuwać uzbrojeni ludzie i jeśli nie opuścicie statku w ciągu godziny, wystrzelają was z góry jak króliki.

Dwaj Duńczycy, którzy w czasie bitwy przeszli na stronę piratów, zgłosili się teraz i zapytali, czy mogą przyłączyć się do zwycięzców. Bukanierzy przyjęli ich chętnie dowiedziawszy się, że mieli już w przeszłości niejaką praktykę w zawodzie pirackim.

Tego wieczoru wielki statek, którego nazwa brzmiała „Bachelor’s Delight”. — „Rozkosz Kawalerów” — wypłynął na morze i zakotwiczył niedaleko brzegu.

— I owszem, kawalerowie zaznają rozkoszy — rozmyślał głośno Ned Daws — ale nie tak regularnie jak żonaci.

Dampiera posłano wzdłuż wybrzeża, aby sprzedał „Revenge”. Osiągnąwszy dobrą cenę, powrócił wkrótce łodzią na nowy sta-

tek. Napełniono świeżą wodą zbiorniki i rozwinąwszy żagle, bukanierzy podążyli na południowe morza w dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzeli statek, na którym teraz żeglowali. Utracili w bitwie dwóch ludzi z załogi, a jeszcze trzech, ciężko rannych umiejętność i pielęgnacja medyka Wafera ocaliła od pogrzebu na dnie morza. Piękny statek sunął na południe pod wszystkimi żaglami.

Podobnie jak „Revenge” po przejściu w ręce bukanierów trafił na straszny sztorm, tak i nowy ich statek dostał się w opałę. Szalejące wiry powietrzne jeden za drugim pędziły z północnego wschodu i trzeba było wielkiej praktyki żeglarskiej, by im stawić czoła. Najprościej byłoby zwinąć żagle, ale bukanierzy chcieli wykorzystać sztormy, które wiały po ich kursie wprost do Cieśniny Magellana. Parę razy dziennie zapadała kompletna cisza, żagle zwisały, wiatr zamierał zupełnie, by nagle zerwać się z wstrząsającą gwałtownością. Lecieli z wichrem, wraz z którym zrywała się burza, błyskawice, pioruny i ulewny deszcz. Nasilenie burzy trwało zazwyczaj nie dłużej jak pół godziny, a w parę godzin później znowu zapadała martwa cisza. Taka była potęga tych podmuchów, że według obserwacji Dampiera od wybrzeża afrykańskiego »leciały przez powietrze ołowiane płyty zerwane z dachów«.

Bosman Smallbone kłął i poganiał ludzi do skracania żagli. Chwilami zdawało się, że nie ma innego wyjścia, jak zwinąć wszystkie żagle, ale kapitan i Ned Daws oponowali kłócąc się nieustannie z bosmanem. Chcieli wykorzystać wiatr, by nadrobić czas stracony w chwilach ciszy. Dampier przy sterze trzymał okręt na kursie i gnał razem z huraganem, obmyślając jednocześnie notatki, które miał zapisać później w dzienniku:

»Na morzu tornado nie trafia się tak często, jak na lądzie. W strefie burz żeglarze często obserwują tornado szalejące nad lądem, gdy oni sami żeglują po spokojnym morzu. Nawet, gdy wiatr wiał od brzegu, zdarzało się, że tornado zawracało z powrotem w głąb lądu, jakby siłą magnetyczną przyciągane. Często więc żeglarze widząc tornado nad lądem nie kłopotali się wcale i mówili: ląd pożre burzę.«

W okresach ciszy Vasco i inni Indianie wraz z bukanierami łowili rekiny, czasem po dwa lub trzy dziennie. Opuściwszy Sierra Leone w pośpiechu, bukanierzy mieli tylko te zapasy żywności, które zastali na duńskim statku. Za mało tego było na przeprawę przez Południowy Atlantyk. Rekiny okazały się pożądanym uzupełnieniem prowiantów. Gotowano je i wyciskano do sucha, a potem zalewano wrzącym octem z korzeniami. Po wystudzeniu jedli je wszyscy wyławiając podłużne kawały ryby rękoma z wielkich, miedzianych kotłów.

Strefa tornado i pasów martwej ciszy została wreszcie za nimi, a „Rozkosz Kawalerów” okazał się istotnie rozkoszą dla kapitana i załogi: był to statek szybki, sprawny, odporny na burze i świetnie wyposażony. Żeglował chyżo pod północno-wschodnimi i północnymi wiatrami. Dnia 28 stycznia 1684 roku dotarli do Wysp Falklandzkich na Południowym Atlantyku, zwanych wówczas Archipelagiem Sebalda.

— Noszą tę nazwę na cześć swego odkrywcy, a mojego rodaka, Sebalda van Weert — oznajmił dumnie Ned Daws.

— Nie mógł ten twój rodak czegoś lepszego odkryć? — krzywił się Patryk Hagan.

Istotnie, ów pierwszy ład, jaki ujrzeli od czasu opuszczenia Sierra Leone, nie wyglądał zachęcająco. Stada owiec, które pod opieką szkockich pasterzy są dziś podstawą gospodarki wysp, nie istniały jeszcze w XVII wieku. Skaliste, jałowe, bezleśne wyspy były nie zamieszkane. Wybrzeża okazały się trudno dostępne — tak że Dampier i Cowley nie mogli rzucić kotwicy. Wreszcie, już o czterysta jardów od brzegu, dosięgli dna, a i to okazało się skaliste.

Zamiłowany przyrodnik wszędzie i zawsze potrafi znaleźć coś interesującego dla siebie. Tym razem Dampier obserwował ławice małych krabów, od których powierzchnia morza mieniła się czerwono na dużych przestrzeniach, czasem zajmujących milę kwadratową. Razem z Lionelem Waferem, prawie tak ciekawym i nie nasyconym podróżnikiem jak on sam, Dampier zaczerpnął kilka wiader tych stworzonek, nie większych od małego palca człowieka i obejrzawszy je z bliska stwierdził, że mają kleszcze takie,

jak duże kraby. Ale najdziwniejszy był ich kolor: jaskrawoczerwony. Zwykle, jadalne kraby, jakie Dampier znał, były czarne, a czerwonego koloru nabierały dopiero po ugotowaniu.

Bukanierska kampania od dawna już była na morzu. Ludzie chorowali. Jeden z dwóch Duńczyków, którzy zaokrętowali się na „Rozkoszy Kawalerów”, zmarł. Niewielu było w ogóle całkowicie zdolnych do pracy. Brakowało odpowiedniego pożywienia, świeżej wody, brakowało wszystkiego, prócz rzeczy najkonieczniejszych do utrzymania się przy życiu — i prócz mocnych trunków, które na wycieńczonych ludzi działały o wiele zbyt gwałtownie. Kłótnie wybuchały bez ustanku. Rozkazy spełniano niechętnie, a dopóki statek szedł z wiatrem, bukanierzy upierali się, że nie ma w ogóle nic do roboty. Przy lada sprzeczce z błahego powodu wydobywano noże. Pewnego wieczoru po gwałtownej kłótni, z której Edmund Cooke wyszedł z podbitym okiem, a Duńczyk, ten pozostały przy życiu, z głęboko rozciętym ramieniem — Vasco zapytał Dampiera:

— Czemu ty pływasz na tych statkach, panie? Słyszałem, że w Anglii mógłbyś mieć wygodne życie. I tam jest twoja...

— Pływam na tych statkach, Vasco, bo ciekaw jestem świata. Chcę zobaczyć nowe kraje, odmienną przyrodę, dziwne zwierzęta, nieznane ryby. I ludzi obcych narodów.

— Ale ja słyszałem, panie, że są okręty, które walczą w imieniu króla Anglii, a sam widziałem statki, które handlują różnymi towarami. Czemu nie pływasz na takich statkach lub wielkich okrętach?

— Bo wtedy nie mógłbym opuszczać okrętu, kiedy mi się podoba, ani przyłączyć się do załogi innego statku, który płynie właśnie tam, gdzie do tej pory nie byłem.

— Tak, panie, to mogę zrozumieć. Ale Edmund Cooke? On nie jest ciekaw niczego. Ani Ned Daws. A ja pływam już długo z białymi ludźmi. Cóż oni mają z tego ciężkiego życia? Najwyżej trochę złota.

Dampier uśmiechnął się i odrzekł:

— Jeśli chodzi o kapitana, ten został piratem po to, aby móc zabijać Hiszpanów.



— To ja również rozumiem, panie. Ale mówiłem o Edmundzie Cooke, o Nedzie Daws...

— Zaraz ci powiem, Vasco. Oni nie mają żadnego zawodu, prócz żeglarskiego. Ale nie mają ochoty szorować godzinami pokładu ani czyścić mosiądzu. I nie lubią dyscypliny, w jakiej są trzymani marynarze na innych okrętach. Tam ludzi zmusza się do posłuszeństwa batogiem.

— Białych ludzi, panie?

— Tak, Vasco. Białych ludzi. A jeszcze inni idą na morze dlatego, że w swoim kraju popełnili jakieś przestępstwo i uciekają od więzienia. Czy ty wiesz, co to jest więzienie?

— O tak, panie. Hiszpanie trzymają Anglików w więzieniach, jeśli ich nie powieszą.

— I jeszcze jedna rzecz, Vasco. Wszyscy biali ludzie są chciwi pieniędzy...

— I Indianie, i Murzyni pożądamy teraz pieniędzy, od kiedy poznali białych ludzi — przerwał Vasco.

— A każdy pirat czy bukanier — nawet ja, chociaż dziś pieniądze nie są dla mnie ważne — marzy o tym, że pewnego dnia zdobędzie prawdziwie bogaty przyz albo złupi miasto pełne złota i srebra, i klejnotów.

— Ale miesiąc po miesiącu, rok po roku mija, a oni nie zdobywają lepszego łupu, prócz stateczków z ładunkiem kakao albo mąki, albo cukru.

Dampier znowu się uśmiechnął.

— To prawda, Vasco, ale jeśli ty pójdziesz polować, a nie ustrzelisz żadnej zwierzyny...

— Jak znajdę zwierza, panie, to zawsze ustrzelę.

— Wierzę ci, Vasco. Ale jeśli nie znajdziesz, to przecież idziesz dalej, wędrujesz po puszczy lub preriach dłużej i masz nadzieję, że wreszcie dostrzeżesz jakąś zwierzynę. Tak samo bukanierzy. Zawsze mają nadzieję, że wkrótce, może już jutro, zdobędą wspaiały galeon i będą bogaci na całe życie.

Vasco potrząsnął głową.

— Widziałem piratów w miastach, panie. Choćby mieli najbogatszy łup, przepuszczą wszystko w parę miesięcy: przepiją, przegrają w kości albo ich okradną po pijanemu.

Dampier położył rękę na ramieniu Indianina.

— Myślę czasami, Vasco, mój przyjacielu, że jesteś mądrzejszy od nas. I prawdą jest, że dla większości naszych kompanów okrętowych to wymarzone jutro i zdobycie bogatego łupu nigdy nie nadejdzie.

Statek bukanierów dopłynął już w pobliże Cieśniny Magellana i na pokładzie wybuchła gorąca sprzeczka na temat dalszej podróży.

— Zapuszczać się w Cieśninę Magellana? Niemożliwe! Ryzyko jest zbyt wielkie — protestował Dampier.

— Inni zaryzykowali i przepłynęli. A potem mogli zabijać Hiszpanów tak łatwo, jak nasi Indianie zabijają ryby płynące ławicą — odpowiedział kapitan Cook.

— A jakże! I tyle złota zdobyli na Hiszpanach, że każdy się ugiął pod jego ciężarem — poparł kapitana Ambroży Cowley.

— Inni ludzie, inne statki, inne czasy — odburknął Dampier.

— Naszemu statkowi nic nie można zarzucić — bronił się Cowley.

— Dampier chce powiedzieć, że ja nie jestem Franciszkiem Drake — uśmiechnął się kapitan.

— Statek jest dobry i kapitan jest dobry — wmieszał się Ned Daws. — Ale jednak Śledź ma rację. Kiedy Franciszek Drake przepłynął Cieśninę Magellana, miał ze sobą najlepszych marynarzy z Plymouth, zdyscyplinowanych, doświadczonych, wyćwiczonych na okrętach wojennych. A i tak jeden z jego trzech statków zawrócił, a jeden zatonął.

— Dosyć o Franciszku Drake — odparł kapitan Cook. — To było przed stu laty. Od tej pory niejeden statek przepłynął przez Cieśninę Magellana.

— Nasi ludzie są bukanierami. Nie słuchają rozkazów, jak marynarze wyćwiczeni na okrętach pod batogiem. Nie można ich znaleźć na zawołanie w chwili niebezpieczeństwa.

— Mało jest okrętów korsarskich o załodze tak dobrej jak nasza, choć wszyscy razem jesteśmy rozbójnikami — powiedział Cowley.

— To z pewnością prawda — rzekł Daws chcąc się przypodobać kapitanowi. — Ale nawet najlepsi z bukanierów słuchają roz-

kazów tylko wtedy, kiedy im się podoba. Ja będę słuchał kapitana, gdziekolwiek postanowi płynąć, ale jednak myślę, że Dampier ma rację. Zostawimy lepiej Cieśninę Magellana ludziom, którym więcej zależy na sławie, a mniej na złocie i kobietach.

Kapitan Cook zawział się, ale groźne żywioły stanęły po stronie Dampiera i Dawsa.

»Mieliśmy dosyć silny wiatr północno-północno-zachodni — opisywał Dampier ich nieudaną próbę. — Wzięliśmy kurs prosto na Cieśninę Magellana. W odległości czterech mil od ujścia cieśniny wiatr ustał, a silny prąd odpływu zaczął nas odpychać na północ. Morze kotłowało się, jak w miejscu, gdzie się dwa przeciwne prądy spotykają. Kręciło nami na wszystkie strony. Fale załamywały się nad naszym statkiem, czasem na bukszprycie, to znowu na pokładzie i zlewało nas aż do nitki. Statkiem rzucało jak skorupą jaja. O ósmej wieczorem wstała lekka bryza na zachodzie, więc daliśmy spokój i pożeglowaliśmy na wschód, zamierzając opłynąć wyspę Staten, której wschodni kraniec zobaczyliśmy następnego dnia w południe, żeglując całą noc pod dobrym wiatrem.«

Opłynięcie przylądka Horn, który słynie jako najburzliwszy na świecie, też nie jest łatwym zadaniem dla żaglowca. Morze wzbija się tu w istne góry wodne, pędzone potężnymi szkwałami przez tysiąc pięćset mil morskich, a widoczność zaciemniają śnieżyce i niskie chmury. Ludzie poubierani we wszelką odzież — po kilka par spodni i kilka koszul, nałożonych jedno na drugie — zgrabiałymi z zimna palcami z trudem chwyтали liny. Na brwiach wilgoć z powietrza zamarzała w kryształki lodu. Ale bukanierzy nie mieli już wyboru.

„Bachelor’s Delight” szczęśliwie nie napotkał groźniejszych burz, zanim się nie znaleźli na zachód od przylądka. Przepłynęli przez cieśninę Lemaire wieczorem i gnali dalej na południe, pędzeni silnym wiatrem. Za przylądkiem Horn napotkali gwałtowną burzę, która uniemożliwiła dalszą podróż. Od 14 lutego do 3 marca statek nie posunął się wcale w zamierzonym kierunku. Padał stale drobny deszcz zaciemniający widoczność. Gdy statek kołysał się na burzliwych falach, a żeglarze zmagali się z wichurą,

by nie dopuścić do odrzucenia go z powrotem na Atlantyck, druga zmiana ludzi łapała cenne krople wody deszczowej, której nazbierano aż dwadzieścia trzy beczki.

Wreszcie wiatr się zmienił: najpierw na południowy, aż w końcu powiał od wschodu. Bukanierzy wzięli kurs na Wyspę Juan Fernández, o tysiąc pięćset mil na zachód od Valparaiso na wybrzeżu chilijskim, aby nabrać wody, oczyścić kadłub i zaopatrzyć się w większą ilość świeżych owoców i warzyw przeciwko skorbutowi, który dolegał prawie wszystkim. Po drodze napotkali statek korsarski pod dowództwem kapitana Batona i dowiedzieli się, że sławny kapitan Swan również krąży w pobliżu tych wybrzeży. Dwa statki popłynęły razem na wyspę Juan Fernández, podzieliwszy się wprzód swymi zapasami.

## Rozdział X

### OSTATNI HISZPAN KAPITANA COOKA

Juan Fernández jest właściwie archipelagiem, który dziś należy do Chile, ale bukanierzy lądowali zwykle tylko na Mas Atierra i nazywali tę wyspę imieniem całego archipelagu. Była ona nie zamieszkała za czasów Dampiera — dziś liczy zaledwie trzystu mieszkańców — ale gdy „Rozkosz Kawalerów” pruć fale Pacyfiku, dzień po dniu zbliżając się do Juan Fernández, na wyspie owej samotny Indianin, wysoki mężczyzna w sile wieku, odziany tylko w miękko wyprawioną skórę owiniętą wokół bioder, cierpliwie znaczył nożem karby na pniu, by nie stracić rachuby dni. Czekał przybycia statku korsarskiego. Znał język bukanierów, służył im niegdyś, dobrze wspominając te czasy. Było już chyba z tysiąc tych karbów.

Samotne dni oczekiwania Indianin wypełniał praktykowaniem różnych umiejętności znanych jego plemieniu, a także i tych, których nauczył się od Anglików. Ale dzień po dniu zawsze wspinał się po stromych wulkanicznych skałach na najwyższy szczyt na wyspie — około trzy tysiące stóp nad poziomem morza — by

śledzić horyzont. Gdy dostrzegał żagiel płynący w stronę Juan Fernández, skrywał się przezornie i śledził przybyszów, sam niewidzialny, aby przekonać się, czy są to Hiszpanie, czy korsarze: wolał bowiem swoją samotną wolność od ciężkiej służby, a właściwie niewoli u Hiszpanów.

Tryb życia Indianina, którego przed laty bukanierzy nazwali imieniem Will, świadczył o trudnościach, jakie musiał przezwyciężyć, zanim się jako tako zagospodarował na swojej wyspie, o obszarze trzynaście na cztery mile. Pierwszą była sprawa żywności. Miał strzelbę, nieco prochu i kul, co na krótki przeciąg czasu wydało na jego łaskę i niełaskę dzikie kozy wędrujące po łagodnych dolinach i prawie bezleśnych zboczach porośniętych trawą — ale nie trawą prerii zachodnioindyjskich, długą i ostrą, lecz gęstą, soczystą i ukwieconą. Nie wiedział o tym, że te liczne stada kóz rozmnożyły się z kilku sztuk, przywiezionych tutaj z Półwyspu Iberyjskiego przed stu przeszło laty przez Hiszpana, Juana Fernández, który odkrył archipelag.

Zaspokoiwszy pierwszy głód Indianin Will zaczął rozważać sprawę wybudowania sobie trwalszego schroniska. Na niższych partiach wyspy, pokrytych lasem — dziś prawie zupełnie wytrzebionym — a głównie drzewem sandałowym, było pod dostatkiem dobrego budulca, a wewnątrz mógł uszczelnić i wysłać kozimi skórami. Ale przede wszystkim trzeba było mieć narzędzia. Indianin najpierw wyszczerbił w ząbki swój nóż i posługując się nim jak piłą rozdzielił na kawałki strzelbę, bezużyteczną od chwili, kiedy wyczerpał się zapas prochu. Przy pomocy krzemienia ze strzelby i kawałka lufy skrzesał ogień i nad ogniskiem ogrzewał metalowe części strzelby, a kując w nie kamieniem sporządził sobie ostrza do harpuna i dzidy, haczyk do wędki oraz długi nóż, którego ostrze wyszlifował w ciągu długich dni cierpliwej pracy.

Teraz mógł polować z dzidą na kozy, z harpunem na foki, które stadami przyływały do wybrzeża, no i budować. Mięso fok nie należało do przysmaków, ale potrzebne mu były ich skóry, z których zrobił linki do wędek, pociąwszy je na długie pasy. O milę od brzegu zbudował w ukryciu dom, uszczelniając sufit i ściany skórami kóz, a na ziemi sporządziwszy legowisko na podwyższeniu. Dampier, gdy obejrzał to wszystko, pisał później:

»Może to się wydawać nadzwyczajne komuś nieobznajmionemu ze zręcznością Indian we wszelkich kunsztach. W swoich własnych wioskach sporządzają oni narzędzia rybackie i myśliwskie bez pomocy kowadła. Ci Indianie, którzy nie nauczyli się jeszcze od Anglików użytku żelaza, robią siekiery z bardzo twardego kamienia i ścinają nimi drzewa, a także wydrążają czółna sporządzone z jednego pnia.«

Kilka razy Indianin Will przyglądał się z ukrycia ludziom wysiadającym ze statku na jego wyspę. Byli to zawsze Hiszpanie, którzy dowiedzieli się skądś o jego pobycie na wyspie. Indianin Will bez wielkiego trudu wymyślał się ich poszukiwaniom kryjąc się wśród bujnej roślinności, zwłaszcza wśród wysokich gęstych paproci, które przecinały nielitościwie skórę człowieka, jeśli nieopatrznie zapuścił się w ich gąszcz. Tylko Indianie potrafili sobie z nimi radzić.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy na widok nadpływającego statku serce zabiło mu niespokojnie w radosnym przeczuciu. Dopóki nie nadszedł zmrok, Will nie spuszczał wzroku ze statku. Wydawał się zupełnie spokojny i nikt nie dostrzegłby na jego brunatnej twarzy żadnych oznak podniecenia. A był pewien, że ten powoli zbliżający się w łagodnych podmuchach wiatru statek należał do bukanierów. Widywał już wiele statków i umiał odróżnić takielunek na statkach hiszpańskich.

Następnego ranka Will pospieszył na wyższe zbocza i zabił trzy kozy, po czym zajął się przygotowaniami do uczyty. W tym celu wyszukał w zaroślach najładniejsze okazy palm z gatunku *Areca sapida*. Na wyspie drzewa te były wyjątkowo niskie, gdyż gdzie indziej dosięgają stu dwudziestu stóp wysokości. Nie mają bocznych konarów aż do wierzchołka, gdzie z jednego poziomu wyrasta promienisto szereg gałęzi o liściach ułożonych płasko i ściśle z dwóch stron tak, że gałąź wraz z liśćmi czyni wrażenie jednego, wielkiego liścia. W środku tych promieniście rozchodzących się gałęzi, u szczytu pnia, znajduje się jeden wielki owoc, gruby jak udo mężczyzny, długości jednej stopy, biały i smaczny.

Will ścinał kilka owoców — zabijając w ten sposób drzewa, które giną po utracie korony — i przyrządził z nich wyśmienity sos do mięsa. W okolicach gdzie palmy te wyrastają na znaczną wy-

sokość, jak na Jamajce, ścina się zwykle całe drzewo, by otrzymać owoc, a pień służy do budowy chat. Gdy pieczeń była już gotowa, Will poszedł na wybrzeże, by oczekiwać przybycia statku, z którym wiązał tak wielkie nadzieje.

— Ten jegomość Fernández powinien był nazwać swoją wyspę foczą wyspą — mówił Dampier do Neda Dawsa przypatrując się z pokładu coraz bliższym i wyraźniejszym wybrzeżom.

— Hiszpanie chlubią się jego nazwiskiem — zauważył Daws.

Propozycja Dampiera była wcale trafna, gdyż wody w pobliżu wyspy roily się od fok i nawet na odległość widać było zwierzęta, jak zalegały pokotem nadbrzeżne skały. Rzucono kotwicę o jakieś czterysta jardów od południowego wybrzeża wyspy, a Dampier opowiadał swemu towarzyszowi Vasco.

— To było na krótki czas przed tym, zanim ty się do nas przyłączyłeś...

— Zanim ty mi uratowałeś życie, panie — poprawił Vasco.

Dampier uśmiechnął się do Indianina, który nigdy nie pozwolił mu zapomnieć, w jakich okolicznościach się spotkali, i ciągnął dalej:

— Pływaliśmy z Bartłojem Sharpem. Will poszedł na ląd, by upolować parę kozłów. Ale zanim powrócił, na horyzoncie ukazały się trzy hiszpańskie okręty. Nie mogliśmy czekać: płynęły pod pełnymi żaglami, a każdy z osobna załatwiłby się z nami bez trudu. I tak Will pozostał na wyspie. Mało jest prawdopodobne, byśmy go odnaleźli, ale może jeszcze...

— Łódź jest gotowa — rozległ się głos kapitana Cooka. — Niechaj Śledź popłynie na ląd, jeżeli chce.

Foki dokazywały i pluskały się w wodzie. Za zbliżeniem się łodzi samice uciekały na brzeg i niezdarnie wspierając się na płetwach i ogonie śpieszyły do swoich małych, które leżały na słonecznej plaży wśród setek innych i dla każdego innego oka prócz matczynego wydawały się dokładnie takie same.

Pierwszy wyskoczył na brzeg Indianin Robin, który był na pirackim statku wtedy, gdy zostawiono Willa na wyspie. Przez chwilę rozglądał się po wybrzeżu, a Vasco i Dampier wysiedli

i wyciągnęli łódź na piasek. Za nimi wyskoczyli inni. Małe foczątka wylegiwały się na piasku naszczekując jak szczeniaki na przybyszów, ale gdy Vasco zaczął je roztrącać i uderzać rękojęścią swojej dzidy, ześliznęły się do morza i odpłynęły bardzo zręcznie i szybko. Uderzenia nie zrobiły im krzywdy: by zabić fokę, trzeba ją trafić w nos i to bardzo silnie. Na pobliskich skałach wygrzewały się również lwy morskie — płowe, ogromne, sześciokrotnie większe od foki, o ciele podobnym do wołu, a głowie lwa, o długich jak wąsy włosach nad wargami. Leżały stłoczone po pięć lub sześć razem i pochrząkiwały jak wieprze.

— Willa nie widać nigdzie — rzekł z rozczarowaniem w głosie Dampier, ale Robin i Vasco ozwali się jednocześnie:

— Nie wyjdzie na brzeg, dopóki się nie upewni, czyj statek zawinął.

Obaj Indianie poszli wzdłuż wybrzeża, trzymając się odkrytej, nie porośniętej lasem przestrzeni. Nie nawoływali wcale. I nagle z najbliższych zarośli wyskoczył ku nim Indianin Will — krzycząc, tańcząc i wymachując włócznią. Robin i Vasco pobiegli ku niemu i padli na ziemię na znak radosnego powitania. Will schylił się i podniósł w serdecznym uścisku najpierw Robina, dawnego przyjaciela, potem Vasco; a następnie sam z kolei ukląkł i schylił się do ziemi, witając swoich wybawicieli. Tego wymagał ceremoniał powitalny. Dampier również pośpieszył uścisnąć Willa, a za nim nadbiegł Patryk Hagan, Edmund Cooke, Lionel Wafer — wszyscy, którzy znali Willa z tych czasów, kiedy razem żeglowali pod dowództwem Bartłomieja Sharpa. Zabrali go na statek razem z wyśmienicie przez niego przyrządzoną pieczenia koźlą, a tam znowu zaczęły się powitania i opowiadania, w których tylko kapitan John Cook nie brał udziału, gdyż leżał w gorączce na koi w swojej kajucie.

Wkrótce Indianie, pod kierunkiem Willa, który wskazał najlepsze do połowu miejsca, poszli łowić ryby skalne (*Scorpaenopsis cacopsis*) o różowo zabarwionym mięsie, będące ulubionym przysmakiem marynarzy. Dampier opowiadał, iż w pobliżu Juan Fernández tak liczne były ławice tych ryb o cudacznym wyglądzie, pstrej łusce i głowie jak u żaby, iż dwóch ludzi w ciągu godziny mogło złowić tyle, by starczyło na posiłek dla stuosobowej załogi.



Vasco dopomógł bukanierom sporządzić nową łódź. Ścięto drzewo o wysokim grubym pniu, po czym pień ociosano z jednej strony na kształt dna i zaokrąglono po obu końcach. Z kolei wydrążono środek, pozostawiając warstwę drewna grubości trzech cali na dnie, a dwóch cali po bokach. Przy burcie boki zwężały się do grubości tylko półtora cala. Sprawdzone grubość wypływając okrągłe otwory, które z powrotem zatykano drewnianymi kołkami.

Kapitan Cook nie był jedynym z bukanierów, który zapadł na „złą gorączkę” w ciągu trzytygodniowego pobytu na wyspie Juan Fernández. Zbudowano szałas na brzegu i tam przeniesiono chorych na szkorbut, którymi opiekował się Lionel Wafer wraz z czterema lekarzami ze statku kapitana Eatona. Lionel Wafer, który znał się na tym, wyszukiwał lecznicze zioła i dodawał je do potraw przyrządzanych dla chorych.

Z wyspy Juan Fernández popłynęli na północny wschód, podziwiając z dala widoczny na horyzoncie łańcuch górski Andów, biegnący w równoległych zboczach wzdłuż zachodniego wybrzeża Ameryki Południowej. Szczyty, wysokości osiemnastu do dwudziestu trzech tysięcy stóp, kryły się niekiedy w chmurach, choć deszcze i mgły były tu rzadkością zarówno na lądzie, jak na morzu.

Gdy zbliżyli się do wybrzeży Ekwadoru »wiatr wiał od południowego wschodu, co jest w tych okolicach najpowszechniejsze, i wzięliśmy kurs na północo-zachód, aby dostać się na szerokość wysp Galapagos. W odległości czterdziestu minut\* od równika skręciliśmy na zachód pod lekką bryzą południową.«

Wyspy Galapagos nie wyglądały zachęcająco. Ziemia przy wybrzeżach jest mało urodzajna, rosną tutaj tylko kaktusy i kolczaste krzewy. Dopiero dalej, w głębi lądu, zaczyna się bujna roślinność podzwrotnikowa. Ale pomimo niegościnnych pozorów archipelagu, bukanierzy z niecierpliwością śpieszyli do lądowania, ciesząc się na myśl o smacznych potrawach, które mogli tu sobie przyrządzić i cennym ładunku, który mogli zabrać bez walki i narażenia się na niebezpieczeństwo.

Gdy flotylla korsarzy zakotwiczyła — był z nimi i kapitan Eaton i parę drobniejszych stateczków, wziętych jako przyzy bez

\* Minuty łukowe szerokości geograficznej, 1 min. łuk. = 1852 m (*Przyp. red.*)

cenniejszego ładunku, prócz mąki i cukru — Daws i Dampier zeszli na ląd z paru ludźmi, by rozbić namiot dla Johna Cooka chorego na febrę. I od razu otoczyło ich to bogactwo, po które tu przyjechali. Żółwie. Tuziny za tuzinami żółwi morskich i lądowych o fantastycznych wprost rozmiarach. Wyspy Galapagos (których nazwa oznacza żółwie po hiszpańsku) zasłynęły wśród korsarzy jako siedlisko tych zwierząt.

Wielkie, okrągłe, jak bojowe tarcze jakichś wielkoludów, żółwie wygrzewały się na piaskach nabrzeży. Dampier zwrócił się do Indianina Vasco:

— Weź Robina i Willa i podwracajcie z tuzin tych żółwi na grzbiet, by nie pouciekały.

Indianin spojrział na wybrzeże z rozczarowaniem.

— Nie będziemy zabijać ich harpunami w morzu? — zapytał.

Obaj biali roześmiali się.

— Nikt ci nie zabroni, jeśli masz ochotę. Ale to zbędny trud. Widzisz, że leżą na brzegu i po prostu czekają, by je zabrać.

Przybycie ludzi wcale nie spłoszyło żółwi, a następnego dnia wyszły na brzeg w jeszcze większej ilości. Korsarze nawet się nie trudzili z odwracaniem ich na grzbiet, gdyż zawsze było ich pod dostatkiem. Objadali się po prostu wysmienitym mięsem i zupą i zaopatrzyli się w ogromną ilość szylkretu. Ta, można powiedzieć, uprzejmość żółwi, zaoszczędziła im dużo ciężkiej pracy, gdyż odwrócenie takiego olbrzyma, zwłaszcza gdy się opierał, było zadaniem trudnym nawet dla dwóch mężczyzn. Żółwie te, zwane słoniowymi, miały po dwie do trzech stóp grubości, a tarcze brzuszne o średnicy pięciu stóp.

Gatunek żółwi morskich, również często spotykanych na Galapagos, był o połowę mniejszy. A tyle ich było razem, i morskich, i lądowych, że zdaniem Dampiera:

—Pięcuset, a nawet sześciuset ludzi, żywiąc się wyłącznie żółwiami, mogłoby jeść do syta przez wiele miesięcy. Są bardzo tłuste, a mięso ich tak wyborne, że nawet kurczę nie dorówna mu delikatnością i smakiem. Przeciętnie duży żółw waży od stu pięćdziesięciu do dwustu funtów.«

Bukanierzy wybierali zwierzęta o najpiękniejszych pancerzach i każdy wycinał na brzegu skorupy swój znak. Zabijali je dopiero wtedy, gdy statek gotował się już do odpłynięcia. Załoga była dzięki temu zaopatrzona w świeże mięso na drogę, a każdy z marynarzy zabierał swój wybrany szylkret.

— Czemu to nasi kamraci są ostatnio tacy cisi i łagodni, panie? — pytał Indianin Vasco Dampiera pewnego wieczoru, gdy rozżarzone słońce zapadało w głąb morza. — Edmund Cooke jest tak przyjazny, że gotów jestem podejrzewać go o wrogie zamiary.

— Mówisz o dwóch różnych rzeczach — odparł Dampier. — Bukanierzy zachowują się spokojnie, bo mają pod dostatkiem wybornego jadła i spodziewają się bogatych przyzów przy wybrzeżach Panamy. A może i z powodu chorych towarzyszy. Twardzi z nas są ludzie, Vasco, i niejedno mamy na sumieniu, ale jednak w sercach odczuwamy pewną, jakby to rzec, lojalność. Gdy kapitan jest chory, staramy się jednak przyzwoicie zachowywać i nie sprawiać mu kłopotu.

— A Edmund Cooke?

— To człek próżny i chełpliwy, Vasco. Lubi gromadzić wokół siebie popleczników, nim się do burdy zabierze. A tutaj ich nie ma. Poza tym nie zapomni tak prędko o zniknięciu Dawida Greena. — Tu Dampier, który właśnie czyścił skorupę żółwia, podniósł nieco głowę i spojrzął z ukosa na swego wiernego przyjaciela. Ale Indianin z niewinną miną spoglądał na morze.

Bukanierzy byli tylko dwa tygodnie na wyspach Galapagos, więc Dampier niewiele miał czasu, by studiować obyczaje żółwi. Powetował to sobie kiedy indziej i takie poczynił zapiski w swoim dzienniku:

»Żółwie kopulują przez dziewięć dni bez przerwy, w morzu, samiec na grzbiecie samicy, a tak się przy tym zapamiętują, że nawet kiepski łowca może je z łatwością zabić. Samica widząc nadpływającą łódź, chce uciekać, ale samiec trzyma ją mocno przednimi odnóżami i nie puszcza, a sam ani dba o niebezpieczeństwo. Najlepiej wówczas zabić samicę, bo samiec od niej nie odejdzie.«

Zapłodniona samica znosi od osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu jaj trzy razy w roku, ale nie na wyspach Galapagos. W tym celu żółwie podróżują daleko aż do wybrzeży stałego lądu. Tam nocą ciężka, brzemienna samica z trudem wdrapuje się na brzeg i pomału, z częstymi odpoczynkami, krąży i zwiedza wybrzeże, aż w końcu znajdzie miejsce, które uzna za najodpowiedniejsze. Wraca wtedy z powrotem do morza. Następnej nocy wychodzi znowu i wygrzebawszy w wybranym miejscu wielką dziurę w piasku znosi tam jaja, przykrywa je piaskiem na grubość dwóch stóp i wtedy znowu powraca do swego małżonka, który czeka na nią w morzu. W okresie rozmnażania się samce tak chudną, że nie nadają się do jedzenia, ale samice są zawsze wyborne.

Dampier nie wspomina — może nie wiedział o tym — że żółwie z Galapagos żyją po trzysta i czterysta lat i należą do najbardziej długowiecznych zwierząt na kuli ziemskiej. Dziś na wyspach Galapagos żółwie są już prawie zupełnie wyniszczone. Masowe zabijanie żółwi, rozpoczęte przez korsarzy, prowadzili dalej wielorybnicy. Szylkret był również cennym i poszukiwanym artykułem. Archipelag należy obecnie do Ekwadoru, ale liczy zaledwie dwa tysiące mieszkańców. Władze urządziły tam miejsce zesłania dla przestępców.

Kapitan Cook nie wrócił do zdrowia na lądzie. Bukanierzy, żądni łupów i kobiet, popłynęli w kierunku północnych wybrzeży Peru. W pobliżu wyspy Lobos (co po hiszpańsku znaczy foki) wysledzono dwa małe statki, a na północ od nich trzeci, większy, na przestrzeni pomiędzy wyspami a lądem stałym. Kapitan Eaton na najszybszym statku popłynął w pościg za dwoma mniejszymi stateczkami. „Rozkosz Kawalerów” zaczął się szykować do spotkania z trzecim. Wszczął się gorączkowy ruch. Edmund Cooke ładował swe wypielegnowane armaty, Ned Daws szykował bosaki do abordażu, ludzie znosili broń i amunicję, usuwali z pokładu zbędne przedmioty. Dampier za sterem ze zdumieniem spostrzegł głowę chorego kapitana, wynurzającą się pomału z otworu włazu.

— Na Boga, John, nie powinieneś wychodzić na pokład teraz właśnie! — zawołał Dampier.

— Hiszpanie są blisko — powiedział z wolna John Cook. — Poczulem ich.

Policzki miał wpadnięte, skórę żółkłą, podkrążone oczy pło-

nęły nienormalnym blaskiem. Chwycił obu rękoma za burtę, by się utrzymać na nogach.

— To będzie łatwa robota, John. Ich bukszpryt jest zwrócony do brzegu. Poddadzą się na pierwszy strzał armatni Edmunda. Możesz zostać w kajucie.

— Mego Hiszpana nikt za mnie nie zabije — wymówił niewyraźnie Cook.

Miał na sobie tylko koszulę i spodnie przewiązane pomarańczowym pasem, za który zatknął dwa pistolety i zakrzywioną szablę, groźną broń w jego ręku. Z drugiej strony za pasem tkwiła nieodstępna Biblia. Na głowie związał czerwoną chustkę. Zwrócił się do Smallbone'a.

— Więcej żagli, bosmanie.

Słowa były zwykłe i wymówione spokojnie, jak zazwyczaj każdy rozkaz kapitana Cooka. Ale w głosie jego dźwięczała taka zimna zawziętość, że bosman cofnął się o krok, jakby od uderzenia. I wszyscy, którzy byli na tyle blisko, by rozkaz usłyszeć, rzucili spłoszone spojrzenia na drobną postać kapitana. Cisza padła na okręt. Można było pomyśleć, że dowodziło nim widmo.

— Przygotować łódź do spuszczenia — powiedział kapitan Cook do Neda Dawsa tym samym cichym i zawziętym głosem.

Ścigany statek nie zdradzał niczym, iż dostrzegł bukanierów. A na pokładzie „Rozkoszy Kawalerów” wielu wolałaby zaniechać pościgu, gdyż widzieli teraz wyraźnie, iż to duży, dobrze uzbrojony okręt, na którym powiewała flaga wiceadmirała floty hiszpańskiej. Ale nikt nie śmiał odezwać się z taką propozycją wobec tej szczupłej postaci stojącej na ruf owce z niesamowitym blaskiem w oczach.

Przerażony Vasco, wyczuwając instynktownie niepojętą grozę, przykucnął obok Dampiera, który trzymał statek na kursie i doprowadzał go coraz bliżej do ogromnego, jak wieża, okrętu hiszpańskiego. Śledził zarazem spod oka kapitana, jak dozorca w szpitalu dla obłąkanych mógłby śledzić pacjenta, który pozbył się kaftana bezpieczeństwa i zjawił w kwaterach lekarzy.

— A więc oni myślą, że nikt się nie ośmieli zaatakować admirańskiego galeonu? — zasyczał kapitan Cook, jakby mówił do siebie. — Wachta śpi w słońcu! Żle sobie wyrachowali. Nie obli-

czyli, że tej garści straceńców z Mórz Karaibskich przewodzi kapitan, który choruje, bo zbyt długo już nie widział świeżej krwi hiszpańskiej płynącej po deskach pokładu!

Chwiejnie szedł po pokładzie do forkaasztelu, a Robin i Will skryli się przed nim z przerażeniem, jakby ujrzeli ducha. Kapitan doszedł do granitowego kamienia umieszczonego przed forkaaszteltem i wydobywszy swoją zakrzywioną szablę, zaczął ją ostrzyć. Chwilami podnosił ją do góry i pomrukując coś do siebie, próbował ostrza palcem. Wreszcie, zadowolony, wsunął ją z powrotem do pochwy zawieszanej na rapciach, ale tak niezdarnie, że przeciął swój jedwabny pas. Pomarańczowa smuga osunęła się na pokład, zadźwięczały spadające pistolety, głucho stuknęła Biblia. Kapitan nie zwrócił na to żadnej uwagi i chwiejnym krokiem podszedł do burty.

Bukanierzy byli już tylko o ćwierć mili od hiszpana.

— Oddaj ster Cowleyowi — rozkazał kapitan Dampierowi. — Ty wsiądziesz ze mną do łodzi. I zabierzesz ze sobą swój miedzianokóry cień. Ty także pójdziesz z nami, Ned...

Było to niesłychane, aby i kapitan, i jego pierwszy oficer opuszczali jednocześnie statek w takiej chwili. Ale Daws, rzuciwszy tylko jedno spojrzenie na płonące oczy kapitana, nie zaprotestował ani słowem.

Bukanierzy, którzy nie wiedzieli, że hiszpańscy marynarze na wachcie nie tylko pospali się, ale byli na dodatek pijani, a ich oficerowie grali w karty w kajucie wiceadmirala — podpłynęli łodzią pod ogromny galeon, unieruchomili ster i zaczęli się wspinać na pokład.

Kapitan Cook, jakby zapomniał o swej niedawnej chwiejności ruchów, wspinał się zręcznie i pierwszy wyskoczył na pokład. Sternik, drzemiący za kołem, rozwarł w osłupieniu oczy, ale nim zdołał krzyknąć, zakrzywiona szabla rozplatała mu pierś. Drugi padł marynarz wachtowy.

— Dwóch. Za mało... O wiele za mało — mówił przerywanym głosem Cook. — Zajmij się tymi na pokładzie, Daws. Nie oszczędzaj ich dlatego, że są pijani. Za mną, Dampier. — I zsunął się do głównego wjazdu, cichy i szybki, jak szatan.

Rozrąbał głowę stewardowi, nim ten zdążył krzyknąć na widok

tych półnagich, dzikich postaci pod wodzą człowieka o niesamowitym spojrzeniu. Z trzaskiem rozwalił drzwi kajuty i wpadł do środka, a za nim nadbiegli Dampier, Vasco, Patryk Hagan i inni jeszcze, bosymi stopami pędząc bezszelestnie po korytarzu. Oficerowie hiszpańscy w porozpinanych mundurach siedzieli wokół stołu.

— Jezus, Maria, Józef! Czy sam diabeł...? — Wiceadmirał nie dokończył zdania. Padł przecięty prawie na pół okropnym ciosem zakrzywionej szabli.

Oficerowie porwali się na nogi, chwycili za szpady, ktoś wystrzelił z pistoletu, dym wypełnił kajutę, rozległy się krzyki, szczęk broni, wrzawa. Straszna, zakrzywiona szabla wznosiła się i opadała, błyskając wśród dymu.

— Siedmiu! Ja sam! Siedmiu! — dyszał Cook, ocierając szablę krwawą smugą na białych, jedwabnych spodniach wiceadmirala. — Na pokład! Będę miał jeszcze więcej!

Daws na czele bukanierów na pokładzie rozprawił się bez wielkich trudności z oszołomionymi niespodziewaną napaścią marynarzami. Większa część załogi hiszpańskiej znajdowała się pod pokładem i alarm doszedł do nich dopiero, gdy Cook powracał już na pokład.

— Nikt nam żywcem nie ujdzie! Nikt! — zacharczał Cook. — Daws, zbiegnij tylnym pokładem i wypędź ich z dołu, niech wyłażą tędy.

Stanął nad głównym włazem, schylony w oczekiwaniu, a całe ciało drgało mu, jak w konwulsjach. Głowa hiszpańskiego marynarza wynurzyła się nad pokład i, ścięta od jednego zamachu, potoczyła się po deskach. Ciało spadło w dół, przyjęte wrzaskiem strachu i wściekłości. Kotłowanina na dole wybuchła piekielna, gdyż Hiszpanie cofnęli się od głównego włazu i próbowali przebić się przez Neda Dawsa i jego ludzi. Nad pokładem ukazała się druga głowa i znowu potoczyła się gładko odcięta.

Dampier, choć zahartowany w pirackim życiu, nie wytrzymał. Odszedł do burty i zaczął gwałtownie wymiotować. Gdy w chwilę później zzieleniały i słałby odwrócił się i spojrzał na pokład, kapitan Cook leżał na deskach, ręką cisnąc pierś. Zgięte kolana próbowały jeszcze unieść ciało, ale głowa kiwała się bezwładnie, dotykając zakrwawionych desek pokładu.

— Dziewięciu... dziewięciu... za mało... — rzeził. — Pomóż mi, Dampier... ty słabeuszu... rzygać w takiej chwili?

Dampier przykląkł nad nim i, objawszy ramieniem, podźwiгнаł. Ostatnim wysileniem kapitan podniósł się i stanął wyprostowany. Stał tak chwilę, chwiejąc się i ściskając szablę obu rękami. Głos jego teraz zniżył się do ledwo dosłyszalnego szeptu:

— Powiedz Dawsowi, żeby mi tu jeszcze więcej napędził...

I upadł twarzą na pokład, wyliczywszy swego ostatniego Hiszpana.

Gdyby kapitan Cook żył jeszcze, mniej by go zmartwił niż jego załogę fakt, że galeon admiralski nie wiozł nic cenniejszego prócz ogromnego posagu Matki Boskiej, wyrzeźbionego z drewna i pomalowanego, oraz białego muła, którego wicekról Limy posyłał w prezencie prezydentowi Panamy. Mało by się też wzruszył, gdyby się dowiedział, że galeon wypłynął z Limy, wioząc skarb wartości ośmiuset tysięcy dukatów w złocie, ale zawrócił i wyładował go z powrotem, usłyszawszy, że angielscy korsarze grasują na wodach Pacyfiku.

## Rozdział XI

### CHELPLIWI WŁADCY MÓRZ

Ned Daws objął po Cooku komendę statku bukanierów. Szczęście nadal im nie sprzyjało. Wpadały im w ręce tylko drobne stateczki, które nie stawiały żadnego oporu, bo zupełnie były do tego niezdolne, a wiozły ładunki drewna, mąki, co najwyżej wina. Żywność czasem się przydawała, ale najczęściej ładunki po prostu wyrzucano za burtę.

Dobry żeglarz i zacy człowiek, Ned Daws nadto jednak po-błażał swoim kamratom. Gdy zdobyli stateczek z winem, upili się tak, że przez kilka dni z rzędu całe bractwo leżało pokodem, a „Rozkosz Kawalerów”, zdany na łaskę i niełaskę wiatru, kręcił się tam i z powrotem po morzu, nie trzymając w ogóle kursu.



Nie mieli też szczęścia w wyprawach na ląd, gdzie miasteczka kolonialne, przyrzekłszy się wykupić, nie dotrzymywały obietnicy i potajemnie słały gońców z prośbą o pomoc wojska. Kilka takich osiedli bukanierzy spalili za karę, a mieszkańcy z pobliskich wzgórz przypatrywali się bezradnie, jak cały ich dobytek idzie z dymem. Vasco dziwił się coraz bardziej, czemu ci ludzie, którzy z tęsknotą mówili o spokojnym zaciszu rodzinnego życia w Anglii, kontynuowali ten zbrodniczy i bezsensowny tryb życia.

Bukanierzy z „Rozkoszy Kawalerów” dokładali czasem po parę złotych monet lub jakiś klejnot do swoich żeglarskich kuferków. Ale byli coraz kłótlwsi, w coraz gorszych humorach, gdyż wymarzony bogaty łup wciąż się im wymykał. Mało któremu wystarczyło, jak Dampierowi, obserwowanie dziwów egzotycznej przyrody. Pragnęli zdobyć skarby.

Wzięli kurs na północ. Dampiera zaciekawiały barki, budowane z wielkich pni przez Indian, współplemieńców Vasco z wybrzeży Peru. Najpierw sporządzano rodzaj tratwy z dwudziestu — trzydziestu wysokich pni, łączonych razem drewnianymi kołkami i wiązaniami z roślinnego włókna. Najdłuższe pnie do czterdziestu stóp umieszczano w środku, po bokach stopniowo coraz krótsze, nadając w ten sposób tratwie spiczasty kształt. Następnie umieszczano drugi rząd pni na poprzek. Tak wyglądało dno statku. Boki budowano z innych pni pozostawiając wolną przestrzeń po środku, jeśli nie liczyć belek, które służyły jako podpory wzmacniające konstrukcję. O cztery stopy ponad dnem budowano podłogę, a o dalsze cztery stopy wyżej jeszcze jedną konstrukcję, która służyła za sufit. W niższej komorze, utworzonej w ten sposób, umieszczano naczynia z wodą i taki balast, jaki był potrzebny, by zanurzyć statek na trzy do czterech stóp. W wyższej komorze, gdzie też jeszcze dawały się we znaki poprzeczne belki-podpory, żeglarze spali i odpoczywali. Na otwartym pokładzie umieszczano ładunek, który mógł wynosić od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu ton: wino, oliwę, mąkę, cukier, bele materiału, mydło, skóry zwierząt — wszelkie produkty wybrzeży Peru, które znajdowały nabywców w miastach i osadach Przesmyku Panamskiego. Na pokładzie pozostawiano tylko miejsce dla sternika manewrującego ogromnym sterem, a bliżej dziobu barki — dla kucharza, który gotował posiłki na otwartym palenisku. W samym środku,

wysoko ponad ładunkiem, wznosił się potężny maszt, zaopatrzone w jeden wielki żagiel. Na takich barkach trzech lub czterech Indian wyprawiało się z Limy, by przebyć przestrzeń tysiąca pięciuset mil. Obawiali się jedynie, by ich nie zniosło ku brzegom, gdyż na pełnym morzu ich statek był nie do zatopienia.

— Nie mogą nigdy płynąć pod wiatr — zastanawiał się na głos Dampier, przypatrując się Indianom z pokładu swego statku.

— Wiatr zawsze wieje w tę samą stronę: do Panamy — odparł nieodstępny Vasco.

— Tak, kiedy płyną, by sprzedać towar. Ale nie mogą żadnej innej podróży przedsięwziąć — mówił w zamyśleniu Dampier. — A gdy wiatr się zmienia, są zdani na jego łaskę. Jak wracają z powrotem do Limy?

— Barka wcale nie wraca — wyjaśnił Vasco. — W jakimś mieście, najczęściej w Panamie, sprzedają i ładunek, i pnie barki na budulec. Potem wracają do Limy, zaciągnawszy się na jakiś statek, a czasem łodzią.

— A po powrocie?

— A po powrocie, spędziwszy pewien czas z rodziną, budują nową barkę i wyruszają z nowym ładunkiem na północ.

Z piórem w rękę Dampier pochylił się znowu nad swoim dziennikiem. Skończywszy opis barek, zbudowanych z pni, zabrał się do dokładnego i szczegółowego opisu białych drzew bawełnianych rosnących na wybrzeżach Panamy. Dorównywały one wielkością dębom, a pnie ich wznosiły się proste i gładkie, pozbawione sęków aż do szczytu, gdzie korona rozpościerała poziomo ogromne konary. Gdy owoce dojrzewały, drzewo przypominało wyglądem kwitnącą jabłoń. »W Indiach Wschodnich — notował Dampier — krajowcy zbierają tę, tak zwaną jedwabną bawełnę, gdy opada z drzewa i napychają nią poduszki i kołdry.« Dzisiaj jedwabnej bawełny, zwanej kapok, używa się jako bardzo cenionego surowca na materace i materiały izolacyjne.

Pewnego dnia Dampier, powróciwszy na statek z wycieczki na jakąś wyspę, przyniósł ze sobą sporą ilość gruszek avocado (*Persea americana*) o miąższu żółtawozielonym, które w parę dni po zerwaniu stawały się tak miękkie, że rozpływały się po prostu w ustach. Ale Irlandczyk Hagan wybuchnął głośnym śmiechem na widok owocu.

— Na pastorał świętego Patryka! — zawołał. — Nasz mrukliwy Śledź musi być w żalonym położeniu. Te gruszki, które on przyniósł, Hiszpanie jadają, gdy im braknie sił męskich.

Ned Daws podrapał się jedną ręką, a drugą zrobił wulgarny gest.

— A zabieraj te przekłete gruszki! — prychnął. — Moje lędźwie bez pomocy gruszek tak są spragnione kobiety, jak rozbitek na morzu łaknie wody.

Ale ani Daws, ani Hagan, ani nikt inny nie odmówił skosztowania wspaniałej potrawy, którą Dampier postawił przed nimi, przyrządziwszy po paru dniach gruszki, ubite na pianę z cukrem i sokiem cytrynowym. W ostatnim czasie bukanierzy odzyskali zresztą humor, a serca ich zabiły nadzieją, gdyż Ned Daws przedstawił im olśniewający plan — ni mniej, ni więcej tylko ataku na skarby miasta Panamy.

Zaledwie o dwadzieścia lat wcześniej sławny pirat Henry Morgan z setką ludzi zdobył to słynne z bogactw miasto i wyprowadził stamtąd karawanę mułów obładowanych złotem, srebrem, drogocennymi kamieniami i jedwabiami. A opuścił miasto po trzytygodniowej okupacji, w ciągu której piraci hulali bez przytomności i nie przepuścili żadnej prawie kobiecie w wieku od piętnastu do pięćdziesięciu lat.

Ned Daws chciał powtórzyć ten wyczyn, połączywszy się z innymi statkami bukanierskimi grasującymi na pobliskich wodach. Załoga przyjęła ten projekt wrzaskami dzikiej radości jak zwykle wtedy, gdy wyprawa była jeszcze daleka, a niebezpieczeństwo nie wisiało bezpośrednio nad ich głowami. Nie obliczali zresztą ryzyka tego przedsięwzięcia, natomiast zaklinali się głośno, że nie pozwolą Dawsowi, by ich tak oszukał i na dudków wystrychnął, jak Morgan swoich ludzi: wypłacił im po dziesięć funtów szterlingów na głowę, a z całą resztą bajecznej zdobyczy zwiął, przypuściwszy do spółki paru swoich kapitanów. Później otrzymał tytuł szlachecki i nominację na wicegubernatora Jamajki, na którym to stanowisku wyróżnił się szczególnie zawziętym prześladowaniem tych spośród swoich dawnych kompanów, którzy pozostali jeszcze piratami. Umarł z przepicia w pięćdziesiątym czwartym roku życia.

Gotując się do wyprawy po skarby Panamy Daws wysłał po-

słów do angielskich bukanierów, Townleya i Harrisa, do francuskiego korsarza kapitana Groneta i do sławnego kapitana Swana, o którym wciąż słyszeli od chwil, gdy okrążyli przylądek Horn. Swan dowodził pięknym statkiem, zwanym „Cygnet”, wyposażonym przez najbogatszych kupców londyńskich i wysłanym z trzema agentami na pokładzie, by nawiązać stosunki handlowe z Hiszpanami lub Indianami na zachodnich wybrzeżach Południowej i Środkowej Ameryki. Po przybyciu na Ocean Spokojny kapitan Swan zapomniał o zleceniach patronów i wyprzedawszy ładunek, zajął się piractwem.

Jednym z agentów na pokładzie „Cygnet” okazał się dawny towarzysz okrętowy Dampiera — olbrzymi Bazyli Ringrose, który powrócił do Anglii z Bartłomiejem Sharpem.

— Jakim cudem zabrałeś się do takiego swojskiego zajęcia jak handel? — pytał Dampier.

— Bez cudów — burknął Ringrose. — Z głodu. — Po czym dodał weselszym tonem: — Co prawda, liczyłem od początku, że niewiele się handlem będę zajmował. Zaokrętowano mnie jako agenta, ponieważ znam te strony. Myślałem sobie, że nie będzie trudno przekonać kapitana o zaletach pirackiego zawodu, gdy już raz znajdziemy się na Pacyfiku. I nie omyliłem się. Widzisz, mój kochany stary Śledziu, ja jeszcze w Londynie wywahałem parę nieczystych sprawek, w które mój wielce szanowny kapitan był zamieszany. Gdybym tak zechciał powiedzieć o tym, co wiem, różnym londyńskim grubym rybom, nasz kapitan nie zamieszkałby w najładniejszej na statku kajucie, a w więziennej celi. — Bazyli mrugnął znacząco na Dampiera i szturchnął go łokciem w bok.

Gdy pierwszy raz Dampier zobaczył kapitana Swana, ten właśnie darł się na całe gardło:

— Przestań się drapać, gdzie cię nie swędzi i zabierz się do lin! A żywo, ty gniłku!

Wysoki, o ciemnej, opalonej twarzy, kapitan Swan przekleństwami i chłostą utrzymywał na swoim statku żelazną dyscyplinę. Słyszał z wybuchów gniewu i surowych kar.

— Między nami mówiąc — opowiadał Bazyli — stary złości się i wścieka tak od czasu, gdy zabrał się do piractwa. Sumienie

go gryzie. Chciałby temu dać spokój, ale nie może, bo się mnie boi. Ho, ho, gdybym ja powiedział, co o nim wiem!

Opodal wybrzeży Panamy w sam dzień Nowego Roku 1685 bukanierzy z „Rozkoszy Kawalerów” przechwycili statek pocztowy płynący na południe do Limy. Hiszpanie całą korespondencję, którą wieźli, wrzucili do morza zawiniętą w jedwabne chusty i przywiązaną do boi, w nadziei, że później ją wyłowią. Vasco zobaczył, jak spuszczały pakunek za burtę i, uzbroiwszy się w ostry kordelas przeciw rekinom, skoczył do wody. Wyśmienity nurek, wkrótce wyłowił listy i przyniósł je swemu kapitanowi. Ned Daws i Dampier — który był pierwszym oficerem na pokładzie od czasu, gdy Ambroży Cowley opuścił ich i przyłączył się do wyprawy kapitana Eatona do Indii Wschodnich — przeglądając korespondencję spojrzeli na siebie przez stół. Daws otarł spocone dłonie o brudnobiałe spodnie płócienne.

— Teraz ich mamy! — rzekł. — Wyprawa do Panamy i zdobycie floty skarbowej, albo tylko jedno z dwojga! Tak czy siak, będziemy bogaci! No, to chyba rozochoci tych durni z forkasztelu!

Wstał i poszedł na pokład, by oznajmić nowiny.

Z listów wyłowionych z morza bukanierzy dowiedzieli się, że królewska armada hiszpańska zawinęła do Porto Bello na północnym wybrzeżu Panamy. Wzywano gubernatora Limy, aby przyspieszył wysłanie floty skarbowej. Raz na trzy lata armada przyływała z Hiszpanii, aby zabrać złoto z kolonii Południowej i Środkowej Ameryki. Jednorazowo wieziono do dwudziestu milionów dublonów. Zabierano także pieniądze wysyłane do domów przez kupców i plantatorów. Flota skarbową z Limy zwykle zawiąjała do Panamy przed przybyciem armady, ale tym razem widocznie była opóźniona.

Statek pocztowy uwolniono i pozwolono mu udać się w dalszą drogę; co więcej, zwrócono też wyłowioną korespondencję. Ta niespodziewana i nieopatrna wielkoduszność miała wydać zgubne dla bukanierów owoce. Tymczasem doszło do spotkania poszczególnych kapitanów statków bukanierskich i korsarskich.

— Wszyscy razem możemy bez trudu zdobyć Panamę, a miasto będzie zapchane złotem przed wysłaniem karawany do Porto Bello — mówił Bazyli Ringrose zgromadzonym kapitanom. — Możemy zdobyć miasto, nim jeszcze nadpłynie flota skarbową,

a potem napadniemy na flotę i zagarniemy resztę skarbów! A teraz, kapitanie — zwrócił się do Swana — proszę mi przyznać, że miałem rację. Czy to nie lepsze, niż głupie targowanie się o parę tysięcy funtów zysku, którymi i tak musielibyśmy się dzielić z naszymi londyńskimi patronami? Byleśmy nie zmarnowali tej sposobności, a każdy z nas będzie mógł sobie kupić majątek ziemski w Anglii, jeżeli zechce.

— I każdy tylko kiwnie palcem, na który sobie nasadzi pierścionek z diamentem, a najładniejsza dziewczuszka w dyrdy do niego przyleci — dorzucił Ned Daws klepiąc się po udach wielkimi dłońmi.

Kapitan Swan milczał. Nie brakło mu odwagi, ale ta piracka awantura nie przypadła mu do serca. Znaczące spojrzenie Bazylego Ringrose przypomniało mu, że nie ma wyboru.

Na wszystkich statkach zawrzało. Z radości i podniecenia zabrali się, jak zazwyczaj, do pijatyki, a wysączywszy ostatnią kroplę rumu i wina padali pokotem w pijackim śnie lub dobywali noży do bezsensownych a groźnych bójek. Wafer miał pełne ręce roboty. Edmund Cooke przywłókł się z rozciętą raną na czole, a Patryka Hagana pobili dwaj bukanierzy, których próbował rozdzielić, gdy rzucili się na siebie z nożami; ale obaj zgodnie zwrócili się przeciwko niefortunnnemu rozjemcy.

W miarę jak zbliżano się do Panamy, odwaga zaczęła opuszczać bukanierów. Ned Daws chciał przybić do lądu w pewnej odległości od miasta i wziąć je szturmem; kapitan Swan pod naciskiem Bazylego Ringrose niechętnie przystał na to. Na wyspie Taboga, którą Dampier nazywał Tabago, w Zatoce Panamskiej przedstawiono plan załogom obu statków. Dampier miał wówczas sposobność przyjrzeć się ludziom z załogi „Cygnet”, z którymi później poznał się aż nazbyt dobrze.

— Słuką nas na kwaśne jabłko — wyrwał się pierwszy Edmund Cooke.

— Tak powiadasz? A więc jak mamy się zabrać do rzeczy? — pytał Daws. — Zgodziliśmy się wszyscy od dawna, że poprobujemy szczęścia w tym przedsięwzięciu. Więc co mamy robić? Udawać, że jesteśmy krabami i czołgać się bokiem po piasku, czy co?

Żart ten powitano głośnym śmiechem, nad którym górował do-

nośny rechot, a raczej ryk, jakby się dobywał z gardła niedźwiedzia. Wszyscy bukanierzy z załogi „Rozkoszy Kawalerów” zwrócili się jak jeden mąż w stronę Johna Reeda, nawigatora z załogi „Cygnet”. Przypominał on istotnie z wyglądu niedźwiedzia. Potężnego wzrostu, o olbrzymich barach i dłoniach jak bochny chleba, siedział opodal na głazie machając nogami obutymi w wysokie, czarne buciska. Niespodzianką było tylko jego czoło — wysokie, jasne i inteligentne. Na kolanach trzymał sztywną kartkę papieru i zręcznymi pociągnięciami ołówka szkicował scenę, którą miał później opisać w starannie prowadzonym diariuszu. Były to istotnie niespodziewane talenty u tego porykującego niedźwiedzia o ogromnej, czarnej brodzie sięgającej prawie do pasa, a zaplecionej w warkoczyki i rozdzielonej na dwie części, aby odsłonić szeroką pierś, również porośniętą gąszczem czarnych, wełnistych włosów, wśród których połyskiwał nabijany gwoździami rzemień, z zawieszonymi na nim trzema pistoletami.

Edmund Cooke rzucił na włochatego olbrzyma niespokojne spojrzenie i cofnął się o parę kroków między swoich popleczników takich samych malkontentów jak i on. Gniewnie odpowiedział na szydercze pytanie Dawsa:

— Ja bym radził przyżegłować jak najbliżej i puścić w nich parę salw.

— Ty i twoje pukawki! — rzekł pogardliwie Patryk Hagan. — Pierdnij na nich, tyle samo wskórasz!

Znowu niesamowity rechot Johna Reeda zagłuszył wszystkich, nawet Andrewa, zwalistego marynarza z załogi „Cygnet”. Jego głównym zadaniem w życiu było, jak się zdaje, wierne naśladowanie każdego wybuchu śmiechu czy gniewu czarnobrodego olbrzyma.

— Daj spokój, Edmundzie, wiesz dobrze, że oni się nie przełkną kilku głupich salw — ozwał się Bazyli Ringrose przekonującym tonem. — Czy ty sobie wyobrażasz, że jak usłyszysz byle pukaninę, to ci zaraz wyniosą zza murów na brzeg wszystkie skarby, których tam pilnują?

— A tego, co mnie potrzeba, nikt mi na brzeg nie wyniesie — zaśmiał się kapitan Daws. — Sam sobie muszę wybrać. Kapryśny jestem, jeśli chodzi o rozmiar kibici! Lubię szczuplutkie!

— Jeśli chodzi o mnie, to się nie martwię o ich rozmiary, natomiast one się martwią moimi rozmiarami — ryknął John Reed.

— One się martwią jego rozmiarami! O, ho, ho! — wtórował basem Andrew.

— Dosyć tych głupstw — powiedział z irytacją kapitan Swan. — Mamy się zastanowić, czy atakujemy Panamę, czy nie.

Wkrótce wyszło na jaw, że Edmund Cooke przeciągnął już na swoją stronę większość załogi „Rozkoszy Kawalerów”. Sporo też ludzi Swana i Townleya zgadzało się z nimi, chociaż John Reed wymyślał im potężnym głosem:

— Zgraja śmierdzących szczurów!

Puszkarz z „Cygnet”, Robert Hall, który mówił biegle po hiszpańsku i portugalsku, także starał się przeciwdziałać wpływom Edmunda Cooke’a.

— Bądź słodki, jak miód, a wszystkie pszczoły zlecą się do ciebie — przytoczył miejscowe przysłowie.

Dawny bosman, dziś nawigator „Rozkoszy Kawalerów” John Smallbone ozwał się poważnie:

— Ja bym proponował, żeby wszyscy doprowadzili nasze statki z działami gotowymi do strzału tuż pod miasto. Niech wiedzą o naszej sile. A wówczas zażądamy okupu.

— Co tam okup! Psu mucha! — zawołał z pogardą Bazyli Ringrose.

— Razem wzięwszy, mamy wprawdzie dziesięć statków — ozwał się miłkliwy Szkot, Angus Nelly z załogi „Cygnet”. — Ale tylko dwa z nich są uzbrojone: nasz szesnastodziałowy i kapitana Dawsa o trzydziestu sześciu działach. Reszta floty się w ogóle nie liczy.

— Czyście się wszyscy dobrowolnie już dawno zgodzili, że atakujemy Panamę, czy nie? — zapytał doprowadzony do ostateczności Daws zapominając, że to był jego własny pomysł, podsunięty po to, aby dodać otuchy załodze. Jego żądze przyćmiewały zdrowy rozsądek. — Cóż ty na to, Śledziu? — zwrócił się niecierpliwie do Dampiera.

John Reed rysował z zapałem. Angus wyciągnął z kieszeni — już po raz trzeci od początku narady — płaską, wielkich rozmiarów flaszkę i pociągnął z niej potężny łyk.



— Cóż, każdy ma po trochu słuszność — odmruknął Dampier, który nie dbał zupełnie o wynik narady. Zaczynał już żałować, że nie popłynął z kapitanem Batonem i Ambrożym Cowleyem do Indii Wschodnich, gdzie zaspokoiłby swój głód wrażeń ciekawszymi widokami niż włochata pierś Johna Reeda.

— Właśnie, może jest nieco słuszności w tym, co ci ludzie mówią — kapitan Swan podchwycił sposobność wycofania się z pirackiej eskapady, mogącej łatwo zaprowadzić na szubienicę. — Jeśli zaatakujemy miasto, a nie powiedzie się nam, to ci, którzy jeszcze pozostaną przy życiu, będą musieli uciekać jak najszybciej i w ten sposób wymknie się nam również flota skarbowa.

Bazyli Ringrose rozłożył w desperacji długie, małe ręce. Robert Hall, wodząc wzrokiem od jednego kapitana do drugiego, wtrącił spokojnym głosem:

— Dwa wróble na jednym źdźble pszenicy nigdy się nie pogodzą.

Wszelako nikt na niego nie zwrócił uwagi. Argumenty Swana trafiły na dobry grunt. Zewsząd zerwały się okrzyki, żądające wymuszenia okupu, ale bez ryzyka ataku. Tym razem zagłuszono nawet poryki Johna Reeda, który wołał:

— Tchórze, portkami trzęsące, kapłony bez flaków, synowie diabła spółdzeni ze starą maciorą!

Kilku bukanierów zebrało się wokół Neda Dawsa, Bazylego Ringrose i Johna Reeda. Ale przytłaczająca większość była przeciw nim. Wybrano więc posłów, Lionela Wafera i medyka z pokładu „Cygnet” Herberta Coppingera — spodziewano się, że jako lekarze będą lepiej traktowani przez Hiszpanów — i polecono im zanieść do gubernatora list z żądaniem okupu i srogimi groźbami w razie, gdyby tego okupu nie chcieli płacić.

— Jeśli masz przyjaciela lekarza, pošlij go do domu swego wroga — mruknął z chytrym uśmiechem Robert Hall.

Indianie Robin i Will odwieźli obu lekarzy na brzeg.

— Nie miałyby sensu atakować miasta — mówił Dampier do Bazylego Ringrose, gdy załogi odpływały, każda na swój statek. — Ale i z tego listu nic nie wyniknie. Boję się o Lionela.

— Zawsze entuzjastycznie popierałeś każdy plan w pierwszej

chwili — rzekł ze złością Ringrose — potem z dnia na dzień coraz bardziej traciłeś serce.

— Nie jestem tchórzem — odparł ostro Dampier.

— Owszem, kiedy już przyjdzie do walki — rzekł łagodnie Ringrose i trzepnął przyjaciela dłonią w plecy. — Ale ty myślisz o tylu różnych innych rzeczach, że zapominasz o tym, z czego chleb jesz.

Wysokie, czarne buciska Johna Reeda, rażąco odbijające się od bosych nóg większości bukanierów, zastukały głucho o pokład. Niedźwiedziowaty olbrzym przeszedł obok nich, rzuciwszy na Dampiera szydercze spojrzenie. Ten ze zdziwieniem spostrzegł, że oczy tego włochatego, czarnego olbrzyma były zupełnie jasne, błękitne jak niebo.

— Zduławająca figura! — powiedział Dampier do Bazylego Ringrose.

— Zaokrętowano go na „Cygnet” jako pomocnika nawigatora — rzekł Bazyli Ringrose. — Był wtedy gładko wygolony, przyzwoicie ubrany, spokojny i powściągliwy. Ale gdy kapitan Swan zdecydował się zostać piratem, Reed — który do tej pory trzeźwo i spokojnie spełniał swoje obowiązki — wydał wielki wrzask radości, urznął się i pijany jak bela porozbijał gołymi pięściami ośmiu marynarzy, którzy próbowali go zanieść na kaję. Od tej pory przeobraził się w takiego cudaka, jakiego dziś widzisz. Nie wiem, skąd te buciory wytrzasnął. Ale to człowiek w moim guście, istny diabeł w walce wręcz.

Proroctwa i obawy Dampiera co do wyniku poselstwa do gubernatora okazały się słuszne. Lekarze nie powrócili wcale. Hiszpanie próbowali nawet porwać Robina i Willa, ale czujni Indianie nie dali się zaskoczyć i co prędzej powrócili na pokład. Z drugim listem postanowiono wysłać jednego z czterdziestu hiszpańskich jeńców, którzy różnymi czasy wpadali w ręce bukanierów. Uczoną epistołą, wykoncypowaną przez Roberta Halla, odrzucono, jako nie dość bojową i list ostatecznie był dziełem Bazylego Ringrose, któremu pomagali Ned Daws i John Reed. Zażądawszy raz jeszcze okupu, autorzy listu tak kontynuowali:

»Jeżeli mniemacie, że uwięzienie dwóch Anglików więcej jest warte od życia waszych rodaków, którzy są w tej chwili w na-

szych rękach lub kiedykolwiek później dostaną się do niewoli, to trzymajcie sobie naszych lekarzy, a my wam w zamian prześlemy czterdzieści odciętych hiszpańskich głów. A jeśli choćby włos z głowy spadnie naszym rodakom, to jak Bóg na niebie, wasze rzeki spłyną krwią hiszpańską, krwią mężczyzn, kobiet i dzieci. Przekonacie się, kto włada Południowymi Morzami. Wybierajcie!

Władcy Wszystkich Mórz Południowych

Dnia 22 lutego 1685 roku«

Dampier sprzeczał się dowodząc, że chępliwa krwiożerczość tego listu może wyrzucić wrażenie tylko na ogłupiałych tchórzach, a trudno się spodziewać, aby dobrze uzbrojeni, wyposażeni w armaty i wojsko dygnitarze panamscy mieli stchórzyć. Argumenty Dampiera tylko częściowo okazały się słuszne. Okupu oczywiście nie wypłacono, ale też bukanierzy w głębi ducha już się go nie spodziewali. Natomiast następnego ranka wkroczyli na pokład radośnie witani Wafer i Coppinger. Bukanierzy nawzajem odesłali bez zwłoki czterdziestu jeńców hiszpańskich, zadowoleni zresztą, że nie potrzebują się troszczyć więcej o ich wyżywienie, jako że z prowiantem było skąpo.

Wprawdzie gubernator Panamy potraktował bukanierów bardzo wzgardliwie, ale w mieście znaleźli się kupcy, którzy zdradzali ochotę nawiązania stosunków handlowych, zwykle bardzo dla kupców zyskownych. Utrzymywano te pertraktacje w wielkiej tajemnicy, choć Dampier zapisał w swoim diariuszu, że gubernatorzy i ich urzędnicy patrzą przez palce na wymianę handlową z korsarzami, a czasem nawet sami biorą w tym udział. Lionel Wafer, którego dobrze traktowano i pozwolono mu przyjmować wizyty w więzieniu, umówił się z pewnym kupcem, że ten podpłynie z barką naładowaną różnorodnym towarem do pobliskiej wysepki, gdzie miały też przybyć statki „władców wszystkich mórz południowych i zająć się wymianą swoich łupów na potrzebne bukanierom przedmioty.

Przepatrując z pokładu okoliczne wody w oczekiwaniu barki panamskiego kupca, Dampier ujrzał w niepewnym świetle księżycy statek, który go zaniepokoił, gdyż nie wyglądał na niewinną barkę z towarami. Pośpiesznie ostrzegł kapitana, ten zaś kazał

obudzić załogę i przesłał ostrzeżenie pozostałym kapitanom. Rzekoma barka podpływała coraz bliżej. Gdy była już na odległość głosu, Dampier zawołał:

— Zakotwiczyć i podać hasło!

— Mallena — zabrzmiało umówione hasło, ale tajemniczy statek nie tracił szybkości.

— Zakotwiczyć natychmiast! — krzyknął powtórnie Dampier. — Nasze działa są skierowane na was!

Smallbone skrzyknął paru ludzi i kazał im spuszczać łódź na wodę. Tajemniczy okręt sunął nadal całym pędem, coraz wyraźniejszy i ogromniejszy wśród nocy.

— A puść tam w niego parę twoich cukierków, Edmundzie — zawołał Ned Daws. — Patryk Hagan niech stanie w gotowości przy linach, by je przeciąć natychmiast, jeśli zajdzie potrzeba.

Działa pirackiego statku przemówiły, chociaż w ciemności nie można było mieć nadziei na dobry rezultat salwy. Natychmiast na tajemniczym okręcie zrobił się ruch: spuszczano na wodę łodzie, ludzie zsuwali się do nich po linach, na pokładzie błyskały światełka jakby płomyki ognia.

— Przeciąć liny! — ryknął kapitan Daws. — Żagle w górę! Na morze! Jeśli wam życie miłe!

Jego ostatnie słowa zginęły w huku straszliwej eksplozji. Płonące szczapy i szczątki żagli, połamane deski i kawałki rozpalonego metalu spadły na statki korsarzy i bukanierów, które uciekały co tchu na pełne morze. Nie poniesiono większych szkód, ale katastrofa była o włos. Kupiec panamski zdradził ich i gubernator wysłał zamiast umówionej barki naładowany prochem brander. Przekonali się ostatecznie, że mieszkańcy Panamy nie tylko będą się bronić, ale nawet gotowi są atakować. Zamiarów wymuszenia okupu zaniechano zupełnie.

Nadzieje korsarzy i bukanierów skoncentrowały się teraz na flocie skarbowej. Jednak złość za zdradę mieszkańców Panamy tak ich żarła, że gdy w parę dni później koło wyspy Taboga wpadła im w ręce pewna łódź i okazało się, że jeden Mulat z załogi brał udział w wyprawie brandera — powiesili go od razu na rei. Z racji tego zdarzenia Dampier zapisał: »Ciężka to rzecz dostać się w ręce mściwych ludzi«.

## Rozdział XII

### KŁĘSKA BEZ BITWY

Tymczasem statek pocztowy, kursujący między Panamą a Limą, któremu bukanierzy i korsarze tak nierozważnie pozwolili udać się w dalszą drogę, zakotwiczył obok floty hiszpańskiej liczącej czternaście okrętów żaglowych i kilka poruszanych wiosłami. Szyper statku pocztowego znajdował się na pokładzie ogromnego galeonu o czterdziestu ośmiu działach, gdzie admirał hiszpański o spiczastej bródce, wystrojony w jedwabie i obwieszony klejnotami, czytał uważnie te same listy, które tak uradowały Neda Dawsa i Dampiera. Wyszedłszy z powrotem z kajuty admirałskiej na pokład szyper statku pocztowego uśmiechnął się z zadowoleniem. Sąsiedni okręt wiceadmirała miał czterdzieści dział; dalszy kontradmirałski trzydzieści sześć; następne po dwadzieścia cztery, osiemnaście lub osiem dział. Płynęły też dwa brandery i sześć statków bez dział, ale za to z ośmiuset uzbrojonymi żołnierzami.

— Ilu macie razem ludzi? — zapytał szyper statku pocztowego, wskazując ramieniem na całą flotę.

— Około trzech tysięcy — odparł dowódca admirałskiego okrętu.

— Ci chępliwi durnie ze strachu spodnie pogubią na wasz widok — powiedział szyper i zsunął się po linie do swojej łodzi.

Admirał nie zamierzał ryzykować. Zawinął do Laveli, sporego miasta na zachodnim wybrzeżu Zatoki Panamskiej, dziś zwanego Villa. Przez kilka nocy ciężko naładowane łodzie krążyły tam i z powrotem między flotą admirała a przystanią.

— A więc wyobrażaliście sobie, że dostaniecie całą flotę skarbową, co? — zapytał retorycznie admirał, ukończywszy przygotowania. — Popróbujcie teraz! I obym był blisko, by usłyszeć, jak zgrzytacie zębami w bezsilnej pasji.

Korsarze i bukanierzy ufni, że każda godzina zbliża ich do wymarzonego bogactwa, szykowali okręty, by być w gotowości do pościgu za upragnioną zdobyczą. Zapewniali się wzajem chępliwie:

— Choćby ich było dziesięć razy więcej niż nas, to i tak damy im radę.

— Bo każdy z nas wart jest dziesięciu tych tchórzem podszytych pacholków!

— Jak im dam salwę, to tylko drzazgi polecą!

— Byleśmy ich tylko bosakami zahaczyli, to ja sam całą załogę wyrznię!

— Oni tylko z babami umieją się sprawiać! Gdzie im tam do wojaczki!

— Ech, i z babami niewiele potrafią zwojować!

— Ano, jeszcze łyk rumu! Za hiszpańskie skarby!

— Za parę dni będziemy się kąpać w najlepszych winach.

W tym chępliwym nastroju korsarze i bukanierzy nim odpłynęli, podpalili bezbronne miasto na wyspie Taboga, którego mieszkańcy nic im nie zawinili.

Dzień 28 maja 1685 roku wstał pochmurny i deszczowy, wiatr wiał z południowego zachodu. Flota korsarzy i bukanierów leżała o parę mil na południowy wschód od wyspy Pacheque, najbardziej na północ wysuniętej wyspy Archipelagu Królewskiego, dziś zwanego Perłowym, w samym środku Zatoki Panamskiej. Przed dwoma dniami otrzymali wiadomości, że flota skarbowa nadpływa. Korsarze i bukanierzy z dumą stwierdzili, że flota ich liczy dziesięć statków żaglowych. Ale tylko Daws i Swan mieli działa, wszystkie inne statki, przeważnie zrabowane nadbrzeżnym kupcom, rozporządzały jedynie ręczną bronią palną i musiały znaleźć się bardzo blisko nieprzyjaciela, nim mogły wyrządzić jakąkolwiek szkodę. Co prawda, korsarze i bukanierzy nie polegali na armatach. Ich ulubionym sposobem walki był zawsze abordaż. Banda piratów, którzy celowo nadawali sobie jak najbardziej przerażający wygląd, z potępieńczym wrzaskiem rzuciła się na nieprzyjacielski okręt i wywalczyła zwycięstwo kordelasem i pistoletem. Zaprawionych do takiej walki było ich w tej flocie blisko tysiąc, nie licząc Indian i niewolników. A wszyscy płonęli chęcią zdobycia skarbów i — jeśli wierzyć romantycznym opowiadaniom — nie znali uczucia strachu. Jedną barkę przekształcono w brander, a trzy inne miały służyć jako tendery.

O godzinie jedenastej przed południem, gdy deszcz ustał, a wi-

doczność się poprawiła, Dampier wdrapał się na najwyższą reję i zawołał do kapitana:

— Flota hiszpańska o dziesięć mil na zachodnio-północny-zachód od wyspy Pacheque.

— Mają kurs na Panamę? — pytał Daws.

— Nie. Na wschód. Powiedziałbym, że nas szukają — odrzekł Dampier.

— O, znajdą nas, znajdą! A przyjęcie będą mieli gorętsze, niż sobie wyobrażają! — wykrzyknął z zapamiętaniem Daws.

Kapitan Gronet, którego statek znajdował się o milę na północ od „Bachelor’s Delight” i „Cygnet”, podpłynął bliżej lądu stałego. Swan i Townley w towarzystwie Bazylego Ringrose i Johna Reeda przybyli na pokład statku Dawsa, by uzgodnić plan bitwy. Słabość bukanierów leżała w braku jednolitego dowództwa. Ned Daws, jako kapitan największego statku, powinien był objąć naczelne dowództwo, ale brakowało mu doświadczenia i autorytetu. Zanadto we wszystkim ustępował Swanowi, który był wybornym żeglarzem, ale na pirackich metodach walki nie znał się wcale i nie miał serca do rozbójniczych wypraw. Teraz, onieśmielony widokiem olbrzymiej floty hiszpańskiej, zwrócił uwagę bukanierów na przeważające siły, z którymi wypadnie im walczyć.

— Wrzucić ich do morza! — wrzasnął zaraz Reed. — Rybom na pożarcie! Niech tylko Bazyli i ja dobierzemy się im do skóry! Porozdzieramy każdego na kawałki!

W zasadzie wszyscy kapitanowie się zgodzili, że muszą podpłynąć jak najbliżej do floty nieprzyjacielskiej i bez straty czasu dążyć do abordażu.

— Gronet przyłączy się do nas — rzekł Swan.

— Nie przyłączy się, tchórz portkami trzęsący — odparł Ringrose. — Nie ma co liczyć na niego, ani na jego trzystu ludzi.

Na pokładzie „Rozkoszy Kawalerów” układano kordelasy, przyniesione ze zbrojowni, nabijano pistolety, głowy okładano jaskrawymi chustkami. Edmund Cooke i jego puszkarze gotowali działa. John Reed był ostatnimi z gości, którzy opuścili pokład.

— Gdybym miał wolną rękę, zakulbym tego naszego kapitana w żelaza, ale Bazyli nie chce o tym słyszeć — powiedział dość

cicho, jak na niego, do Neda Dawsa i Dampiera. — Nie lubię takich wątrobiarzy, którzy serca do walki nie mają. Żabi skrzek!

O godzinie trzeciej po południu bukanierzy podnieśli kotwice i ruszyli w kierunku floty hiszpańskiej. Ale admirał hiszpański wiedział dobrze, że korsarze dążyć będą za wszelką cenę do abordażu. On sam w spotkaniu wręcz z tymi morskimi rozbójnikami, których sława rozchodziła się po całym Nowym Świecie, wolał polegać na potędze swoich licznych dział, aniżeli na osobistej odwadze swoich marynarzy. Miał przed sobą dwadzieścia pięć mil morza w kierunku wschodnim i postanowił posłużyć się strategicznym wybiegiem. Bukanierzy żeglowali sprawnie, ale zbliżyli się tylko o tyle, że Edmund Cooke i Robert Hall zdołali puścić parę nieszkodliwych salw armatnich. Zaraz potem zapadła ciemność.

Dampier wypatrzył w ciemnościach światło i zawołał:

— Światło na okręcie flagowym!

— To musi być sygnał zakotwiczenia dla całej jego floty — odrzekł Daws.

Na pokładzie „Cygnet” Reed szalał ze złości i żądał od kapitana Swana, by popłynął wprost na galeon admirałski i pod osłoną ciemności podszedł do abordażu. Swan uchylał się i wykręcał, a tymczasem światło zdjęto. Ciemności panowały nieprzeniknione. Nie było księżyca, chmury skrywały nawet gwiazdy. Światło ukazało się znowu i bukanierzy próbowali posuwać się w jego stronę, ale floty hiszpańskiej nie mogli znaleźć.

W ciągu wczesnych godzin nocnych John Reed skakał i tańczył na rufówce wymyślając Swanowi i sternikowi Nelly, który był na wachcie. Wreszcie powędrował do forkasztelu, nie przestając kłać i zapowiadając niewidzialnym Hiszpanom, jak będzie ich zarzywał i patroszył. Pił wciąż rum i język zaczynał mu się plątać, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Wył więc tylko sprośne piosenki i wygrażał pięścią migającemu w pomroce światelku Hiszpanów, które kołysało się na pogrążonym w milczeniu, niewidocznym statku.

Nim jednak słońce wstało znowu, bitwa była już właściwie rozegrana, choć bukanierzy sobie z tego nie zdawali sprawy.



— Oszukali nas! Na Świętego Patryka i jego żaby! Oszukali nas, wystrychnęli na dudków, wykpiłi, nabili w butelkę! — Patryk Hagan miał wachtę o świcie następnego dnia, a gdy wzrok jego przeniknął przez rozpraszający się mrok, począł kląć z rozpacz.

Przekleństw Johna Reeda, miotanych z rufówki „Cygnet” nie da się w ogóle powtórzyć. Po przetłumaczeniu na język nadający się do druku brzmiałyby one:

— Te pstre przyplodki hiszpańskich śmierdzieli! Nie chcą się bić! Boją się zostawić wyprute kiszki na pokładzie! A ta rzepa bezpłciowa, nasz kapitan Swan nie pozwolił nam na abordaż, kiedyśmy chcieli!

Przyczyną rozpaczki bukanierów było położenie floty hiszpańskiej. Pod osłoną ciemności admirał wymanewrował całą swą flotę na stronę nawietrzną i teraz z rozwiniętymi żaglami wszystkie okręty szły na nich całym pędem.

— Gdy w nocy owo światło znikło, a potem pojawiło się znowu — wyjaśniał Dampier Dawsowi — to już wcale nie było zawieszona na okręcie admirałskim, a tylko na tej opuszczonej barce. Barka pozostała na kotwicy, a wszystkie okręty jeden po drugim wymknęły się i okrążyły nas. Niegłupi ten admirał!

— Mądry czy głupi, musimy uciekać od niego, gdzie pieprz rośnie — rzekł ze złością Daws. — Ma przewagę nad nami. Ani myśleć nie możemy o obronie z tymi naszymi paru armatkami kichającymi jak zakatarzony kot. Gdy wiatr nam sprzyja, możemy nalecieć na nich znienacka i od razu pójść do abordażu. Jeśli tej szansy nie mamy, to tylko zwiewać.

John Reed nadal szalał na rufówce „Cygnet” przeklinając nieporuszonego kapitana Swana, ale cała flota bukanierów rzuciła się do ucieczki. Okręty hiszpańskie były cięższe i mniej zwrotne, ale za to daleki zasięg ich ognia armatniego umożliwił im w ciągu całodziennego pościgu przez Zatokę Panamską, któremu przypatrywały się z wybrzeży tysiące par oczu, dosięgnąć parokrotnie salwą uciekających. Zabito niewolnika, który podawał kule do nabijania na pokładzie „Cygnet”. Opłynawszy wokoło całą prawie zatokę, bukanierzy zawrócili do wyspy Pacheque zamierzając wpłynąć w płytkie kanały archipelagu, gdzie wielkie okręty hiszpańskie ugrzęzłyby na mieliznach. Jednakże admirał, osiągnąw-

szy swój cel, zawrócił spokojnie do Panamy. Tę klęskę bez bitwy Dampier opisał lakonicznie:

»Tak zakończył się ten dzień, a razem z nim nasze plany, któreśmy układali przez parę miesięcy. Zamiast zwyciężyć flotę hiszpańską i zdobyć skarby, byliśmy kontenci, że udało nam się ująć cało z ich rąk. A i to zawdzięczaliśmy po części tylko temu, że Hiszpanom zabrakło determinacji, by zebrać owoce zwycięstwa.«

Niedoszli „władcy wszystkich mórz południowych” w strachu przed dalszym pościgiem opuścili wody Zatoki Panamskiej przepływając o parę mil od miasta Lavelia. Dopiero znacznie później dowiedzieli się, że ów skarb, który chcieli zdobyć, spoczywał w ukryciu właśnie w tym mieście, a wcale nie pod pokładami czternastu okrętów floty hiszpańskiej, która zabawiła się z nimi w kotka i myszkę wokół Zatoki Panamskiej.

»Co do Groneta — pisał Dampier — ten oznajmił, że jego ludzie nie pozwolili mu przyłączyć się do bitwy. Wszelako nie przyjęto tej wymówki. Wypędziliśmy naszego tchórzliwego kamrata razem z jego ludźmi i jego statkiem.«

Wypędzenie było tylko próżnym gestem, któremu towarzyszyły soczyste przekleństwa i groźby porykującego Johna Reeda i jego wiernego, jak echo, druha Andrewa, gdyż zresztą cała flota korsarska, zniechęcona i skłócona, rozpadła się wkrótce. Ned Daws chciał powrócić na wybrzeża Peru, kapitan Swan był zdania, iż należałoby pozełgować na zachód wzdłuż wybrzeży Meksyku, a potem przez cały Pacyfik aż do Indii Wschodnich. Tak więc „Rozkosz Kawalerów” i „Cygnet” rozłączyły się, ale przed ostatecznym pożegnaniem Dampier przeniósł się wraz ze swymi larami i penatami na statek, który miał popłynąć w daleką i ciekawą podróż przez Pacyfik. Nadeszła więc chwila rozłąki z wiernym Vasco.

Bazyli Ringrose przekonał kapitana Swana, iż powinien za wszelką cenę zaokrętować Dampiera. Na nieznanych wodach bukanierom z załogi „Cygnet” potrzebny był nawigator lepszy

i o spokojniejszym usposobieniu niż John Reed. Ponieważ „Cygnet” miał już pierwszego oficera — Nelly — więc zmiana musiałaby dla Dampiera oznaczać krok w dół w hierarchii, dość luźnej co prawda, żeglarskich godności wśród bukanierów. Szczęściem wakowało na „Cygnet” stanowisko kwatermistrza, które uważano za równorzędne ze stanowiskiem pierwszego oficera. Dampier mógłby więc zostać kwatermistrem, co by go zadowoliło, a jednocześnie nie naraziło na jeden z nieopanowanych wybuchów furii Johna Reeda, który był i mógł pozostać nominalnie nawigatorem.

Dampierowi odpowiadało takie załatwienie sprawy. Mało go obchodziły stanowiska i pełnione funkcje. Przeniósł się na pokład „Cygnet” ulegając swemu zwykłemu pociągowi do włóczęgi po morzach, których jeszcze nie znał.

Kapitan Swan zapewnił go na osobności, że przy najbliższej okazji chce porzucić praktyki pirackie i zająć się znowu uczciwym handlem, tylko obawia się jeszcze oznajmić o tym Bazylemu Ringrose i reszcie załogi. Na „Cygnet” żeglowało sporo ludzi, którzy zaciekawili i pociągnęli Dampiera — nie tylko John Reed o nieokiełznanym temperamentem i wiecznie cytujący przysłowia „szkolarz” Robert Hall, ale byli tam jeszcze: i stary druh Bazyli Ringrose, i dwaj piraci-amatorzy, którzy zaokrętowali się niegdyś na „Cygnet” jako ajenci handlowi. Jeden z nich — Harold Hart-hop tylko pokpiwał z przymusowej zmiany zawodu, drugi Brian Smith, jego dokładne przeciwstawienie, pośepnie potrząsał głową przyglądając się praktykom pirackim i nigdy nie mógł się pogodzić ze swoim w nich udziałem.

Tak więc Dampier gotów był porzucić dawnych kompanów: Holendra Neda Dawsa, który nie dorósł do swej roli kapitana, ale pozostał zawsze lojalnym przyjacielem, cyrulika Wafera i Patryka Hagana; wszelako ten ostatni zdecydował przenieść się na „Cygnet” razem z Dampierem. Dampier musiał przyznać sam przed sobą, iż przywiązał się nawet do Edmunda Cooke’a, jak można się przywiązać do domu, którego się nigdy nie lubiło, ale z którym wiązą wspomnienia wielu dobrych i złych chwil. Jednakże myśl o rozstaniu z jednym tylko przyjacielem mogła zaważyć na wyborze Dampiera, a był nim Vasco. I Vasco właśnie rozstrzygnął wątpliwości swego pana. Patrząc na nieprzeniknioną twarz Indianina trudno było odgadnąć, czy uczynił to świadomie.

— Gdy pożeglujemy ku wybrzeżom mojego kraju — powiedział Indianin Vasco pewnego wieczoru, kiedy odpoczywali z Dampierem w zacisznym kątku pokładu wkrótce po opuszczeniu Zatoki Panamskiej — poproszę cię, panie, żebyś mi pozwolił wrócić do domu.

— O! Czy cię znudziło żeglowanie z nami? — zapytał Dampier.

— To jest puste życie, panie, twarde a niegodziwe. Lepiej na plantacji, u boku żony, z wędką lub harpunem na ryby, z włócznią czy strzelbą na zwierzynę. Wówczas będę wiedział, zem wyższy ponad zwierzęta. A dziś nie jestem tego pewien.

Dampier rzucił na niego spojrzenie na wpół gniewne, na wpół pytające. Vasco nigdy nie był bezczelny. Ale wzbierający gniew Dampiera zniknął, gdyż pojął, że Indianin i teraz nie jest bezczelny w swoim rozumieniu. W umyśle Dampiera zrodziło się inne podejrzenie. Czyżby Vasco dawał mu do zrozumienia, że i on powinien znaleźć sposób porzucenia tego niegodnego trybu życia, sposób, fetory z pewnością łatwiej znajdzie się na okręcie dowodzonym przez pirata wbrew woli, kapitana Swana?

— Z pewnością nie będę cię zatrzymywał — powiedział Dampier — ale będzie mi brakowało ciebie. — I przestraszył się, że nawet tak łagodnie wyrażone zastrzeżenie może wpłynąć na zmianę decyzji wiernego Indianina, co oznaczałoby, że i on sam musiałby pozostać z Nedom Dawsem, gdyż nie miał sumienia zabierać ze sobą Vasco w podróż na drugą półkulę.

Ale Vasco odrzekł spokojnie:

— I mnie będzie brakowało ciebie, panie. Ale w moich myślach ty zawsze ze mną zostaniesz: pirat, który należał do innego rodzaju ludzi, niż wszyscy inni piraci, jakich widziałem.

Ta rozmowa rozstrzygnęła o decyzji Dampiera. Ostatniego wieczoru na pokładzie „Bachelor’s Delight”, kiedy już sprawę jego przeniesienia załatwiono, Dampier wyciągnął się jak długi na deskach pokładu w upalnej ciszy nocnej. Vasco, jak zwykle, położył się u jego nóg.

— Mogę zaufać kapitanowi Dawsoni, panie? — zapytał.

— Wiesz dobrze, że to człowiek godny zaufania, Vasco. Dał mi słowo, że wysadzi ciebie na ląd, gdzie będziesz chciał.

— Ja ufam twojemu słowu, panie.

Zapadła chwila ciszy.

— Nie śpisz, panie?

— Nie, Vasco. Myślałem o tobie i o innych, których jutro opuszczę.

— Przyjaciół nigdy się nie opuszcza w zupełności. Jakaś cząstka naszej przyjaźni pozostaje w sercu na zawsze.

Dampier uśmiechnął się, słysząc prostoduszną filozofię Indianina.

— Panie, chcę cię o coś zapytać. Gdy przepłyniesz przez Żłote Morze do tych dalekich krajów, czy potem powrócisz do swojej żony?

— Chyba nie, Vasco.

— Nie mogę cię zrozumieć, panie. Jej włosy koloru zboża, które nosisz zamknięte w medalionie... — przerwał. W świetle księżycy Dampier widział, że brwi na jego ciemnym czole zmarszczyły się jak u dziecka, które próbuje zrozumieć coś trudnego.

— Ponieważ rozstajemy się jutro, Vasco, opowiem ci o niej — o tej, która ma włosy koloru zboża.

Indianin obrócił się ku niemu żywo, usiadł i podciągnawszy kolana pod brodę, splótł ręce na kostkach nóg. Była to ulubiona jego poza, w której słuchał zawsze opowiadań Dampiera.

Powoli, jakby z trudem dobierał słów, Dampier próbował przywołać przed oczy swego zasłuchanego towarzysza obraz dziewczęcia o jasnych warkoczach splecionych w koronę wokół głowy pod białym muślinem czepeczka. On sam widział ją przed sobą w ciemnościach jak żywą. Błękitne oczy patrzyły w górę ku niemu, krągłe, drobne piersi pod śnieżnobiałą chusteczką opierały się o niego lekko, fałdzista spódniczka szeleściła jedwabiem, zgnieciona bliskością jego nóg. Wspiwała się na palce, przytulała i szepiała:

— Oczywiście, że wyjdę za męża za ciebie, Willu, mój najmilszy. Kochałam cię zawsze, od owego pierwszego dnia, kiedy przyjechałeś tutaj w odwiedziny do twego brata.

— Ale co na to powie twoja macocha?

Grace zmarszczyła nosek z niechęcią.

— Musimy mieć pieniądze — rzekł trzeźwo William.

— Ona z pewnością nie pozwoli ojcu, by mi dał posag — przyznała Grace z westchnieniem. — Uparła się, że muszę zrobić świetną partię. — Dotknęła czule paluszkami jego policzka. — Ale ja inaczej wyobrażam sobie szczęście...

— Wyprawię się znów do Indii Zachodnich, zdobędę tyle pieniędzy, byśmy sobie kupili ładną, dużą farmę i wtedy się pobierzemy, ukochana moja Grace... Grace... Grace...

Los zdawał się sprzyjać ich potajnym planom, gdyż wkrótce potem niejaki pułkownik Helier zaproponował Dampierowi zarząd plantacji na wyspie Jamajka. Cztery lata minęły, zanim William uskładał sumę, którą uznał za wystarczającą. A gdy powrócił do Anglii, zastał macochę Grace jeszcze bardziej wrogo usposobioną niż dawniej. Połyszała o tym, w jaki sposób William zdobywał pieniądze, a nazwawszy go rozbójnikiem, zabroniła pasierbicy widywać się z nim.

Zrozpaczeni młodzi kochankowie postanowili uciec, ale plany ich wyszły przedwcześnie na jaw. Macocha od tej pory więziła Grace, znęcała się nad nią i zaklinała, że nie da jej spokoju, dopóki nie wyda jej za mąż według swej woli.

Wreszcie William, aby ułagodzić macochę, uczynić życie Grace znośniejszym i uwolnić ukochaną od grozy przymusowego małżeństwa, zdecydował się na krok rozpaczliwy. Oto poślubił młodą szwaczkę w domu swej ciotki, Judytę, którą jakiś niepoń uwiódł i porzucił. Dampier oddał Judycie wszystkie pieniądze przeznaczone na założenie wspólnego domu z Grace i odpłynął na zachód, powiedziawszy swej żonie — nie-żonie, iż nigdy z nią współżyć nie będzie...

Dampier zakończył opowiadanie. Vasco siedział bez ruchu, bez słowa. Dampierowi przyszła do głowy myśl, iż może Indianin niewiele zrozumiał z jego opowiadania. Ale to nie miało znaczenia. Dampier odczuwał taką ulgę, jakby zrzucił z piersi wielki ciężar.

Następnego ranka Dampier przeprowadzał się na nowy statek. Łódź podpłynęła po falach morza, niespokojnego tego dnia i wzburzonego, do wysokich burt „Cygnet”. Z pokładu rzucono linę. Gdy Dampier chwycił ją ręką, by wspiąć się na pokład, łańcuszek na jego szyi przerwał się, a medalion wysliznął i wpadł

do morza. Vasco, który popłynął łodzią z jego rzeczami, by towarzyszyć Dampierowi aż do ostatniej możliwej chwili, skoczył do wody tak szybko, iż nurknął w głębinę prawie jednocześnie z połyskującym w słońcu medalionem z włosami Grace. Dampier puścił linę i osunął się z powrotem do łodzi. O parę kroków dalej Indianin wynurzył się z wody, ściskając w dłoni medalion. Dampier wychylił się do niego i wziął medalion, ale w tej samej chwili Vasco wydał przeraźliwy okrzyk i znikł nagle pod wodą. Ciemna plama krwi wypłynęła na powierzchnię. Dampier wychylony przez burtę łodzi wołał nieprzytomnie:

— Vasco! Vasco...

Wielki rekin zatoczył krąg i odpłynął powoli.

### Rozdział XIII PRZEZ PACYFIK

»Mieliśmy słaby wiatr wschodnio-północno-wschodni, który niósł nas przez dziesięć mil. Później wiatr znacznie silniejszy skrzył na zachodnio-północny-zachód, więc wzięliśmy kurs na południowy zachód. O godzinie szóstej wieczorem znajdowaliśmy się o dwadzieścia siedem mil na południowy-zachód od przylądka\*, gdzie napotkaliśmy znowu dobry wiatr od lądu, który wiał bez przerwy całą noc tak, że w południe byliśmy już o dziewięćdziesiąt mil od przylądka. Weszliśmy wreszcie w rejon stałego pasatu na szlaku handlowym, gdyż chociaż przy brzegu wieją różne wiatry, ale na morzu stały wiatr, który wykorzystują wszystkie statki kupieckie, ma kierunek wschodnio-północno-wschodni. Pod tym wiatrem dożeglowaliśmy na odległość stu dwudziestu mil od wyspy Guam. Gdyśmy już zjedli w trzech posiłkach nasz zapas solonej ryby, nie pozostało nam nic, prócz skąpej ilości kurydzy.«

Tak w swoich „Podróżach” William Dampier opisuje rozpo-

---

\* Chodzi o przylądek Corrientes. (*Przyp. red.*)

czętą w dniu 31 marca 1686 roku wyprawę „Cygnet” oraz barku, którym dowodził Teat, do wysp Ladronów dziś zwanych Marianami i do Indii Wschodnich. Wzmianka o szczupłych zapasach żywności zapowiadała przyszłe kłopoty załóg dwóch statków — stu ludzi ze Swanem i pięćdziesięciu z Teatem. Kłótniwość bukanierów i ciągle wybuchające awantury na statkach były częściowo spowodowane tym, że jedni uzbierali już sobie ładne fortunki na piractwie, a drudzy nie mieli grosza przy duszy.

Było to w siedem miesięcy po przyłączeniu się Dampiera do załogi „Cygnet”. Czas ten upłynął im na żeglowaniu wzdłuż zachodnich wybrzeży Meksyku aż do Kalifornii w nadziei zdobycia przynajmniej prowiantu w ilości dostatecznej do rozpoczęcia podróży przez Pacyfik. Zaopatrzenie statku było ważnym zadaniem zważywszy, że należało wyżywić stu pięćdziesięciu ludzi, a nikt dokładnie nie wiedział, jaką przestrzeń mają do przebycia. Ówczesne źródła hiszpańskie podawały odległość sześciu tysięcy dziewięciuset mil, źródła angielskie poniżej sześciu tysięcy.

Trudności zaprowiantowania powiększała jeszcze plaga szczurów na obu statkach. Zuchwałe gryzonie zabawiały się nocą budząc w forkasztelu klnących marynarzy i przebiegając po twarzach oficerów śpiących w kajutach. Doprowadzony do rozpaczki kapitan Swan sprawił sobie psa, pięknego teriera, który go na krok nie odstępował i spał z nim razem w kabinie; Dampier zaś ogromnego dzikiego kocura, którego obłaskawił karmiąc go przysmakami z własnego talerza. Kocisko siadywało na jego ramieniu, wczepione pazurami w kaftan.

Terier kapitana wyglądał rzeczywiście na korsarskiego psa, gdyż naznaczony był długą, przez cały pysk biegnącą blizną, która nie porastała sierścią. Kocur z poszarpanym jednym uchem, a obwisłym drugim też pasował do otoczenia. Brzmiałoby to zapewne bardzo pięknie, gdyby można było powiedzieć, iż te szczytne blizny szlachetne zwierzęta zdobyły walcząc u boku swych panów w utarczkach z Hiszpanami. Ale naprawdę było inaczej. Za bliznę na pysku teriera odpowiedzialny był kocur, a za żałosny stan kocich uszu winę ponosił terier. Po tej wymianie komplementów oba zwierzęta zawarły rozejm, dość niepewny co prawda. Kot imieniem Senior, o ile nie wysiadywał na ramieniu Dampiera, trzymał się zawsze burty nawietrznej statku, a pies



Bristle nie opuszczał burty podwietrznej nawet, by iść w ślad za swym panem. Gdy kapitan i kwatermistrz zasiadali razem do posiłku, dwa zwierzaki siedziały pod krzesłami swych panów, ostentacyjnie odwrócone do siebie tyłem.

Jeszcze w pobliżu przylądka Corrientes na wybrzeżu meksykańskim Dampier dostał dreszczy i gorączki, która później przekształciła się w wodną puchlinę. Na tę chorobę, powszechną w tych okolicach, zmarło kilku marynarzy z załogi „Cygnet”. Na próżno Herbert Coppinger posyłał na ląd Indian, by upolowali aligatora, gdyż — jak notował Dampier — »zdaniem krajowców najlepszym lekarstwem na wodną puchlinę są jądra aligatora, wysuszone i starte na proszek, który się później pije z gorącą wodą«.

Ale chociaż aligatory zdarzają się w tych okolicach, nie upolowano żadnego. Wobec czego lekarz zastosował inną kurację. Gdy stan Dampiera coraz się pogarszał, zabral go na jedną z wysepki Tres Marias, o sto mil od wybrzeża meksykańskiego, i zakopał w gorącym piasku. Tę piaskową kurację — której wcale nie ułatwiał Senior uparłszy się, by siedzieć na głowie swego pana, jedynej nie zakopanej części jego ciała — Dampier wytrzymał przez pół godziny, po czym zlanego potem złożono w namiocie. Nie wiadomo, czy kuracja poskutkowała, czy z innego jakiegoś powodu, dość że Dampier wkrótce potem powrócił do zdrowia.

Być może, iż ta właśnie choroba, na którą zmarło tylu korsarzy, ocaliła życie Dampierowi, ponieważ bardzo jeszcze osłabionego pozostawiono go na statku, gdy Swan z Johnem Reedem, Bazylim Ringrose i liczną grupą bukanierów wybrali się, by zdobyć prowiant w mieście zwanym Santa Pecaque o parę mil w głąb lądu od wybrzeży Meksyku. Bez trudności opanowano miasto i wymuszono spory zapas kukurydzy, ale gdy bukanierzy ładowali żywność na zarekwirowane konie, kapitan Swan otrzymał wiadomość, że silny oddział wojsk hiszpańskich znajduje się w odległości zaledwie dziesięciu mil. Kapitan kazał wobec tego jak najszybciej opuścić miasto zabierając tylko to, co już załadowano na konie. Reed sprzeciwił mu się dowodząc, że nie miałoby sensu pozostawiać jeszcze tyle kukurydzy, która bardzo im się przyda w podróży. Kapitana poparli Patryk Hagan i puszczarz Robert Hall, który rzekł sucho:

— Już ja wolę, aby mówiono o nas, żeśmy tchórze niż trupy.

Ale bukanierzy opowiedzieli się po stronie Johna Reeda. Ostatecznie zdecydowano, że rozdzielią się na dwie grupy, z których jedna pójdzie z załadowanymi końmi i wróci po resztę ładunku, a druga będzie pilnowała pozostałych worków z kukurydzą. Kapitan musiał ustąpić.

Ringrose poprowadził oddział z końmi. Nakazał związać parami konie i pójść w dwóch partiach po dwudziestu pięciu ludzi przed końmi i za nimi, co by pozwoliło sprawniej odeprzeć atak. Ale bukanierzy nie chcieli go słuchać. Szli jeden za drugim, każdy oddzielnie prowadząc konia, głupio, uparcie lekkomyślni.

Wkrótce po ich odejściu Swan usłyszał w oddali strzelaninę. Tym razem nikt nie protestował, gdy kapitan rozkazał natychmiast opuścić miasto pozostawiając resztę worów z kukurydzą. John Reed, odrzuciwszy dwie połowy swej brody na plecy, aby mu nie przeszkadzała, parą pistoletów pobrzękując o kordelasy zatknięte za pas, popędził naprzód. Robert Hall zamykał pochód posepnie pomrukując pod nosem przysłowia w rodzaju:

— Gdy głupiec się uprze, nie warto się targować.

Pomimo swych wielkich butów Reed wysforował się daleko i znikł sprzed oczu towarzyszy między wysokimi drzewami i leśnym podszyciem. Nagle do uszu pozostałych doszedł jego przerażający, jakby obłąkany, wrzask, w którym z trudem można było rozróżnić słowa:

— Bazyli! Bazyli Ringrose... Zabiję za ciebie tysiąc tych bękartów!

Wśród pięćdziesięciu straszliwie pokaleczonych ciał, nad którymi stał John Reed u skraju polany, wznosząc w bezsilnej wściekłości ramiona do góry, trup Bazylego Ringrose był niemalże jedynym dającym się rozpoznać. Odzież z trupów była zdarta, ciała straszliwie pochlastane uderzeniami szabel i dzid, twarze pocięte, skopane, zbite. Rude włosy Bazylego Ringrose jarzyły się na odciętej od ciała głowie.

John Reed wyrwał dwa pistolety zza pasa, wystrzelił z nich w powietrze i rzucił je na ziemię, skacząc przy tym jak furia w ataku.

— Opanuj się, człowieku! — krzyknął na niego ostro kapitan Swan. — Choć się nie dziwię, że szalejesz, bo to twoja robota.

Odważne to były słowa. Reed w obłąkanej pasji zwrócił się przeciw kapitanowi i wymierzył w niego swój trzeci pistolet. Ale Swan stał spokojnie, nie dobywał broni i tylko nieustraszony wzrok utkwił w szalejącym włochatym olbrzymie. John Reed odrzucił pistolet w podeptane i zlane krwią zarośla. Tędy prawdopodobnie Hiszpanie wlekli swych własnych zabitych i rannych. John Reed rzucił się na ziemię przy pociętym trupie Bazylego Ringrose i wybuchł tak rozpaczliwym łkaniem, że nawet zatwardziali piraci odwracali twarze, jak dziecko na widok łez ojca.

W głuchym milczeniu wracali bukanierzy na pokład „Cygnet”. Nie powiększyli zapasu kukurydzy, zdobyli tylko gorzką świadomość, jak straszne nieszczęście sprowadzili na głowy swych współtowarzyszy z powodu własnej niesubordynacji. Cała ta wyprawa wzdłuż wybrzeża meksykańskiego nie spełniła pokładanych nadziei. Spodziewano się, że na tym ruchliwym szlaku handlowym można będzie napotkać różne statki kupieckie. Tymczasem okazało się, że zarówno towary, jak i należności za podatki zgromadzone w Acapulco przewożono do Veracruz — skąd miały być wysłane do Hiszpanii — drogą lądową, karawanami objuczonych mułów. »Zamiast zysków — pisał Dampier — napotkaliśmy na tym wybrzeżu tylko straty, nieszczęścia i utrudzenie, więc tym łatwiej ulegliśmy pokusie szukania szczęścia w Indiach Wschodnich.«

Jednakże nie wszyscy tak łatwo ulegli owej pokusie. Trudno było się odważyć na opuszczenie wybrzeży meksykańskich. Opłynięcie kuli ziemskiej śladami Franciszka Drake i innych sławnych żeglarzy wydawało się wielu bukanierom tylko fantastyczną legendą. Dowodzili, że kapitan Swan chce ich zaprowadzić na skraj świata, tam, gdzie ocean się kończy i wody wlewają się w przepaść bez kresu. Swan musiał zaprzysiąc, że w ciągu pięćdziesięciu dni dopłyną do Ladronów. Gdy jeszcze przyrzekł, że stamtąd popłyną na Filipiny, gdzie będzie w bród bogatych łupów, bukanierzy zgodzili się wreszcie pod wpływem rozbudzonych nadziei i własnej chciwości.

Trapiono się niedostatecznymi zapasami prowiantu, gdyż ryby było tylko na parę posiłków, a kukurydzy zaledwie osiemdziesiąt buszli. Gdy zjedzono rybę, obowiązkiem Dampiera, jako kwatermistrza, było wydzielać codziennie osiem łyżek kukurydzy na

głowę. Skazani na taką głodową rację bukanierzy sarkali, chudli i tracili siły. Jedyne Dampier czuł się doskonale na tej kukurydzianej diecie. »Choroba mnie opuściła i siły zaczęły wracać« — pisał w tym czasie... Najlepiej się powodziło kocurowi i psu, choć wcale nie widać było, aby zmniejszała się ilość szczurów, które wbrew wszelkim wysiłkom wciąż pożerały zatrważające ilości cennej kukurydzy. John Reed organizował wielkie polowania w dolnych komorach statku. Uzbrojeni w kordelasy myśliwi zabijali szczury tuzinami, ale i to niewiele pomagało.

»Przebywaliśmy codziennie duże przestrzenie — pisał Dampier — przy dobrej pogodzie i sprzyjającym wietrze, który wykorzystywaliśmy płynąc pod wszystkimi żaglami. Robiliśmy dobre pozycje ze słońca. Na początku naszej wyprawy wzięliśmy kurs na równoleżnik trzynastu stopni szerokości północnej, w pobliżu której leży wyspa Guam. Później zmieniliśmy kurs na zachodni i trzymaliśmy się już tej szerokości.«

Dampier cieszył się nie tylko z powrotu do zdrowia. Sądził, że z każdą milą morską odpywa coraz dalej od swej pirackiej przeszłości. Kapitan Swan, wbrew obietnicom, które poczynił załodze, upewniał parokrotnie swego kwatermistrza, że w Indiach Wschodnich nie będzie się więcej zabawiał piractwem i wykorzystywał pierwszą sposobność, aby powrócić do Anglii. Dampier coraz częściej ze wstrętem myślał o zbrodniach i okrucieństwach, które obciążały jego sumienie nawet, jeśli nie brał w nich udziału osobiście, a tylko jako bierny obserwator. Co prawda, gdyby zdobył fortunę pijackimi praktykami, może by nie myślał o nich z takim wstrętem.

Bądź co bądź, Dampier nie miał już nigdy powrócić do zawodu pirackiego. Gdy w siedemnaście lat później wypłynął znowu z Anglii, miał w kieszeni list kaperski i upoważnienie rządu do prowadzenia wojny z nieprzyjaciółmi kraju.

Kamraci Dampiera z załogi „Cygnet” nie odczuwali moralnej satysfakcji, która by im pomogła znosić głodowanie i rozpaczliwą nudę długiej podróży. W ciągu wielu dni wzrok ich nie napotykał nic innego, prócz nieskończonej powierzchni wód i własnych z każdym dniem bardziej odrażających twarzy. »Dziwne iż w tej

podróży nie dostrzeżliśmy żadnych ryb, nawet ryb latających, ani też żadnych ptaków.«

Puste żołądki były oczywiście powodem ciągłego sarkania i kłótni. Noc po nocy wybuchały bójki na pokładzie albo w forkasztelu. Jeżeli John Reed był trzeźwy, to szedł rycząc jak niedźwiedź, między bijących się marynarzy i nie żałując swych pięści rozdzielał ludzi, wyrzucał ich z forkasztelu lub ciskał nimi przez pokład. Odnosiło to chwilowo dobry skutek, ale Reed miał własny, starannie strzeżony zapas rumu i w czasie częstych okresów jego pijaństwa kłótniowość ludzi wzrastała.

Kapitan Swan, którego pojęcia o dyscyplinie datowały się z jego przedpirackich dni, uśmierzał od czasu do czasu awantury skazując kogoś z najgorszych zawadiaków na ciemnicę w towarzystwie szczurów pod pokładem lub na chłostę. Pierwszy oficer Nelly tylko się wysługiwał kapitanowi, a na własną rękę nic nie robił. Tak więc nie tylko trudy nawigacji, ale i uspokajanie marynarzy spoczęło na barkach Dampiera i dawnego ajenta handlowego, Harolda Harthopa, którego nadal ogromnie bawiło życie wśród piratów.

We dwóch szli wieczorem do forkasztelu, dość obszernego pomieszczenia, gdzie mieściły się koje marynarzy. Ludzie leżeli lub siedzieli, paląc i warcząc jeden, na drugiego. Dwaj skrzypkowie, których kapitan Swan zaokrętował jeszcze w Anglii, grali marynarskie piosenki i rzewne melodie ludowe, jeśli humory marynarzy na to pozwalały. Przez otwarty właz wpadało do wnętrza szybko blednące światło dzienne.

Dampier i Harthop wybrali się do forkasztelu pewnego wieczoru, gdy statek przebył przestrzeń pięciu tysięcy siedmiuset mil, co według map angielskich oznaczało, że powinni byli znajdować się już w pobliżu wyspy Guam. Marynarze ostatnio mniej się kłócili między sobą, natomiast coraz groźniej występowali przeciwko tym, którzy namówili ich na „głodową wyprawę”. Andrew, druh Johna Reeda, korzystając z tego że ten ostatni znowu upił się do nieprzytomności, dopominał się głośno o zwiększenie codziennej racji kukurydzy.

— Płyniemy prędko — nalegał. — Wiatr nam sprzyja. Dopłyniemy do Guamu wygłodzeni i słabi, a z kukurydzą w komorach.

— Musicie mieć trochę cierpliwości — łagodził Dampier, który

obawiał się, że od wyspy Guam dzieli ich może kilkaset mil. Skrzypkowie przestali grać i ze smyczkami zawieszonymi w powietrzu bacznie przysłuchiwali się rozmowie.

— Nie mamy już cierpliwości. Powinniśmy was wszystkich, przeklętych samozwańczych oficerów, zakuć w kajdany albo wyrzucić za burtę! — zawołał Williams, zezowaty i chudy pirat o drewnianej nodze. Wyjąwszy szerniałą fajkę z ust, podniósł głowę i strzyknął śliną przez otwarty właz.

— Jeśli masz siłę, by tak pluć, to jeszcze nie umierasz z głodu — zaśmiał się Harthop.

— Nie mam sił, tylko złość pluję — odparł Williams. — A wy oficerowie i kupcykowie, co tam zajadacie w swoich kabinach?

— Jestem kwatermistrzem — rzekł Dampier. — Daję ci moje słowo, Williams, że od chłopca okrętowego do kapitana nikt na tym statku nie dostaje więcej jak osiem łyżek dziennie.

Daniel Wallis, młody awanturник, który leżał nagi na swej koi, uniósł się na łokciu i rzekł:

— Wy nie doceniacie naszego gniewu, panie Dampier. My chcemy więcej kukurydzy i dostaniemy ją. Pozwolę sobie przypomnieć, że my bez większego trudu potrafimy opanować ten statek i wszelkie zapasy żywności, jakie są na pokładzie.

— Tak już osłabłem, że nie umiałbym nawet zatańczyć — wmieszał się do rozmowy Walter Thacker, młody elegant, nawet w tych warunkach wystrojony w czyste spodnie płócienne i niebieski jedwabny kaftan, który zwędził komuś w Santa Pecaque. W tawernach portu londyńskiego nauczył się niegdyś tańczyć solo. — Jeśli się w ogóle kiedyś dostanę na te złodziejskie wyspy — ciągnął żałośnie — i zobaczę dziewczuchę do rzeczy, będę mógł tylko patrzeć na nią, na nic innego mnie już nie będzie stać. Shańbię się na resztę mego życia!

— Wyobrażam sobie rozczarowanie tej biedaczki — pokpiwał Harthop.

— Wam się dobrze śmiać — zawarczał John Damerel wymachując groźnie żelaznym hakiem, który miał przymocowany do kikuta prawego ramienia zamiast ręki.

— Ja bym panu radził, panie Dampier, pomyśleć nad tym, co

młody Wallis powiedział. My jesteśmy doprowadzeni do desperacji...

Tylko stary George Brandt, który liczył już sobie osiemdziesiąt cztery lata i łysy był jak kolano, ale trzymał się jeszcze prosto, a uwijał się po pokładzie tak zręcznie jak każdy z młodych — próbował ułagodzić wzburzonych kamratów.

— Kapitan i kwatermistrz też są głodni, całkiem na pewno — powiedział.

— A niech sobie będą, to ich podróż! — wykrzyknął Damerel unosząc w górę swój straszliwy hak.

— Zrobię, co będzie w mojej mocy — powiedział Dampier. Najwięcej zaniepokoiły go pomrukiwania i szeptki tych marynarzy, którzy wcale się do niego nie odzywali, a tylko szeptali między sobą rzucając w jego stronę nienawistne spojrzenia. — Ja mogę tylko spełniać rozkazy kapitana.

— Poczekaj, jeszcze my ci będziemy rozkazywali! — warknął za odchodzącym Williams i Dampier usłyszał, jak uderzał wściekle drewnianą nogą w podłogę forkaasztelu.

Dampier i Harthop poszli do głównej kabiny, gdzie kapitan Swan poił rumem chłopca okrętowego. Swan znalazł tego chłopca, Billy Bowmana, śpiącego w londyńskim rynsztoku jeszcze przed odpłynięciem „Cygnet”. Nawet przez powłokę brudu i błota przebijała niezwykła uroda chłopca. Billy okazał się dobrym sługą, szybkim i chętnym. Swan znajdował dziwną przyjemność w systematycznym rozpijaniu chłopaka. Gdy po pijaństwie chłopiec chorował, Swan układał go na własnym łóżku i pielęgnował z kobiecą czułością.

Gdy Dampier i Harthop weszli do kajuty kapitana, zastali Billy Bowmana tak już wstawionego, że gdy mu powiedziano, by wyszedł, nie usłuchał i obsypał ich potokiem wyzwisk. Trzeba go było siłą zamknąć w komórce.

Kwatermistrz i agent — jeden poważny i zatroskany, drugi tylko rozbawiony — ostrzegli kapitana, że jeśli nie chce mieć buntu na okręcie, powinien jednak zwiększyć dzienną rację żywności.

— Pierwej zakuję każdego z tych warczących drani w kajdany — złościł się kapitan.

— To musiałybyś chyba sam ich zakuwać — odparł Dampier. — Bo żaden z marynarzy nie podniesie ręki na drugiego, gdybyś wydał taki rozkaz. Nawet stary Brandt ci odmówi.

— A najprawdopodobniej znaleźlibyśmy te kajdany na naszych własnych rękach i nogach — pokpiwał Harthop i dorzucił: — No cóż, nasz ponury Śledź miałby sposobność zbierać obserwacje z nowego punktu widzenia. Nowe eksperyencje do wpisania w dziariuszu, co?

Wreszcie kapitan ustąpił, acz bardzo niechętnie, i pozwolił Dampierowi zwiększyć wydawaną codziennie ilość kukurydzy z ośmiu łyżek do dziesięciu na głowę.

Jednemu z marynarzy, nazwiskiem John Cookworthy, którego nigdy do tej pory nie widziano rozpychającego się o pierwsze miejsce w codziennym ścisku wokół kotła z kukurydzą na dźwięk dzwonu oznajmiającego posiłek — ta zwiększona racja nie wystarczyła jednak. Kucharz okrętowy zaraportował w trzy dni później, że przyłapał Johna Cookworthy na gorącym uczynku kradzieży kukurydzy z podręcznej spiżarni przy kubryku.

— Cała załoga na pokład — zarządził kapitan Swan i udzielił dalszych szczegółowych instrukcji bosmanowi Morganowi: — Tego Johna Cookworthy obnażyć do pasa i przywiązać do przedniego masztu. I przynieście mi kawał porządnej liny.

— Ludzie nie zgodzą się na to — powiedział Dampier ostrzegawczo. — Rozumieją do czego może doprowadzić głód. Poza tym to dobry marynarz, lubiany wśród załogi.

— Sam nie wiesz, co mówisz — warknął kapitan Swan. — Będą wszyscy wściekli, że jeden z nich miał więcej kukurydzy od reszty.

— Jeśliś jest złodziejem, bacz, aby cię złodzieje nie złapali — wtrącił z powagą puszkarz Hall.

Tym razem kapitan Swan miał słuszość. Gdy przekonano Johna Reeda, aby oderwał się od swego szkieletnika — rysował właśnie jednookiego Williamsa, gębę istotnie niesamowitą i wartą uwiecznienia — i gdy wszyscy zebrali się na pokładzie, kapitan Swan wskazawszy Johna Cookworthy, przywiązanego już do masztu z rękoma nad głową, powiedział im w paru zwiezłych słowach, po co ich tu zawołał.



— Powiedz teraz, Johnie Cookworthy, czy kradłeś kukurydzę z kuchennych zapasów, czy nie? — zagrzmał.

— Kradłem — odparł głosem cichym, ale wyraźnym nieszczęsny marynarz z głową odwróconą na bok i policzkiem przyciśniętymi do masztu. — W korytarzu było pusto, a ja byłem głodny.

— W takim razie przygotuj się ponieść karę — rzekł Swan. — Jesteśmy wszyscy głodni. Wszyscyśmy dostawali dokładnie tyle samo jedzenia. Dalsze nasze życie, nasza szansa uniknięcia głodowej śmierci ma być narażona na szwank przez twoje wścibskie złodziejstwo? Dosyć mamy czworonogich szczurów na okręcie, nie potrzeba nam jeszcze dwunogich.

Swan podszedł wielkimi krokami do marynarza z liną w dłoni. Dwaj muzykanci zadęli w trąby. Cookworthy zamknął oczy, mięśnie jego ramion i pleców stężały. Swan zamachnął się szeroko ramieniem i uderzył ciężką liną przez plecy związanego marynarza. Cios był zadany z całą siłą, jaką kapitan mógł jeszcze rozporządzać po długich tygodniach niedożywienia. Było jej wcale niemało. Cookworthy zatrząsł się, ale żaden okrzyk nie wyrwał się z jego ust. Nim Angus Nelly, biorąc linę z rąk kapitana, dodał cios od siebie, na brązowych plecach Johna Cookworthy wystąpiła wypukła, nabiegła krwią smuga. Z kolei uderzył Dampier, potem podszedł John Reed burcząc pod nosem:

— To nie zajęcie dla mężczyzny! — usiłując uderzyć jak najłżej, trzepnął skazańca tylko po spodniach, a sam potknął się i przewrócił, aż deski pokładu zadrżały.

— Bić się potrafi, to mu przyznaję, ale za grosz nie ma w sobie poczucia dyscypliny — warczał kapitan do Dampiera i Nelly, stojących obok niego. — Miękki jak baba, choć ma twarde mięśnie.

Ludzie podchodzili jeden po drugim i uderzali w spływające krwią plecy Johna Cookworthy z posępną zaciekłością. Każdy czuł nad sobą widmo głodowej śmierci, która mogłaby ich spotkać, gdyby złodzieja nie wykryto i nie przychwycono w porę. Tylko chłopca okrętowego nie znaleziono nigdzie.

Wytrzymałość i opanowanie Johna Cookworthy załamały się w końcu. Przerażliwy wrzask dobywał się z jego ust za każdym uderzeniem, rozcinającym coraz głębiej jedną wielką otwartą ranę, w którą przekształciły się jego plecy. Wreszcie bełkocąc coś bez sensu stracił przytomność i zwiśł bezwładnie na sznu-

rach. Pies Bristle siedział u nóg kapitana i dygotał całym ciałem, chowając łeb za nogi swego pana za każdym razem, gdy czyjeś ramię wznosiło się do nowego ciosu. Kocur zmierzwszy scenę kaźni obojętnym okiem, odszedł na drugi kraniec okrętu i ułożywszy się wysoko na rei, patrzył w morze, jakby nie chciał być świadkiem ludzkiej brutalności.

Wkrótce po kaźni, gdy John Cookworthy nie skarżąc się na swoje cierpienia leżał jeszcze pod troskliwą opieką lekarza Coppingera, a niedźwiedziowaty John Reed odwiedzał go prawie co godzinę i pokrzepiał rumem ze swego osobistego zapasu, Dampier zapisał w swym diariuszu:

»Statek nasz wpłynął nad skalistą mieliznę, głęboką ledwie na cztery łokcie. Dostrzec można było wyraźnie wielkie mnóstwo drobnych ryb pływających wśród skał. Wywnioskowaliśmy z tego, że ląd musi być już niedaleko. Znajdowaliśmy się wtedy na piętnastym stopniu szerokości północnej przy kursie zachodnim. Dodaliśmy żagli i wzięliśmy kurs na północ, aczkolwiek z wielu wątpliwościami i niepokojem, ponieważ na hiszpańskich mapach nie ma śladu takich mielizn w okolicy wyspy Guam. Około godziny czwartej po południu ujrzeliśmy ku naszej wielkiej radości wyspę Guam w odległości dwudziestu czterech mil morskich.«

Cała załoga zgromadziła się na pokładzie. Osłaniając oczy rękoma przed blaskiem słońca ludzie wypatrywali zarysów wyspy na horyzoncie, krzyczeli, śmieli się, uderzali jeden drugiego po plecach, zapomniawszy o wszelkich niesnaskach w obliczu szczęśliwego zakończenia swoich trudów i głodowania.

— Tobą, mój Śledziu, nikt by się nie najadł — rzekł kapitan Swan do Dampiera. — Jesteś chudy i łykowaty. Ja, to co innego. Ze mnie byłaby wyśmienita pieczeń, tłusta, soczysta, kruchutka.

Dampier uśmiechem skwitował te słowa, które uznał za makabryczny żart.

— Nie ma z czego się śmiać — odparł kapitan. — Ludzie zamierzali to zrobić całkiem na serio. Billy podслуchał to wczoraj. Gdybyśmy nie dostrzegli łądu w ciągu dzisiejszego dnia, w forkaśtelu postanowiono, i to jednogłośnie, zauważyć tylko, dać sygnał buntu. Mieli zakuć w kajdany wszystkich, którzy organizo-

wali tę podróż i namawiali do niej, a potem zjeść nas po jednym. Ja miałem pójść pierwszy do kotła, nie tyle z racji mego stanowiska, ile w uznaniu dla ilości i jakości mięsa, którego bym dostarczył.

— Jeśli tak, to John Reed musiałby być pierwszy — wtrącił Harold Harthop, który stojąc przysłuchiwał się opowiadaniu kapitana.

— Ech, same kości i mięśnie! — zaprotestował kapitan Swan, jakby był dumny z zaszczytnego pierwszego miejsca w ocenie gastronomicznych walorów swojej osoby.

Dampier wstrząśnięty na myśl o losie, którego o włos tylko uniknęli, odszedł do burty okrętu. Jego osłabiony jeszcze po chorobie żołądek wypowiedział mu posłuszeństwo i przechyliwszy się przez burtę Dampier złożył daninę falom oceanu, jak wówczas, gdy kapitan Cook na pokładzie „Rozkoszy Kawalerów” odcinał głowy wyskakującym spod pokładu Hiszpanom.

## Rozdział XIV

### ZAKŁADNIK, KTÓRY MIAŁ SZCZĘŚCIE

Wyspa Guam jest najbardziej wysunięta na południe z archipelagu Mariany, odkrytego w 1521 roku przez Magellana i ochrzczonego nazwą Ladronów, czyli Wysp Złodziejskich — z powodu uporczywych kradzieży, jakich, dopuszczali się tutaj krajowcy. „Cygnet” rzucił kotwicę o godzinie jedenastej wieczorem dnia 21 maja 1686 roku po zachodniej stronie wyspy, o milę od lądu.

» Wyspa — notował Dampier — wydaje się z dala dość płaska i równa, ale przybliżywszy się, można dostrzec, że od wschodniej strony, najwyższej, wznosi się skalista skarpa, która stawia czoła burzliwym falom. Po tej stronie nie można rzucać kotwicy.«

Zaledwie zakotwiczono, gdy marynarze na statku usłyszeli wołanie w języku hiszpańskim. Podpływała ku nim duża łódź.

— Kto jesteście? I skąd przybywacie?

— Powiedz im, że jesteśmy Hiszpanie i płyniemy z Acapulco — powiedział kapitan Swan spieszonym i cichym głosem do Roberta Halla. — Ciemno jest, nie poznają, że nasz statek nie jest hiszpański.

Łódź podpłynęła blisko. Przytrzymano ją bosakami i hakami. Indianie przy wiosłach próbowali się odłączyć, ale John Reed wystrzelił ponad ich głowami z pistoletu. Z łodzi odezwał się po hiszpańsku kulturalny, łagodny głos:

— Wejdziemy dobrowolnie na pokład.

Przy akompaniamencie fanfary odegranej na trąbach przez muzykantów Swana na pokład statku wszedł katolicki ksiądz w sułtanie, a za nim trzech wspaniale zbudowanych Indian odzianych tylko w przepaski na biodrach. Wszyscy czterej, wystraszeni i zaskoczeni, rzucali wokoło trwożne spojrzenia.

Kapitan Swan wystąpił naprzód z wyciągniętą prawą ręką.

— Witam waszą wielbność — rzekł kordialnie. — Proszę się nie obawiać. Włos wam z głowy nie spadnie.

Robert Hall przetłumaczył jego słowa. Ksiądz uśmiechnął się i wyprostował z westchnieniem ulgi, po czym uściśnął podaną sobie dłoń. Groźne twarze Indian złagodniały, ale zaczęły znowu rozglądać się za możliwością ucieczki, gdy kapitan poprowadził księdza pod pokład, do dużej kabiny.

— Nie przybyliśmy tu jako wrogowie — objaśniał Robert Hall. — Potrzeba nam tylko żywności dla naszej załogi głodującej od pięćdziesięciu dni na bardzo szczupłych racjach. Zapłacimy za wszystko, co będziemy mogli dostać na wyspie.

— Na naszej wyspie mało jest żywności — odrzekł ksiądz, wysoki, szczupły, niemłody już mężczyzna. — Nasz gubernator jest Hiszpanem i nie bardzo kocha Anglików, którymi jesteście, jak mi się zdaje.

Hall zerknął pytająco na kapitana, który skinął głową.

— Jak waszej wielbności podobałaby się dłuższa przejażdżka po morzu na statku pełnym wygłodzonych ludzi, którym mogłoby przyjść do głowy, że to wasza wielbność jest przyczyną ich dalszego głodowania? — zapytał bardzo uprzejmym tonem Hall.

Ksiądz mocno uchwycił palcami brzeg stołu, za którym siedział.

Naprzeciwko zasiedli kapitan i Robert Hall, przy drzwiach stał Dampier i włochaty olbrzym Reed.

— Pozwólcie mi się zastanowić... jestem pewien, że gubernator zrobi wszystko, co możliwe, by was zaopatrzyć w prowiant. Tak, jestem pewien. Gubernator jest bardzo zacnym człowiekiem.

— Ha, ha, ha! — zaryczał John Reed, aż się po całym statku rozlegało. — Nie brak ci rozsądku, padre — powiedział okropną łamaną hiszpańszczyzną. — Jesteś chudy i kościsty, ale po dłuższym gotowaniu moglibyśmy z ciebie zrobić wcale dobry rosół.

Kapitan dawał znaki Reedowi, by zaprzestał, ale ten znowu wybuchnął swym tubalnym rechotem. Robert Hall położył pióro i papier przed księdzem, który drżącą dłonią napisał pod dyktando list do gubernatora zapewniając go, że nowo przybyły statek ma przyjazne zamiary i że należy załodze dopomóc we wszystkim, czego będą sobie życzyli.

O świcie Indianie popłynęli łodzią na brzeg wioząc dla gubernatora cztery jarde szkarłatnego brokatu, złotą i srebrną koronkę, bardzo kurtuazyjny list od kapitana Swana, no i ów pisany pod dyktando list od księdza.

— Dom gubernatora jest o pięć mil stąd, na południowym krańcu wyspy — rzekł Dampier do kapitana. — Ci Indianie nie powrócą przed wieczorem. Chciałbym wziąć łódź i popłynąć na brzeg. Może uda mi się znaleźć orzechy kokosowe.

— Wszystko będzie pożądane, co tylko się nadaje do zjedzenia — odparł Swan. — Reed, Andrew, Damerel i jeszcze inni wybrali się na połów ryb. Nie mogę sobie wyobrazić, jak Reed łowi ryby. Może strzela do nich?

— Nie, wrzuca Damerela do wody w charakterze przynęty — wmieszał się Harthop, zachwycony dobrym humorem kapitana. — Ryby łapią się na ten jego haczyk, a potem Reed go razem z rybami wciąga z powrotem do łodzi. No, czy nie dobry pomysł?

Z Dampierem popłynął Patryk Hagan, Daniel Wallis — młody chłopak, Williams o drewnianej nodze, stary Brandt i Billy, chłopiec okrętowy. Kot Senior skoczył mu na ramię z burty statku, gdy Dampier już siedział w łodzi.

Bambusowe, okrągłe chaty Indian wyglądały malowniczo z dala pod strzechami z palmowych liści. Osady ich skupione były

przeważnie na zachodnim krańcu wyspy blisko wybrzeża. Uprawiano tu głównie ryż. Hiszpańscy księża na wyspie zabierali dziesięcinę wszelkich płodów i nawet kurczaka nie wolno było zabić bez ich pozwolenia. Nieco dalej wznosił się niewielki fort, z którego wału wyglądały paszcze tuzina armat.

Tymczasem ksiądz na pokładzie „Cygnet” częstował swego na-  
zbyt gościnnego gospodarza oraz Roberta Halla melonami i poma-  
rańczami, które przywiózł ze sobą w łodzi. Dowiedzieli się od  
niego, że w forcie jest zaledwie około trzydziestu żołnierzy. Nie  
trzeba było więcej, gdyż na wyspie żyło tylko stu mieszkańców.

— Przed paru laty było tu więcej Indian — ciągnął ksiądz. —  
Kilkuset. Zbuntowali się i powstali przeciw nam. Zaiste, krwawe  
to były dni. Wielu Hiszpanów zginęło, Indianie dostali się do  
fortu i niemało było trudu, zanim gubernator przy pomocy żoł-  
nierzy opanował sytuację. Wreszcie Bóg spełnił nasze błaganie —  
ja i dwóch jeszcze księży trwaliśmy bez przerwy w modlitwie —  
i Indianie uciekli na inne wyspy zniszczywszy plantacje guberna-  
tora. Pozostali z nami tylko ci, którzy nie brali udziału w buncie.  
Niewielu takich było, gdyż wielka jest niewdzięczność tego ludu,  
który łatwo zapomniał, iż przynieśliśmy im słowo boże i cywili-  
zację.

Ksiądz nie wiedział, że pozostali Indianie również nie żywili  
żadnej wdzięczności. Ci, z którymi Dampier i jego towarzysze  
wszczęli rozmowę w łamanym języku hiszpańskim, zaofiarowali  
się wskazać im drogę do fortu i pomóc w zdobyciu wyspy. Wallis,  
Williams i inni chcieli natychmiast powrócić na statek, zwołać  
bukanieców i zabrać się do dzieła. Fort można było opanować bez  
większego trudu. Dampier pohamował ich, pewien, że kapitan  
Swan nie będzie chciał wszczynać wojny z Hiszpanami od razu  
po przybyciu w te strony, gdzie dalsza podróż w znacznej mierze  
zawisała od przychylności, a przynajmniej od tolerancji Hiszpa-  
nów.

Indianie poprowadzili bukanieców do gajów palm kokosowych,  
które ciągnęły się przez parę mil wzdłuż wybrzeża. Z dała drze-  
wa te były podobne do innych palm, ale nie tak wysokie. Przy  
głównym pniu rosły kępami, po dziesięć do dwunastu sztuk, wiel-  
kie orzechy, wypełnione słodkim mlekiem. Senior uganiał od

drzewa do drzewa wdrapując się na pnie, ale niezbyt wysoko. Przyjaźni Indianie pomogli im ściąć drzewo.

»Napełniliśmy — pisał Dampier w swym dzienniku — nasze wygłodniałe żołądki słodkim, pożywnym, orzeźwiającym mlekiem. Twardą skorupę tych orzechów wielkości mniej więcej głowy człowieka, okrytą jeszcze od zewnątrz rodzajem mchu, rozłupywaliśmy ostrym uderzeniem. W środku białe jądro zawierało w wydrążeniu około kwarty słodkiego, bardzo smacznego płynu. Indianie objaśnili, że jądro i mleko nie są jedynymi z wielu zalet palmy kokosowej. Z pnia tego drzewa wydobywa się sok zwany „tody”, z którego wyrabia się najlepszy gatunek araku popularnego w całych Indiach Wschodnich. Zbiera się ten sok nacinając gałąź, u nasady której tworzą się załączki kokosu. Do naczynia zawieszzonego pod nacięciem spływa sok, który powinien być odżywiać orzechy. Oczywiście, orzechy na tej gałęzi już nie dojrzeją. Indianie nauczyli nas dodawania jądra orzecha kokosowego do wody, w której gotuje się kurę czy inne ptactwo. Potrawa przyrządzona z tym dodatkiem ma wyśmienity smak. Z jądra również wyciskano olej. Ze skorupy wycinano miseczki, talerze, łyżki i spodeczki, a z zewnętrznego, mszystego porostu zawierającego dużo części włóknistych, sporządzano dobre sznury i liny.«

Na obserwacjach i rozmowach zszedł Dampierowi ranek i część popołudnia. Wracając na okręt ze zdziwieniem poczuł rozkoszny zapach pieczonego mięsa. Okazało się, że posłani do gubernatora Indianie zdążyli powrócić jeszcze przed południem z bardzo uprzejmym listem, w którym gubernator dziękował za prezenty kapitana Swana i przyrzekał zaopatrzyć statek we wszelką żywność, jaka jest tylko do dyspozycji na wyspie. Załoga siedziała w krąg oblizując się w radosnym oczekiwaniu. Senior znikł natychmiast w kuchni. Psa nigdzie nie było widać, choć kapitan Swan stał na rufowce razem z hiszpańskim księdzem. Albowiem — o radosna chwilo! — gubernator wraz z listem nadesłał sześć młodych wieprzaków, karmionych orzechami kokosowymi. »Najlepsze mięso, jakie kiedykolwiek jadłem!« — notuje Dampier.

— Wiemy teraz, czym trzeba by było utuczyć kapitana, jeśli-

byśmy znowu mieli na niego apetyt — zauważył rzeczowo Daniel Wallis.

Indianie przywieźli również dwanaście melonów i dwanaście kawonów, ale najcenniejsze dla żeglarzy było polecenie, które gubernator wydał Indianom na wybrzeżu, aby piekli codziennie tyle owoców drzewa chlebowego, ile będzie potrzeba załodze „Cygnet”.

Owoc ten, nieco większy od melona, rośnie mniej więcej tak, jak nasze jabłka, na drzewach o ciemnozielonych liściach. Skórkę ma bardzo twardą i grubą, a miąższ, gdy dojrzały, jest słodki, soczysty i kruchy. Jednakże krajowcy zrywają owoce drzewa chlebowego, gdy jeszcze są zielone i twarde, a miąższ w środku ma konsystencję dość podobną do kartofli, i pieką je okładając rozgrzanymi kamieniami w zagłębieniu ziemi, po czym zeskrobują przypaloną skórkę, która odsłania upieczony, miękki, smaczny i pożywny owoc. »Trzeba go zjeść póki świeży, bo w ciągu jednej doby zsyca się i jest już niesmaczny; ale zaraz po upieczeniu doskonały.«

Owoce drzewa chlebowego są do dziś dnia podstawą pożywienia krajowców na wszystkich wyspach południowego Pacyfiku. Z włóknistej kory tego drzewa krajowcy przędą rodzaj płótna, z drewna sporządzają łodzie, a z soku, wydobytego z nacięć pnia, wyrabiają klej.

Gdy wreszcie pieczeń była gotowa, marynarze rozdzielali ją rękoma i pakowali kawały gorącego mięsiwa do ust z żarłocznością, której trudno było się dziwić zważywszy, że przez dwa ostatnie miesiące jedli wyłącznie kukurydzę. Hiszpański ksiądz chodził między nimi zacierając radośnie ręce i okazując najwyższe zadowolenie. Gdy bezceremonialna uczta dobiegła końca, ksiądz uznał, że nadeszła pora, by wyjawić prawdziwą przyczynę tego zadowolenia — przedwczesnego, jak się okazało.

— A teraz, mój zacny kapitanie, pozwolisz, że się pożegnám — powiedział, zacierając wciąż ręce i skłaniając z lekka głowę.

— O, wasza wielbność — kapitan Swan od razu rozwiął jego złudzenia. — Z pewnością nie zechce wasza wielbność odmówić naszej gościnności, dopóki nie opuścimy wyspy.

Księdza aż poderwało.



— Ależ, kapitanie, moja parafia.

— Stęsknione indiańskie dziewczynki — zachichotał Walter Thacker za plecami księdza.

— Ależ, padre, moja załoga! — odparł kapitan. — Przyrzekliście nam prowiant. Ale jesteśmy wszyscy zdania, że wypełnienie tej obietnicy będzie pewniejsze, jeśli wasza wielbność pozostanie na statku.

I tak się stało. Codziennie przynoszono na pokład świeżo upieczone, jeszcze gorące owoce drzewa chlebowego. Codziennie gubernator przysyłał dwa wieprzaki, melony i kawony, a w zamian otrzymywał proch i naboje. Gdy kapitan odwiedził gubernatora w forcie, ten ostatni zapałał sympatią do psa Bristle, którego wobec tego Swan ofiarował mu w prezencie. Kocur posmutniał bardzo, gdy mu zabrakło starego nieprzyjaciela i aż do odjazdu „Cygnet” leżał całymi dniami i nocami na rei przy głównym maszcie schodząc tylko po należną porcję mięsa.

Załadowano na statek tyle orzechów kokosowych, ile można było pomieścić, prócz tego duży zapas ryżu i pięćdziesiąt zasolonych wieprzaków. Dnia 30 maja odesłano na brzeg zakładnika księdza, który otrzymał w prezencie zegar z brązu, teleskop i astrolabium. Następnie, podniósłszy kotwicę, „Cygnet” pożeglował do Mindanao, najbardziej na południe wysuniętej wyspy Filipin oddalonych o mniej więcej półtora tysiąca mil w kierunku zachodnio-południowo-zachodnim. Żeglarze wypoczęli na wyspie Guam, gdzie nie brakło im ani pożywienia, ani kobiet, których ojcom czy mężom płacili starymi ubraniami lub bronią. Humory dopisywały, bukanierzy czuli się znowu „władcami wszystkich mórz południowych”. Gdy więc dostrzegli statek o hiszpańskim ozaglowaniu, zbliżający się od wschodu do wyspy, którą właśnie opuszczali, załoga zaczęła domagać się od kapitana Swana, by go zaatakował. Słusznie przypuszczali, że statek mógł wieźć cenne towary z Meksyku.

Ale kapitan Swan, jak Dampier z góry przewidział, sprzeciwił się wszelkim projektom napaści. Bukanierzy spierali się i domagali się łupu. Niespodzianie John Reed, przywoławszy do swego boku Dampiera, bosmana Morgana, Patryka Hagana i nieodstępnego Andrewa, odrzucił na plecy obie połowy swej brody i zeskokczywszy z rufówki na pokład, ziejąc przekleństwami zaczął strze-

łać z pistoletów ponad głowami załogi, aż wreszcie zapędził steroryzowaną bandę pod pokład. Damerel, który najgłośniej domagał się pirackiej napaści, pierwszy uciekł do włazu, torując sobie drogę swym straszliwym hakiem. Williams uciekł ostatni, ale tylko dlatego, że mu drewniana noga przeszkadzała w ucieczce.

Reed stał nad otwartym włazem i wrzeszczał:

— Chodźcie no tu, hołota! Kto mi się ośmiela sprzeciwiać? Spróbujcie tylko, rzezimieszki! Przynieść mi tu garnki z siarką!

Kapitan Swan nie wtrącał się do niczego, zdziwiony, że Reed wystąpił po jego stronie przeciw załodze, która domagała się zdobycia hiszpańskiego okrętu. Odgadywał, że Reed nie chce narażać na ryzykowną walkę statku, do którego był przywiązany, jak do żywej istoty, ale nie przeczuwał innych jeszcze zamysłów włochatego olbrzyma.

Przyniesiono garnki napełnione siarką. Reed w ogromnych susach zeskoczył po schodach tupiąc buciskami i rozkazawszy zamknąć właz sam podpalił siarkę. Gęsty, duszący dym zaczął się rozchodzić kłębami. W parę minut napełnił całe pomieszczenie i marynarze zaczęli się dusić, wymiotować i krzyczeć, by ich wypuszczono na powietrze. Padali na kolana przed włochatym olbrzymem błagając go, by rozkazał otworzyć właz. Patryk Hagan, bosman i reszta stronników Reeda pozostała na pokładzie. Ale Reed sam, zamarynowany w alkoholu, wydawał się zupełnie nie reagować na piekielny dym siarkowy, który dławił ludzi zahartowanych przecieź, ale jednak nie dorównujących niesamowitej zaiste odporności Reeda.

— Co, otworzyć właz? — pytał szydyczko. — O nie, moje banki! Szatan nie wypuści was tak od razu ze swoich objęć, a ja jestem jego rodzeniutkim bratem, jeżeli chcecie wiedzieć. Posiedźmy tu trochę, przyda wam się taka zaprawa. W piekle będzie, jak znalazł.

Bukaniem tarzali się po podłodze, walili pięściami w ściany, charczeli, rżęzili i bełkotali.

— Przysięgnijcie, że nie usłyszę od was ani słowa o napaści na tego hiszpana! — ryknął Reed podrzucając pistolet w ręce i rechoćąc zaiste jak szatan.

— Przysięgamy... przysięgamy... przysięgamy... — wołały na wpół zdławione głosy.

Reed rozkazał wreszcie otworzyć właz.

Zataczając się, na wpół uduszeni, kaszlący, o oczach zaczerwienionych i zażawionych, bukanierzy wywlekli się na pokład i padając bezwładnie na rozgrzane od słońca deski, łapczywie wdychali czyste powietrze morskie. Nad nimi huczał szyderczy głos włochatego Reeda:

— Od dziś będziecie wiedzieli, kto jest panem na tym statku!

Pierwszy oficer Nelly spojrział pytająco na kapitana Swana, usłyszawszy te słowa. Ale kapitan nie zwrócił na nie uwagi i uśmiechając się rzekł do Reeda, gdy ten z tupotem i hałasem powrócił na rufę:

— Dziękuję ci, Reed. Przypadłeś mi do gustu, słowo daję!

## Rozdział XV

### O PRZYJAŹNI PLATONICZNEJ

Po miesiącu żeglugi „Cygnet” znalazł się koło wybrzeży Mindanao gdzie załoga wkrótce zaznała kapryśków pogody, typowej dla Filipin. Wieczorem dnia 3 lipca rozszalał się gwałtowny baguio i zmusił ich do szukania osłony od zachodniego wiatru w głębokiej zatoce. Musieli się przyzwyczaić do tych nagłych orkanów. Południowo-zachodni monsun rozpoczynał swe wszechwładne rządy z końcem kwietnia lub z początkiem maja, a w chwili przybycia „Cygnet” osiągnął największe nasilenie. Gwałtowne wichry z grzmotami zrywały się po dwa i trzy razy dziennie, przerywane okresami pogody i jasnego nieba nad morzem, ale w dolinach i na wyspach utrzymywała się mgła. Jednocześnie zrobiło się tak chłodno, aż budziło to zdziwienie Dampiera zważywszy, iż znajdowali się w pobliżu równika. Lato w tych okolicach trwało od listopada do kwietnia, ale nawet wówczas, jak pisał Dampier: »wiała zwykle lekka bryza morska w ciągu dnia, a nocą chłodna, odświeżająca bryza od lądu«.

Statek bukanierów zawinął do Mindanao, ponieważ ksiądz z wyspy Guam opowiedział im, że pozostałe wyspy Filipin są pod

władzą Hiszpanów. Zapewnił ich również, iż na tej wyspie będą mogli się zaopatrzyć w żywność. Istotnie, żeglarze Wkrótce objadali się wyśmienitymi potrawami, choć tym razem nie zaznali głodu w podróży, gdyż zasolone wieprze i ryż wystarczyły przez całą drogę. Na Mindanao liczne stada antylop — »nigdzie ich nie widziałem w takiej obfitości« — ukryte w południe w cieniu lasów, rankami i wieczorami wychodziły na odkryte przestrzenie łąk, dokąd Dampier prowadził swych towarzyszy na polowanie. Zabijano do osiemnastu sztuk dziennie.

Minęły jeszcze dwa tygodnie, zanim nieustannie powracające burze uspokoiły się na tyle, iż statek mógł wejść w ujście rzeki Mindanao, nad którą rozłożyło się główne miasto, po południowo-zachodniej stronie najbardziej na południe wysuniętego półwyspu. Kotwicę rzucono o dwie mile od brzegu w czystej, głębokiej wodzie o twardym, piaszczystym dnie.

— Dziewięć salw powitalnych — rozkazał kapitan Swan.

„Cygnet” zatrząsał się od dziobu do rufy. Zaledwie ukazały się trzy kłęby białego dymu, zwiastujące odpowiedź baterii nadbrzeżnych, gdy jednocześnie odbiła od brzegu duża dziesięciowiosłowa łódź i skierowała się ku nowo przybyłym.

— Słuchaj, Nelly, zaprosz ich na pokład, gdy podpłyną — wydawał zarządzenia Swan. — A Morgan niech dopilnuje, aby nasi ludzie nie wyglądali na rzezimieszków, lecz, o ile to możliwe, na przyzwoitych marynarzy. Schowaj różnych jednookich i jednorękich, a ten elegancik Walter i inni porządnie odziani niech staną tak, aby ich było od razu widać.

Swan rzucił jedno tylko spojrzenie na Johna Reeda, który stał na rufowce najeżony wszelkiego rodzaju bronią, i machnął beznadziejnie ręką. Reed się wykrzywił, co miało oznaczać uśmiech i stał dalej, szeroko rozkraczywszy nogi w wielkich buciorach, skrzyżowawszy ramiona na nagiej włochatej piersi, z olbrzymią czarną brodą, powiewającą na wietrze. Wyglądał na najbardziej krwiożerczego pirata, jaki kiedykolwiek pływał po Pacyfiku.

Dampier słusznie wymienił Mindanao jako największą po Luzon wyspę w archipelagu Filipin, jednakże jedno spojrzenie na mapę\* pozwoli nam ocenić, jak mało jeszcze w jego czasach wie-

---

\* Por. mapkę 2 i 2a.

dziano o rzeczywistej konfiguracji tej wyspy. Obserwacje i opisy Dampiera budzą, jak zawsze, podziw dla jego dokładności.

»Jest to wyspa górzysta, pełna dolin i wzgórz. Prawie wszędzie widzi się czarnoziem nadzwyczajnie tłusty i żyzny. Zbocza gór są kamieniste, ale i tam rosną ogromne, wysokie drzewa. W głębi wyspy w górach znajduje się podobno złoto. Doliny są dobrze nawodnione przyjemnymi strumieniami i rzeczułkami czystej wody. Drzewa różnych gatunków rozrastają się tu wspaniale i pozostają zielone okrągły rok.«

Łódź wyspiarzy podpłynęła do statku. Zwykle pytania i odpowiedzi krzyżowały się nad spokojną wodą. Tym razem Brian Smith, dawny agent handlowy i pirat mimo woli, odpowiadał po hiszpańsku:

— Jesteśmy Anglikami i bardzo dawno wypłynęliśmy z naszego kraju. Nasz kapitan zaprasza was na pokład.

Ale Mindanańczycy byli ostrożniejsi od księdza z wyspy Guam.

— Nie wolno nam wstąpić na pokład bez rozkazu naszego sułtana — odrzekli.

Prowadzili dalej rozmowę, z całą uprzejmością zapewniając, że nowo przybyli, jako Anglicy, są mile widzianymi gośćmi.

— Czy przybyliście tu, aby się osiedlić i założyć faktorię? — pytał któryś.

— Nie. Chcemy tylko zakupić prowiant — odrzekł Smith.

— Smuci nas ta odpowiedź — rzekł wyspiarz. — Chcielibyśmy, żebyście się u nas osiedlili. Czemu nie? Zawinął do nas kiedyś statek, którego załoga obiecywała, że Anglicy przyplyną tu i osiedlą się wśród nas na stałe, aby handlować z naszym wybrzeżem.

— Będziemy handlować, byle się nam sposobność trafiła — mruknął ironicznie John Reed do Dampiera. — Tylko nie wiem, czy taki handel im się spodoba.

— Chcemy tylko żywności i zapłacimy dobrze za wszystko, czego nam dostarczycie — powtórzył Smith.

Łódź z wyspy była teraz blisko, ale krążyła wokół statku nie zbliżając się na tyle, by można było ją osiągnąć bosakami.

— Dostaniecie żywność — odpowiedział wypiarz. — Wracamy teraz i zapytamy, jaka jest wola naszego sułtana.

— Z kim mieliśmy sposobność rozmawiać? — pytał Smith.

— Z radżą Laut, bratem sułtana i z jednym z synów sułtana — brzmiała odpowiedź.

Bukanierzy mieli się wkrótce dowiedzieć, że radża Laut był naczelnym wodzem i najważniejszą osobistością na Mindanao, człowiekiem zdolnym i odważnym, opiewanym w pieśniach podczas świąt i uroczystości. On również zarządzał wszelkimi sprawami dotyczącymi żeglugi i handlu. Nikt nie mógł przywozić ani wywozić towarów z wyspy bez jego zezwolenia. Nawet rybacy mieli licencje na połów, a okręty wpływające i wypływające z ujścia rzeki były pod jego kontrolą. Za młodych lat — liczył około pięćdziesiątki, gdy Dampier go poznał, i zdradzał już wyraźną skłonność do otyłości — nauczył się mówić i pisać po hiszpańsku. Rozpytując żeglarzy i czytając, co tylko mógł dostać, posiadał spory zapas wiedzy o Europejczykach.

Pełen miłych nadziei po rozmowie z radżą, kapitan Swan posłał na brzeg, jako dar dla sułtana, trzy jardy szkarłatnej materii, trzy jardy szerokiej złotej koronki, turecką szablę i parę pistoletów, a dla jego brata trzy jardy szkarłatnej materii i koronkę srebrną. Zwłaszcza szkarłatne materiały, wysoko cenione na wyspach, otwierały wszelkie drzwi. Następnego dnia sułtan zaprosił kapitana Swana na audiencję.

Swan pozostawił na statku włochatego olbrzyma o pirackim wyglądzie, Johna Reeda, natomiast zabrał w charakterze eskorty Dampiera, Roberta Halla, Patryka Hagana i dwóch agentów — Harthopa i Smitha. Wystroiwszy się w białe, obcisłe spodnie jedwabne i brokatowy kaftan, obszyty srebrną koronką, Swan ostrożnie zeskoczył do łodzi i stanął przy dziobie uważając, by się nie zabrudzić. Jego flaga powiewała na wietrze, a dwaj trębacze trąbili przez całą drogę. Dwaj oficerowie radży Laut, z obnażonymi szpadami hiszpańskiego typu, oczekiwali ich na brzegu na czele licznego oddziału żołnierzy. Wokół zebrał się oczywiście tłum gapiów. Dampier wypatrywał oczy ciekaw nowych widoków i wrażeń.

Wyspiarze na Mindanao byli przeważnie wzrostu średniego o małych głowach i czarnych, prostych włosach, o skórze jasno-brunatnej z odcieniem raczej żółtawym niż miedzianym, jak u Indian. Twarze owalne, czoła płaskie, oczy czarne, małe, nosy spłaszczone i krótkie, usta dość duże o wargach czerwonych niezbyt grubych, zęby uczernione, ale zdrowe. Mężczyźni nosili rodzaj luźnej koszuli i spodnie, bez obuwia, a na głowie turban z muślinu, czasem z koronki, zależnie od godności. Kobiety, o skórze jeszcze jaśniejszej od mężczyzn, zwijały swoje czarne długie włosy w skomplikowane uczesania. »Noszą spódnice i długie luźne bluzy o szerokich, ogoniastych rękawach, zebranych w przegubie, z których są bardzo dumne.«

Anglicy szli za dwoma oficerami, przed oddziałem żołnierzy, do pałacu sułtana na wybrzeżu. Była to największa i najwyższa budowla w całej okolicy, wzniesiona — jak wszystkie domy na wyspie — na ogromnych palach; w tym wypadku było ich sto osiemdziesiąt. Jednakże Swana i jego świtę wraz z trębaczami zaprowadzono nie do pałacu, lecz do małego pawilonu opodal, przeznaczonego na audyencje udzielane posłom i kupcom z obcych krajów. Pawilon również zbudowany był na palach, ale jego podłoga nie wznosiła się wyżej ponad trzy do czterech stóp nad poziom ziemi. Wnętrze wysłane było całkowicie miękkimi matami, na których sułtan i jego doradcy siadali ze skrzyżowanymi nogami, jak krawcy w Anglii.

Sułtan wraz z członkami swej przybocznej rady oczekiwał gości w pawilonie. Jak jego brat, sułtan był niski, tęgi, o skórze stosunkowo dość ciemnej. Na ramiona miał zarzuconą złotą koronkę, którą dostał od Swana i zaraz po powitaniu podkreślił, jak bardzo go ten podarunek ucieszył.

Skarbiec sułtana wyspy Mindanao nie był zbyt bogaty, gdyż kraj jego mało miał stosunków handlowych. Opowiadano, że sułtan utrzymywał swój dwór — królową, dwadzieścia dziewięć nałożnic, dzieci, dworzan, czy raczej służbę — wymuszając pożyczki od swoich poddanych, gdy posłyszał, że któremuś się dobrze powodziło. Zmuszał też zamożniejszych wyspiarzy do kupowania od niego różnych przedmiotów, po które posyłał w parę dni później, żądając ich zwrotu. Nikt nie ośmielał się mu odmówić.

Załoga „Cygnet” otrzymała w charakterze poczęstunku od suł-

tana jedynie tytoń, a do żucia orzechy palmy betelowej (*Areca catechu*) owinięte w świeżo zerwane liście pieprzu betelowego (*Piper betel*). Wkrótce wyglądali wszyscy, jakby toczyli krwawą pianę z ust, gdyż betel pobudzał wydzielanie śliny i zabarwiał ją na szkarłatny kolor. »Betel ma ostry smak i zabarwia zęby na czerwono, ale też czyści je i chroni. Podobno żucie betelu jest zbawienne dla trawienia, tylko wywołuje czasem zawroty głowy, jeśli ktoś nie przywykł.«

Po wymianie powitalnych uprzejmości sułtan zaraz zaczął rozmowę o możliwości osiedlenia się Anglików na stałe w Mindanao w celu nawiązania wymiany handlowej między mieszkańcami wyspy a Europą. Na pozostałych wyspach archipelagu Filipin pośrednikami w takim handlu byli Hiszpanie. Sułtan nie życzył sobie stosunków z nimi, uważając ich za rabusiów i wyzyskiwaczy, którzy prowadzą handel pod grozą wycelowanych muszkietów. Toteż Mindanaończycy handlowali tylko z innymi wyspiarzami i ze statkami holenderskimi, które z rzadka zawijały do przystani po ryż, wosk i tytońowe liście.

Po chwili rozmowy sułtan wydobyl dokument, który przedstawił żeglarzom z wielką pewnością siebie i nawet z nieco szyderczym uśmiechem, jak gracz w karty, gdy wyklada na stół asa po wyczerpaniu wszystkich atutów. Był to list pozostawiony sułtanowi przez kapitana angielskiego, nazwiskiem Goodlud, a zaadresowany do wszystkich rodaków, którzy by się znaleźli na wyspie. Utrzymany w rzeczowym tonie list ten określał warunki, na jakich Mindanaończycy podjęli się handlować, wymieniał miary i wagi stosowane na wyspie, wartość pieniędzy w stosunku do monety angielskiej, ceny niektórych towarów itp. Ale bukanierzy powzięli pewne podejrzenie, czy przypadkiem list nie został napisany tylko po to, by zaspokoić natrętnego sułtana, gdyż ostatnie zdanie listu — którego Mindanaończycy nie mogli oczywiście odczytać ani zrozumieć — brzmiało, jak następuje: »Nie ufaj żadnemu z nich, bo wszyscy są złodziejami!«

Kapitan Swan, zapewniwszy sułtana, że z całą uwagą rozważy szaczytna propozycję — a nie miał wcale takiego zamiaru — nie dał się nakłonić do żadnych zobowiązań, chociaż sułtan przez dwie godziny namawiał i perswadował, po trochu prosił, a po trochu groził. Pod koniec owej rozmowy nad miastem rozległ się



głuchy, dudniący, pojedynczy odgłos. Swan rzucił swoim towarzyszom ostrzegawcze spojrzenie. Odgłos powtórzył się po raz drugi. Kapitan wstał, a bukanierzy skupili się za nim, patrząc wokół, gdzie by najdogodniej oprzeć się plecami o ścianę. Podejrzewali, że odgłos ów jest sygnałem do ataku, a Swan na chwilę pożałował, że nie zabrał ze sobą Johna Reeda. Goście pokładli ręce na rękojeściach szpad i sztyletów. Sułtan uśmiechnął się nieco złośliwie.

— Nie obawiajcie się, my nie napadamy na naszych gości — uspokoił ich. — To odzywa się wielki gong w meczecie. Bije w południe, o zachodzie słońca, o północy i kiedy słońce wschodzi.

Dampier później miał sposobność obejrzeć ten gong, który był właściwie wielkim bębnem. Uderzano w niego kijem grubym jak ramię mężczyzny, zakończonym gałką owiniętą w bawełnę. Dobosz uderzał najpierw pięć lub sześć razy powoli, następnie przyspieszał uderzenia, po czym zwalniał znowu. W ten sposób wybijał dwadzieścia uderzeń za każdym razem.

Po skończonej audiencji u sułtana Anglicy przeszli do sąsiedniego, mniejszego domu, gdzie mieszkał radża Laut ze swymi ośmiu żonami. Tu przygotowano dla nich ucztę, na którą złożyły się gotowane kury i wielkie ilości ryżu. W mniej już oficjalnej, przyjaznej rozmowie radża ostrzegł kapitana, aby uprzedził swoich marynarzy, gdyż — jak mówił — wyspiarze nie wybaczą nieznamości miejscowych obyczajów, a gdy są obrażeni, mogą okazać się mściwi i zawzięci.

Okazało się później, jak słuszne były ostrzeżenia radży, gdyż w czasie pobytu statku na Mindanao zmarło szesnastu ludzi z załogi, przeważnie otrutych. »Nasi ludzie — pisał Dampier — narazili się wyspiarzom różnymi wybrykami i łajdactwami, od których nie umieli się powstrzymać.« Zmarł też osiemdziesięcioletni George Brandt, ten jednak, jak się zdaje, nie był otruty.

Radża poradził im także jak najszybciej wprowadzić statek głębiej w ujście rzeki, aby uchronić go przed gwałtownymi burzami występującymi o tej porze roku. A tak się serdecznie zatroszczył o bezpieczeństwo statku, że następnego dnia osobiście wszedł na pokład „Cygnet” i przyprowadził pięćdziesięciu rybaków z wyspy, którzy pomogli holować statek o ćwierć mili w górę rzeki, gdzie go przycumowano. Dopiero później się okazało,

że serdeczna troskliwość radży nie była wcale bezinteresowna. Na pokładzie radża zachwyił się malowniczą postacią Johna Reeda, którego sobie od razu upodobał. Proponował mu też wielokrotnie objęcie wysokiego stanowiska w jego armii. Ale Reed miał inne plany i wcale go nie pociągała perspektywa osiedlenia się wśród ubogich wyspiarzy.

Przyjaźń sułtana i dygnitarzy ośmieliła krajowców, którzy tłumnie otaczali statek. Dampier opisywał ich jako zręcznych i sprytnych, zwłaszcza gdy widzieli możliwość jakiegoś zysku dla siebie. Nie byli leniwi z przyrodzenia, ale przekupne i tyrańskie rządy sułtana wyrobiły w nich lenistwo z ostrożności. Pracowali tyle tylko, by mieć coś do jedzenia na dzisiaj. Nie warto było myśleć o przyszłości, odkładać ani wzbogacać się, bo sułtan zaraz by wszystko zabrał. Na wyspie były szkoły, w których dzieci uczyły się czytania i pisania oraz zasad religii mahometańskiej. Pomimo prymitywnych narzędzi, wysoko stała sztuka złotnicza i ciesielska.

Wkrótce po przybyciu Dampier wybrał się na spacer po mieście, które wyciągnęło się na wysokim brzegu rzeki wzdłuż jedynej głównej ulicy na długość prawie mili. Domy budowane były na palach sięgających dwudziestu stóp wysokości, a dachy sporządzano z liści palmowych. Pod podłogami domów trzymano kury i kaczki, kiedy indziej mieścił się tam po prostu śmietnik, przeważnie cuchnący straszliwie. Te siedliska brudu i chorób wymywała spod domów rzeka tylko raz w roku, w czasie największej powodzi.

Do spacerującego wolnym krokiem marynarza podszedł krajowiec zapraszając go gestami, by zechciał wejść do domu. W pierwszej chwili Dampier uśmiechnął się tylko i chciał iść dalej, ale krajowiec pociągnął go za rękaw i nalegał uparcie. Przypomniawszy sobie ostrzeżenia radży Lauty i nie chcąc nikogo obrażać Dampier wszedł po drabinie do wnętrza domu, który mieścił się na jednym poziomie, ale podzielony był na kilka izb. Podłogę układano z prętów bambusowych. Jego gościnnie gospodarz miał trzy żony i kilkoro dzieci, prócz tego do domowników należało jeszcze parę starszych osób.

Wciąż porozumiewając się gestami uśmiechnięty krajowiec poczęstował Dampiera tytoniem, liśćmi betelu do żucia i ryżem, co

należało już do raczej wyjątkowych poczęstunków. Trzy żony usiadły również na skrzyżowanych nogach na podłodze obok gościa, częstując go i uśmiechając się doń zalotnie. Drewniany duży półmisek z ryżem umieszczono na środku podłogi, obok stała miska z czystą wodą. Wszyscy, siedząc dookoła, zabrali się do jedzenia ryżu rękoma.

Dampier uważnie naśladował swego gospodarza w obawie, aby nie popełnić jakiegoś błędu. Każdy maczał najpierw rękę w wodzie, następnie brał w nią garść ryżu, który ugniatano na drugiej dłoni w dość twardą gałkę tak dużych rozmiarów, że zdawało się niepodobieństwem wepchnąć ją do ust za jednym zamachem. Ale krajowiec i jego trzy żony, śmiejąc się do siebie i do gościa, ugniatali i połykali coraz większe gałki, aż Dampier zrozumiał, że codziennie przy takim posiłku odbywa się rodzaj zawodów: kto potrafi połknąć największą gałkę? Wreszcie, właśnie gdy Dampier, aby się nie zadławić, chciał się już uznać za pokonanego, jedna z żon gospodarza zakaszlała i wypluła ryż na podłogę. Obie jej sąsiadki z radosnym wybuchem śmiechu przyjęły to zdarzenie i gestami gratulowały gościowi, iż nie on przegrał.

Jak nakazywały przepisy religii muzułmańskiej, krajowiec i jego żony umyli się po posiłku. Myli się też zawsze, ilekroć dotknęli czegoś „nieczystego” w pojęciu religijnym. Brudna woda po myciu rąk i zmywaniu statków wylewana była przez szpary między bambusowymi prętami podłogi na śmietnik pod domem. Wszelkie swoje potrzeby też załatwiano w izbach, gdzie w rogu był wycięty w tym celu kwadratowy otwór w podłodze.

Po skończonym posiłku i ceremonii mycia gospodarz podszedł do Dampiera i poklepawszy go łagodnie po plecach, poklepał następnie siebie w taki sam sposób, patrząc mu wciąż z uśmiechem w twarz. Dampier nie mógł zrozumieć, o co mu chodzi, ale krajowiec tak mu dalej myśl swoją wyjaśnił: przyłożył blisko do siebie wskazujące palce obu rąk, po czym wskazał na Dampiera i na siebie i znowu przyłożył blisko dwa wskazujące palce, powtarzając:

— Samo, samo — co miało oznaczać, że Mindanaończycy i Anglicy są sobie bliscy.

Następnie rozsunął na pewną, niezbyt dużą odległość, wskazując palce i oznajmił, że Holendrzy już nie tak bliscy Mindanaończykom. Wreszcie rozłożył jak najszerzej ramiona i trzymając

palce daleko od siebie pokazał, jak odległe są stosunki z Hiszpanami.

Dampier pomyślał z pewną goryczą, że Mindanaończycy życzą sobie przyjaźni z tymi Europejczykami, których najmniej znają, a nie lubią tych, których znają najlepiej. Nie była to pochlebna myśl.

Krajowiec dalej rozmawiał gestami, co nie zawsze łatwo było zrozumieć. Ujął jego ramię, dotknął swojej piersi, a potem piersi Dampiera, powtarzając jakiś niezrozumiały wyraz. Wyjął znowu tytoń i ofiarował go gościowi. Następnie wziął ramię Dampiera i objął nim ramię jednej ze swych żon, następnie drugiej i z kolei trzeciej, mówiąc wciąż coś, czego Dampier nie mógł zrozumieć i patrzył tylko ze zdziwieniem dokoła. Kobiety przyniosły liście betelu i wpychały je gościowi w ręce. Uśmiechały się przy tym i kiwały głowami, ale Dampier wciąż nie mógł zrozumieć, na czym polega ceremonia, w której uczestniczy. Wreszcie pożegnał się i wyszedł, a trzy kobiety stały u szczytu drabiny, po której schodził, każda pokazując palcem na siebie, uśmiechając się i podnosząc pytająco brwi.

Dampier poszedł brzegiem rzeki, w której rojno było od wyspiarzy, mężczyzn i kobiet, zupełnie nagich, zajętych myciem i praniem. Po przepraniu odzieży nakładano ją mokrą na siebie jeszcze w rzece, a wyszedłszy na brzeg pozwalano, by słońce i wiatr ją osuszyły. Dampier notował w swoim dzienniku, że wyspiarze są nadzwyczaj czysti, lubią się kąpać, codziennie piorą swą odzież i myją się po kilka razy dziennie, przywykły do tego od dzieciństwa. Toteż w rzece zawsze jest pełno ludzi. Przypominając sobie o zaduchu, jaki zwykle panował w forkasztelu na statku bukanierów, zapisał: »Sądzę, iż bardzo jest zdrowo w tych gorących krajach myć się rano i wieczór przynajmniej parę razy w tygodniu.« Byłoby pewno jeszcze zdrowiej, gdyby do mycia używano czystej wody, ale nie bądźmy zbyt wymagający.

Powróciwszy na okręt Dampier dowiedział się od Harolda Harthopa o znaczeniu owej ceremonii z trzema żonami krajowca, której nie mógł zrozumieć.

— Mówił mi o tym jeden z doradców radzy — opowiadał agent. — Ten zwyczaj powinien się podobać naszym kamratom

okrętowym, zwłaszcza że krajowcy nie nazbyt skrupulatnie przestrzegają wszelkich prawideł. Zwyczaj na tym polega, że gdy przyjeżdżają tu cudzoziemcy, Mindanańczycy ofiarowują im osobistą przyjaźń. To właśnie ci zaproponował ten krajowiec. Twoim obowiązkiem jest odwzajemnić się jakimś drobnym podarunkiem, który powinieneś ponawiać od czasu do czasu.

— Przyjaźń niezupełnie bezinteresowna — wtrącił Dampier.

— Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. Tak przypieczętowana przyjaźń upoważnia cię do odwiedzania domu krajowca za każdym razem, gdy schodzisz na brzeg. Będzie cię częstował tytoń i betelem, ale za wszystko inne musisz płacić. Możesz także przenocować w jego domu.

— Ciekawym, ile ten ryż, który, zjadłem, będzie mnie kosztował — burknął z niezadowoleniem Dampier. — Jestem bez grosza przy duszy.

— Ceny z pewnością nie są wygórowane — uspokajał go Harthop. — Sam osobiście nie sprawdzałem, ale Thacker już próbował tej przyjaźni z krajowcami, która ma jeszcze pewne zalety, najbardziej chyba pociągające dla naszych kamratów. Żony twojego przyjaciela ofiarowały się tobie, jako tak zwane pegali, czyli platoniczne przyjaciółki.

— Platoniczne? — powtórzył Dampier z rozczarowaniem.

— Tak to brzmi oficjalnie — i Harthop uśmiechnął się porozumiewawczo. — Na takich samych warunkach, jak przyjaźń z mężczyzną. To powszechny zwyczaj na wyspach. Jedna z żon radży — a wiesz, jak one są surowo trzymane — wysiadła dziś z rana z lektyki, w której ją niesiono przez miasto, i ofiarowała się jako pegali naszemu kapitanowi. Sługa przyniósł niedawno na pokład podarunek od niej: tytoń i betel, według zwyczaju.

— Bardzo ciekawe — rozważał Dampier. — Jedna z żon tego krajowca jest całkiem niczego. — Podniósł rękę do piersi i dotknął przez koszulę medalionu uratowanego za cenę życia Indianina Vasco, po czym odwrócił wzrok i odszedł.

Wyraźne było, że ci z bukanierów, którzy rozporządzali pieniędzmi, łatwiej zawierali przyjaźń z krajowcami i więcej mieli pegali. Walter Thacker i młody Daniel Wallis rzadko w ogóle wracali na statek. Posępny hak Damerela odstraszał wszystkie

kobiety, natomiast drewniana noga Williamsa zdawała się je raczej pociągać — choć bez pieniędzy, miał tyle prawie pegali, co Thacker. Niektóre z kobiet zawarły „platonyczną” przyjaźń z kilkoma bukanierami naraz, co posłyszawszy Robert Hall pokiwał głową i przytoczył jeszcze jedno ze swego niewyczerpanego zapasu hiszpańskich przysłów: „Nie ufaj zamkom, które można otworzyć różnymi kluczami”.

## Rozdział XVI

### TANIEC WOJENNY

Dampier i inni bukanierzy o pustej sakiewce korzystali ze starego zaproszenia do domu radży Lauty, gdzie podawano im ryż, ugotowany i wyśmienicie przyprawiony, a także kawałki mięsa, które były niesmaczne i niemożliwie twarde. Kapitana Swana częstowano lepszymi posiłkami, a jego dwaj muzykanci przygrywali mu zawsze podczas jedzenia.

Przez jakiś czas wszystko szło dobrze. Wydawało się, że fortuna bukanierom sprzyja. Tylko pogoda nie dopisywała i takie zdarzały się wichury, że wrywało drzewa z korzeniami, a ulewne deszcze podniosły stan wody w rzece, którą spływały z gór pnie drzew i belki z podmytych budowli. Groziło to nawet niebezpieczeństwem zerwania cum statku. Noce były ciemne, chmurne niebo rozświecłały błyskawice. Bukanierzy mogli jedynie śmigłym czółnem krajowców dostać się na brzeg. Była wszakże i dobra strona tych burz i deszczów: wezbrana woda zmywała cuchnące śmietniki spod domów.

W październiku powiał wschodni wiatr i od tej pory pogoda się ustaliła. Kapitan Swan ze swoim zastępcą Nellym zamieszkali w domu na wybrzeżu, pozostawiając statek pod opieką Dampiera i Johna Reeda. Wobec czego chłopak okrętowy Billy, chociaż nadal obsługiwał kapitana w dzień, zdobył sobie młodziutką pegali i zaczął spędzać noce w domu jej rodziców.

Pewne ilości żelaza i ołowiu, które jeszcze były wśród towarów

na pokładzie „Cygnet”, sprzedano sułtanowi i radży w zamian za przyrzeczony ryż, zakupiono też deski potrzebne do naprawy statku. Cieśle zabrali się do roboty, co ucieszyło bukanierów, którzy zaczęli się już niepokoić, że jeśli kapitan zamieszkał na łądzie, to może ma zamiar przyjąć zaproszenie sułtana i osiedlić się na wyspie na stałe. Zresztą, sporo bukanierów również zamieszkało w domach swoich przyjaciół i pegali, ale tylko ci, którzy mieli dobrze wypchane kieski. Paru kupiło domy za śmieszłą sumę pięciu hiszpańskich talarów i wynajęło dziewczęta „do wszystkiego”. Lekarz Coppinger, obudziwszy się pewnego ranka w swoim domu na wyspie nie otwierając jeszcze oczu, sennym głosem powiedział swej nałożnicy, by nie ścisnęła go tak mocno za szyję. Zbudzona jego głosem dziewczyna wrzasnęła i uciekła. To nie jej ramiona otaczały jego szyję, lecz sploty węża, który, jak notuje Dampier »rozluźnił swój uścisk i wypelzł z izby, nie uczyniwszy lekarzowi żadnej krzywdy«.

Od kiedy kapitan Swan i blisko trzecia część jego załogi zamieszkali na wyspie, radża Laut urządzał w swoim domu częste uczyty, które trwały przez całą noc. Sprowadzał też dla rozrywki gości zawodowe tancerki, a czasem tańczyły dziewczęta ze dworu, które stały dużym kręgiem, było ich ze czterdzieści, śpiewając. W tańcu nogi ich mało się poruszały, tylko z rzadka wykonywały powolny obrót. Natomiast wzniesione w górę ramiona i smukłe ciała były w nieustannym ruchu »wyginając się rytmicznie tak, jakby w ogóle nie posiadały kości«.

Jedynym instrumentem muzycznym były duże dzwonki bez sere, które stały rzędem w liczbie szesnastu — od najmniejszego, wagi około trzech funtów, do największego, który musiał ważyć blisko dziesięć funtów. Grano na nich uderzając małymi pałeczkami. Kapitan Swan posłał po swoich skrzypków, których gra najpierw zdziwiła, a potem zachwyciła wyspiarzy.

Z kolei załoga „Cygnet” postanowiła pokazać wyspiarzom tańce europejskie. Elegancik Thacker stanął oczywiście na czele i zaćmiewał towarzyszy wprawą i zręcznością. Radża Laut przyglądał mu się pilnie i baczным okiem oceniał jego obcisłe spodnie, jedwabny kaftan, pięknie związany pas z barwnej, cieniutkiej materii i pantofle ze srebrnymi sprzączkami.

— Ten młodzieniec pochodzi chyba z wielkiego i możnego ro-

du w waszym kraju? — radża zwrócił się do Harolda Harthopa, który przykucnął koło niego w zastępstwie nieobecnego kapitana.

Młodego ajenta tak rozbawiło to przypuszczenie, że nie mógł opanować śmiechu. Schylił głowę i udawał, że się krztusi i kaszle. Robert Hall, który siedział na ziemi po drugiej jego stronie, przechylił się poprzez niego do radży i rzekł z całą powagą:

— Przypuszczenie waszej wysokości jest słuszne. Wielu spośród naszych towarzyszy pochodzi z najlepszych rodów Anglii.

Harthop zakrztusił się znowu, gdyż najbliższy prawdy w tym wypadku byłby może sam Robert Hall, który choć nie arystokrata, liźnął przynajmniej nieco wykształcenia. Musiał uciekać z uniwersytetu po próbie zabójstwa własnego ojczyma.

Nadal z bardzo poważnym wyrazem twarzy Robert Hall jął opowiadać niestworzone historie o rzekomych arystokratycznych koneksjach bukanierów, wskazując radży tych spośród swoich kamratów, którzy byli najpiękniej przystrojeni w zrabowaną Hiszpanom odzież.

— Ci podróżują z nami, by zwiedzić świat i zaznać przygód. Płacą za utrzymanie z własnej kieszeni.

— Rozumiem — rzekł uroczyście radża. — A inni, ci nie tak pięknie postrojeni?

— O, ci są zwyczajnymi marynarzami — odparł Hall. — Na przykład ten — wskazał Dampiera. Może z tego właśnie powodu Dampier opisuje żarty Roberta Halla z wyraźnym niesmakiem.

Tego było już za wiele dla Harthopa. Kaszląc przeprosił radżę, wstał i odszedł, by się wyśmiać do woli. Wówczas radża zaprosił Thackera i paru innych pirackich strojnisiów, by zechcieli zasiąść w jego towarzystwie i bardzo ceremonialnie przeprosił za brak należnego im respektu, z jakim do tej pory ich traktował nieświadom ich urodzenia. Bukanierzy z pewnym zdziwieniem przyjęli jego słowa, ale ponieważ zaproszenie takie oznaczało, iż będą mieli dużo lepsze jedzenie i trunki, a także pierwszeństwo w wyborze najładniejszych nałożnic, więc zachowali przezornie milczenie. Dopiero w parę dni później kapitan Swan wyjaśnił radży sprawę i podkreślił, iż nie życzy sobie, by marynarzy z jego załogi traktowano na równi z nim i jego oficerami.

Mniej zabawna była sprawa wyspiarza, który w swoim czasie



okradł kapitana Goodluda — tego samego; którego listem sułtan tak się szczyił — i od tej pory ukrywał się w górach. Znęcony wiadomościami o przybyciu nowego okrętu wyszedł z ukrycia i zjawił się w mieście, chcąc przehandlować coś ze swych dawnych łupów, a może też w nadziei obrabowania nowych ofiar. Radza kazał pochwycić złodzieja i skazał go na „karę słońca”. Przywiązano go więc nagiego do słupa, początkowo twarzą w kierunku wschodnim; w południe zwrócono go znowu twarzą do słońca i przywiązano jeszcze raz i tak samo o zachodzie. Nieszczęśnik pod wieczór miał skórę podbrzusza zupełnie spaloną, a na całym ciele bąble od ukąszeń moskitów i komarów. Człowieka tego chciano następnie powiesić i tylko interwencja Johna Reeda u radży uratowała mu życie. Zdarzenie to wywarło zły wpływ na kapitana, który chcąc się zapewne popisać przed radżą nie mniejszą surowością i dyscypliną, w jakiej utrzymywał swych podwładnych, zaczął od tej pory skazywać marynarzy za najmniejsze przekroczenie na chłostę, która odbywała się publicznie na oczach wyspiarzy. Ludzie z załogi „Cygnet” zaczęli znowu buntować się przeciwko kapitanowi, a ci zwłaszcza, którzy mieszkali nadal na statku, domagali się, by wreszcie popłynąć w dalszą drogę.

Pewnego dnia przyniesiono szesnaście dzwonów, które wydzwaniały pory dnia, do domu radży i umieszczono je na werandzie, gdzie uderzano w nie bez przerwy przez osiem dni. Było to oznajmieniem, że na ósmy dzień odbędzie się w domu radży uroczystość obrzezania jego pierworodnego syna, który kończył właśnie czternaście lat. Wydano zarządzenie, aby wszyscy mężczyźni stawili się z bronią w rękę. Następnie radża zwrócił się do kapitana Swana z prośbą, aby ten pożyczył mu pewną sumę pieniędzy, tłumacząc, że brak mu właśnie gotówki dla pokrycia wydatków związanych z tą ceremonią. Kapitan pożyczył mu dwadzieścia uncji złota z zapasu, który nie był jego własnością, lecz należał prawnie do kupców londyńskich.

Rankiem w dzień uroczystości rodzice chłopców, którzy mieli być obrzezani razem z synem radży, otrzymali zwyczajowe podarunki. Kapitan Swan posłał zwój srebrnej koronki radży, a ten dziękując oświadczył, że wzięwszy pod uwagę dwadzieścia uncji złota, które już otrzymał w p r e z e n c i e (!), jego angielski gość jest doprawdy nazbyt hojny.

Gdy muzułmański duchowny dokonał aktu obrzezania na kilkunastu chłopcach, zbrojni wojownicy, których kilka setek stało długimi szeregami przed domem radży, rozpoczęli taniec wojenny — imitację bitwy. Utworzono krąg. Na środek wyskoczył wojownik z dzidą w jednej ręce, a z mieczem w drugiej i z przeraźliwymi, ścinającymi krew w żyłach wrzaskami i okropnymi minami rozpoczął taniec. Harthop szturchnął łokciem w bok Johna Reeda i szepnął mu, że mógłby się nauczyć tych piekielnych grymasów, które przydadzą się, jak znalazł, gdy następnym razem skoczą do abordażu.

Wyspiarz tańczył wokół pustego kręgu i wyrzucał swoją dzidę wysoko w górę, a następnie zręcznie ją łapał, tnąc jednocześnie powietrze mściwymi ciosami miecza. Wydawał przy tym wciąż owe przeraźliwe okrzyki wojenne. Kiedy siły jego już się skończyły, zwrócił się do środka kręgu i tu, ściągwszy ostatecznym ciosem głowę wyimaginowanego nieprzyjaciela, stanął w uroczystej pozie zwycięzcy, a wszyscy obecni uczcili go radosnym wrzaskiem. Gdy zszedł wreszcie z areny, następny wojownik rozpoczął podobny taniec. »Tak odgrywali te tańczone pojedynki przez resztę dnia — pisał Dampier — ale nigdy żaden z nich nie udawał, iż jego dosięgnął choćby jeden cios.« Wreszcie wystąpili radża i sam sułtan i odegrali podobne przedstawienie, tylko bardziej statecznie, nie tyle ze względu na ich godność, ile na tuszę.

John Reed nie powstrzymał się od głośnych uwag — na szczęście po angielsku — na temat wojennych talentów wyspiarzy. Gdy tryumfującego sułtana odprowadzono z areny, ledwie zipiącego ze zmęczenia i ociekającego potem, John Reed odrzuciwszy na plecy obie połowy swej fantastycznej czarnej brody zeskoczył — ani dbając o drabinę — z werandy domu radży, skąd przypatrywał się widowisku i wywrzaskując skomplikowane a sprośne wymysły, odegrał rolę wojownika. Występ jego był przekomiczną karykaturą poprzednich tańców. Skakał w swoich ciężkich butach jak oszalały słoń i ryczał, aż mu echo odpowiadało od gór. Wreszcie zwrócił się do środka areny, by zadać ostateczny cios. Nie miał dzidy ani miecza.

Z werandy domu, przechyleni przez poręcz, zdumieni i zachwyceni, przyglądali mu się sułtan i radża. Wokół krąg wojowników śledził go z zapartym tchem. Reed wyrwał pistolet zza pasa i strze-

lił w kierunku domu radży, w ostatniej chwili nieznacznie podnosząc lufę. Kula przeleciała tuż nad dachem. Reed obrócił się, wydobywając drugi pistolet i strzelił tuż nad głowami wojowników, ale nim wyciągnął trzeci pistolet zza pasa — nie było już kręgu wojowników dokoła niego. Wyspiarze uciekali pełnym galopem, rzucając broń po drodze. Rycząc ze śmiechu Reed strzelił jeszcze za nimi, po czym odwrócił się z powrotem do werandy, by zobaczyć, jak dygnitarze przyjęli jego występ. Ale nie ujrzał ani jednej brunatnej twarzy. Sułtan, radża i wszyscy jego doradcy wycofali się do wnętrza domu. Tylko bukanierzy pokładali się na deskach werandy w konwulsjach śmiechu. Śmiał się nawet posepny Śledź, tylko kapitan Swan między jednym a drugim atakiem śmiechu wygrażał pięścią swemu zwariowanemu marynarzowi. Reed za pokutę uklęknął przed nim i pocałował swą własną włochatą, niedźwiedzią łapę.

## Rozdział XVII

### KAPITAN POZOSTAŁ

Wybryk Reeda nie uraził radży Lauta. Nadal odnosił się do bukanierów z pozorną przyjacielskością i raz jeszcze ponowił nalegania, aby John Reed pozostał w Mindanao jako zastępca wodza wszystkich sił zbrojnych. Ale o co innego radża powziął urazę.

Zazdroszcząc Thackerowi pantofli ze srebrnymi sprzączkami — sam zawsze chodził boso — radża Laut poprosił kapitana Swana, aby mu kazał zrobić taką parę pantofli na statku. Jeden z bukanierów był istotnie szewcem z zawodu i sporządził bardzo elegancką parę pantofli, ładniejszych nawet od tych, którymi szczylił się Thacker. Niepoprawny żartowniś Harthop, objaśniając radży zalety obuwia zauważył ze złośliwym błyskiem w oczach, że zakończenia sznurowadeł są zrobione ze świńskiej szczeciny. Radża, wierny muzułmanin, wpadł w pasję. Wyrzucił pantofle przez poręcz werandy aż do lasu, wielkim głosem wołając o wodę, by się obmyć. Jednakże gorące pragnienie posiadania pantofli

przemogło. Następnego dnia wybaczył bukanierom, posłał nowy zapas miękkiej skóry cielejącej i kazał zrobić nową parę, bez użycia świńskiej szczeciny.

»Wieprzowinę Mindanaończycy mieli w wielkiej abominacji« — pisał Dampier. Nawet cudzoziemiec, który niedawno jadł to mięso, nie mógł przekroczyć progów ich domu. Dziki bezkarnie przychodziły do miasta nocami i grzebały w śmietnikach pod domami. Krajowcy nieraz prosili żeglarzy, by zastrzelili dzika, ale jeśli któryś z bukanierów własnoręcznie odciągał zabitego zwierza, wzbraniano mu później wstępu do domu przez kilka dni.

Gdy obrobiono zakupione przez kapitana Swana pnie, żeglarze zabrali się do roboty przy naprawie statku. Radza śledził ich czynności z zainteresowaniem cokolwiek nienaturalnym. Dopiero wtedy bukanierzy odkryli, że po miesięcznym pobycie na rzece drobne małże o wydłużonym, robakowatym ciele, dziś nazywane świdakami okrętowymi, pocięły na rzeszoto dno ich łodzi. Z największą obawą zabrali się do sprawdzania statku, ale na szczęście okazało się, że gęsta powłoka smoły nie dopuściła szkodników. Radza Laut odszedł tego dnia mocno rozczarowany i gniewnie potrząsając głową oznajmił, że nigdy jeszcze nie widział statku, który by miał podwójne dno.

— Słowa świętoszka, a zęby psa — zacytował Robert Hall.

— Więc i ty widziałeś, że radza był gniewny i rozczarowany? — pytał Dampier.

— A pewno, że był! — wtrącił rudowłosy Patryk Hagan. — Moja pegali mi powiedziała, że statek holenderski, który przycumowano ma rzece dokładnie w tym samym miejscu co nasz, robaki zjadły w dwa miesiące. Radza Laut dostał wszystkie ich działa.

Hall podniósł brwi w górę.

— Więc to dlatego radza tak nam serdecznie pomógł holować okręt w górę rzeki! — zawołał Dampier prawie z niedowierzaniem.

— Słowa świętoszka, a zęby psa — powtórzył Hall. — Czy ty wiesz, że skarbnik przesłał kapitanowi rachunek za wszystko, cośmy zjedli: kapitan, ty, ja i inni na ucztach u sultana i u radzy?

— Nie wiedziałem — odrzekł Dampier. — Wiem natomiast,

że w mieście dają nam jedenaście srebrnych talarów za uncję złota, którą sami sprzedają za osiemnaście talarów. I to przyjąwszy bez zmruczenia oka podarki takie, jak złote kolczyki i srebrne bransolety.

— Te podarunki, to inna sprawa — zauważył Hall. — Ofiarodawcy spędzają noc na wybrzeżu i otrzymują zapłatę w naturze. Już o nich się nie bój! Niech płacą.

Coraz więcej marynarzy, którym się wyczerpały fundusze, przyłączało się do żądań, by statek wreszcie odpłynął, zwłaszcza że wschodni monsun miał się niedługo skończyć, a z tym wiatrem mogli żeglować do Indii. Swan zgodził się, aby Dampier i Reed — którzy mieszkali na statku — po obiciu i wysmołowaniu dna wyszli z ujścia rzeki i zakotwiczyli w zatoce. Pozwolił także załadować na statek resztę nie sprzedanego żelaza i ołowiu i napełnić zbiorniki świeżą wodą, a ładownie zapasami ryżu. Jednakże kapitan i około czterdziestu bukanierów nadal mieszkowało na wyspie i prowadziło hulaszczy tryb życia. A radza tym razem nie posłał nikogo z pomocą, by holować statek po rzece. Na czele niezadowolonych stali Williams i Damerel, a po kryjomu sprzyjał im John Reed. Oni to właśnie sprzedali na własną rękę część ładunku żelaza i ołowiu, a zakupiwszy za to ryżu i miodu, sporządzili sobie silny trunek. Po pijanemu niezadowoleni przekształcali się w jawnych buntowników.

Pewnego dnia z początkiem stycznia 1687 roku Harold Harthop przyszedł na statek, by przynieść coś kapitanowi z jego kajuty. John Reed wszedł razem z nim. Harthop, przeszukując rzeczy kapitana, wyjął między innymi jego dziennik, który położył na stole. Reed skorzystał z chwili, gdy tamten się odwrócił, wsunął dziennik pod kaftan i pogwizdując wyszedł z kajuty. Harthop niczego nie zauważył: pozamykał szuflady, kufereki i kajutę i wrócił na brzeg. A tymczasem Reed, zasiadłszy na swojej koi, wyciągnął własny dziennik i porównywał zapiski, oparłszy dwie księgi na kolanach. Po chwili zerwał się i stracił obie księgi na podłogę.

— Łgarz! Oszukańczy bękart! — ryczał, zionąc przekleństwami.

Andrew, który z własnej woli sprawował obowiązki służącego Reeda, wpadł do jego kajuty.

— Wołałeś, John?

— Tak! Wołałem! Ale nie ciebie. Wołałem wszystkich diabłów, by przyszedli i zabrali, jak swego, naszego kapitana, wielmożnego, jegomościa Karola Swana!

Andrew nie pytał o nic. Gdy Reed wpadł w furję, najlepiej było mu schodzić z drogi. Wściekły brodacze, klnąc bez przerwy, kopnął swym wielkim buciorem księgę na podłozie. Okładka pękła, karty rozleciały się po całej kajucie. Andrew na czworakach rzucił się je zbierać.

— To był twój dziennik, John! — zawołał. Reed nie dbał już o nic.

— Wieprz nieczysty!! Bękart portowej ladacznicy! On tu pisze, że ja się do niczego nie nadaję, tylko do bitki! Że ja się nie rozumiem na nawigacji! Że gdyby nie ten Śledź uwędzony, Dampier, tobyśmy ugrzęźli na mieliznach czy skałach już od dawna! Że ze mnie nałogowy pijak i nie mam żadnego autorytetu wśród załogi! A kto, pytam się, przeszkodził naszym ludziom zaatakować ten hiszpański okręt koło wyspy Guam? Może wielmożny kapitan Swan, co? — Reed z rozmachem podniósł obie pięści w górę i uderzył się boleśnie o sufit kajuty.

Andrew tylko potrząsnął głową i milczał, w strachu, by nie powiedzieć czegoś niewłaściwego.

— Nie tylko o mnie tak pisze — pieniał się dalej Reed. — On powiada tutaj, że bosman Morgan też jest do niczego. A Robert Hall tylko przysłowia umie powtarzać! Bodaj oślepl! Ma coś złego do powiedzenia o każdym prawie! Pisze tu, że jesteście zgrają hołoty, że jemu wstyd żeglować z taką bandą! Niech go lichy porwie! Powiada, że byłby się dawno utopił, gdyby nie wielce szlachetne towarzystwo agentów Harthopa i Smitha, i tego Śledzia, Dampiera! Nie pisze tylko, że go pocieszała kompania tego chłopca okrętowego, słodkiego Billy, którego przyuczał do trunków i do gorszych rzeczy jeszcze. Nie chce żeglować z nami? Bardzo dobrze! Nie będzie żeglować z nami. Jakem John Reed! — I na zakończenie dodał potok przekleństw tak wymyślnych i różnorodnych, że zadziwił nawet Andrewa, choć ten już niejedno w życiu słyszał.

Klnąc bez przerwy, i nie powtarzając się ani razu, Reed walił pięścią w ścianę kajuty, a Andrew położył na stole zebrane karty podartego dziennika i drugi dziennik, cały jeszcze, Swana. Reed

pochwycił dziennik kapitana i chciał wyrzucić przez okienko, ale powstrzymał się.

— Czy jest kto z ludzi w forkasztelu?

— Pełno — odparł Andrew.

— Pijani czy trzeźwi?

— Są i tacy, i tacy. Pół na pół, można powiedzieć.

Reed wypadł z kajuty z dziennikiem kapitana pod pachą. Na pokładzie kopnął sztalugi, przy których pracował, gdy Harthop wszedł na statek, aż rozpoczęty szkic poleciał do wody. Senior, który siedział z podwinętymi łapami na rei wpatrzony w brzeg w oczekiwaniu na swego pana, zerwał się gniewnie, wygiął grzbiet, fuknął ze złością na Reeda i uciekł po maszcie wysoko między zwinięte żagle. Schyliwszy głowę Reed wszedł do forkasztelu i stanął u wejścia: pochylony, z wielką brodą fruującą na wietrze, z rozplomienionymi gniewem oczyma, które przesunęły się po wpół odzianych postaciach porozkładanych na kojach i na pokładzie.

— Chcę wam poczytać! — ryknął wściekle.

— Może Biblię? — zapytał złośliwie John Damerel.

— Trzymaj język za zębami d przypomnij sobie, jak ci siarka smakowała — odparł Reed.

Słuchali ciekawie. Reed, spokojniejszy już nieco, czytał dziennik Swana do wtóru coraz żywszym okrzykiem oburzenia załogi.

O tym wszystkim Andrew opowiedział później Dampierowi, który podówczas razem z Patrykiem Haganem i jeszcze paru bukanierami wybrał się na polowanie urządzone przez radzę Lautą. Domownicy radzy, jego żony, dzieci i służba wybrali się również; radza kazał zabrać ze sobą szkatuły z drogocенnościami, a nawet cały dobytek, gdyż bynajmniej nie ufał bratu sułtanowi.

Załadowano ogromną barkę, tak obszerną, iż mogłaby pomieścić pięćdziesięciu do sześćdziesięciu ludzi. Na jej pokładzie wzniesiono bambusową budowlę z małymi okienkami zamykanymi na okiennice i dachem z liści palmowych. Wnętrze przedzielono na kilka izb, z których jedna zarezerwowana była dla radzy: o podłodze pięknie wymoszczonej matami, a ścianach zawieszonych barwnymi oponami. W sąsiedniej izbie sypiały jego żony i dzieci. Na zewnątrz barki, na wystających poziomo grubych belkach

siedzieli wiosłarze. Gdy barka kołysała się, wiosłarze zanurzali się w wodzie aż po pas. Niekiedy, jako karę za jakieś przekroczenie, przywiązywano wiosłarza w pozycji leżącej do takiej belki, razem z którą znikał co chwila pod wodą, zaledwie mając czas między jednym a drugim zanurzeniem chwycić powietrza do płuc.

W pierwszej wiosce, do której dotarli, podejmowano ucztą radzę, jego żony i zamorskich gości. Następnego ranka radza poszedł w głąb łądu ze swoimi ludźmi oznajmiwszy, że ma do załatwienia sprawy urzędowe. Powiedział Dampierowi, że pozostawia swoje kobiety z całym zaufaniem pod ich opieką, ale na wszelki wypadek zostawił również dwóch ze swych głównych doradców i kilku dobrze uzbrojonych wojowników, o czym Dampier wspomina z pewnym żalem.

Radza sypiał ze swymi żonami po kolei, ale żona, która pierwsza urodziła mu syna, miała prawo do dwóch nocy pod rząd. W ciągu dnia ta z żon, która spała z radzą, cieszyła się szczególnymi względami i szacunkiem pozostałych i nosiła barwną chusteczkę jedwabną, jako zewnętrzną oznakę jednodniowej królowej.

Czekając na powrót radży Dampier nie tracił czasu. Razem z Haganem badali szczegółowo roślinę sago, z której ubodzy mieszkańcy wypiekali placki zastępujące im chleb przez trzy do czterech miesięcy w roku. Jadano środek pnia tej rośliny, która osiągała wysokość średniego drzewa. Ścinano ją, pień przecinano wzdłuż i wyskrobywano środek, który następnie rozbijano w dużych korytach, mieszano z wodą i cedzono przez sito. Wkrótce w korytach zbierała się substancja przypominająca białawe błoto. To właśnie błoto podsuszano i wypiekano z niego placki. Suszone sago wyspiarze wywozili na inne wyspy i handlowali nim w całych Indiach Wschodnich. Zamożniejsi wyspiarze, którzy stale jadalі chleb, pili niekiedy sago z mlekiem migdałowym, jako środek ułatwiający trawienie.

Było tu również pod dostatkiem drzew bananowych, które więdły i ginęły co roku po zbiorze owoców, ale zastępowały je natychmiast nowe pędy, wyrastające od starego korzenia. Po zbiorze bananów, zanim jeszcze drzewo uwiedło, Mindanaończycy ścinali je i wyrabiali z włókien pnia i gałęzi rodzaj nici, z których kobiety



tkwały płótno na odzież. Odmiana bananów, zwanych bananami platanowymi, nie była nowością dla Dampiera, który spotykał je w Indiach Zachodnich i na wybrzeżach Środkowej i Południowej Ameryki. Ale skorzystał teraz z wolnej chwili, by wywiedzieć się dokładnie, jak przyrządzano te banany w krajach, gdzie stanowiły one podstawowe pożywienie ludności.

Po pierwsze używano bananów zebranych z drzew jeszcze przed dojrzeniem, zamiast chleba, pieczono je lub gotowano. Z tym „chlebem platanowym” spożywano często na dodatek surowy banan zupełnie dojrzały, »Nieraz sam jadłem taką potrawę« — notuje Dampier. Zielone banany, pokrajane w talarki, wysuszone i przetarte na mąkę, stanowiły podstawę doskonałych ciast i budyniów. Dojrzały owoc po wysuszeniu można było długo przechowywać, a w smaku przypominał wówczas figi. Ugniótszy na masę dwanaście bananów, zalewano je dwoma galonami wody: po dwóch godzinach mieszanina zaczynała fermentować, a po czterech można było pić doskonały trunk.

»Jest bardzo orzeźwiający i smaczny — zapisuje Dampier. — Jeżeli przetrzymać zalane wodą banany około trzydziestu godzin, płyn będzie zbyt kwaśny w smaku: ale można go wówczas wystawić na słońce, a zamieni się w doskonały ocet.«

Bez żadnego niebezpieczeństwa dla siebie mogli bukanierzy, oczekując na powrót radży, wędrować po okolicznej dżungli, gdyż nie było tu żadnych drapieżnych zwierząt. Nie brakowało natomiast na wyspie koni, bydła, kóz, małą, legwanów i jaszczurek. Pełno też było dzików. Natomiast groźne były skorpiony, które miały niemiły zwyczaj spadania z palmowych liści dachu wprost na legowisko śpiącego, który budził się z okrzykiem bólu od dotkliwego ukąszenia skorpiona. Ukąszone miejsce puchło i wytwarzał się bolesny guz. Skorpiony żywiły się owadami, które chwytaly w swoje groźne szczypce, po czym paraliżowały zastrzykiem jadu i wysysały z nich wszystkie soki.

W ciągu pięciu dni Dampier i jego towarzysze oczekiwali bezczynnie na radżę, nie dostrzegłszy nigdzie śladu dzikiego bydła, po które się wybrali, aby zaopatrzyć statek w mięso na podróż. Wreszcie zjawilo się kilkudziesięciu wyspiarzy, którzy zrecznie

i szybko zbudowali duże ogrodzenie, dokąd miano zapędzić bydło. Ale na całej rozległej przestrzeni bujnego stepu dostrzeżono tylko kilka krów i to tak płochliwych, że zdołały wymknąć się nagonce. Dampier, wściekły, podejrzewał radzę o umyślny podstęp, gdyż poprzednio zapewniano go, że w ciągu paru godzin będą mogli zastrzelić tyle bydła, ile im będzie potrzeba.

Po powrocie do miasta wyszły na jaw nowe dowody oszustw radzy. Nie dostarczył ryżu, który miał być zapłatą za żelazo, i odkładał tę dostawę z dnia na dzień pod coraz to nowym pretekstem. Po naradzie z Haganem i Hallem, Dampier zdecydował, że zacny radza Laut przechytrzył kapitana Swana i że wszystkie jego podstępny zmierzają do przetrzymania statku na wyspie tak długo, aż większość załogi wymrze i on sam będzie mógł zawładnąć i statkiem, i pięciu tysiącami funtów w złocie, które otrzymano po tamtej stronie Pacyfiku za sprzedaż towarów londyńskich kupców. Od tej pory Dampier doszedł do przekonania, że jeśli nie uda się namówić kapitana Swana do jak najprędzej podróży, należy odpłynąć bez niego.

Wykonanie powyższego przedsięwzięcia ułatwił John Reed. Marynarz Cookworthy, ten sam, który ledwie się wylizał z rany po chłóście zadanej mu niegdyś za kradzież, zszedł pewnego dnia na ląd w poszukiwaniu lekarza Coppingera. Cookworthy miał powiedzieć, że jeden z bukanierów spadł z koi i złamał sobie nogę. John Reed przesłał również przez niego prośbę do kapitana Swana, aby zechciał przyjść na pokład i pomówić z załogą. Swan zignorował to. Ale Dampier i Patryk Hagan poszli na statek razem z Coppingerem, gdzie okazało się, że złamana noga była tylko podstępem, aby ściągnąć na pokład lekarza, bez którego załoga nie chciała odpłynąć.

Załoga postanowiła odpłynąć, gdy Reed przeczytał im odpowiednio dobrane wyjątki z dziennika kapitana Swana. Decyzja ta była po myśli Dampiera. Jeszcze raz wezwano kapitana na pokład, ale nikomu już nie zezwolono zejść na ląd. John Reed, który nie chciał stracić tak dobrego nawigatora, jakim był Dampier, opowiedział mu szczegółowo, jak bukanierzy postanowili złożyć Swana z funkcji kapitana i jak potem wybrali jego, Reeda, kapitanem statku. Przyczyniła się może do tego wyboru pamięć o pewnym zdarzeniu z siarką, gdyż właściwie funkcja kapitana należała

się Teatowi, który był szyprem barki, stoczonej przez świdraki na rzece i porzuconej jako bezużyteczna.

Oznaczono drugą godzinę po południu jako ostateczny termin powrotu kapitana Swana na statek.

— Jeżeli wróci — rzekł Hall do Dampiera — i przemówi energicznie a dorzecznie, wszystko jeszcze może się zmienić.

— Człowiek rozsądny i odważny z pewnością by przynajmniej spróbował tego — przyznał Dampier.

Ale druga godzina minęła, a od brzegu nie pojawiła się żadna łódź, John Reed, jako kapitan wydał swój pierwszy rozkaz stylem, którym miał się zawsze posługiwać:

— Podnieście tę zakichaną kotwicę, a żywo, zgrajo włóczących nogami niedołęgów!

Bosman Morgan skrzywił się i powtórzył rozkaz bez barwnych dodatków.

Wschodni wiatr wypełnił żagle „Cygnet”, fale zaszumiały o burty i piękny statek pomknął przez błękitne wody zatoki, znanej dzisiaj pod nazwą Zatoki Moro. Był dzień 13 stycznia 1687 roku. Kapitan John Reed, rozstawiwszy szeroko nogi, założywszy ręce na piersi stał na rufówce jak triumfator. Niebieski jedwabny kaftan Swana okrywał jego włochatą pierś i groził lada chwila pęknięciem na barczystych ramionach.

## Rozdział XVIII

### GDZIE ZŁOTO?

— Taki z niego kapitan, jakeśmy się spodziewali, a raczej obawiali — mówił Patryk Hagan, z zatroskaniem drapiąc się w rudą jak płomień czuprynę. — Przeklina, wymyśla i grozi siarką, a nie może się zdobyć na kary, bez których nie utrzyma dyscypliny u naszych ludzi. Na wszystkich świętych irlandzkich! Doszło do tego, że żadnemu zaufać nie można.

— Nie można zaufać żadnemu z irlandzkich świętych? — zapytał niewinnie Robert Hall. — Ja im nigdy nie ufałem.

Patryk zamachnął się na niego kuflem, ale spostrzegłszy w porę, że jeszcze nie jest próżny, podniósł go do własnych ust zamiast rzucić. Dampier rzekł spokojnie:

— Już wolałem żeglować ze Swanem...

— Tylko że Swan miał dość żeglowania z nami — dokończył za niego Hall.

— Z tymi dwoma na pokładzie, a każdy myśli, że tylko on wszystkie rozumy pojadł! Reed i Teat! Teat i Reed! Na świętego Patryka, jak ta podróż będzie wyglądała? — Hagan powrócił do swoich narzekań.

— Kto ma dwóch panów, musi kłamać jednemu — mruknął Hall.

Lekarz Herbert Coppinger podniósł się z koi, na której leżał, i przeciągnął się rozkładając ramiona, aż kości zatrzeszczały.

— Kapitan i jego zastępca żyją jak pies z kotem. Ja już wolałem Johna pijanego, ryczącego sprośne piosenki, hałasującego i tupiącego tymi buciorama niż takiego nadętego i ponurego, jak zwykle ostatnio bywa. Od kiedyśmy wyruszyli, jeszcze ani razu nie widziałem, żeby szkicownik wyjął albo za sztalugami usiadł.

— Jego żywiołem jest walka — rzekł Dampier. — Odpowiedzialność mu ciąży.

— Teat nie może zapomnieć ani przebaczyć, że załoga wybrała kapitanem Reeda, a nie jego — ciągnął Hagan. — Więc zrzedzi, pogania ludzi, a Reedowi złośliwe przytyki czyni. Co prawda, parę porządnych kopniaków dobrze by zrobiło naszej załodze, ale to tylko są mściwe dokuczania, jak na przykład wtedy, gdy posłał Daniela Wallisa na bocianie gniazdo i kazał mu tam zostać przez cały czas burzy, a wszystko dlatego że Daniel go nie tytułuje kapitanem, którym przecież nie jest na tym statku.

— Kto raz był kapitanem, zawsze jest kapitanem. Przynajmniej on tak sądzi — objaśnił Hall.

— Teat nie służy w marynarce — przypomniał krótko Hagan.

Hall podniósł się leniwie z krzesła, a potem nagłym zręcznym ruchem zaatakował Coppingera, który wciąż jeszcze ziewał, ale

nie dał się zaskoczyć. Mocowali się przez dłuższą chwilę, zanadto byli jednak rozleniwieni na taką zabawę.

— Reed wróci znowu do korsarstwa — powiedział Dampier. — Co do mnie, mam już tego dość.

— Reed nigdy nie będzie miał dość rozbojów, aż dopóki nie pójdzie rybkom na żer — odparł Hagan.

— Wiadomo po co napełniał komory forpiku prochem i kulami, kawałkami ołowiu i różnym zardzewiałym żelaziwem — dodał posepnie Dampier.

Hall wrócił do stołu.

— Załoga chce łupów. Wóz jedzie, gdzie go konie zawiozą.

— Ale nie każdy na wozie musi zostać. — Dampier śledził czujnie wrażenie swych słów na twarzach kompanów. — Można zeskoczyć.

Wszystkie oczy zwróciły się na Dampiera.

Siedzieli w kajucie, którą zajmował Dampier z Coppingerem do spółki. Hagan rozłożył się na koi Dampiera i na zmianę drapał się w głowę albo kopał gniewnie powietrze bosymi, brudnymi nogami. Dampier siedział za stołem, na którym leżał stos kart papieru i porozrzucane ptasie pióra. Gdy Hall i Hagan wtargnęli do kabiny z flaszkami wina pod pachą, Dampier pisał właśnie o znaczeniu dla nawigatorów różnicy czasu zegara, zachodzącej podczas żeglugi na wschód lub zachód, w celu dokładnego określenia długości geograficznej: »Choćby i doświadczony żeglarz, a nie przykłada należytej wagi do różnicy, zachodzącej w czasie zegarowym w miarę posuwania się na wschód lub zachód.« Dampier odkrył, że Hiszpanie na Ladronach trzymali się panującego w ich ojczyźnie czasu zegarowego, nie biorąc pod uwagę, że popłynęli na zachód »jako że mniemali, iż poruszają się w tym samym kierunku, co słońce«.

Próżnujący nad flaszkami z winem bukanierzy byli oddaleni o parę mil od zachodniego wybrzeża wyspy Luzon. Przez perspektywę można było dojrzeć port Manilę, do którego mogło się schronić parę setek statków pod osłonę silnej fortecy, w bliskim, wygodnym sąsiedztwie wielkich spichlerzy i składów towarów. Od kiedy „Cygnet” odpłynął z Mindanao nie przytrafiło się nic, co by przerwało monotonię podróży, prócz paru niespokojnych

godzin wśród zdradzieckich prądów w pobliżu podwodnych skał, gdzie utracili w rezultacie część rudla. Nie tylko ustawiczne dogryzania Teata, ale i nuda przyczyniła się do niezwykłej posępności Johna Reeda.

Za drzwiami kajuty zadudniły bosc stopy po deskach podłogi i szorstki głos krzyknął:

— Wszysey na pokład! Żagiel na morzu! Wszysey na pokład!

— Statek koło Manili nie jest chyba nowością — burknął Hall.

Wszyscy czterej ruszyli do drzwi. Senior nie ruszył się z ramienia Dampiera, wbił tylko mocniej pazury w jego kaftan.

Na pokładzie był już ruch i wrzawa. Senior skoczył między tanielunek i bez pośpiechu powędrował na swoje ulubione miejsce na rei, gdzie usadowił się wygodnie z podwiniętymi przednimi łapkami.

Dostrzeżony statek lawirował w stronę portu, walcząc z silnym północnym wiatrem. Na „Cygnet” rozwinięto wszystkie żagle. Hall pobiegł do swoich dział. Reed zapomniał o posępnych nastrojach i odrzuciwszy brodę na ramiona, odsłaniając w szerokim uśmiechu białe zęby, stał na rufówce szeroko rozstawiwszy nogi w wielkich butach, rękoma mocno uchwyciwszy reling. Wyrzucił już swój przyciasny jedwabny kaftan, spadek po Swanie, i teraz z niecierpliwością walił pięścią w obnażoną włochatą pierś.

— Każ przynieść na pokład te moje bomby — rzekł do Dampiera. — Wydaje mi się, że nareszcie będę miał sposobność je wypróbować. — Po czym jął kląć z rzetelną rozkoszą.

Teat stał obok niego w milczeniu, to śledząc uwijających się po masztach i rejach ludzi, to znów spoglądając na nieporządny, zaśmiecony pokład. Wzgardliwy uśmiech nie schodził mu z ust.

— Szukasz biedy, kapitanie — powiedział z szyderczym naciskiem na ostatnim słowie. — Dasz choć jedną salwę, a przepędzą nas z Manili na zbity pysk.

— Wiatr od lądu, kapitanie — odparł Reed, równie szyderczo podkreślając tytuł. — Ci durnie w Manili nic nie usłyszą. Zresztą tyle ja dbam o wszystkie okręty w ich porcie, ile o podogonie starej żółwicy.

Włochaty olbrzym nie miał najmniejszego zamiaru dopuścić do tego, aby jakiś zazdrosny były kapitan przeszkodził mu w roz-

koszy walki. W dwie godziny później byli już na odległość armatniego strzału od hiszpańskiego statku, mniej więcej tej samej wielkości co „Cygnet”, nadal uparcie zmagającego się z przeciwnym wiatrem. W bliskości portu hiszpan czuł się już bezpieczny i nie spodziewał się żadnej napaści.

— Dać mu salwę w bukszpryt! — ryknął Reed.

Żałoga wydała radosny wrzask. Perspektywa zdobyczy, pierwszej od wielu miesięcy, rozradowała bukanierów. Działa Roberta przemówiły. Strzał zniósł fokżagiel hiszpana.

— Nie tyle w bukszpryt, ile w głupie płótno — szydził Teat.

Statek hiszpański choć zaskoczony nie chciał się jednak poddać tak łatwo. Odchyliwszy się z wiatrem, odpowiedział salwą burtową z armat nie dosięgając statku bukanierów.

„Cygnet”, rozwinąwszy wszystkie żagle, puścił się w pogoń, a szybkość jego dowiodła, jak słusznie postąpił Reed zdejmując dodatkową nadbudówkę na pokładzie. Bukanierzy szybko doścignęli swoją ofiarę, a Dampier stojący przy sterze zmienił kurs, by ułatwić strzał Hallowi. Reed tańczył na rufówce i tupał butami, wrzeszcząc do Halla:

— Ognia!

Tym razem po strzale rozległ się trzask drewna, zawtórowały mu jęki rannych. Kanonierzy hiszpańscy odpowiedzieli salwą, ale ich sternik był ranny i właśnie, gdy przykładali ogień do lontu, statek zakołysał się bezładnie i strzał poszedł górą.

— Jeszcze go raz! Utopimy te szczury! — wrzeszczał Reed, skacząc po rufówce i odrzucając wciąż w tył brodę, którą wiatr mu zwiewał do przodu. — Ognia! Mamy ich! Zatopić, zdruzgotać! Rybom na pożarcie! — Odwrócił się i wznosząc w górę ramiona krzyknął: — Andrew! Kwartę rumu, niech wypiję za mój pierwszy przyz!

Ludzie Halla ładowali działa na gwałt. Oficerowie hiszpańscy na próżno zachęcali przerażonych żołnierzy okrzykami i biciem. Dwa statki rozdzielał tylko wąski pas wody.

— Hej, Śledziu! Burta w burcie! Gotować się do abordażu, zanim następny raz wystrzelą!

Hall i jego kanonierzy oddali jeszcze jedną straszliwą salwę prosto w nieprzyjacielski statek. W następnej chwili bosaki za-

czepiły o hiszpana, a bukanierzy wkładając kordelasy w zęby i chwytając pistolety w ręce, szykowali się do skoku.

— Zaprzestać ognia działowego! — wrzasnął Reed.

Burty obu statków zwarły się z trzaskiem.

— Lonty do granatów!

Żelazne haki z brzękiem sprzęgły ciasniej oba statki.

— Granaty rzuć!

Wymachując kordelasem nad głową Reed wył z zachwytu, gdy wykoncypowane przez niego granaty eksplodowały kolejno, rozrzucając kawałki rozżarzonego żelaza i ołowiu we wszystkie strony i wzbijając kłęby gęstego, dławiącego dymu, w który teraz oddział abordażowy skoczył z wraskiem.

Raz jeszcze Reed odrzucił obie połowy brody na plecy i potężnym susem przesadzając przestrzeń, która go dzieliła od pokładu hiszpana, ryknął:

— Bij, morduj!

Przez jedną śmiertelną sekundę oficer hiszpański patrzył na coś, co mu się wydawało olbrzymim, potwornym orangutanem, nachylającym się ku niemu jak czarna wieża. Potem moment przesywającego bólu i już tylko ciemność.

U boku swego nielubianego kapitana Patryk Hagan, porwany rozkoszą walki, szalał z pomocą wszystkich irlandzkich świętych. John Damerel zadawał mordercze ciosy swym żelaznym hakiem i przebijał celnymi uderzeniami kordelasa w lewej ręce, sycząc przy tym złowrogo:

— Kto mi rękę uściśnie, tego śmierć przyciśnie!

Dampier, pozostawiony na pokładzie „Cygnet”, patrzył z za steru na walkę jak na okropne widowisko. Senior uciekł z rei, spędzony strzałami i skulił się przy jego nogach.

Od razu w pierwszej chwili, gdy bukanierzy wdarli się na pokład hiszpana, z rufówki dobiegł na wprost zdławiony dymem krzyk:

— Poddajemy się!

Ale Reed nie dał się pozbawić rozkoszy walki. Był już upity krwią, jej mdlący zapach doszedł jego nozdrzy.



— Nie ma pardonu! — krzyknął. — Bij, morduj! Wypruj flaki! Zmyć pokład krwią!

Na oslep walił, kłuł, rąbał. Hiszpańska twarz — kordelasem w nią! Hiszpańska głowa — cios szpadą z całej mocy! Hiszpańska pierś — przeszyta ostrzem! Hiszpanie cofali się przed nim, jak przed potworem, czyniąc znak krzyża i chwytając za różańce, przekonani, że sam szatan porywa ich żywcem do piekła. Skakali za burtę wybierając śmierć w falach.

Wreszcie nawet krwiożercze obłąkanie Reeda znalazło zaspokojenie. Wbił koniec swej szpady w deski pokładu zalanego krwią tak, jak sobie tego życzył, i wsparty o rękojeść zanosił się od śmiechu przerywanego czkawką.

Kilku hiszpańskich marynarzy — tylu tylko ze stu pięćdziesięciosobowej załogi — w których jeszcze kołatał się duch, przywlekło się do niego błagalnym gestem unosząc ręce.

— Pokażcie nam, gdzie jest złoto! — zawołał do nich swoją okropną hiszpańszczyzną Reed, chwytając oddech w piersi, by pohamować nieprzytomne wybuchy śmiechu.

— Nie ma żadnego złota, wasza wielmożność!

Reed wyrwał szpadę z desek pokładu i świsnął nią nad głowami jeńców.

— Łżecie, podłe psy hiszpańskie! — zaskrzeczał niespodziewanie cienkim głosem. — Prowadźcie mnie do złota albo powywieszam was co do jednego. Dreszcze wstrząsnęły ciałami nieszczęśliwców.

— Nie ma złota, wasza wielmożność! Przysięgamy...

— Łżecie, wieprze nieczyste! Myślicie, że nie znajdziemy waszych skarbów bez was?

Reed odwrócił się do Hagana i krzyknął:

— Powiesić tych łgarzy na ich własnej rei!

— Ale może oni mówią prawdę — zaprotestował Hagan. — Nie każdy statek hiszpański wiezie złoto. Dlaczego niby na tym musi być złoto?

— Bo ja chcę złota! — wrzasnął rozszalały kapitan.

Hagan odwrócił się na pięcie, pośliznął na zalanym krwią pokładzie, potknął o ciała umierających i martwych i chwytając za

liny przelazł z powrotem na „Cygnet”. Reed nawet nie obejrzał się za nim. Inni poskoczyli, by wykonać jego rozkaz, a kapitan z tupotem buciorów popędził w dół po schodni, by przeszukiwać kajuty i ładownie.

Hiszpanie nie kłamali. Statek wiozł ładunek płótna żaglowego przeznaczonego dla okrętów w Acapulco i ryż dla załogi. Reed otrzeźwiał nieco. Gdy wyszedł z powrotem na pokład, sześciu wisielców drgało na sznurach, a bukanierzy sztychli z nich, zakładając pętle na głowy trzech pozostałych jeszcze przy życiu.

— Powiedzieliście prawdę — rzekł posepnie Reed do tych trzech. I dorzucił do Daniela Wallisa, który zaciągał już pętlę. — Zostaw go. I tamtych dwóch także.

Jeden z ułaskawionych jeńców zemdlął i osunął się na pokład, głucho uderzając głową o deski, na których krew zasychała czerniejącymi kałużami. Reed poszedł z powrotem na „Cygnet” i rozkazał Dampierowi dopilnować przeładunku płótna i ryżu.

— Potem przedziurawić statek i zatopić, kapitanie Teat — powiedział przeciągając szyderczo słowo „kapitanie”. — Nie mamy dość ludzi, by żeglować na dwóch statkach. — Zszedł pod pokład i zasiadłszy w zabryzganym krwią butach za stołem w swojej kabinie samotnie wychylał szklanekę po szklance rumu.

Nawet Patrykowi Haganowi nie przyszło do głowy, by spróbować wyratować tych Hiszpanów, którzy powskakiwali do wody.

Trzej ułaskawieni zostali wysadzeni na ląd, na nie zamieszkaną brzeg wyspy Luzon, a „Cygnet” popłynął dalej w kierunku wyspy Condor\*, leżącej przy wybrzeżach Półwyspu Indochińskiego na południe od ujścia rzeki Mekong. W tej kryjówce postanowiono oczekiwać okrętu płynącego do Acapulco.

---

\* Na mapce przedstawiającej trasę podróży Dampiera wokół Indii Wschodnich oznaczona jako Pulo Condor. Por. mapki 2 i 2a.

## Rozdział XIX

### ZDEMASKOWANI SPISKOWCY

Pobyty na Condor zapisał się w pamięci bukanierów głównie dlatego, że tubylcy — z których sporo mówiło po malajsku, językiem znanym już nieco Dampierowi z Mindanao — pozwalali swoim kobietom na wielką swobodę, a nawet przyprawdzali je na statek. Kapitan Reed, Patryk Hagan i inni jeszcze chciwie korzystali z tej sposobności, płacąc mężczyznom kawałkami żelaza i starą odzieżą, tak podartą, że już nie nadawała się nawet dla piratów.

Zwyczaj ten — jak notuje Dampier w swym dzienniku — »[...] stanowił ważny element polityki krajowców, którzy ofiarowywali kapitanowi i kupcom córki swych wodzów, spodziewając się za ich pośrednictwem nawiązać ściślejszą przyjaźń z obcymi przybyszami. Jeśliby wynikła jakaś sprzeczka w sprawach handlowych czy innych, która mogła sprowokować krajowców do podstępnej zemsty (do czego wszystkie te pogańskie plemiona bardzo są skłonne), to kobiety owe z pewnością uprzedziłyby o tym swych białych przyjaciół.«

Całe to wyjaśnienie wydaje się nieco sztucznym usprawiedliwieniem zwykłej prostytucji, a co do zdradzieckich skłonności pogańskich plemion, to stanowczo lepiej nie szukać porównań, gdyż mogłoby się okazać, żeśmy w tym względzie daleko przeszli ciemnoskórych krajowców z wysp południowych.

Bukanierzy oczyścili kadłub statku, sporządzili zapasową kolumnę grotmasztu i uszyli nowe żagle z płótna zdobytego na Hiszpanach. W kwietniu udali się na krótką bezowocną wyprawę po Zatoce Syjamskiej, a wracając z wyprawy napotkali płaską dżonkę chińską. Miejscowych statków nie atakowali, gdyż naraziłoby ich to na wrogość mieszkańców wysp, a pomoc ich w każdej chwili mogła być potrzebna. Zawsze ciekaw nowości, Dampier udał się na pokład dżonki, kwadratowej, szerokiej i płaskiej. Na pokładzie znajdowały się nadbudówki o wysokości trzech stóp, pokryte liśćmi palmowymi. W tych nadbudówkach podobnych do szałasów Chińczycy sypiali. Dżonka wyposażona była tylko w dwa maszty:

grotmaszt i fokmaszt. Na grotmaszcie umieszczano poprzeczną reję i żagiel. W niepogodę spuszczano i żagiel, i reję na pokład: Chińczycy nigdy nie wspinali się na maszt, by związać żagle. Grotmaszt, tej wysokości co na angielskim brygu, sporządzany był z jednego pnia pięknie ociosanego.

Jeszcze dziwniejsze wydało się Dampierowi wewnątrz dżonki, po której go oprowadzał malutki, uśmiechnięty kapitan z długim warkoczem. W obszernej kabinie paliła się lampka przed ołtarzem, na którym Dampier nie mógł dojrzeć posągu żadnego bóstwa. Przestrzeń pod pokładem była przedzielona na małe przedziały tak uszczelnione, iż gdyby z powodu jakiegoś uszkodzenia do jednego z nich zaczęła przeciekać woda, sąsiednie pozostałyby suche. Każdy taki przedział wynajmowano innemu kupcowi, który składał w nim towary i płynął dżonką razem z żeglarzami, sypiając w swoim przedziale albo też na pokładzie w nadbudówkach pod liśćmi palmowymi.

Na tej dżonce znalazł się pewien Portugalczyk, dobrze mówiący po malajsku, który zgodził się zaokrętować na „Cygnet” w charakterze tłumacza.

Powróciwszy do Condor bukanierzy mieli się na własnej skórze przekonać, jak to smakuje paść ofiara rozboju. Stał tam na kotwicy niewielki bark i kapitan Reed posłał łódź, by się dowiedzieć, co to za statek.

— Tylko nie wchodźcie na pokład — ostrzegął. — To pewno Malajczycy. Słyszałem w Mindanao, że załogi ich statków składają się z rzezimieszków zawsze gotowych do napaści ze sztyłem w rękę.

Bukanierzy w spuszczonej na wodę łodzi — było ich dwunastu — roześmiali się na to ostrzeżenie, a Daniel Wallis zawołał:

— My też nie owieczki!

— Słuchać rozkazów, takie syny! Banda bezczelnych łobuzów! — wrzeszczał za nimi wychylony przez burtę Reed, grożąc włochatą pięścią.

Ludzie tylko się śmieli i przedrzeźniali go. Wszyscy oczywiście wdrapali się od razu na pokład nieznajomego barku. Patrząc pilnie przez perspektywę Dampier dostrzegł, że od razu wywiązała się bójka. Kilku bukanierów padło na pokład, reszta skoczyła

do morza lub do łodzi. Wróciło ich o sześciu mniej. Ze wstydem i gniewem opowiadali, że zaledwie dostali się na pokład, napadło na nich z nożami ze dwudziestu Malajczyków.

— Macie, na coście zasłużyli! Warchoły! — wymyślał Reed, ale kazał natychmiast spuścić dwie łodzie i wzięwszy trzydziestu ludzi sam popłynął na czele karnej ekspedycji. Za późno. Malajczycy przedziurawili swój bark i uciekli na ląd.

Dopiero 4 czerwca „Cygnet” wyruszył wreszcie na z dawną planowaną wyprawę, której celem miało być zdobycie okrętu pływającego do Acapulco. Ale pogoda pokrzyżowała plany bukanierom. Wiały przeciwne wiatry i wreszcie, po żmudnym ryzykownym lawirowaniu wokół różnych wysp, statek ich zniósł na Wyspę Świętego Jana na zachód od Hongkongu, naprzeciw ujścia rzeki Canton — północnej odnogi delty rzeki Si-ciang. Tam stwierdzili, że wiatr zmieniał się wciąż z jednej ćwiartki kompasu na drugą. Postanowili więc znowu podnieść kotwicę i wypłynąć na otwarty ocean »gdyż taka zmienna pogoda — jak zanotował w swym diariuszu Dampier — jest zwykle zapowiedzią sztormu«. Popłynęli na południowy wschód. Drugiego popołudnia zerwała się wichura od północnego wschodu pędząc przed sobą skłębione, czarne chmury.

»Zwinęliśmy marsle, a przy coraz gwałtowniejszym wietrze około godziny dziewiątej zarefowaliśmy grotzagiel i fokzagiel; o dziesiątej zwinęliśmy całkowicie fokzagiel zatrzymując jeszcze grot i bezan; o jedenastej zwinęliśmy całkowicie grot i skróciliśmy bezan. O tej porze zaczęło padać; o północy lało strumieniami, a wiatr wciąż dął, jak podczas orkanu.«

Odezwały się grzmoty. Błyskawice rozświetlały szczyty załamujących się spienionych grzywaczy tak, iż zdawało się, jakby cały ocean był w ogniu. Piana zalewała pokład. Senior opuścił ramię Dampiera i uciekł do kambuza, rozległ się huk i groźny trzask na dziobie statku. Bosman Ernest Morgan wpadł na rufę i wrzasnął w samo ucho kapitana:

— Zapasowa kotwica za burta! Bije o dziób! Kotwica mogła z łatwością przedziurawić burtę statku. Reed nie wiedział, co począć.

— Zrąb linę kotwiczną i niech leci do diabła! — ryknął Teat.

— Nie, nie! — zawołał Dampier. — Odpadnę z wiatrem, a wtedy będziecie mogli kotwicę z powrotem zamocować!

Słowa Dampiera dosłyszał tylko Hagan, który osłonił usta rękoma i powtórzył je kapitanowi krzycząc z całych sił. Dampier już pobiegł, by samemu stanąć za sterem. Pod kierownictwem tak niewprawnego żeglarza jak Reed wydawano wciąż sprzeczne rozkazy, a w krytycznych chwilach panował istny chaos.

Tuzin rąk mocowało się z liną, by podciągnąć kotwicę. Znowu ogromna fala przewaliła się nad nimi, rzucając dwóch marynarzy na deski pokładu, po których stoczyli się aż do burty i pozostali tam przez chwilę, potłuczeni i oszołomieni. Wreszcie zamocowano z powrotem kotwicę. Tymczasem Hagan na rozkaz Teata odciął dwie łodzie holowane za statkiem.

— Ster z powrotem na wiatr! — krzyknął Reed.

— Próbuje robić zwrot w tym sztormie, a zatopisz statek i nas wszystkich — sprzeciwił się Teat.

Reed zszedł z rufówki narzekając na nieposłuszeństwo załogi i w swojej kajucie szukał pociechy w rumie. Wkrótce, zmieszane z hukami burzy, jeły dolatywać z dołu odgłosy sprośnych piosek i maniackiego śmiechu. Tchórzliwsi spośród załogi skryli się również pod pokładem i modlili się na klęczkach w forkasztele. Za każdym błyskiem piorunu zdawało im się, że widzą gigantyczne postacie lecących duchów. W każdym grzmocie — który przysłuszał inne hałasy: ryk wichury, huk fal, skrzypienie masztów — słyszeli głos wzywający ich po imieniu z głębin morskich na porachunek z diabłem. Gdy więc z kajuty kapitańskiej rozbrzmiewał obłąkany rechot, ogarniało ich przekonanie, że już są w mocy czarnobrodego szatana, którego obrali swym kapitanem. Wspomnienie dymu siarkowego utwierdzało ich jeszcze w tym przekonaniu...

Wczesnym rankiem grzmoty i wicher przycichły nieco. Można było wyostrzyć pod wiatr i postawić bezan. W południe statek kołysał się na ostrych, krótkich falach przy zupełnej ciszy. Wkrótce wiatr zerwał się znowu, ale z przeciwnego rumbu i porwał ze sobą statek z siłą tajfunu, zalewając znowu olbrzymimi grzywaczami nieszczęsnych żeglarzy. Reed trzeźwy już, ale posepny, stał

z obnażoną piersią na rufie, trzymając się obu rękoma za reling, a woda strumieniami spływała mu po brodzie.

Gdy wreszcie burza ustała i niebo się rozjaśniło, statek przekształcił się w pralnię: na burtach, linach i rejach zawisły części odzieży, którą marynarze pozdejmowali z siebie do wysuszenia.

W kajucie Dampiera Patryk Hagan siadł ciężko na koi i wybuchnął:

— Zaokrętuje się na statek diabła we własnej osobie byle się uwolnić od tej przeklętej skorupy! Klnę się na wszystkich świętych, że mam tego dość!

— Niewiele brakowało, a byłbyś się rzeczywiście uwolnił od tej przeklętej skorupy, jak powiadasz — odrzekł Robert Hall.

— Reed i Teat razem zatopią nas na pewno — pienieł się Hagan w bezsilnej złości.

Do kajuty wszedł lekarz Coppinger, który właśnie opatrywał potłuczenia i zwichnięcia. Nie słyszał słów Hagana, ale jego własne wyrażały to samo.

— Ten statek to nie miejsce dla człowieka, który chce jeszcze żyć. Opuszczę go, gdy zobaczę pierwszy ląd.

— Sądzę, że wszyscy czterej jesteśmy zgodni co do tego — oświadczył Dampier.

— John Cookworthy też opowiada, że chce opuścić statek — zauważył Hall.

— Obejdziemy się bez tego złodzieja — burknął Coppinger.

— To nie jest zły człowiek w gruncie rzeczy — wystąpił w jego obronie Dampier. — Głód go zmusił do kradzieży. Niech idzie z nami. Przyda się, jeśli wypadnie nam stanąć do walki. I przyda się, gdy trzeba będzie wiosłować. Pogadaj z nim, Patryk.

Wczesnym rankiem następnego dnia Dampier powziął podejrzenie, które kazało mu pożałować swej pobłażliwości i obrony Johna Cookworthy. Dostrzegł go, jak wychodził z kajuty kapitana.

Nie porzucając zamiaru dotarcia do Manili i zdobycia jakiegoś cennego przyżu hiszpańskiego, Reed i Teat — jeden wrzeszcząc groźnie, drugi kpiąc złośliwie — uzgodnili w końcu, że wezmą kurs na nie zamieszkaną podobno wyspy Batan leżące między

Formoza\*, a wyspą Luzon. Gdy pomysł ten przedstawiono całej załodze, Dampier i jego towarzysze spiskowcy sprzeciwili się temu. Dampier stał dość daleko od kapitana, gdy ten odwrócił się do niego i groźnym gestem wyciągnął rękę w jego stronę.

— Ty zdradziecki tchórz! Po tobie się tego nie spodziewałem! Niby to wykształcony człowiek! — Naraz odwrócił się w drugą stronę i oskarżycielskim palcem wskazał na Roberta Halla. — I ty synu psiej zalotnicy, który tylko przysłowiami potrafisz gadać! — Po raz trzeci odwrócił się i wskazał palcem Herberta Coppingera. — I ty także, łapiduchu zakazany, ludzki rzeźniku! Myślicie, że nie wiem o waszych spiskach? Myślicie, że nie wiem, dlaczego nie chcecie płynąć na batańskie wyspy? Chcecie uciec ze statku i myślicie, że tam to się wam nie uda. A nie uda się, nie! — Wsunął głowę naprzód i wodził wzrokiem od jednego do drugiego z oskarżonych. Ale dopóki nie wpadł w bitewne obłąkanie, Reed nie mógł nikogo przerazić: miał oczy wesołego, niedorosłego chłopca.

Z tyłu, za zgromadzonymi żeglarzami, Cookworthy wysunął się ukradkiem w stronę forkaasztelu. Mocne ramię uchwyciło go za kark: Patryk Hagan — pominięty w oskarżeniach kapitana — trzymał go mocno. Irlandczyk odgadł od razu, komu Reed zawdzięcza te informacje.

Reed miotał przekleństwa w bezsilnym gniewie:

— Ja was ostrzegam, zdradziecka hołoto, że nie wypuszczę was tak łatwo. A jeśli przyłapię, jak ukradkiem zechcecie się wymknąć, klnę się na wszystkich czortów, że pozabijam!

— Nie mamy zamiaru opuszczać statku bez zezwolenia kapitana — oznajmił spokojnie Dampier.

— A tego pozwolenia nie dostaniecie!

Załoga pomęczona ciągłymi przeciwnościami pogody, nie oponowała projektom kapitana. Talk więc „Cygnet” pożegłował w kierunku północno-wschodnim.

Gdy Hagan wynurzył się z forkaasztelu, miał prawą pięść owiniętą skrwawioną szmatą. Dampier podniósł pytająco brwi, a Irlandczyk odrzekł:

---

\* Taiwan (*Przyp. red.*)



— Coppinger poszedł do tego złodziejaszka. Złamana szczęka, o ile wiem.

## Rozdział XX

### WYSPY BATAN NIE SĄ BEZLUDNE

Krajowcy — niscy, krępi, o ciemnobraunatnej skórze, szerokich twarzach, niskich czołach i krzaczastych brwiach, prawie nadzy, nosili duże, okrągłe kolczyki, niewątpliwie ze złota, choć dość bladej barwy. Żyli gromadnie, a poziom tych społeczności był bardzo prymitywny, co można było osądzić choćby na podstawie ich pożywienia.

Dampier zauważył, że gdy żeglarze wyrzucali za burtę skórę i wnętrzności kóz, czółna krajowców pędziły na wyścigi, by wyłowić te odpadki. Sierść opalano nad ogniem, potem skórę przypiekano na gorącym popiele, aż uznano ją za gotową, by rozdzierać zębami na kawałki i połykać. Wnętrzności wrzucano do garnków zawieszonych nad ogniem: »Spod pokrywek wydobywała się kłębamii para o wcale smacowitym zapachu.« Rozgotowane na zupełną miagę flaki zjadano palcami wraz z pulpetami z ryb oczyszczonych z ości i drobniutko posiekanych. Trzecim przysmackiem krajowców z wysp Batan była szarańcza. Owady te, długie na półtora cala, a grubości małego palca, opadały chmarami na pola i pożerały najdelikatniejsze części zielonych roślin. Krajowcy łapali je siatkami przypominającymi nasze siatki na motyle i piekli nad ogniem, aż skrzydła odpadły, a grzbiety nabierały koloru czerwonego, jak raki. »Jadłem pieczoną szarańczę i dosyć mi smakowała. Ale nie mogłem przemóc się, by spróbować kozich wnętrzności.«

Krajowcy byli usposobienia łagodnego. Nie wybuchały kłótnie między nimi nawet pod wpływem mocnego trunku, który warzyli i wypijali w sporych ilościach.

Kapitan Reed kazał napełnić świeżą wodą wszystkie beczki i kadzie na statku, zakupił sporą ilość dzikich świń płacąc za nie

żelazem, a w zamian za gwoździe i ołowiane kule dostał owego trunku warzonego przez krajowców. Bukanierzy nie mieli jeszcze zamiaru opuszczać wysp, ale wypędził ich nowy, gwałtowny sztorm. Statek dryfował na kotwicach, z których jedną trzeba było odrąbać. Popłynęli na wschód od Filipin, aż dotarli do dwóch wysp położonych na południowy wschód od dobrze znanego Mindanao.

Tutaj doszły ich wieści o losie kapitana Swana i żeglarzy, którzy pozostali razem z nim. Kilku zmarło — między innymi dwóch agentów, Harthop i Smith. Kilku odpłynęło na holenderskim statku razem z pierwszym oficerem Angusem Nellym. Swan został, aż wreszcie pokłócił się z radzą Lautem, któremu zagroził, że opuści wyspę i powróci na wojennym okręcie, by zawojować całe państwo sułtana. Jak się zdaje, Mindanaończycy nie okazywali już dłużej szczególnej sympatii dla Anglików i nie demonstrowali swojej przyjaźni przykładając blisko do siebie wskazujące palce obu rąk. Gdy po tej kłótni kapitan Swan popłynął czółnem na morze, by umówić się z kapitanem stojącego w pobliżu na kotwicy statku holenderskiego o przewiezienie go do Europy, krajowcy zaatakowali go u ujścia rzeki, wyrócili czółno, a samego Swana przebili dzidą. Tak więc kapitan Swan nigdy nie miał sposobności przekonać kupców londyńskich, swoich patronów, iż był uczciwym człowiekiem, którego tylko Bazyl Ringrose przymusił do piractwa.

— Nic nie szkodzi — oświadczył cynicznie Robert Hall. — Kto już umarł, tego się czci i honoruje.

Dampier myślał o praktyczniejszych sprawach.

— Jedno jest pewne: że dla nas bezpieczniej nie przybliżać się do Mindanao.

Żeglując dalej na południe bukanierzy zapuścili się na niebezpieczne wody między małymi wysepkami i mieliznami na wschód od wyspy Celebes, a potem na zachód od Timor. Dampier, który nie rozbierał się od szeregu tygodni, gdyż ciągle był potrzebny na rufie albo za sterem, wychudł i sposepniał jeszcze bardziej. Myśli jego krążyły nieustannie wokół sposobów przeprowadzenia statku wśród mielizn, skał podwodnych i prądów, które nie istniały na żadnych mapach. Reed, niezły nawigator, pomagał mu, jeśli był trzeźwy. Mówili mało, czasem tylko kapitan przypominał mu:

— Nie możesz nas opuścić. Ani ty, ani lekarz. Osiedlibyśmy na mieliźnie dziesięć razy, gdyby nie ty. A kapitan, który by się zgodził żeglować bez konowała, byłby ostatnim głupcem. Inna rzecz, że żaden medyk na nic się nie zda. Kiedyś skaleczony, sam się wylizesz, a jeśli źle z tobą, to najlepiej sobie żyłą sztyletem otworzyć i skończyć szybko. Ale marynarze lubią mieć medykusa na statku. Dodaje im to otuchy, tak samo jak modły i śpiewanie hymnów. Więc niech go mają. Co do mnie, poznam się na dobrym nawigatorze i nie puszczę go od siebie.

W jakim napięciu żył Dampier można wywnioskować z zapisów, które poczynił w tych ciężkich dniach. Przepływali wąską cieśniną z pomocą sprzyjającego im prądu.

»Ale prąd ten, który był nader przydatny kiedyśmy przepływali cieśniną, mógł nas później zgubić, gdyż na południowym krańcu cieśniny leżą dwie małe, nie zaznaczone na mapie wyspy i prąd zniósł nas w ich stronę tak szybko, że ledwieśmy uniknęli rozbięcia. Słaby bowiem wiatr, pod którym żeglowaliśmy, zamarł zupełnie, nie było też możliwości rzucenia kotwicy. Zabraliśmy się do wiosł, ale to się na nic nie przydało, gdyż prąd zniósł nas prosto na jedną z wysepek i musieliśmy odpychać się od wysokiego brzegu wiosłami i drągami i tylko w ten sposób zdołaliśmy się uratować.«

Groziły im inne jeszcze niebezpieczeństwa. Pewnego popołudnia zapanowała martwa cisza. Najłżejszy nawet powiew wiatru nie wypełniał żagli, na horyzoncie zaczęły się zbierać czarne chmury i szły ku nim niskie, ciężkie, a z najczarniejszej zwisała jakby zasłona dziwaczego kształtu, szeroka u góry, zwężająca się ku dołowi. Żeglarze zebrali się przy burcie śledząc dziwne zjawisko.

— Tornado!

— Trąba morska!

— Strzelić w nią z działa!

Robert Hall zaczął ładować działa. Pod zwisającą chmurą powierzchnia morza, jak mogli już dostrzec, pieniała się i wzbijała w górę potężnym słupem. Chmura zbliżała się szybko, a wir wodny pędził wraz z nią, jak kolumna łącząca niebo z morzem. Wokół

nieruchomego statku wciąż panowała cisza i nie było mowy o tym, aby potrafili umknąć przed groźnym zjawiskiem.

— Daj ognia, zanim spadnie na nas! Może się załamię — zawołał bosman Morgan.

Kapitan Reed tylko się roześmiał.

— Nigdy jeszcze nie widział, aby strzelanie do burzy pomogło! — krzyknął dodając parę przekleństw. — Jeśli mamy się zameldować u Davy Jonesa, to się stawimy śpiewając! — I pełnym głosem ryknął sprośną śpiewkę.

Wystraszyło to ludzi jeszcze bardziej. Jedni dobyli kordelasów, którymi kreślili znak krzyża przed sobą, chcąc wyegzorcyzmować demona burzy. Hall wystrzelił z działa po to tylko, by przekonać żeglarzy, że Reed miał rację, bo chociaż kula przeleciała przez ową niesamowitą czarną kolumnę, nie powstrzymała jej wcale. Obezwładniony ciszą statek nie mógł jej zejść z drogi. Marynarze zaczęli uciekać pod pokład.

— Wszyscy na pokład! — wrzasnął Reed. — Gdy nas uderzy, trzeba będzie rąbać wanty i maszty.

Teat, Hagan i Dampier stanęli przy włazie, by zagrozić drogę. Wszystkie oczy śledziły czujnie groźną chmurę. Była teraz oddalona zaledwie o sto jardów, ale też minęło prawie pół godziny, od kiedy ją zauważono, a według ówczesnych obserwacji trąba morska nie trwa dłużej jak pół godziny. Żeglarze zacisnęli pięści i zesztynieli w oczekiwaniu. W tej samej chwili straszliwy wir zбочył nieco i minął statek przed bukszprytem, a olbrzymia jakby góra wodna rozbiła się na pomniejsze wiry i opadła z hukiem w morze wzbijając wehniście bałwany. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Gdyby ta góra wodna runęła na okręt, niewiele by z niego zostało.

— No, to nie pójdziemy jeszcze do Davy Jonesa! — zaśmiał się Reed. — Widziałem już takie wiry. Zwykle więcej narobią strachu niż szkody.

Jednakże Dampier przytacza przykłady — co prawda nie z własnego doświadczenia — wielkich szkód poczynionych przez „wiry wodne”, zatopionych ludzi i statków.

»Dnia 4 stycznia roku 1688 dopłynęliśmy do Nowej Holandii na szerokości szesnastu stopni pięćdziesięciu minut\*. Wielka to

\* Szerokości południowej. (*Przyp. red.*)

przestrzeń lądu i nie wiadomo jeszcze z pewnością, czy jest to wyspa, czy też kontynent. Ja jednak pewien jestem, iż nie łączy się ani z Azją, ani z Afryką, ani też z Ameryką.«

W tych zwiezłych słowach Dampier zanotował fakt, iż on i jego towarzysze okrętowi byli pierwszymi Anglikami, którzy ujrzeli na własne oczy bajeczną Terra Australis. Holendrzy próbowali już badać jej zachodnie i południowe wybrzeża. Miał nadejść czas, kiedy Dampier w poszukiwaniu dokładniejszych informacji przedsięwziął wyprawę odkrywczą z Anglii do Australii. Ale na razie to, co widział, raczej zniechęciło go, niż obudziło jego zainteresowania.

Zakotwiczyli prawdopodobnie w pobliżu dzisiejszego King Sound. Rozsiane tu liczne drobne wysepki nazywane są obecnie Archipelagiem Bukanierów.

Żeglarze zebrali się przy burcie zakotwiczonego statku, obserwując wysokich, brunatnych krajowców, którzy biegali po wybrzeżu wyraźnie podnieceni. Na tę odległość trudno było dojrzeć szczegóły, ale bukanierzy nie zwlekali z wyrażeniem swej opinii.

— Dzicy!

— Żadnej odzieży! Zupełnie nadzy...

— Jakieś spódniczki z trawy noszą, prawda?

— Całkiem wygodna taka spódniczka.

— Ale ja bym nie ryzykował i wolałbym nie zadawać się z ich kobietami.

— Czego się boisz? Noża przy sobie nie schowa, bo nie ma gdzie.

Potężny bas Reeda wmieszał się w ich rozmowę:

— Przestańcie plotkować jak stado starych bab! Łódź spuścić! Weźcie paru ludzi i pojedźcie na ląd, Morgan. Sprawdźcie, czy oni nam się mogą w czymś przydać.

Ledwie wszakże łódź z „Cygnet” dotknęła piasku wybrzeża, krajowcy pouciekali. Żeglarze przetrząsnęli zarośla w poszukiwaniu chat, ale nie znaleźli żadnych, natomiast widniały tu i ówdzie ślady ognisk.

— Weź łódź i pojedź na wyspy — powiedział Reed do Dampiera. — Nie zwiejesz mi stąd, bo jesteśmy zbyt daleko od zwy-

klej trasy statków handlowych. A może te brunatne dzikusy nie będą tutaj takie płochliwe. W każdym razie na wyspie łatwiej ich przyłapać.

Krajowcy początkowo wyrażali przybyszom dzidami i »drewnianymi szablami wyciętymi na kształt mocno zakrzywionego kordelasu«. Z tego opisu Dampiera można wywnioskować, iż były to z pewnością bumerangi. Dampier wystrzelił raz z muszkietu ponad głowami krajowców i wyskoczył z łodzi na brzeg. Kobiety, chwytając dzieci na ręce, uciekały z krzykiem. Hałaśliwe to było powitanie. Dzieciaki piszczały przeraźliwie, starcy i chorzy nie ruszając się od ognisk zawodzili jakby na pogrzebie. Krajowcy tutejsi nie budowali domów i tylko rozkładali ogniska na wolnym powietrzu. Żyli gromadami po dwadzieścia do trzydziestu osób. Rozniecając ognisko budowali dla niego z jednej strony osłonę od wiatru w rodzaju płotu.

Mężczyźni stali z bronią w ręku i wrogim wyrazem szpetnych twarzy. Dampier zaobserwował wielkie głowy, krótkie, kędzierzawe włosy, nosy jak kartofle, wypukłe wargi, usta pozbawione górnych przednich zębów. Powieki mieli na w pół przymrużone z powodu uporczywych much i patrząc podnosili wysoko w górę głowy, jakby spoglądali na wierzchołki drzew. Natrętnie muchy, których żadnym sposobem nie można było odpędzić, obsiadały nie tylko oczy, ale wchodziły do nosa i ust.

Ponieważ przybysze zachowywali się pokojowo, kobiety zawracały z wolna w stronę mężczyzn, którzy stali półkołem na brzegu. Dampier dał gestami do zrozumienia, że potrzebna im jest żywność. Krajowcy wskazali parę drobnych rybek, które leżały obok ogniska. Jak się później okazało, rybki te, chwytane z niskich kamiennych grobli, budowanych w zacisznych zatokach, stanowiły istotnie, wraz z ślimakami i krewetkami, podstawę pożywienia tubylców.

Na wyspach nie było żadnej zwierzyny, a piaszczysty grunt nie nadawał się do uprawy. Rosły tu jednakże różnorodne drzewa, przede wszystkim smokowiec rozmiarów dużej jabłoni, o dziwnie poplątanych konarach, którego purpurowo zabarwionej żywicy, zwanej smoczą krwią, używano jako wysoko cenionego leku. Do dziś dnia żywica ta służy do zabarwiania lakierów i politory. W morzu pod dostatkiem było żółwi i manatów, ale kra-

jowcy nie umieli polować na nie. Ubogą swoją żywność dzielili uczciwie między wszystkich członków gromady i każdy dostawał po równi: silny mężczyzna, jak i starzec czy dziecko.

Towarzysze Dampiera rozbili namiot i przywieźli ze statku żagle, które wymagały naprawy. Znalezione źródło. Hall i Teat próbowali nakłonić krajowców, aby pomogli im nosić napełnione świeżą wodą baryłki o pojemności sześciu galonów. Teat dźwignął beczułkę na grzbiet Halla, po czym podniósłszy drugą chciał ją umieścić na grzbiecie jednego z krajowców. Ale ten uciekł, a Teat klnąc upuścił beczułkę na ziemię. Patryk Hagan pojawił się niosąc na rękę zniszczone pantalony, połataną koszulę i takiz kubrak.

— Z ciebie prawdziwy handlarz starzyzną — burknął Dampier bez uśmiechu.

— Tak powiadasz? A co nas wszystkich uratowało na Przesmyku Panamskim, jeśli nie moja spódniczka koloru nieba? — odparł Hagan.

Namówił paru tubylców, aby przywdziali łąchy.

— Nie było tu Hiszpanów, by ich uczyć próżności — powiedział Dampier.

Żartując i dowcipkując żeglarze umieścili beczułki z wodą na grzbietach tych krajowców, których Hagan wystroił, wskazując palcami na łodzie przy brzegu. Ale krajowcy stali bez ruchu, jak posągi, i tylko uśmiechali się do swych niefortunnych rozkazodawców. »Tak więc musieliśmy sami nosić wodę, a tubylcy uczciwie pozdejmowali odzież i zwrócili ją, sądząc pewnie, że odzież jest tylko po to, by w niej pracować. Biedacy nie umieli nosić ciężarów.« Może ci biedacy mieli więcej rozsądku, niż się Dampierowi zdawało.

## Rozdział XXI

### DOBROWOLNI ZESŁAŃCY

Doprowadziwszy statek do porządku, bukanierzy bez zwłoki opuścili wybrzeże, na którym nie mogli dostać ani żywności i trunków, ani ludzi do pomocy. Przez Ocean Indyjski skierowali się wokół zachodnich wybrzeży Sumatry do przylądka Komoryn, najbardziej na południe wysuniętego cypla Indii. Zdąжали w stronę Morza Czerwonego w nadziei zdobycia bogatych łupów wśród statków handlowych płynących z Indii, Persji i Wschodniej Afryki. Zatrzymali się jeszcze raz przy małej, lesistej wysepce, na północ od Wysp Kokosowych\*, nie zaznaczonej na ich mapach, by nabrać świeżej wody. Senior siedział na ramieniu Dampiera. Sporo tu było głuptaków i fregat, na które bukanierzy chętnie polowali, gdyż dostarczały smacznego mięsa. Bardziej malownicze, choć mniej użyteczne, były zielone papugi, które licznymi stadami zrywały się z drzew za zbliżeniem ludzi i, skrzecząc przeraźliwymi głosami, przelatywały ciężko z gałęzi na gałąź.

Głuptakami Senior się nie interesował. Natomiast na widok papug zeskoczył z ramienia swego pana i pomknął między drzewa. Uszu Dampiera zajętego łapaniem głuptaków doszedł nagle niesamowity hałas, jakby wszystkie papugi na wyspie zaczęły wrzeszczeć jednocześnie. Ale żadnej z nich nie było widać. Dampier i Hagan popędzili w stronę tego piekielnego hałasu. Przedzierając się między gęstym podszyciem lasu wpadli wreszcie na niewielką polanę, gdzie kilkadziesiąt papug zerwało się z ziemi na ich widok i uleciało na niskie gałęzie drzew. Setki ich współtowarzyszek dookoła darły się wniebogłosy. Ale nad szmaragdową murawą parę papug krążyło jeszcze nisko nad ziemią, z ochryplym wrzaskiem bijąc skrzydłami Seniora, który z najeżonym włosem szczyrzył białe kły w tygrysim uśmiechu i gniewnie wymachiwał ogonem. Przednimi łapami trzymał tłustą papuzkę, która leżała bez ruchu.

Właśnie, gdy Dampier i Hagan wbiegli na skraj polany, wielki zielony ptak zaatakował kota: wbił pazury w jego grzbiet i wzniosł

---

\* Na mapce przedstawiającej trasę podróży Dampiera wokół Indii Wschodnich oznaczone jako Cocos. Por. mapa 2.



do ciosu zakrzywiony, mocny dziób, mierząc nim w oczy. Senior porwał się na tylne łapy, jakby chciał stanąć dęba: ptak nie puścił go, lecz kot machnięciem łapy zdołał zranić jedno z bijących go skrzydeł.

Huknął strzał. Hagan był dobrym strzelcem, ale Senior podnosząc się na tylne łapy odsłonił całą swą szeroką pierś właśnie w chwili strzału. Kula, przeznaczona dla papugi, trafiła prosto w jego serce. Wszystkie ptaki uciekły z wrzaskiem na gałęzie, prócz tego jednego z uszkodzonym przez kota skrzydłem.

— Mój biedny, głupi przyjacielu — powiedział Dampier do nieruchomego, martwego już kota. — Czemużeś nie uciekł! Lepiej porzucić zdobycz, niż życie utracić.

— Tak mi przykro — rzekł zmartwiony Hagan.

— Daj spokój. Wiem przecież, że chciałeś jak najlepiej — odparł Dampier.

Zarzucił swój miękki kapelusz na ranną papugę, ujął mocno jej łeb przez materiał jedną ręką, a drugą ostrożnie badał uszkodzone skrzydło. Po krótkim, gwałtownym oporze, papuga poddała się. Ostrożnie usuwając kapelusz, tak aby osłaniał jego rękę przed złośliwym uderzeniem mocnego dzioba, żeglarz podniósł ptaka, który rozglądał się wkoło oszołomiony.

— Przez ciebie utraciłem mego ulubieńca — powiedział Dampier. — Jeśli potrafię cię wyleczyć, to zajmiesz jego miejsce na moim ramieniu. Ciekaw jestem, czy oswoisz się w niewoli? A będziesz się nazywać Senior Drugi.

Dnia 29 marca, w pobliżu Sumatry, dostrzeżono w kierunku północnym żagiel niewielkiego statku.

— No i cóż, nie zapolowałbyś na niego, Śledziu? — pytał wesoło Reed.

— Chyba w tym wypadku nie warto łamać naszych postanowień, kapitanie — odparł Dampier. — Z pewnością nie ma wartościowego ładunku.

— Tak sądzisz? Nigdy nie jestem pewien, czy mówisz naprawdę to, co myślisz. A według mnie warto zająć się tym żagielkiem. Och, nie dla ładunku, nie! Z innych powodów, które mi wystarczają.

Oczy mu się śmiały jak psotnemu chłopcu do nowego figła. Odrzucił brodę na ramiona i rozkazał bosmanowi spuścić łódź, do której skoczył pierwszy.

Czterej Malajczycy z północno-wschodniego wybrzeża Sumatry, którzy stanowili załogę małego barku, przyglądali się w posępnym milczeniu z pokładu „Cygnet” jak po zabraniu całego ładunku orzechów kokosowych ich stateczek przedziurawiono i zatopiono.

Kapitan powrócił na rufówkę do Dampiera i czujnym okiem zerkał na Seniora Drugiego, który z jednym obwisłym skrzydłem siedział na ramieniu swego pana jak dawniej kot. Papuga nie lubiła czy też bała się Reeda i przy każdej możliwej sposobności dziobała jego nagie plecy, które już poznaczone były śladami tych złośliwych ciosów mocnego dzioba. Nieraz już Reed zamachnął się na ptaka, ale ten zawsze zdążył uskoczyć w porę, wydając przy tym wrzaski podobne do szyderczego śmiechu.

— A teraz, mój kochany nawigatorze — chichotał Reed, zacierając ręce ze złośliwą satysfakcją — jeśli ty, do spółki z twymi spiskującymi kompanami i razem z tym krwiożerczym ptakiem, wpadniesz na piękny pomysł, aby uciec na Sumatrę, możesz się spodziewać serdecznego przyjęcia. Nie przekonasz nigdy Malajczyków na Sumatrze, żeś nie brał udziału w obrabowaniu ich rodaków. — Reed wybuchnął głośnym rechotem, a papuga śledziła go nieufnie jednym okiem.

— Czemu ci tak zależy na tym, abyśmy pozostali na twoim statku? — spytał Dampier. — Nie mogę tego zrozumieć. Masz dość ludzi, którzy by nas zastąpili. Gdybym ja miał statek, nigdy bym nie trzymał na pokładzie ani jednego człowieka, który by nie

— Gdybyś ty miał statek, Śledziu? — zaśmiał się Reed. — Z ciebie nigdy nie będzie dobry kapitan. Ty w gruncie rzeczy nie dbasz o statki ani o załogi, dbasz tylko o to, by cię zawiozły tam, gdzie chcesz być.

Dampier, poruszony słuszością tej uwagi, nie znalazł odpowiedzi. A kapitan z niespodziewanie przyjaznym odruchem trzepnął go po plecach i zręcznie odskoczył, zanim Senior Drugi zdołał wyciągnąć dziób.

— Ale wiesz, że może rzeczywiście lepiej bym sobie radził bez niechętnych pomocników, nie mówiąc już o tej twojej wścieklej

papudze. Powiem ci coś, Śledziu. Na najbliższej małej wysepce, do której zawiniemy, będziesz mógł zostać, jeżeli zechcesz. Ty, Hall i Hagan — pod warunkiem, że zabierzecie ze sobą tego zielonego czorta. Ale nie Coppinger. Nie mogę stracić jedyne go medyka, jaki jest na statku.

— Dlaczego na małej wysepce? — zapytał Dampier.

— Abyś się nie wydostał stamtąd za wcześniej, jeżeli w ogóle się wydostaniesz. Nie mam zamiaru narażania się na ryzyko spotkania paru dobrze uzbrojonych angielskich czy holenderskich okrętów, które byś wysłał w ślad za nami.

Gdy mijali wyspy w pobliżu portu Aczin\*, dziś zwanego Kutaradja, dowiedzieli się od malajskich jeńców, że jest tutaj angielska faktoria. Dampier bardzo pragnął wysiąść, ale musiał jeszcze uzbroić się w cierpliwość. W wolnych chwilach uczył Seniora Drugiego, a błady uśmiech rozjaśniał jego posępną twarz, gdy ptak zaczął wreszcie powtarzać niektóre wyrazy.

Dnia 5 maja 1688 roku statek zawinął do małej zatoki na północno-zachodnim krańcu wyspy, leżącej w grupie wysp zwanych dzisiaj Nikobarami. Mieli tylko zaopatrzyć się w świeżą wodę i pożeglować dalej, gdyż kapitan chciał korzystać z przychylnego wiatru, by opłynąć przylądek Komoryn. Poziom cywilizacji tubylców był bardzo niski, ale pożywienie ich składało się z orzechów kokosowych, ryb i drobiu.

— Jeśli nas w ogóle chce wypuścić, to czemu nie tu? — mówił Dampier w swojej kajucie. — Statki tu rzadko kiedy zawijają. Reed będzie myślał, że nigdy stąd nie potrafimy się wydostać.

— No, a czy naprawdę potrafimy się wydostać? — pytał Hagan. — Bo ja chciałbym jeszcze zobaczyć Irlandię przed śmiercią.

— Innej sposobności możemy już nie mieć — wtrącił Hall. — Raz kozie śmierć! Za sto lat i tak wszyscy będziemy łysi.

— Najpierw ty spróbuj — rzekł przezornie Hagan do Dampiera. — Jeśli kapitan ciebie puści, to i my, pójdziemy.

— Nie zapominajcie, że ja idę z wami — dorzucił Coppinger.

Tamci trzej pokiwali z powątpiewaniem głowami, ale nic nie odrzekli.

---

\* Na mapce przedstawiającej trasę podróży Dampiera wokół Indii Wschodnich oznaczony jako Achin. Por. mapa 2.

Dampier bez zwłoki poszedł do kapitana, który nie robił trudności. Zgodził się, by Dampier pozostał na wyspie, trzepnął go serdecznie w plecy i rzekł z uśmiechem:

— Jeżeli za jakieś dziesięć lat wypadnie mi tędy przepływać, to zabiorę ciebie, Śledziu. Będziesz miał wtedy cały harem żon i tuziny jasnobrunatnych bękartów... trzymaj dziób przy sobie, draniu jeden! — To ostatnie zdanie odnosiło się do Seniora Drugiego.

Pośpiesznie, aby Reed nie zdążył rozmyślić się, Dampier zebrał swoje manatki i pobiegł do łodzi. Nie zatrzymał się nawet, by pożegnać się z towarzyszami, z którymi dzielił przecież tyle niebezpieczeństw i trudów. Wysadzono go razem z papugą na piaszczystym wybrzeżu zatoki, gdzie widniały dwie chaty na palach, obie nie zamieszkałe. Do jednej z nich wniósł swój kuferek marynarski i inne rzeczy, podczas gdy Senior Drugi bezskutecznie próbował wlecieć na drzewo.

Krajowcy wyszli z zarośli i patrzyli tępo na białego człowieka. Nie zdradzali wrogich zamiarów. Wzrostu byli słusznego, budowy prawidłowej, rysów twarzy dość regularnych. Kobiety nie miały brwi, gdyż zgodnie z tamtejszą modą wyrzywały je sobie zupełnie. Mężczyźni nosili jedynie przepaskę na biodrach, a kobiety krótkie spódniczki. Kilku krajowców zawróciło do lasu i wkrótce przynieśli duży, żółtawy placek, kształtem przypominający bochen chleba, wraz z glinianym naczyniem zawierającym mocne piwo domowego wyrobu. Położyli dary u stóp drabiny przed chatą, do której Dampier wniósł swoje rzeczy. Aby ich nie zrażać, żeglarz ugryzł kawałek placka, który mu smakował, choć nie wiedział, z czego jest zrobiony; a następnie popił piwa. Senior dzielił z nim posiłek; tylko jak łyknął piwa, to aż się zakrztusił i otworzywszy dziób począł dyszeć, gdyż trunek podrażnił mu gardło.

Po skończonym posiłku, Dampier spostrzegł, że ze statku spuszczone znowu łódź, która płynęła do brzegu. Przypuszczał, że Hagan i Hall zdołali także przekonać kapitana, ale z łodzi wysiadł Teat, a za nim Damerel, Andrew — zausznik kapitana i jeszcze paru uzbrojonych ludzi.

— Reed zmienił zdanie — oznajmił zwięźle Teat. — Opór na nic się nie zda.

— Nie było potrzeby wysyłania całego zbrojnego oddziału —

rzekł ze złością Dampier. — Wróciłbym, gdybyście choć jednego Malajczyka po mnie przysłali.

Teat zaśmiał się złośliwie.

— A co, już masz dość nowych przyjaciół? — zapytał, pogardliwym gestem wskazując zarośla, do których krajowcy wycofali się z powrotem na widok łodzi.

— Nie. Ale gdybym się przed wami ukrył, z pewnością napadlibyście na krajowców, a wtedy moje życie nie warte by było złamanego szeląga.

Damerel zamachnął się podstępnie swym niesamowitym hakiem na Seniora Drugiego. Ptak wrzasnął, zatrzepotał skrzydłami i wskoczył na głowę swego pana. Andrew wycelował doń z pistoletu.

— Nie bądź durniem! Nie mamy rozkazu zabijać Śledzia! — warknął Teat wytracając pistolet z ręki Andrewa.

— Kapitan zapowiedział, żeby tego zielonego diabła nie sprowadzać z powrotem na statek! — krzyknął Andrew.

Skrzydła Seniora Drugiego wciąż jeszcze trzepotały szeroko rozpostarte, a z gardła jego dobywały się ochryple, gniewne wrzaski.

— A wiec o to chodziło — pokiwał głową Dampier. — Jeśli kapitan chce mieć mnie z powrotem, musi i ptaka przyjąć. A jak ty mi zbyt blisko nosa przejedziesz tym swoim hakiem, Damerel, to ci drugą rękę utnę!

Mrucząc coś pod nosem Damerel i Andrew zabrali rzeczy Dampiera. Na pokładzie „Cygnet” wrzała hałaśliwa kłótnia. Hagan, Hall i Coppinger nalegali gwałtownie, że chcą również zostać na wyspie. Dlatego właśnie Reed odwołał Dampiera.

— Ani on nie zostanie, ani wy, zawszone rzezańce! — ryczał Reed, gdy Dampier wszedł z powrotem na pokład. Cała załoga przysłuchiwała się awanturze. Ujrawszy Dampiera kapitan ryknął na niego: — Przez ciebie to wszystko! Idź pod pokład, ty zdechła rybo! Co, ten przeklęty ptak znowu tutaj?

Dampier zszedł pod pokład, ale odgadując, że Reed jeszcze nie powiedział ostatniego słowa, zaczął zbierać różne użyteczne przedmioty, które poprzednio zapomniał zabrać: kompas i własnoręcznie sporządzoną kopię okrętowej mapy Indii Wschodnich z zaznaczonymi mieliznami i prądami wokół wybrzeży Mallaki,

Sumatry i Syjamu. Niewiele czasu zmitrężył, a już do kajuty wszedł Daniel Wallis z oznajmieniem, że kapitan zgodził się raz jeszcze wysadzić go na ląd razem z Haganem i Hallem, ale bez Coppingera. Dampier miał poważne podejrzenia, że chęć pozbycia się znieawidzonego ptaka odegrała w tej powtórnej zmianie decyzji kapitana niemałą rolę.

Tak więc Dampier znowu pojawił się na pokładzie, akurat w porę, by usłyszeć jak lekarz krzyczał:

— Nie zatrzymasz mnie, ty zbroju, mam dość tego przeklętego statku!

Skoczył do łodzi i chwycił muszkiet Dampiera.

— Niech mnie który spróbuje zatrzymać! Strzelam...

Ale nim skończył, dwie mocne dłonie chwyciły go za szyję i zdławiły jego słowa. Teat skoczył do łodzi prawie równocześnie z nim i mocowali się teraz obydwoj. Z pomocą przybył Morgan i wyrwawszy muszkiet z rąk lekarza, zaciągnęli go, przeklinającego i wrywającego się, z powrotem na pokład, a potem na dół do kajuty.

Gdy Dampier, Hagan i Hall zsuwali się po linie do łodzi, kapitan Reed na rufówce odwrócił się ostentacyjnie. Daniel Wallis, który siedział w łodzi przy wiosłach, przysłużył się swym towarzyszom ukradłszy dla nich siekiere, gdyż wiedział, że to najcenniejszy przedmiot do wymiany z krajowcami. Gdy łódź już odpływała od statku, Senior Drugi czepiając się ramienia Dampiera machnął zdrowym skrzydłem i po raz pierwszy wyraźnie wykrzyknął wyrazy, których jego pan nieraz go uczył w zaciszu swojej kajuty:

— Bij, morduj! Banda zawszonych rzezańców! Na pożarcie rybom!

Reed spurpurowiał ze złości. Skoczył w stronę łodzi i wypalił z pistoletu. Ale kula plusnęła nieszkodliwie w wodę, a Senior odpowiedział radosnym rechotem i nowymi przekleństwami. Łódź oddalała się szybko.

Trzej mężczyźni weszli do chaty na palach, zapalili świecę, bo już zapadł zmrok i zabrali się do zawieszania hamaków. Zanim skończyli, łódź przybiła znowu do brzegu tym razem przywożąc Portugalczyka, którego przed kilku miesiącami Reed porwał

z dżonki w pobliżu Condor i czterech Malajczyków, zabranych z małego barku koło Aczin.

— Kapitan powiedział, że nie potrzebuje więcej moich usług jako tłumacza — objaśnił Portugalczyk po hiszpańsku, widocznie zły. — A Malajczycy byli mu zawsze tylko zawadą na statku.

Nowych przybyszów powitano chętnie, gdyż razem stanowili już dość liczną grupę, by obronić się przed krajowcami, gdyby ci zdradzali wrogie zamiary. Co prawda Dampier był pewien, że potrafi utrzymać z krajowcami stosunki przyjacielskie. Tego wieczoru, nim ostatecznie położył się na spoczynek, zanotował w swoim dzienniku, że jego zdaniem nigdzie na świecie nie ma plemion tak barbarzyńskich, iżby zabijały przybyszów, którzy chcą się wśród nich osiedlić — chyba że poprzednio nadużyto ich gościnności i popełniono na nich jakiś gwałt. Z satysfakcją też podkreślił, że mają teraz dość ludzi, by puścić się łodzią do oddalonej o sto dwadzieścia mil Sumatry. Śmiały był to projekt.

»Była to piękna, księżycowa noc, pierwsza, którą spędziliśmy na łądzie. Wyszliśmy więc z chaty, by śledzić, kiedy statek odepdzie nareszcie, nie byliśmy bowiem pewni naszej nowo zdobytej wolności, dopóki tamci nie odpłyną. Około północy dostrzegłem, że statek rozwinął żagle, więc powróciliśmy do naszych legowisk i wreszcie spać.«

Ciekaw jestem, wielu z nas, znalazłszy się na nieznaney wyspie pośrodku oceanu, bez konkretnej możliwości przebycia setek mil dzielących od najbliższego lądu, w otoczeniu krajowców, których przyjaźń była dość wątpliwa, wśród dżungli pełnej groźnych zwierząt i gadów, zasiadłoby spokojnie na podłodze w chacie na palach, by przy świetle łojówki zanotować wspomnienia dnia, a potem w hamaku ułożyć się do snu w towarzystwie papugi, uczepionej poprzecznego drąga. Ale dla zahartowanego wśród przygód bukaniera był to przyjemny odpoczynek w bezpiecznym schronieniu.

## Rozdział XXII

### W ZAWODY ZE ŚMIERCIA

— Znosi nas silny prąd wsteczny — powiedział Dampier. — Czuję go pod sterem.

— A ja go nawet słyszę — dorzucił Hagan. — Słysząc go chyba o pół mili stąd.

— Chodzi o to, dokąd nas ten prąd zniesie? — zapytał Robert Hall. Ale nikt mu nie odpowiedział.

Twarz Dampiera sposepniała jeszcze więcej niż zazwyczaj. Było już prawie ciemno. Ani Portugalczyk, ani czterej Malajczycy z Aczin, którzy byli z nimi w łodzi, nie mogli dostrzec wyrazu twarzy trzech Anglików ani zrozumieć ich rozmowy.

Od godziny czwartej po południu mieli przychylny wiatr i posługiwali się swoim prymitywnym, pojedynczym żaglem na dwóch poprzecznych rejach. Łódź dostali od krajowców na Nikobarach w zamian za ową ukradzioną siekiere, którą im Daniel Wallis wręczył na pożegnanie. Ster, o którym wspominał Dampier, był zwyczajnym kawałkiem wiosła przymocowanym u rufy. Z obu stron łodzi rozciągały się nad powierzchnią wody szerokie platformy sporządzone z belek mocno powiązanych powróżkami. Platformy te miały zapewnić większą stateczność łodzi, której burty wznosiły się nie więcej, jak na trzy cale ponad wodę. Czterej Malajczycy sporządzili owe platformy, gdy stateczek podczas próby na morzu przewrócił się przy pierwszej większej fali.

— Wiatr ustał — powiedział Hagan patrząc na bezwładnie opadający żagiel. — Zabierzmy się znowu do wiosła.

Hall, Portugalczyk i dwóch Malajczyków wyjęli spod pokładu krótkie wiosła i usiedli na bambusowych kijach ułożonych na poprzek łodzi tak ściśle, iż tworzyły jakby pokład. Nie były one jednak przymocowane, więc wiosłarze mogli wyjąć kilka, aby zrobić miejsce dla swych nóg, gdy siadali. Kiedy wiatr ustawał, ośmiu mężczyzn zabierało się do wiosłowania, po czterech na zmianę. Hagan usiadł przy sterze utrzymując kurs południowo-południowo-wschodni według kompasu Dampiera. W ciągu następnej godziny, zanim znowu wstał wiatr, Dampier był pozostawiony swoim myślom.



Na końcu swego miękkiego pasa jedwabnego zawiązał węzełek, który miał mu przypomnieć, aby w stosownej chwili zapisał w dzienniku parę szczegółów o obyczajach mieszkańców Nikobarów. Uciekinierzy ze statku bukanierów opuścili wyspę poprzedniego dnia po południu, porywając się na hazardową próbę dopłynięcia do Sumatry oddalonej o sto dwadzieścia mil morskich. Dampiera zaciekały zwłaszcza domy krajowców, budowane na palach, o kunsztownie sporządzonych sklepieniach z belek, nie grubszych od ramienia mężczyzny, wyginanych na kształt półksiężyca. Dowiedział się też dokładnie, co to był za żółtawy placek, którym go poczęstowano, gdy pierwszy raz wysiadł na brzeg ze swoim żeglarskim kuferkiem. Okazało się, że były to obrane ze skóry i ugotowane owoce drzewa chlebowego — podstawa pożywienia mieszkańców wysp, którzy nie uprawiali ziemniaków ani też bananów czy ryżu. Hodowali natomiast drób i świny oraz łowili ryby.

— Jeśli ten prąd zniesie nas jeszcze dalej z kursu, to zabraknie nam naszego fałszowanego chleba — odezwał się nagle Hagan, jakby czytał w myślach Dampiera.

Obliczyli, że przy przychylnym wietrze podróż na Sumatrę nie będzie trwała dłużej, jak dwa dni i dwie noce.

— Zjedliśmy już więcej niż pół naszego zapasu chlebowca — przytaknęła pośpiesnie Dampier.

— Powinniśmy byli wziąć więcej.

— Mieliśmy do wyboru: albo wziąć więcej żywności, albo zachować nasze kufarki żeglarskie — przypomniał mu Dampier.

Hagan wzruszył ramionami. Senior Drugi, uczepony wierzchołka masztu pozbawionego w tej chwili żagla, wyjął łeb spod skrzydła, zaskrzeczał sennie i z powrotem wetknąwszy dziób pod skrzydło — zasnął.

O godzinie dziesiątej wieczorem Robert Hall przestał wiosłować.

— Wiatr nadchodzi — rzekł. — Trzeba z tego skorzystać.

Podnieśli żagiel, po czym puścili w obieg między czterech wiosłujących orzechy kokosowe, wydrążone we środku, ale o skorupie całej, z jednym tylko małym otworem. W tak sporządzonych naczyniach zabrali ze sobą na łódź wodę do picia.

Z wiatrem łódź posuwała się żwawo i otucha wstąpiła we wszystkie serca.

— Powinniśmy dopłynąć do Sumatry nad ranem — powiedział po hiszpańsku Portugalczyk.

— Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać — odparł Hall, a Hagan energicznym ruchem zabrał Portugalczykowi orzech kokosowy, z którego popijał już zbyt długo.

— Ech, nie takich ja rzeczy dokonałem — odrzekł chełpliwie Portugalczyk.

— Kot, który głośno miauczy, myszy nie łowi — burknął Hall po angielsku. Chełpliwość Portugalczyka dogryzała mu już do żywego.

Z pierwszym brzaskiem wszyscy wypatrywali oczy. Nigdzie upragnione zarysy lądu nie przerywały zatrważającej monotonii łagodnych fal, między którymi mały stateczek zataczał się jak płynąca po wodzie mewa.

— Według moich kalkulacji przepłynęliśmy siedemdziesiąt dwie mile — rzekł Dampier. — Nie możemy się więc jeszcze spodziewać...

— Na świętego Patryka. Na wszystkich świętych irlandzkich! — wybuchnął Hagan. Patrzył wstecz, w stronę, skąd wyruszyli. Hall obejrzał się również i wykrzyknął:

— Toż to jeszcze Nikobary.

— I nie dalej jak dwadzieścia mil — dorzucił Hagan.

Patrzyli na siebie w konsternacji. Malajczycy i Portugalczyk również zorientowali się od razu w sytuacji. Nikobary były jeszcze widoczne, jak na dłoni, na północny zachód od nich.

— Musiałeś źle sterować — wystąpił z oskarżeniem Portugalczyk.

— Kurs jest w porządku. Nie odpłynęliśmy dość daleko, to wszystko — odparł Hagan.

— Silny prąd nas znosi — wyjaśnił Dampier żałując teraz, że nie podzielił się z towarzyszami swymi obawami z poprzedniego wieczoru.

— Nie rozumiesz się na żeglowaniu, ot co! — złościł się Portugalczyk.

Senior Drugi obudził się, zamrugał ślepiami, nastroszył pióra, rozpostarł skrzydła i usadowiwszy się na ramieniu Dampiera wrzasnął na powitanie:

— Rybom na pożarcie!

— Chciałbym wiedzieć, co ten ptak mówi — rzekł Portugalczyk, podejrzliwie przypatrując się Seniorowi Drugiemu, który podniósł łapę i dziobem czyścił sobie pazury.

— Całe szczęście, że nie wiesz — burknął Hall po angielsku. — Jeszcze byś wymiarkował, że ptak mówi to, co my sobie myślimy.

Obrażony Portugalczyk odwrócił się do Malajczyków i zaczął z nimi rozmawiać językiem, którego Anglicy nie rozumieli. Ale i Malajczycy nie chcieli mu odpowiadać.

Wiatr wiał coraz ostrzejszy i łódź pędziła po morzu niespokojnym, ale jeszcze nie zagrażającym żadnym niebezpieczeństwem. Malajczycy skupili się razem i siedzieli cicho, pocieszając się nadzieją, że z tym wiatrem prędko wypłyną z zasięgu zdradzieckiego prądu. Czterej biali też prawie nie rozmawiali. Portugalczyk był obrażony, Anglicy niespokojni. W południe Dampier rzekł do Halla:

— Powinniśmy zrobić obserwację słońca i ustalić nasze położenie.

Wydobył astrolabium. W jakiś czas później Hall oznajmił:

— Siedem stopni szerokości północnej.

— Według mnie sześć stopni pięćdziesiąt pięć minut, ale to niewielka różnica — odrzekł Dampier.

— Pozostać na kursie? — pytał Hagan od steru.

— Jak dotychczas: południowo-południowo-wschodni — potwierdził Dampier.

Dwa dni już płynęli tym statkiem sporządzonym z jednego wydrążonego pnia drzewa i tak lekkim, że czterech ludzi mogło go z łatwością unieść. Wiatr ustał znowu i trzeba było zabrać się do wiosł. Przeszedłszy od wiosł prosto do steru Dampier był tak znużony, iż z trudem powstrzymywał się, aby nie usnąć. Noc minęła na wiosłowaniu, nad ranem wstał wiatr. Hall pod wpływem zmęczenia był coraz złośliwszy, nawet zawsze wesoły Hagan zrobił się drażliwy, a Dampier jeszcze bardziej milczący niż za-

zwyczaj. W południe chmury zakryły niebo tak, iż nie było można ustalić położenia. Gdy w pół godziny później słońce wyjrzało znowu, Hagan rzekł:

— Gdybym nie był tak diabelnie zmęczony, zacząłbym się modlić o cud. — Mrużył oczy i przyglądał się uparcie słońcu.

— Oszczędź sobie sił na wiosłowanie, z tego będzie więcej poaciechy — burknął Hall.

— Ten krąg wokół słońca nie wróży nic dobrego — powiedział Dampier po hiszpańsku.

— Głupie przesady żeglarskie — Ozwał się z szyderstwem Portugalczyk.

— To są obserwacje oparte na wielu doświadczeniach — odrzekł Dampier. — Ten krąg wokół słońca oznacza burzę, wichurę i gwałtowny deszcz.

— A ja wam mówię, że to wszystko głupstwo i nic nie oznacza — upierał się Portugalczyk.

— Dajcie mu ten pusty orzech kokosowy, może się udławi — warknął Hall.

— Przeciwny wiatr gotów nas znieść z kursu nie wiadomo gdzie — jęknął Hagan i wyciągnąwszy swój różaniec zapatrzył się przekrwionymi oczyma w nieskończoną przestrzeń modrych wód, u której krańca, wciąż niewidoczny, leżał skrawek lądu, skupiający wszystkie ich nadzieje.

Małajczykom oszczędzone były najgorsze niepokoje dzięki ich wzruszającej wierze w mądrość białych ludzi. Portugalczyk bez przerwy szydził z umiejętności żeglarskich byłych bukanierów, aczkolwiek sam wcale się nie kwapił z jakąkolwiek pomocą, prócz tego tylko, że wiosłował, gdy na niego przyszła kolej.

Wiatr wiał z minuty na minutę coraz silniejszy skracając ku południowi.

— Trzeba skrócić żagiel — rzeki Dampier.

Małajczycy zwinęli żagiel od dołu do wysokości trzech stóp ponad burtą łodzi.

— To tylko strata czasu i sił całkiem daremna — rzekł Hall. — Jeśli wiatr będzie wiał z burty, przewróci nas i tyle. Nasza platforma albo się połamie, albo pójdzie pod wodę tak, iż pociągnie łódź za sobą. Lepiej w ogóle spuścić żagiel i wiosłować.

— Musimy zaryzykować, by zyskać na czasie — oponował Dampier. — Niechaj wszyscy usiądą na platformie nawietrznej.

Tak też uczynili, równoważąc przechylenie spowodowane bocznym wiatrem. Wkrótce wszyscy byli przemoczeni do nitki, gdyż wiatr wiał porywisty, a kiedy na chwilę ustawał, platforma zanurzała się pod wodę.

Hagan przestał pomrukiwać modlitwy i schowawszy różaniec do kieszeni rzekł:

— Nie mogę zrozumieć, co wy chcecie zrobić. Udowodnić, że moje modlitwy na nic się nie przydadzą?

— Zdrowy rozsądek nie przekona takich durni jak ty. Ciebie można przekonać tylko utopiwszy — burczał Hall.

— Boję się, że dłużej nie damy tak rady — przyznał Dampier z rozpaczą w sercu. — Musimy płynąć z wiatrem.

W chwilę później, zdjawszy żagiel, pędzili na północny wschód, bezradni wobec południowo-zachodniego sztormu — takiego, jaki współcześni żeglarze określają nazwą „sumatry”. Wichura potężniała. Wzburzone morze groziło w każdej minucie zatopieniem wątego stateczku. Fale załamywały się na plecach sternika i zalewały wnętrze łodzi. Jeden z Malajczyków pochwycił nagle kokosowy orzech z wodą i zaczął pić. Biali nic nie mówili, ale spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Pragnienie przezwyciężyło skrupuły. Dotychczas Malajczycy, jako muzułmanie, nie chcieli pić z tych samych naczyń co niewierni. Trzej pozostali poszli za przykładem swego rodaka, a później pustymi skorupami od orzechów zaczęli wyczerpywać wodę z łodzi.

— Całe szczęście, żeśmy zmienili kurs — westchnął Hagan. — Gdyby którakolwiek z tych fal uderzyła z burty, zatopiłaby nas na pewno.

Słońce zniżało się do horyzontu. Czarne chmury gnały po niebie, wichura się wzmagala, fale pędziły coraz wyższe, łódź zsuwała się w dół i wlatywała w górę w oszałamiających zawrotach.

Portugalczyk zaprzestał swych chełpliwych szyderstw. Rzucił się na dno łodzi przy dziobie i zakrył głowę rękoma.

— Macie bohatera! — pokpiwał Hall.

— Wszystkie nasze dotychczasowe niebezpieczeństwa były

fraszką w porównaniu z tym, co się teraz dzieje — przyznał Dampier. — Już bym wolał bitwę niż to siedzenie z założonymi rękoma.

Hagan znowu zabrał się do różańca.

— Nadal próbujesz władać wichrem i falami? — szydził Hall.

— Możesz iść do piekła na swój własny sposób — odgryzł się Hagan. — Przestałem się tobą przejmować. Myślę o tym, co będzie ze mną, gdy utonę.

Zamilkli wszyscy, każdy pogrążony we własnych myślach i wpatrzony w szalejące morze. Łódź to wspinała się na szczyty gór wodnych, to znów ześlizgiwała w dół, nabierając wody, gdy wpadała w dolinę między falami, a olbrzymia zielona ściana wznosiła się nad nimi groźnie przez chwilę. Tylko Malajczycy niewzruszenie i systematycznie wyczerpywali wodę. Było zupełnie ciemno. Dampierowi, którego wyobraźnię pobudzało podniecenie, jakie ogarnia przy krańcowym zmęczeniu, wydawało się, że już chyba potonęli i są w jakimś niesamowitym świecie przejściowym, między życiem a śmiercią.

Przesuwały mu się przed oczyma sceny z całej jego włóczęgi po oceanach i łądach. Myślał o tym bukanierskim trybie życia, przeciw któremu nieraz się buntował, ale którego jednak nie porzucał. Jego pirackie wyczyny wydawały mu się teraz wstrętne i niewybaczalne według ludzkich pojęć — a cóż dopiero, jeśli je osądzać będzie doskonale bóstwo? Wspomniał Judytę. Zawsze był zdania, iż ofiarowawszy jej swoje nazwisko, uczynił dość. Teraz opadły go wątpliwości. Może ona i jej dziecko potrzebowały czegoś więcej? Czy to nie było tchórzostwem z jego strony, gdy uciekł i pozostawił ich na pastwę losu? Skrzywdził nawet Grace. Z jego winy jej życie pozostało puste i jałowe. Ale dlaczego był tego pewien? Może wyparła się jego pamięci, wyszła za mąż, została matką? Dotknął palcami medalionu i odrzucił tę myśl. Nie chciał też myśleć o tym, że i on przecież nie wytrwał w celibacie. Może na jego dobro trzeba zapisać, iż w owej chwili rozrachunku z własnym życiem nie wspominał swoich dobrych uczynków, swej dobroci i hojności, o której nie zapomnieli jego przyjaciele.

Jaskrawe światło błyskawicy rozdarło ciemne chmury, które kłębiły się nisko nad ich głowami. Głuchy grzmot zawtórował

rykowi burzy. Ciężkie krople deszczu zaczęły padać, a w chwilę później lunął deszcz tak ulewny, jakby się otwarły wszystkie upusty niebieskie.

— Chwała Bogu i za to — odezwał się Hagan.

— To jest irlandzkie pojęcie miłosierdzia boskiego — odciął Hall.

Ale Portugalczyk i Malajczycy odżyli pod wpływem deszczu. Portugalczyk usiadł i chwytając strugi słodkiej wody w swój kapelusz pił później chciwie. Malajczycy rozciągnęli kawałki płótna i tym sposobem chwyтали kojący pragnienie deszcz. Orzechy kokosowe były już od dawna puste, zjedzono również placki z owoców chlebowca.

Ale wraz z błyskawicami, grzmotem, i deszczem wichur wiał coraz gwałtowniejszy. Oprócz sternika ludzie w łodzi nie mogli walczyć z burzą inaczej, jak tylko wyczerpując zalewającą ich wodę. Wreszcie wiatr począł nieco ustawać, ogromne fale złagodniały. Dampierowi po długich próbach udało się skrzesać ognia i zapalić świeczkę. Hall osłaniał wątry płomyk rozpostartym płótnem. Dwie głowy pochylały się nad kompasem.

— Wciąż nas gna wprost na wschód.

— Postawmy żagiel — rzekł Dampier.

Zręcznie i szybko Malajczycy podnieśli reje i rozwinęli kwadratowe płótno.

— Spróbuj wziąć znowu kurs południowo-południowo-wschodni — rzekł Dampier do Hagana, który siedział przy sterze.

Hagan nagle roześmiał się ku zdumieniu wszystkich.

— Doprawdy ci Irlandczycy mają wściekle poczucie humoru — burknął Hall.

— Popatrzcie na tego przekłętego ptaka — śmiał się Hagan.

Dampier zapomniał o Seniorze Drugim, który wyłaził teraz, wlokąc uszkodzone skrzydło, spod bambusów ułożonych na łodzi. Ociekał cały wodą i trząsał się z zimna. Kilka razy machnął łebkiem z góry na dół wydając dziwaczny odgłos będący prawdopodobnie kichnięciem. Nawet Portugalczyk parsknął śmiechem na jego widok. Senior Drugi wdrapał się na ramię Dampiera, żałosna i śmieszna figura. Otrząsnął się jeszcze raz, rozpostarł skrzydła i zachrypiał:

— Zawszona banda kapłonów!

Malajczycy szeptali między sobą i powiedzieli coś Portugalczykowi, który podniósł skorupę orzecha i cisnął nią w ptaka.

— Malajczycy słusznie powiadają — rzekł Portugalczyk po hiszpańsku — że ten ptak jest złym duchem naszej wyprawy, na którą nigdy nie powinniśmy byli się puszczać.

— A któż to teraz pochwała przesady? — pytał szyderczo Hall.

Dampier pochwycił ręką orzech i odrzucił go do morza. Senior Drugi zaskrzeczał gniewnie:

— Bij, morduj! Zabij!

— Duch czy nie duch — powiedział Hagan do Portugalczyka — widać wyraźnie, że ciebie nie lubi. Więc lepiej siedź cicho.

Portugalczyk położył się znowu na dnie łodzi przy dziobie i zaczął odmawiać różaniec. Malajczycy ostentacyjnie odwrócili się plecami do Seniora Drugiego.

Łódź zwróciła się dosyć posłusznie za sterem i żeglowali teraz znowu kursem na Sumatrę. Biali ludzie i brązowskórzy, wszyscy zamilkli, z trwogą i nadzieją wpatrując się w żagiel. Nadzieje ich wszakże ponownie się rozwiały. Nad ranem zaczęło znowu lać, błyskawice oświetlały coraz burzliwsze morze, zahuczały grzmoty. Senior Drugi zeskoczył z ramienia Dampiera i wlaźł z powrotem pod bambusowe kije.

— Musimy spuścić żagiel — rzekł Hagan z rozpaczą w głosie. Malajczycy skoczyli mu pomagać, odgadłszy jego zamiar.

Dampier przy sterze wykręcił ociągając się łódź, by szła z wiatrem. Nie mieli żywności ani wody, oprócz deszczowej. Za każdym razem, kiedy znosiło ich z kursu, zmniejszały się szanse dopłynięcia do Sumatry, zanim nie umrą z głodu i pragnienia. Dampier wstrząsnął się z zimna. Woda morska, rozbijająca się w pianę o jego plecy, grzała, ale deszcz przenikał chłodem.

Był to czwarty dzień od wypłynięcia z Nikobarów. Wszyscy byli wyczerpani i głodni. Noc zdawała się trwać bez końca. Rozgorączkowanej wyobraźni Dampiera wydawało się, że jak poprzedniej nocy płynęli nie oddalając się od Nikobarów, tak tej nocy płyną w przestrzeń czasu nie zbliżając się do brzasku dnia. Stało mu się już obojętne, czy dopłynie kiedykolwiek do lądu. Równie obojętne oczekiwał każdej chwili przewrócenia się łodzi



lub zatopienia jej wbrew nieustannym bohaterskim wysiłkom Malajczyków wyczerpujących wodę.

Nadejście świtu opóźniła istotnie nieprzebita ciemność gęstych chmur nad ich głowami. Wreszcie rozwidniło się nieco i za rzedającymi chmurami dostrzegli zarysy słońca, które już podniosło się w górę o trzydzieści do czterdziestu stopni.

— Jeśli nie zobaczymy łądu prędko, będzie koniec z nami — wyrzekł Hall ochryłym głosem.

Hagan i Portugalczyk leżeli bez przytomności na dnie na wpół zalanej łodzi.

Silny wiatr znosił ich wciąż na wschód i nie pozwalał na powrót na właściwy kurs. Ale deszcz ustał i z wolna poprawiała się widzialność.

O ósmej godzinie następnego ranka jeden z Malajczyków, śledząc horyzont oczyma przysłoniętymi dłonią, jak daszkiem, wydał nagle chrapliwy okrzyk. Jego współplemieńcy jęli z uniesieniem wskazywać palcami jeden punkt na horyzoncie. Rozgorączkowani, na wpół przytomni Dampier i Hall dostrzegli wreszcie przekrwionymi oczyma zarysy łądu. Był od nich oddalony jeszcze o wiele, wiele mil na południe. Hall podpełznął do Portugalczyka i obrócił go twarzą do góry. Jego rysy były ściągnięte i bełkotał wciąż nieprzytomnie. Hall uderzył go z całych sił dłonią w twarz. Portugalczyk oprzytomniał na chwilę i usiadł. Malajczycy wymachiwali rękoma i chrypieli jakiegoś niezrozumiałe słowa.

— Mówią, że to Sumatra — wykrztusił Portugalczyk i opadł znowu twarzą na deski.

— Czy lepiej umierać za dnia, widząc łąd, czy w nocy, na ślepo? — zapytał Hall.

Dampier nie zwracał na niego uwagi. Gestami pokazywał Malajczykom, iżby znowu postawili żagiel. Wiatr jeszcze był silny, ale morze spokojniejsze. Udało mu się zawrócić łódź i wziąć kurs na południe z półwiatrem. Stateczek przechylił się niebezpiecznie, lecz nikt już nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie dbali nawet o to, czy platformy się utrzymają. Pędzić w stronę łądu — to była jedyna słaba szansa ocalenia. Płynąć dalej z wiatrem oznaczało oddalać się od Sumatry i zmierzać prosto w objęcia pewnej śmierci. Od wybrzeży malajskich dzieliło ich czterysta mil oceanu.

Nie mieli sił, aby mówić. Hagan i Portugalczyk umierali już zapewne, ale tamci nawet o to nie dbali, tak uporczywie trzymali się własnego życia, a właściwie jego iskierki ledwie tłącej. Piekącymi, obolałymi oczyma wpatrywali się w horyzont, aż koło południa mogli dostrzec dalsze jeszcze zarysy łądu. Malajczycy wypatrzyli najwidoczniej górę. Była to owa Złota Góra, gdzie wykopywano cenny kruszec.

Wciąż jeszcze groziło im niebezpieczeństwo, że silniejszy wiatr zmusi ich do zmiany kursu. Ale nawet i tak dopłynięcie do łądu mogło być ponad ich siły. Nie chodziło już teraz o żadną umiejętność żeglarską, tylko o wytrzymałość. Deszcz ustał i Senior Drugi wlaźł znowu na ramię Dampiera obolałe od długotrwałych zmagania z prymitywnie sporządzonym sterem. Ptak rozpostarł zmokłe skrzydła i trzepał nimi na wietrze, by się osuszyć. Portugalczyk, który dostrzegł go jakby przez skórę, gdyż leżał przecież na twarzy i nie mógł widzieć ptaka, usiadł nagle i wykrzyknął po hiszpańsku:

— Jeśli ten przeklęty ptak zacznie znowu krzyczeć...

Senior Drugi otworzył dziób w ziewnięciu tak ogromnym, jakby się miał rozedrzeć, złożył skrzydła i zamknął oczy. Nie wydał żadnego dźwięku. Portugalczyk, nie dokończywszy groźby, opadł na dno łodzi.

Czekały ich jeszcze okropne chwile. Około siódmej wieczorem, gdy już widzieli wyraźnie północne wybrzeże Sumatry i parę godzin żeglowania doprowadziłoby ich do celu, wiatr ustał zupełnie.

Malajczycy od razu wydobyli wiosła. Ale choć wiosłowali z uporem, siły ich też były na wyczerpaniu. Tylko resztkami instynktu, bezmyślnie, automatycznie, wykonywali wciąż rytmiczne poruszenia. Hall popatrzał na dwie postacie nieruchomo leżące na dnie łodzi. On sam zaledwie mógł mówić, twarz jego była purpurowa od gorączki i obrzmiała. Powiedział jednak ochrypłym szeptem do Dampiera, który był w nie lepszym stanie od niego:

— Jak zastąpimy Malajczyków przy wiosłach?

Hagan poruszył się i podniósł zataczając się. Hall i Dampier odzyskując jakimś cudem siły, skoczyli obaj do niego i ułożyli go z powrotem. Senior Drugi przeleciał na burtę, pytając spoglądając na wodę, tak niebezpiecznie bliską jego dzioba. Oczy Hagan na były zupełnie obłąkane. Rękoma odtrącał jakieś strachy chorej

wyobraźni, a ruchy miał tak nieopanowane, iż sam siebie uderzył w głowę.

— Na świętego Patryka! Nie będę żeglował z przeklętym kapitanem, który zabija, bo lubi zapach krwi! Który wiesza dla kaprysu! — Był to głos nieludzki, nie z tego świata. Hall objął wrywające się, rozdygotane ciało Irlandczyka przytrzymując go na dnie łodzi. Dampier pośpiesznie poczołgał się z powrotem do steru, by jeszcze raz położyć stateczek na właściwy kurs.

Dla tych, którym jeszcze została resztką przytomności, nie było teraz spoczynku. Wiosłowali, musieli wiosłować. Gdyby zaprzestali, kto wie, dokąd by ich zniosło? Z bezmyślnym, obłąkanym uporem, na wpół przytomni, dążyli wciąż do lądu, wciąż naprzód, byle jeszcze kawałek, jeszcze trochę bliżej... może sił starczy...

Ta noc była najdłuższa, jaką ktokolwiek z nich przeżył. Wiosłowali bez ustanku. Najpierw Malajczycy. Potem Dampier zastąpił jednego z Malajczyków, a Hall sterował. Malajczycy nie umieli sterować. Potem Hall zastąpił drugiego Malajczyka, a Dampier wrócił do steru. Zmieniali się tak kolejno, aby dać choć chwilę odpoczynku Malajczykom.

O ósmej rano Dampier szepnęła, gdyż mówić głośniej nie był już w stanie, do Halla:

— Mniej więcej osiem mil...

— Ja już dłużej nie mogę — zachrypiał Hall.

W tej chwili, bez żadnego ostrzeżenia, jeden z Malajczyków przechylił się przez wiosło i spadł na dno łodzi, na Hagana. Dampier rozejrzał się wokoło błędnie. Jeśli tylko dwóch Malajczyków będzie wiosłowało, nie dopłyną nigdy do lądu. Hall drżącymi rękoma wyszarpywał sztylet zza pasa. Dampier przechylił się i wyrwał broń z jego palców, tak słabych, że prawie nie stawiała oporu.

Na plecach Dampiera, gdzie nie wiadomo kiedy rozdarła koszula odsłaniała skórę, cieplejszy prąd powietrza załopotał porwanymi łachami.

— Wiatr...

Ci Malajczycy, którzy jeszcze zachowali przytomność, ostatnim wysiłkiem wywlekli żagiel. Tak byli wyczerpani, że minął kwadrans, zanim go zdołali postawić. Ale udało im się to w końcu,

a potem opadli na bambusowy pokład i leżeli płasko, bez ruchu, złożonywszy głowy na rękach. Wiatr, ożywiając zagasłą nadzieję, przywrócił jeszcze resztkę sił Hallowi. Wziął ster, a Dampier sprawdził kierunek kursu na kompasie. Zmieniając się bardzo często przy sterze, na wpół mdlejąc z głodu, z językami opuchniętymi z pragnienia, majaczący w gorączce, trzymali łódź na południowym kursie pod zachodnim wiatrem przez cały dzień, a wybrzeża Sumatry zbliżały się i rosły z każdym jardem. Malajczycy nie poruszali się już wcale. Portugalczyk pod pokładem wołał coś i jęczał.

Gdy słońce przeszło na zachodnią półkulę nieba, majaczącemu Dampierowi wydało się nagle, że łódź pada mu na głowę. Na wpół oślepy, wykręcił statek ku ujściu jakiejś rzeki, ujrzał bielejący piasek wybrzeża i skierował łódź prosto na niego.

— Dwóch nas jeszcze żyje... — wykrztusił Hall.

— Może więcej — odpowiedział szeptem Dampier.

Hall zadygotał czy też może wzruszył ramionami, trudno było zrozumieć.

— Samiśmy piwa nawarzyli...

Łódź zazgrzytała na piasku, przechyliła się, jedna platforma dotknęła dna i osiadła. Jak przez mgłę Dampier widział brązowoskóre postacie brodzące ku nim po płytkiej wodzie. Uniósł się w łodzi, zachwiał, z najwyższym wysiłkiem utrzymał się na nogach i podniósł rękę powitalnym gestem. Hall podniósł się również, przechylił i oparł o Dampiera. Razem przewrócili się przez burzę do płytkiej wody. Brązowoskóre postacie biegły ratować i wyciągać.

### Rozdział XXIII

#### WĘDROWNY PTAK POWRACA

— Shabander powiada, że wielki to był hazard puszczać się łodzią z Nikobarów na Sumatrę — rzekł tłumacz, Denis Driscal, agent faktorii kompanii wschodnioindyjskiej w Aczinie.

— Przywykliśmy do hazardu — odrzekł Dampier. — Nie przstraszała nas taka wyprawa.

Miejscowy starosta, zwany shabanderem, rozpytywał dalej o losy „Cygnet”: skąd statek przybywał i dokąd płynąć zamierzał. Jedyny Malajczyk, który pozostał z czterech porwanych ongiś przez Johna Reeda, potwierdził te zeznania, po czym odprawiono go. Dampier był jeszcze tak osłabiony, że nie mógł, zgodnie z obyczajem, siedzieć na skrzyżowanych nogach w obecności shabandera; mógł tylko stać podtrzymywany przez Denisa Driscala. Ale i tak poszczęściło mu się lepiej niż jego towarzyszym. Rudowłosy Irlandczyk, Patryk Hagan, zmarł nie odzyskawszy przytomności. Umarł również Portugalczyk. Robert Hall był ciężko chory, a isierka życia tliła się w nim tak słabo, że Dampier zupełnie już o nim zwątpił. Co prawda, i on sam niewiele miał nadziei na odzyskanie zdrowia. Trzej Malajczycy powędrowali w głąb kraju, ale wątpliwe było, czy zajdą daleko.

Mieszkał razem z Hallem w budynkach factorii brytyjskiej kompanii wschodnioindyjskiej, gdzie Denis Driscala zaopiekował się nimi. Dampier nie mógł zwalczyć wciąż powracających ataków gorączki i wyczerpującej go biegunki. Nie zaniechał jednakże prowadzenia dziennika. Opisał ze szczegółami ryzykowną przeprawę łodzią na Sumatrę, wspominając na zakończenie, jak krajowcy wyciągnęli ich łódź na brzeg, a nieprzytomnych żeglarzy zanieśli do największego domu w wiosce, jak pielęgnowali ich i zaopatrywali w żywność. Jako mahometanom nie wolno im było przyrządzać posiłków dla niewiernych, więc Dampier i Hall na zmianę gotowali »zależnie od tego, który z nas znalazł dość sił, by coś przyrządzić a potem zjeść«. Dampier chciał zwalczyć gorączkę puszczając sobie krew, ale nóż, który miał przy sobie, okazał się zbyt tępy.

Łódź ich wylądowała o parę mil na zachód od przylądka Diament, a ponad sto mil na wschód od miasta Aczin — tak daleko zniosła ich wichura. W kilkanaście dni później — Dampier był tak chory, iż tym razem nie mógł podać ścisłej daty w dzienniku — krajowcy wyprawili ich dużą łodzią z czterema woiołarzami i sternikiem do shabandera w Aczinie.

W factorii opiekowano się rozbitkami dość serdecznie, ale dopiero angielscy kapitanowie statków, które zawijały do portu

w Aczinie, potrafili w pełni ocenić śmiały wyczyn żeglarski rodaków. Oni też po kilkakroć zapraszali żeglarzy na swoje statki, obiecując zapewnić im wszelkie wygody. Odrzuciwszy parę takich propozycji, Dampier i Hall zdecydowali się wreszcie w lipcu 1688 roku popłynąć do Tonkinu na statku „Curtana”, niejakiego kapitana Weldena.

Żeglowali przez Cieśninę Malakka biorąc kurs na północ przez Morze Chińskie do Zatoki Tonkińskiej. Wpłynęli w ujście Rzeki Czerwonej (Song Koi) o dwadzieścia mil w głąb łądu do wioski zwanej Domea. Klimat tutejszy nie pomógł do odzyskania zdrowia. Pora deszczowa już się miała ku końcowi — trwała od kwietnia od końca sierpnia — ale upały panowały tak męczące, iż gorszych nie doświadczyli w ciągu całej podróży. Z początkiem listopada, pozostawiwszy przyjaciela pod troskliwą opieką lekarza „Curtana”, Dampier — choć sam jeszcze tak słaby, iż mógł iść zaledwie po parę mil dziennie — postanowił wybrać się do odległej o osiemdziesiąt mil stolicy kraju, zwanej Cachao albo Kiao-Czi.\*

Dampier miał przy sobie całego bogactwa dwa talary, które zarobił na statku ucząc młodych marynarzy, jak się oblicza położenie geograficzne. Jeden z tych talarów przeznaczył dla przewodnika. Z Seniosem Drugim, uczepionym jego ramienia, Dampier siedł za przewodnikiem, trzymając się wschodniej strony rzeki, gdzie znajdowali drogę dość suchą choć uciążliwą.

»Przeprawialiśmy się przez szereg pomniejszych rzek promami, płacąc przewoźnikom drobną monetą. Gorączka i febra, które przywiozłem ze sobą z Achin, opuściły mnie nareszcie, ale owoce, które tu jadłem, zwłaszcza drobne pomarańcze, nabawiły mnie wysypki. Nie zniechęcało mnie to jednak, gdyż znużony już byłem leżeniem i pragnąłem zaspokoić moją ciekawość nieznanego mi kraju.«

Wieśniacy w napotykanym po drodze osiedlach odnosili się do niego przyjaźnie i chętnie ofiarowywali mu nocleg na tapczanie z bambusowych prętów oraz gliniane wypalane naczynia,

---

\* Hanoi (*Przyp. red.*)

w których mógł sobie przyrządzić ryż i jaja. Przewoźnik niósł koc dla Dampiera, a za poduszkę służył pniak czy deska.

Okolice były tu gęsto zamieszkane. Krajowcy, średniego wzrostu, mieli najjaśniejszą skórę ze wszystkich „Indian” jakich Dampier do tej pory spotykał. Zauważył też, że w gniewie czy wzruszeniu na ich twarze występował rumieniec, czego nie widział u innych „Indian”. Krajowcy ci oczywiście nie byli żadnymi „Indianami” czy Hindusami, lecz Anamitami z pewną przymieszką krwi chińskiej. Wszyscy farbowali tu sobie zęby na czarno, sokiem z ziół. Procedura ta trwała trzy dni, a czarny kolor pozostawał później na długie lata. Przy pomocy swego przewodnika Dampier rozpytywał o przyczyny tej dziwnej mody, popularnej zarówno wśród ubogich, jak i zamożniejszych mieszkańców kraju.

— Z białymi zębami czulibyśmy się równi zwierzętom — brzmiała odpowiedź, której towarzyszyło ukradkowe spojrzenie na białe zęby cudzoziemca. — To wstyd wyglądać podobnie do psa czy słonia.

Pożywienie Tonkińczyków było dość urozmaicone. Mięsa wołowego i końskiego było pod dostatkiem na każdym targu. Jadano również mięso słonia, a potrawę z trąby słonia uważano za przysmak godny książęcego stołu. Jeśli zdechł słoń z królewskiej stajni, oddawano jego mięso ubogim, z wyjątkiem trąby, którą otrzymywał w prezencie jeden z mandarynów. Wykwintne potrawy przyrządzano również z kotów i psów. Jednakże najpopularniejsza była potrawa dość podobna do szaszłyku, tylko zamiast baraniny używano mięsa wieprzowego pokrajanego w cienkie, okrągłe plasterki, które pieczono, nadziawszy je na długi drążek, a następnie spożywano z gotowanym ryżem.

W pobliżu pewnej wsi pod koniec dziennego marszu — bardzo powolnego i przerywanego, gdyż Dampier wciąż cierpiał na dyzenterię — podróżnicy natrafili na grupę krajowców, którzy wbijali dwa wysokie drągi na brzegu małego jeziora. Między drągami zawieszono u góry sznur, a pod nim aż do ziemi mocną, cienką sieć. Na pytanie Dampiera, do czego to ma służyć, przewodnik odpowiedział mu jednym słowem:

— Kaczki.

Zapadał zmrok. Z podmokłych łąk wokół jeziora kaczki podno-

siły się niskim, leniwym lotem, wlokąc za sobą nogi, które wyglądały jak połamane. Kierowały się do wody, a nie dostrzegając cienkich sznurków wpadały na sieć i zaplątywały się. Na ich widok Senior Drugi również chciał lecieć i zapewne tylko jego bezwładne skrzydło ocaliło go od fatalnej przygody.

Kiedy indziej Dampier miał sposobność urozmaicenia swego skromnego codziennego pożywienia bez uszczerbku dla sakiewki. Jeden z zamożniejszych mieszkańców wsi, przez którą przechodził, zaprosił go na ucztę. Gdy Dampier przybył do jego domu, gospodarz wnosił właśnie ogromne naczynie pełne żab, które łowił w stawie przez cały ranek.

— Do czego te żaby? — zapytał Dampier.

— Do jedzenia oczywiście. Na ucztę dla moich gości!

Dampier nie zaczekał nawet, by się dowiedzieć, jak owe żaby mają być przyrządzone, tylko wyniósł się czym prędzej, wymówiwszy się niedyspozycją.

Najsłynniejszymi żarłokami wśród Tonkińczyków byli żołnierze. Nikt nie mógł się zaciągnąć do wojska, jeśli nie dowiódł swej nieprzeciętnej siły fizycznej, co sprawdzano za pomocą obżarstwa. Kandydatowi podawano naczynia z ryżem, każde mniej więcej półlitrowej pojemności. Przyjmowano do wojska tylko tych, którzy zjedli przynajmniej osiem takich porcji. Dalsze promocje w służbie wojskowej uzależnione były od doskonalenia początkowego rekordu. Najdzielniejszy żarłok dostawał się do przybocznej gwardii królewskiej.

Ulokowawszy się na nocleg i spożywszy swoją skromną wieszę — z pewnością nie mógłby kandydować do wojska tonkińskiego — Dampier zazwyczaj wybierał się jeszcze na wieczorną wędrowkę po wsi. Ciekawiły go zwłaszcza w każdej prawie wsi spotykane pagody, czyli świątynie: niewielkie, ozdobione podobizną konia lub słonia u wejścia.

Pewnego popołudnia około trzeciej godziny dostrzegł w oddali niewysoką wieżę różniącą się od budowli, które dotąd widywał. Pomimo zmęczenia skierował się w tę stronę i zobaczył wokół wieży wielkie zbiegowisko ludzi. Gdy podszedł całkiem blisko, ujrzał jeszcze na porozstawianych stołach mięso i żywność.

Przepychając się wśród tłumu Dampier rozłączył się ze swym



przewodnikiem, a Senior Drugi usadowił się na jego kapeluszu i uczepiwszy się go mocno pazurami, skrzeczał gniewnie swym przeraźliwym głosem. Dampier obejrzał wieżę pokrytą cienkimi deseczkami pomalowanymi na czerwono, zwiężającą się ku górze. Potem zawrócił do kramów z mięsem i owocami. Były tu najpiękniejsze pomarańcze, jakie kiedykolwiek widział. Wieprzowe mięso pocięte na ćwierci też wydało mu się wyborne. Uniósł jedną szynkę, gestami dając do zrozumienia człowiekowi, którego wziął za kramarza, iż chciałby kupić kawałek.

Rezultat był niespodziewany. Jakby kto kij w mrowisko wsadził. Ktoś go uderzył w głowę, ktoś inny w bok, w plecy, stracono mu kapelusz, Senior zeskoczył na ramię, dwóch krajowców chwyciło Dampiera za ubranie i ciągnęło szarpiąc, jakby chcieli połamać mu wszystkie kości; gwar gniewnych głosów ogłuszył go zupełnie. Senior darł się przeraźliwie:

— Bij, morduj, zabij!

Wydawało się, że krajowcy mają zamiar usłuchać nawoływań ptaka. Wreszcie przewodnik dopchał się do jego boku, tłumacząc i uspokajając rozgniewany tłum wyrwał Dampiera z opresji. Dopiero wtedy Dampier dowiedział się, iż popełnił ni mniej, ni więcej tylko świętokradztwo. Wieprzowe mięso nie było przeznaczone na sprzedaż, lecz przygotowane na ucztę pogrzebową. Gdy „niewierny” dotknął go, stało się od tej chwili nieczyste.

Przewodnik z największą trudnością uspokoił tłum, który miał szczerzy zamiar poćwiartować Dampiera tak, jak poćwiartowano wieprze. Ludzie zrozumieli jednak w końcu, że cudzoziemiec postąpił tak przez nieświadomość, nie mając żadnego złośliwego zamiaru. Kawałek mięsa, który Dampier wziął do ręki, został uroczyście spalony, po czym ceremonia pogrzebowa rozpoczęła się bez przeszkód.

Drewniana wieża, jak się okazało, był wzniesiona nad grobem. Wskazywało to, iż zmarły był człowiekiem zamożnym. Aby wybudować tę wieżę i wyprawić stypę pogrzebową, rodzina musiała zapewne sprzedać kawałek ziemi niezależnie nawet od gotówki, jaką mogli rozporządzać.

Na szczyt wieży wspiał się duchowny i stamtąd wygłosił wielką mowę pogrzebową, tak długą, że cudzoziemski gość, nie rozumiejący ani słowa, zapadł w błogą drzemkę. Gdy w dwie godziny

później mówca znalazł nareszcie z wieży, przyniesiono wiązki chrustu, które ułożono w krąg u stóp wieży. Podpalono je i po chwili cała budowla stanęła w płomieniach. Dla zebranej z całej okolicy ludności był to sygnał rozpoczęcia uczty. Rzucono się do stołów, chwytając najlepsze kawałki mięsa, popychając się i nawet bijąc.

Pochodnią, zapaloną u stosu, podpalono następnie mniejsze ogniska rozrzucone w całej okolicy. Dampier przypatrywał się z dala: »Byłem zmęczony i głodny, a mój apetyt, jak sądzę, podnieciła jeszcze ta uczta, gdyż przyglądając się jej postanowiłem również zjeść nareszcie porządną wieczerzę.«

W dwa dni po tej przygodzie Dampier dotarł do miasta, zwanego Hean\*. Był istotnie męczennikiem własnej ciekawości, gdyż podróż wyczerpała go i spowodowała nawrót choroby. Zbliżając się do miasta ledwie włókł nogi za sobą. Zaopiekował się nim pewien francuski ksiądz, który mu opowiedział, że władze w Tonkinie sprzeciwiają się nauczaniu religii chrześcijańskiej, więc misjonarze muszą udawać że są kupcami, zegarmistrzami albo innymi rzemieślnikami i tylko po kryjomu nawracają pogan na wiarę chrześcijańską. Do stolicy nie wpuszczano żadnego misjonarza bez zezwolenia; ale ponieważ zajmowali się różnymi rzemiosłami, więc mandaryni wzywali ich niejednokrotnie do Cachao.

Co do nawróconych »na wiarę w paciorki czy inne różańce, w obrazki i w papieża«, jak notuje Dampier, to było ich pod dostatkiem w okresach głodu, gdyż zamaskowani misjonarze rozdzielali hojnie żywność swoim owieczkom. W normalnych czasach praca księży nie dawała rezultatów i Dampier wyrażał się pesymistycznie o rozwoju chrześcijaństwa w Tonkinie:

»Anglicy i Holendrzy prowadzą tak rozwiązły tryb życia, gdy przybędą w te strony, iż mają najgorszą reputację i nie mogą zachęcić do swojej wiary; a misjonarze są nieudolnymi nauczycielami. Wszelako wymiana pogańskich posążków na święte obrazki nie jest chyba taka trudna, a mogłaby posłużyć ku zbawieniu tych biednych duszyczek.«

---

\* Tego miasta komentatorom „Podróży” Dampiera nie udało się zlokalizować. (Przyp. tłum.)

Dampier odwdzieczył się gościnnemu misjonarzowi nauczywszy go wyrabiać proch do pistoletów; a potem w obawie o swoje siły postanowił resztę drogi odbyć wodą. Z przewodnikiem, dość mrukliwego usposobienia, Dampier nie zaprzyjaźnił się; toteż wielkie było jego zdziwienie, gdy przewodnik, żegnając się ze swym chwilowym chlebodawcą, ukląkł i objął go za kolana.

Często, gdy przepływali w pobliżu wiosek, dobiegało ich żalosalne wołanie. To trędowaci żebracy puszczały na wodę uwiązane na sznurku małe łódeczki uplecione z gałęzi i wylepione gliną. Gdy Dampier wrzucał do takiej łódeczki garść ryżu, żebracy krzyczeli znowu, tym razem z wdzięczności. W ogóle ta podróż w górę rzeki była szczególnie hałaśliwa i wcale nie okazała się odpoczynkiem dla schorowanego żeglarza.

Gdy nie było przychylnego wiatru, wiosłarze spuszczały żagiel i zabierali się do wiosłowania. Zupełnie nadzy, wyjąwszy czarną przepaskę na biodrach, wiosłowali stojąc, zwróceny twarzą do rufy łodzi. Uniósłszy wiosło oparte w dulce wyciętej w drewnie nadburcia zanurzali je na dźwięk gongu wszyscy jednocześnie, postępując w tej samej chwili o krok naprzód. Potem podnoszono wiosła w górę i do przodu cofając się o krok, znowu uderzał gong i wiosła zanurzały się w wodę. To rytmiczne wiosłowanie posuwało łódź naprzód z wielką siłą. Senior Drugi uważał je za przedstawienie, które odbywało się specjalnie na jego cześć. Opuścił ramię swego pana, co robił bardzo, rzadko, i przeskakiwał z wiosła na wiosło wzdłuż całej łodzi, trzepiąc skrzydłami i wrzeszcząc:

— Rybom na pożarcie! Bij, morduj, zabij!

W Cachao Dampier zatrzymał się u kupca, do którego miał list polecający od kapitana Weldena. Dokuczliwa biegunka nie powstrzymała go od zwiedzenia miasta, na które składało się około dwudziestu tysięcy domów przeważnie lepionych z gliny i krytych słomą, a tylko wyjątkowo murowanych z cegły lub z wypalanych płytek glinianych. Na końcu dziedzińca znajdującego się za każdym prawie domem wznosił się zazwyczaj niewielki, ale rozłożysty i kopulasty budynek z cegły pokrytej gliną a na dodatek śmieciami. Na szczycie domu umieszczano ogromne gliniane naczynie z wodą. Przy drzwiach wejściowych stały dwie długie tyki, jedna z umocowaną na końcu miską, druga z dużym hakiem.

Dampier nie mógł odgadnąć, do jakiego celu służyły te wszystkie urządzenia. Wyjaśnił mu to dopiero jego gospodarz, kupiec nazwiskiem Bowyer:

— To są wszystko środki ostrożności przygotowane ze względu na pożary, które tu często wybuchają, zwłaszcza w czasie suchej pory roku, i szybko się szerzą wśród tych budynków o słomianych strzechach. Z tego wielkiego naczynia na szczycie dachu leje się woda na ogień w dole, ta tyka z miską również służy do rozlewania wody. A hakiem zdziera się słomę z dachu.

— No, zdarcie takiej strzechy musi być dość długą procedurą — zauważył Dampier. — Jeśli ogień już chwycił słomę, ratujący prędzej spali się żywcem, niżby zdołał...

— O nie, o nie! Strzechy tutaj składają się z poszczególnych kawałków wiązanych w kwadraty — tłumaczył kupiec. — Każdy kwadrat przymocowany jest oddzielnie i daje się zerwać z łatwością.

— A do czego służą te ceglane, niskie kopuły na podwórzach?

— To jest coś w rodzaju lamusa, do którego wrzuca się w razie pożaru najcenniejsze przedmioty.

— Czy mieszkańcy z własnej chęci zaopatrują się w te wszystkie urządzenia?

— Raczej nie — odrzekł kupiec z uśmiechem. — Przewidziane są surowe kary na tych, którzy nie stosują się do przepisów ochronnych. I biada człowiekowi, którego nieostrożność spowoduje pożar. Umieszcza się go przed jego własnym domem, na szczycie pala wysokości czternastu stóp w ciągu trzech dni pod rząd z obnażoną głową w pełnym słońcu.

Twórcami praw, takich właśnie jak o ochronie przeciwpożarowej, byli mandaryni, arystokraci, wśród których często spotykało się kastratów.

»Nie tylko dawali się kastrować, ale kazali sobie całkowicie obcinać członek męski« — notuje Dampier. Pewien mandaryn o wielkiej wiedzy i niepośledniej ambicji, ale nie eunuch: żonaty z sześciorgiem dzieci, przekonał się iż nie sposób mu uzyskać żadnego znacznieszego urzędu: »Pewnego dnia, doprowadzony do pasji, pochwycił ostry nóż i zakwalifikował się bardzo sku-

tecznie do urzędu. A miał żonę i sześcioro dzieci... Wtedy dopiero król dał mu promocję, a gdy ja przebywałem w stolicy mandarynów, był wielkim ochmistrem królewskiego dworu i miał pieczę nad zbrojownią i artylerią.«

Niewielu jednak było wśród mandarynów takich eunuchów, którzy przed kastracją założyli rodzinę. Według zwyczaju po śmierci cały ich majątek przechodził na króla, co tłumaczy, dlaczego król obdarzał faworem tylko mandarynów-kastratów.

Mandaryni w Tonkinie, podobnie jak zamożniejsi mieszkańcy Aczinu, bogacili się głównie na sprzedawaniu zasobów swego kraju holenderskim, angielskim i chińskim kupcom. Szerokie rzesze ludności żyły w wielkiej biedzie, która ich nierzadko doprowadzała do sprzedawania żon lub córek w zamian za ryż. Z tej też przyczyny narodziny córki były zawsze mile widziane. Można ją było sprzedać albo też wynająć cudzoziemskim żeglarzom za żywność lub znoszoną odzież.

Powróciwszy w grudniu 1689 roku z powrotem do Aczinu, Dampier pożegnał się z Robertem Hallem, który odpływał na okręcie kapitana Weldena do Madrasu, a stamtąd do Anglii. Dampier przez chwilę zmagał się z pokusą, aby także wrócić do kraju. Ale właściwie po co? Dotknął palcami zamkniętego medalionu. Czy Grace wyszła za mąż, czy też nie, on sam był przecież żonąty w obliczu prawa.

Tymczasem w Aczinie pojawił się przed samym Bożym Narodzeniem ów bosman Morgan, który niegdyś pływał na „Cygnet”. Przyniósł wieści o wspólnych druhach okrętowych, z których wielu pozostało na Madagaskarze i w Indiach w służbie tubylczych książąt. Doktorowi Coppingerowi powiodła się nareszcie ucieczka na inny statek. John Reed zrezygnował ostatecznie z dowództwa i również opuściwszy „Cygnet” zaokrętował się na statek handlarzy niewolników. Teat, który z garścią ludzi pozostał na „Cygnet”, rozbił statek u wybrzeży Madagaskaru.

W lipcu 1690 roku Dampier żeglował w stronę miasta Bengkolen leżącego na południowo-zachodnim wybrzeżu Sumatry. Przy nim na pokładzie małego statku „Diamond”, na którym Dampier

płynął jako pasażer, stała zadziwiająca postać. Był to mężczyzna wzrostu powyżej średniego, pięknie zbudowany, o skórze z przyrodzenia ciemnobrunatnej. Ale całe jego ciało, wyjąwszy twarz, dłonie i stopy, było wytatuowane w najbardziej zdumiewające desenie i obrazy. Na karku i na plecach między ramionami widniała mapa połowy świata. Pierś pokrywały ozdobne arabeski. Nosił spodnie, ale gdy odkrył uda i nogi, można było podziwiać na nich skomplikowane wzory biegnące poprzecznie i przedzielone liniami jak ozdobne bransoletki. Ta dziwna figura nie mówiła ani po angielsku, ani po hiszpańsku, a tylko trochę po malajsku. W tym też języku dwaj mężczyźni porozumiewali się ze sobą.

Dampier spotkał tatuowanego mężczyznę, który zwał się Jeoly, za pośrednictwem niejakiego pana Moody, znajdującego się również w tej chwili na pokładzie „Diamonda”. Moody zamierzał nabyć w Bengkoelen statek, którym miał się udać na wyspę Meangis, położoną mniej więcej o sześćdziesiąt mil na południe od Mindanao. Urodzajna ta wyspa była ojczyzną Jeoly. Przyprawy korzenne, a zwłaszcza goździki uprawiane na wyspie, stanowiły cenny towar i Moody, wykupiwszy Jeoly z niewoli na Mindanao, miał nadzieję, że przy pomocy Dampiera i za pośrednictwem Jeoly, który był ponoć synem księcia w swojej ojczyźnie, załaduje statek cennymi korzeniami zakupionymi w zamian za żelazo i tkaniny z Wybrzeży Koromandelskich.

Niezwykła postać młodego księcia obudziła nienasyconą ciekawość Dampiera, który rozpytując go dowiedział się, że zamożniejsi mieszkańcy wyspy Meangis, zarówno mężczyźni jak i kobiety, byli zazwyczaj tatuowani w podobny sposób. Tatuaż robiono nakłuwając skórę i wcierając w nią utartą na proszek korę pewnych drzew. Młody Jeoly wypłynął pewnego dnia z rodzicami i bratem łodzią na morze, a kiedy niespodziewana burza zapędziła ich w pobliże Mindanao, tamtejsi mieszkańcy pochwycili ich i sprzedali jako niewolników. Właściciel znęcał się nad nimi i biciem zapędzał do pracy.

— Masz przekłute uszy — powiedział do niego Dampier. — Czy nosiłeś kolczyki?

— Meangis hadda madachola se bullawan — odrzekł Jeoly, co znaczyło, że w Meangis jest pod dostatkiem złota. — Miałem

złote kolczyki, jak wszyscy w moim kraju. Człowiek, u którego byłem w niewoli w Mindanao, ukradł mi je.

— Jakie jeszcze macie bogactwa naturalne w Meangis? — zapytał Dampier chcąc się wywiedzieć o towary korzenne, na które liczył Moody. Ale Jeoly nie zrozumiał pytania. Dampier pokazał mu więc pieprz i goździki, a młody książę odparł żywo:

— Madachola! Madachola! — co miało znaczyć: mnóstwo. Wskazał przy tym ręką włosy na swojej głowie, aby wyrazić ilość, która była nie do przeliczenia.

— Jesteś księciem? — pytał dalej Dampier.

— Mój ojciec był radzą wyspy Meangis.

— Wielu jest mieszkańców na wyspie?

— Trzydziestu mężczyzn i około stu kobiet.

— Ty masz kobietę?

— Pięć i ośmioro dzieci. Jedna z moich kobiet wytatuowała mnie.

Senior Drugi ogromnie się zaprzyjaźnił z nowym towarzyszem swego pana. Była to jednak przyjaźń raczej jednostronna, czemu nie należy się dziwić, gdyż ptak wskakiwał ciągle na wytatuowane ramiona i dziobiąc boleśnie skórę próbował wyskubać malowany wzór.

Po przybyciu do Bengkoelen okazało się, iż nie można tu dostać statku na projektowaną wyprawę do Meangis. Tytułem kompensaty za ten zawód Moody spisał umowę, na mocy której Dampier stał się w połowie właścicielem księcia Jeoly i jego matki i miał prawo nimi rozporządzać.

W poszukiwaniu zajęcia Dampier podjął się opieki nad artylerią twierdzy w Bengkoelen. Doszedł do przekonania, że twierdza nie była należycie przystosowana do obrony i opracował plany całkowitej jej przebudowy. Ale kiepska twierdza miała jeszcze gorszego gubernatora, który zdaniem Dampiera nadawał się może na rachmistrza, ale nie na dowódcę twierdzy. Zwłaszcza irytował Dampiera jego sposób traktowania krajowców, który budził nienawiść nie tylko przeciw temu człowiekowi, ale przeciw kompanii wschodnioindyjskiej i wszystkim w ogóle Anglikom. Toteż gdy w styczniu 1691 roku do portu zawinął angielski okręt „Defence” w powrotnej drodze do kraju, Dampier uległ swej nostalgii.

gii i poprosił o zwolnienie go z zajmowanego stanowiska zdecydowawszy, że cokolwiek go w Anglii czeka, stawi temu czoła. Pierwszym oficerem na okręcie „Defence” był niejaki Goddard, któremu Moody odsprzedał swoją połowę księcia Jeoly.

— Musimy go zawieźć do Anglii — nalegał Goddard. — Takie dziwo! Fortunę zrobimy pokazując go na jarmarkach.

— Gubernator nie zgodził się mnie zwolnić — oponował Dampier.

— To ucieknij pan! — rzekł Goddard i dorzucił ze śmiechem:— Z tego, co słyszałem, mogę wywnioskować, iż to się panu nie pierwszy raz zdarzy.

W Bengkoelen Dampier umieścił swego księcia i jego matkę w oddzielnym domu w pobliżu twierdzy. »Jeoly zajął się sporządzeniem sobie skrzynki z kilku desek i gwoździ, które ode mnie wyprosił. Z tej koślawej skrzynki tak był dumny, jak z najcenniejszego sprzętu na świecie.« W tym czasie jednak oboje, książę i jego matka, zachorowali, a Dampier pielęgnował ich z taką troskliwością, jakby rodzoną matkę i brata. Jednakże niemłoda i wyczerpana ciężkimi przejściami kobieta zmarła, a Jeoly przez długi czas nie mógł się pocieszyć po jej stracie.

Dampier osądził, że jeśli zabierze swego pupila z Bengkoelen, będzie to dla niego korzystną zmianą. W dodatku plany Goddarda przemawiały do jego własnej tęsknoty za krajem. Posłał więc Jeoly na pokład „Defence” zapewniwszy biedaka, że z pieniędzy, które uzyskają za pokazywanie go w Anglii, będą mogli nabyć statek i razem wyprawić się na wyspę Meangis, gdzie młody książę odzyska swoją władzę, żony i dzieci, a Dampier nawiąże zyskowny handel korzeniami.

Był to plan cokolwiek zwariowany — wybrać się statkiem z Anglii na drugi kraniec świata, by nawiązać handel z wysepką o stu kilkudziesięciu mieszkańcach. Można jedynie mieć nadzieję, że gdy ten plan układał, Dampier był bardziej wielkoduszny w swych intencjach niż w późniejszym traktowaniu nieszczęsnego księcia.

»Po kilku próbach udało mi się wymknąć o północy przed porankiem, gdy okręt miał odpłynąć. Przecisnąwszy się przez otwór strzelniczy w murze twierdzy dostałem się na brzeg, gdzie czekała



na mnie łódź okrętowa. Zabrałem ze sobą tylko mój dzienniczek i papiery, rad, że jestem znowu na swobodzie i że niedługo będę mógł oglądać brzegi Anglii.«

Nie był w kraju przez dwanaście lat; z tego osiem lat — licząc od chwili, gdy opuścił Wirginię z kapitanem Cookiem na „Revenge” — spędził na opłynięciu dookoła globu ziemskiego, co było w siedemnastym wieku osiągnięciem jeszcze dość rzadkim. Fortuny nie zdobył i ze wszystkich swych niebezpiecznych wypraw i przygód przywoził do kraju tylko biednego, tatuowanego księcia, którego mapy na plecach zamierzał pokazywać ciekawskim gapiom angielskim za pieniądze.

Ale choć nie poszczęściło mu się w zdobyciu majątku, to jednak Dampier mógł zapisać na swoje dobro inne osiągnięcia: poprawił i uzupełnił mapy oceanów nieznanymi do tej pory wyspami; jako pierwszy Anglik postawił stopę na lądzie owej na wpół mitycznej Terra Australis; pomnożył znacznie wiedzę o świecie i zjawiskach przyrody. Notatki jego dziennika — który troskliwie przyciskał ramieniem wymykając się z twierdzy w Bengkoelen — miały zapewnić nazwisku Williama Dampiera wybitne miejsce wśród podróżników świata.

# CZĘŚĆ TRZECIA

## Rozdział XXIV

### W SŁUŻBIE KRÓLEWSKIEJ

Na jej jasnych włosach zwiniętych w grube warkocze wokół głowy nie znać było srebrnych nitki, choć dobiegała już czterdziestki. Wciąż jeszcze była piękna, o postawnej figurze, świeżej cerze i regularnych rysach. Uważniejszy obserwator tylko z jej ust i oczu mógłby może odczytać, ile wyrzeczenia kosztowało ją dwadzieścia lat dziewictwa poświęconego dalekiemu kochankowi. Wargi, ongiś tak pełne, kwitnące i rozchylone, zamykały się teraz twardą, wąską linią, która świadczyła o ostrożnej powściągliwości. W oczach, które niegdyś rzucały spojrzenia na przemian tkliwe i namiętne, zastygł smutek niespełnionych marzeń.

Suknia jej, z bogatego jedwabiu, uszyta była według najświeższej mody obowiązującej w roku 1698. Na głowie miała mały czepeczek zakończony potrójnym rzędem koronki usztywnionej z przodu cieniutkimi drucikami tak, iż sterczała wysoko ponad włosami, a z boków spływała miękko aż na ramiona. Wzorzysty staniczek obcisła mocno szczupłą pierś. Spódniczka zebrana była z tyłu w głębokie fałdy i zakończona krótkim trenem. Rękawy sukni, rozcięte od łokci i opadające wydłużonymi trójkątami, odślaniały białą koronkę na przedramieniu.

Przechadzała się z wolna po obszernej komnacie zamożnego londyńskiego domu. Na ścianach obitych wzorzystymi tapetami wisiały owalne lustra w bogatych ramach i miniatury malowane na kości słoniowej; krzesła o wysokich oparciach obite były lśniącem adamaszkiem. Dwie orzechowe kozetki błyszczały barwnym brokatem przetykanym złotą i srebrną nicią; na inkrustowanym perłową macią stoliku stały kryształ i szkła weneckie. W tym wnętrzu bogatym, może nawet przeładowanym, ale odpowiadającym wymaganiom ówczesnego stylu angielskiego, odcinał się

egzotyką jeden sprzęt: był to rodzaj komody chińskiej z czarnej laki, ozdobionej złotymi smokami. Jakiś kupiec kompanii wschodnioindyjskiej nabył mebel od wędrownych handlarzy arabskich w Madrycie, aby go odsprzedać w Anglii za bajeczną sumę. I jeszcze coś zaskakiwało, jak niespodzianka, w tym typowo angielskim wnętrzu: na drążku przed oknem drzemała duża, zielona papuga, poruszając czasem jednym skrzydłem, które opadało, jakby na wpół bezwładnie.

Chwilami Grace Mercer przerywała swój niespokojny spacer i przystanąwszy obok stolika przerzucała karty grubej książki, pięknie oprawnej i zatytułowanej: „Nowa podróż dookoła świata”. Autor: kapitan William Dampier.

Na niego teraz czekała — może bez tak namiętej niecierpliwości jak niegdyś, ale jednak nie bez wzruszenia. Nie mogła usiedzieć na miejscu, nie mogła spokojnie zajmować się haftem, który rzuciła nieporządnie na otwarty stoliczek do robót. Uparta powaga, dociekliwość i różnorodność zainteresowań jej kuzyna pociągały ją dziś nawet więcej może niż wtedy, gdy była młodą dziewczyną.

Kiedy przed dziesięciu laty zmarła jej macocha, staremu Mercerowi znudziło się gospodarowanie na roli. Nie mając syna, któremu mógłby przekazać swój majątek ziemski, sprzedał go i nabył w Londynie obszerny, nieco pretensjonalny dom. Nadużywanie wielkomięjskich rozrywek w tak spóźnionym wieku zrujnowało wkrótce jego zdrowie i Grace musiała się opiekować zniedołężniałym ojcem. Nie wyszła nigdy za mąż.

Tak ułożyło się jej życie, gdy pewnego dnia, zimą roku 1691, dostrzegła ze swojej lektyki niecodzienny widok na rogu londyńskiej ulicy. Strój, chód i opalona cera jednego z mężczyzn zdradzały marynarza, ale postać jego była szczupła i wątła, odzież nie dbała, wyraz twarzy posepny; tylko wzrok bystry, którego uwagi nic nie uchodziło. Na jego ramieniu siedziała zielona papuga z obwisłym skrzydłem. A o krok za nim szedł wysoki, ciemnoskóry mężczyzna zakutany w nieprawdopodobną ilość dziwacznej odzieży, ale pomimo tego wyraźnie dygocący z zimna. Ta groteskowa trójca skręciła w boczny zaułek, zanim Grace ochłonęła z pierwszego wrażenia. Nie mogła puścić się w pogoń za nimi; nie chciała też kompromitować się posyłając jednego ze swoich lektykarzy.

Upłynęło wiele niespokojnych tygodni, zanim go znowu ujrzała. Dampier wreszcie dostał jej adres od swego brata. Ich pierwsze spotkanie było tak powściągliwe, iż mogło się wydawać obojętne, tylko w oczach tych dwojga zapalił się na chwile blask. Grace dochowała wierności, ale cóż z tego? Był żonaty. Okoliczności tego małżeństwa były wprawdzie niecodzienne; zapewniła ją, że nie utrzymywał żadnych stosunków ze swoją żoną. Ale jeśli nie chciał zrywać owoców we własnym sadzie, nie było to jeszcze powodem, aby miała go skusić zakazanym owocem. Biedna Grace. Wstrzeźliwość tym trudniej jej teraz przychodziła, że obecność ukochanego rozbudziła jej długo tłumione tęsknoty.

W częstych długich rozmowach przy kominku Grace miała sposobność przekonać się, że ten świetny żeglarz i wnikliwy obserwator przyrody łączył nieprzeciętne zalety z taką naiwnością w sprawach finansowych i osobistej kariery, iż graniczyło to po prostu z głupotą. Zanim spotkał się znowu z rozsądnymi i praktycznymi współtowarzyszami dawnych wypraw — Lionelem Waferem, Robertem Hallem i Holendrem Dawsem — londyńscy wydrwigrosze potrafili mu wyrwać jego malowanego księcia. Grace dobrze wiedziała o istnieniu takich oszustów. Londyn obsypywał pochlebstwami powracających żeglarzy, a zarazem oszukiwał ich i opróżniał im kieszenie do cna. Hulanki, uczty, pijaństwo, kobiety i opium. A jeśli i potem ofierze pozostało jeszcze nieco złota i klejnotów, łatwo było najać paru rzeźmieszków, którym nieobcy był sztylet czy pałka i zasadzka w ciemną noc w zakamarku ulicy. Tym czy innym sposobem wycyganiono od Dampiera jego prawa do Jeoly, a porwawszy biednego księcia obwożono go po kraju i pokazywano jak egzotycznego zwierzaka; aż porwany władca Meangis zachorował wreszcie na ospę i umarł w Oxford.

Z wrodzonym sobie taktem i dyskrecją Grace starała się pomagać Williamowi. Pieniądzy nie chciał przyjąć od niej, choć były mu bardzo potrzebne. Posyłał również pewne sumy Judyście. Parokrotnie zaciągał się na statki handlowe, które odbywały niedalekie wyprawy do portów Europy i Afryki.

Zatrzymała się znowu przy stole, na którym leżała „Nowa podróż”. W tym przynajmniej udało się jej dopomóc Williamowi. To ona nalegała, by napisał książkę na podstawie swego dzien-

nika, ona pierwsza czytała ją, krytykowała, sugerowała zmiany, ona przedstawiła Dampiera jego obecnym patronom: prezydentowi Towarzystwa Królewskiego Karolowi Montague, hrabiemu Oxfordu i Pierwszemu Lordowi Admiralicji, hrabiemu Pembroke. Wydana pod tak wysokim protektoratem książka miała ogromne powodzenie. Jedno za drugim ukazały się trzy wydania.

Teraz nie widziała go od paru miesięcy. Powracał z podróży, a po powrocie, jak się dowiedziała, otrzymał od razu pewną propozycję od Brytyjskiej Admiralicji. Książka przyniosła mu sławę. Ujawniła rzadkie połączenie talentów żeglarza i podróżnika, obserwatora o naukowej ścisłości i pisarza o literackim zacięciu. Na prośbę Grace eskapady pirackie zostały pominięte lub pomniejszone w tej książce, w której główny nacisk położono na odkrycia geograficzne, sprawy żeglarskie, nawigacyjne i obserwacje przyrodnicze.

Od przedpokoju doleciał dźwięk dzwonka u frontowych drzwi. W chwilę później lokaj zaanonsował Williama Dampiera. Jej żeglarz wyglądał dobrze, zdrowo, a krój jego ubrania zdradzał dobrego krawca: nosił długą kamizelkę, jeszcze dłuższy aż do kolan surdut, wcięty w pasie, poniżej szeroki i fałdzisty, o rękawach zakończonych wykładanymi, czarnymi mankietami, spod których wyglądała biała koronka. U szyi widniał również biały koronkowy żabot. Stroju dopełniały czarne, aksamitne, obcisłe spodnie do kolan, jedwabne pończochy i pantofle o kwadratowych nosach — wszystko modne i w doskonałym gatunku.

— Dzięki Bogu, zdążyłem na czas — powiedział zdyszany, schylając się nad jej ręką, a potem podniósł na nią ciemne oczy z wyrazem nieomal oskarżycielskiego zachwytu. — Byłem już w strachu, że mógłbym się spóźnić. Zapłaciłem lektykarzom podwójnie, byle tylko śpieszyli. Bo jak wiesz...

— Ależ wiem, wiem, oczywiście — powiedziała uspokajająco — Jadłeś dziś śniadanie z moimi dobrymi przyjaciółmi, Johnem Evelynem i Samuelem Pepysem.

Pierwszy z tych dwóch był znaną postacią w Londynie, choć sprawował tylko pomniejsze urzędy; drugi był Sekretarzem Urzędu Marynarki Królewskiej. Obaj parali się piórem i pozostawili po sobie pamiętniki, które zapewniły im niepoślednie miejsce w historii literatury angielskiej.

— Ale jesteś tak zdyszany, jakbyś sam niósł lektykę, zamiast siedzieć w niej — ciągnęła z uśmiechem Grace. Chodź, usiądź tutaj przy mnie i opowiedz mi, jak się miewasz — wyglądasz dobrze — i co u ciebie słychać. Wydaje mi się, żeśmy się wieki nie widzieli...

Dampier usiadł bokiem, aby móc patrzeć na nią. Opowiadał przez chwilę o różnych osobistych drobiazgach, Grace zapytała:

— A jak się udało śniadanie z tymi panami?

— Doskonale. Pan Evelyn i pan Pepys tyle mi okazywali uprzejmości i zainteresowania, tak zasypywali pytaniami i naga-bywali o różne szczegóły z moich podróży, że opowiadaniom nie było końca. Chcieli wiedzieć o moim życiu z bukanierami i jak mogłem prowadzić diariusz wśród tylu przygód na morzu i na lądzie, i jak napisałem moją książkę.

— Co mówili o twojej książce?

— Chwalili ją bardzo. Powiedziałem im, że to właściwie twoja zasługa, iż ta książka w ogóle ujrzała światło dzienne. Pan Pepys zabawną rzecz powiedział przy tej sposobności. Mówił, że żadna kobieta nie ma prawa być tak cnotliwa, jak ty jesteś. Spojrzał przy tym na mnie z ukosa znad swego talerza, jak pies znad obgryzanej kości. Ciekawym, co miał właściwie na myśli...

Grace odwróciła nieco twarz powściągając uśmiech.

— Nie bierz tego zbyt poważnie, drogi Williamie. Pan Pepys bywa czasem dość swobodny w swych odezvaniach i trzeba go hamować. Ale przyznaję, że w kompanii jest wesoły i zajmujący.

— A czy wiesz, co mi powiedzieli na pożegnanie?

— Nie zgadnę — odrzekła wesoło. — Może powiedzieli, że chcieliby cię częściej widywać?

— Owszem, ale nie o to mi chodzi. Powiedzieli, że jestem o wiele skromniejszego zachowania, niżby się można było spodziewać po człowieku o moich osiągnięciach. — Dampier mówił to uroczyście, bez cienia uśmiechu.

Jego piękna kuzynka uznała, że warto się z nim trochę podroczyc.

— Czy tak? A potem przyszedłeś do mnie i ta zachwalana skromność zniknęła gdzieś bez śladu. Tylko komplementa powta-rzasz, którymi cię obsypano.

Ujął jej wąską białą rękę w swoje ciemne, twarde, mocne palce.

— Nie myśl tak o mnie, droga Grace.

Łagodnym ruchem wysunęła rękę z jego dłoni. Przekonała się już, że przyjmowanie niewinnych pieszczot zachęcało do śmielszych.

— Doszły mnie słuchy o jakiejś nowej twojej zamierzonej eskapadzie — powiedziała. — Podobno masz żeglować na zlecenie Admiralicji. Czy to prawda?

Dampier wstał i złożył wytworny ukłon. Zauważyła, że ufarbował sobie włosy, które nosił ówczesną modą długie, spadające na ramiona.

— Kapitan William Dampier do usług jejmość pani — oznajmił, a na jego pośpępanej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

Grace zerwała się również z kanapki, a uniósłszy spódnicy końcami palców, dygnęła ceremonialnie, mówiąc na wpół żartobliwie, choć ze szczerą dumą w sercu:

— Proszę przyjąć moje serdeczne powinszowania.

Admiralicja miała wyposażyć statek na wyprawę w celu zbadań wybrzeży Terra Australis, a następnie Nowej Gwinei i innych wysp po drodze, ze szczególnym uwzględnieniem możliwości nawiązania handlu towarami korzennymi. Pierwszy to raz Admiralicja obejmowała protektorat nad wyprawą odkrywczą. Statek miał wieźć pełen ładunek sukna, noży, siekier, żelaznych sztab, paciorków, małych zwierciadełek i innych przedmiotów chętnie przyjmowanych przez krajowców na wyspach wschodnioindyjskich.

— O ile sobie przypominam — zauważyła Grace — nie poznałaś zbyt dobrego mniemania o Terra Australis z tego, co widziałaś.

— Tak się sprawy układają — odrzekł potrząsając głową — że nasz rząd interesuje się tymi okolicami więcej niż jakimikolwiek innymi. Ponoć bogactwa Terra Australis mają być niezmiernie..

— Więc rząd nasz obiecuje nagrody i zaszczyty temu — wtrąciła Grace tonem, w którym kryła się nutka ironii — kto pierwszy otworzy drogę do tych bogactw.

— To są urzędnicy, którzy wysyłają mnie na zlecenie rządu — rzekł sztywno Dampier.

— Jeszcze nigdy nie widziałam urzędnika, który by nie potrafił założyć kompanii handlowej albo innym jakimś sposobem wzbogacić się kosztem państwa, gdy nadarza się sposobność po temu — odparła Grace, wyraźnie przeciwstawiając się podróży. Pożałowała tego od razu. Nie miała prawa oponować. Była to wielka sposobność, wielka szansa dla Dampiera. Ale na jak długo opuści ją znowu? To niebezpieczna wyprawa — czy powróci?

Ale nic nie mogło ugasić jego zapału, który ogarniał go zawsze na początku każdego przedsięwzięcia, a który tak często opuszczał go przedwcześnie.

— Gdybyśmy mogli osiedlić się i założyć faktorię na Terra Australis — dowodził — nie narazilibyśmy, się nikomu. Żadna europejska nacja nie zwraca oczu w tamtą stronę. Nawet Holendrzy tam nie zaglądną, choć już na dobre rozgościli się w Indiach.

— Może wiedzą, że to nie warte zachodu — szepnęła Grace. Nie chciała go zniechęcać, ale słowa wymknęły się wbrew jej woli.

— Nasz rząd chce mieć w każdym bądź razie dokładne i ściśle informacje — ciągnął Dampier. — Mam zbadać wszystkie wyspy, wybrzeża, zatoki, ujścia rzek, przylądki i naturalne przystanie. Mam brać pomiary głębokości, notować przypyływy i odpływy, obserwować prądy, wiatry, stan pogody — wszystko, co będzie przydatne przyszlým kolonistom.

— Czy dadzą ci dobry statek? — spytała Grace, westchnąwszy z rezygnacją.

— Obawiam się, że nie — odrzekł. — Wytarguję, co się da. Pierwszy, który mi zaproponowali, odrzuciłem. Zgodziłem się wreszcie na „Roebuck” — stara łajba, ale ostatecznie można na niej jeszcze pożegłować.

Grace położyła mu rękę na ramieniu i niespokojnie zajrzała w oczy.

— Ależ, Williamie, nie możesz brać takiego statku. Pomówię z Pierwszym Lordem Admiralicji. Nie powinieneś...

— Daj spokój, moja droga Grace. Wnosiłaś już tylekroć instancję za mną! Teraz pozwól, abym sam staczał moje bitwy i sam w tej sprawie powziął decyzję.

— A załoga? Dostaniesz dobrych, doświadczonych żeglarzy?



Dampier skrzywił się.

— Wiesz, że nie miałem nigdy zbyt wygórowanego mniemania o kunszcie żeglarskim bukanierów, ale teraz muszę ci przyznać, że oddałbym wszystkich ludzi, których mi przydzielono, za najgorszą z korsarskich załóg, z jaką kiedykolwiek żeglowałem. — Machnął ręką. — Tylko dwóch z mojej załogi, było kiedyś za równikiem.

— Williamie, to szaleństwo! — zawołała Grace, a zerwawszy się z miejsca, zaczęła szybkimi, lekkimi krokami chodzić tam i z powrotem po pokoju. — Sam nie przywiązujesz wagi do tej Terra Australis. Nie masz nadziei odkrycia tam bogactw. I bierzesz statek, który się nie nadaje do żegluga...

— Tak źle nie jest, moja droga — wtrącił.

— ...i załogę, do której nie masz zaufania!

— Niełatwo zwerbować ludzi na wyprawę, która nie obiecuje innych korzyści prócz wyżywienia i umówionych zasług. Już mnie niektórzy próbowali za język ciągnąć, a ja stanowczo odmawiam korsarskich napaści. Prosiłem tylko Admiralicję, aby przyrzeczono ludziom, którzy powrócą ze mną, dodatkową nagrodę. Inaczej by mnie opuścili przy pierwszej sposobności i zajęli się na własną rękę rozbojem na morzu.

— O tym powinieneś wiedzieć najlepiej — uśmiechnęła się Grace. Ale ponieważ nie zrozumiał jej docinku, więc mówiła dalej: — Czy popłyniesz szlakiem zachodnim?

— Chciałbym popłynąć przez Cieśninę Magellana. Mógłbym wówczas rozpocząć badania od wschodnich wybrzeży Australii...

— ...których jeszcze żaden biały człowiek nie oglądał — skończyła za niego, porwana zapalem.

— Wszelako z załogą niedoświadczonych młokosów nie mogę się puszczać na tak trudną przeprawę. Będę więc musiał opłynąć Przylądek Dobrej Nadziei i żeglować na wschód.

Usiadła przy nim i wsunęła mu rękę pod ramię.

— Williamie, mój drogi, pozwól mi pomówić z Pierwszym Lordem Admiralicji. Żeglować z załogą, której niedoświadczenie nie pozwala ci przedsięwziąć podróży w sposób, który uważasz za słuszny...

— Musisz to już mnie pozostawić — odparł ze spokojnym uporem. — Otrzymałem królewską plenipotencję.

Grace wiedziała, że już nie ma o czym mówić.

„Nowa podróż” Dampiera przyniosła mu uznanie i sławę, ale — jak zwykle książki w owych czasach — niewiele pieniędzy. Pewną sumę posłał z tego Judyście. Rozmawiali jeszcze chwilę o planach napisania drugiej książki po powrocie z wyprawy do wybrzeży australijskich. A potem już trzeba było się pożegnać.

— Kiedy przyjedziesz teraz? — zapytała.

Spojrzał poza nią przez okno na trawnik i dalekie drzewa.

— Jutro już będę na moim statku. Nie spodziewam się powrócić do Londynu.

Grace chwyciła oddech. Rękoma przycisnęła pierś.

— A więc to jest... do widzenia? Nie widziałam ciebie tak długo.

William nadal nie patrzył jej w oczy. Nie ufał sobie.

— Obawiam się, że to do widzenia, Grace, i to na długo.

Grace nie zamierzała tego zrobić, ale była tak zaskoczona. Zanim sama zdała sobie sprawę z tego, co robi, rzuciła mu ręce na szyję. Objął ją czule, obsypał pocałunkami jasne włosy. Łzy jej zmoczyły koronkę żabotu na jego piersi. Senior Drugi otworzył senne oko i przypatrywał im się ze swego drążka.

## Rozdział XXV

### POD GROZĄ BUNTU

Rankiem dnia 14 stycznia 1699 roku „Roebuck” o dwunastu działach i dwustu dziewięćdziesięciu tonach wyporności stał w pobliżu Deal na południowo-wschodnim wybrzeżu Anglii. Był chłodny zimowy poranek, ale na okręcie panował ruch. Ludzie uwijali się po pokładzie i roztarłszy zziębnięte palce wspinali się na reje. O godzinie dziewiątej kotwice były już podniesione i zamocowane, północno-wschodnia bryza wypełniała żagle. Kołysząc

się łagodnie okręt popłynął przez kanał La Manche. Srebrzyste fale pluskały rytmicznie o brzuchaty kadłub, pomost wznosił się wysoko nad zieloną wodą, mewy krążyły i przysiadały na masztach, jak troskliwe matki odprowadzające dzieci do szkoły.

Cała załoga wyległa na pokład lub na reje, ostatnim spojrzeniem żegnając Anglię. Na rufowce było tak tłoczno, jak nigdy w ciągu całej podróży. Kapitan William Dampier w czterdziestym siódmym roku swego życia płynął po raz pierwszy jako dowódca królewskiego okrętu. Pierwszy oficer John Hughes, także już niemłody, surowy i poważny, o nieposzlakowanym charakterze, potrząsał z zatroskaniem głową widząc niedoświadczenie i nieumiejętność załogi. Nie umiał jednakże zdobyć się na surowszą dyscyplinę.

— Może jutro rano dojrzymy jeszcze na chwilę pocziwą starą Anglię: południowo zachodni kraniec ładu — powiedział do Dampiera. Przesunął językiem po wargach, jakby rozkoszował się słonym smakiem i mówił dalej: — A może i nie. Jesteśmy bliżej francuskich wybrzeży, a poranna mgła ograniczy widoczność.

Dampier zmarszczył czoło i kiwnął głową. Troskliwym, nieomal ojcowskim spojrzeniem ogarnął tych pięćdziesięciu ludzi, których powierzono na długie miesiące jego opiece. Admiralicji Brytyjskiej mniej zapewne zależało na szczęśliwym powrocie tych ludzi niż jemu.

Z drugiej strony kapitana stał kwatermistrz Baptysta Watson, młodszy od Dampiera i niższy, o okrągłej czerwonej twarzy, zawsze wesół i gadatliwy, natomiast nie zawsze odpowiedzialny jako oficer. Śledząc spojrzenie Dampiera i odgadując jego myśli Watson rzekł:

— Cóż, niewiele się różnią od przeciętnej pirackiej załogi, nieprawdaż?

— Bukanierzy rekrutują się z tych samych środowisk — odrzekł Dampier, unikając wyrazu „pirat”. — Ludzie ci albo uciekają przed wymiarem sprawiedliwości, albo też ściągnięto ich tutaj siłą, wbrew ich woli.

Artylerzysta Filip Pain, młody oficer, który miał pieczę nad dwunastoma armatami „Roebucka”, przystojny mężczyzna o energicznych ustach i uczciwych niebieskich oczach, podszedł do Dampiera i rzekł:

— Za pana pozwoleniem, panie, kapitanie, pójdę sprawdzić, czy moje działa są w porządku.

— Artylerzyści są wszyscy jednacy — zauważył Dampier, ale bez uśmiechu, który by przekształcił jego słowa w komplement.— Wyobrażają sobie, że armacie zaszkodzi byle kropla morskiej wody. Ale idź, przyjacielu, nigdy nie będę powstrzymywał nikogo w jego pracy.

Razem z Painem oszedł porucznik George Fisher, niskiego wzrostu, o energicznych i zawadiackich ruchach, podobny do koguta na podwórku. Nie odezwał się ani słowem do kapitana. Gdy obaj zeszli na dół, Pain rzekł z pewnym zdziwieniem w głosie:

— Zapomniałeś pan powiedzieć kapitanowi, że odchodzisz.

— To nie moja wachta. Nie ma prawa wymagać mojej obecności na pokładzie — odparł ostro Fisher.

— Ale to jest w zwyczaju... — zaczął Pain, lecz widząc pogardliwy wyraz twarzy Fishera i jego wojowniczo wysunięty naprzód podbródek, zmienił temat. — Kapitanowi poprawi się teraz humor. Nie mógł się już doczekać, kiedy wyjdziemy. Pókiśmy byli na lądzie, gryzł się ciągle i martwił.

— Ten stary rozbójnik — rzekł z głęboką pogardą Fisher. — Dali mu dowództwo okrętu Jego Królewskiej Mości! Nigdy w życiu na to nie zasłużył! Pewno, że mu się humor poprawił! Teraz już się o nic martwić nie będzie — ani o nikogo!

Wykręcił się na pięcie i oszedł do swojej kabiny, odprowadzany pełnym wyrzutem spojrzeniem Paina. Od strony pokładu doleciał go jeszcze śmiech i rozbawione głosy dwóch młodszych oficerów, Roberta Chadwicka i Johna Knighta, wespół z którymi wybrał się poprzedniej nocy na pożegnalną pohulanekę z dziewczętami w Deal.

Kwaternistrz, opuściwszy Dampiera, rozmawiał z kucharzem okrętowym, Johnem Pary, który stał przy schodach prowadzących do kabin oficerskich. Płatnik Walter Douglas — który, straciwszy oko w bitwie morskiej z Francuzami, miał zwyczaj mawiać, że swoim jednym pozostałym okiem prędzej durnia dojrzy niż inni dwojgiem oczu — zajął miejsce kwaternistrza na rufówce i gestykułując żywo, opowiadał kapitanowi:

— Mówiłem już panie kapitanie, i znowu powtarzam: żadnej

eksperyencji w podróżach tropikalnych nie ma ta nasza załoga! Same żółtodzioby! Spodnie sobie ze strachu powalają, kiedy pierwszy raz tornado w statek uderzy!

— Oficerowie powinni ich pouczać i świecić przykładem — orzekł sztywno Dampier.

— Ba, gdyby oficerowie trzymali się kupy, może by i można coś poradzić, ale tak! — Rzucił z ukosa spojrzenie na kapitana. — Najzaciejszego można czasem do buntu nakłonić, jeśli jakiś mąciwoda zacznie podburzać a wicherzyć!

— Liczę na pana — odparł Dampier. — Przy pana doświadczeniu...

Kapitan aż nadto dobrze zdawał sobie sprawę, że sam nie miał praktyki w dowodzeniu. Inna rzecz krytykować Swana i Reeda, a inna, ale to zupełnie inna sprawa samemu w czyn wprowadzać wszystkie swoje dawniejsze rady i zalecenia...

Możesz pan liczyć na mnie — burknął Douglas, a jego szorstki głos dodawał otuchy i budził zaufanie.

Okręt rozwijał szybkość w miarę oddalania się od brzegu. Opodal płynęły okręty marynarki wojennej, zdążające do portów na południowym wybrzeżu Anglii. Marynarze odchodzili od burty. Bosman John Norwood, gniewliwy jegomość o zaczerwienionych oczach i mocno zaciśniętych wargach, przywołał gwizdkiem marynarzy z masztów i kazał im zleźć na dół, jeśli nie mieli wyznaczonej wachty. Trzej druhowie: Edlington, Hallaway i Grigsen, najstarsi bodaj marynarze w całej załodze, którzy obecnego kapitana pamiętali z czasów, gdy jeszcze i on był w forkasztelu, ulokowali się wygodnie na rei przy głównym maszcie. Na odgłos gwizdka zeszli od razu, nie dlatego iżby byli wzorem dyscypliny, ale, jako stare wygi, wiedzieli doskonale, kiedy niesubordynacja ujdzie im płazem, a kiedy lepiej nie ryzykować.

— Zgraja rozpuszczonych próżniaków! Za grosz dyscypliny! — rzekł głośno Grigsen, gdy trójka przyjaciół przechodziła obok kilku marynarzy, wychylających się jeszcze tęsknie przez burty w stronę znikającego na horyzoncie wybrzeża. — Hej, ty, mały! Jak tam ciebie zwą! Rayns! — zawołał do jednego z młodzików. — Twój oficer zszedł pod pokład. Będzie cię potrzebował, byś mu podogonie wytarł!

Rayns, który był ordynansem Fishera, drobny, szczupły, o szczu-  
rzej twarzy, odwrócił się z obnażonymi w groźnym grymasie zę-  
bami, ręką chwytając za kordelas nadzwyczajnej wielkości, który  
sobie za pas zatknął. Ale trzech przyjaciele już przeszli, a Rayns  
znalazł się nos w nos z gniewnym bosmanem Norwoodem. Zbity  
z tropu, uśmiechnął się głupio i udał, że pas na sobie poprawia.

Dampier zaobserwował z rufówki tę scenkę. Nicpoń z tego  
Raynsa, to wiadomo, ale nawet i kapitan niewiele może poradzić,  
jeżeli marynarz jest osobistym służącym i pod szczególną opieką  
oficera, który go ze sobą na statek sprowadził. Teraz Norwood  
zapędzał do roboty resztę wałkoni, sterczących przy burcie. Czter-  
ech z nich: Bugsby, Boate i Harris już w porcie, przy ładowaniu  
statku zdradzali skłonność do tajemniczego poszeptywania i sku-  
piania się po kątach. Zarazem podlizywali się Fisherowi, niby to  
uważając go za bohatera wojennej marynarki. Czwarty, Aleksander  
Beale, młodszy od nich, atletyczny i gibki, trzymał się swych  
kompanów chyba tylko dlatego, że jako zupełny żółtodziób przy-  
szedł razem z nimi na pokład.

Kwaternistrz Watson powrócił na rufówkę i znowu odgadując  
myśli kapitana rzekł:

— Kiedy już będziemy na pełnym morzu, to i dyscyplinę łat-  
wiej będzie utrzymać. Teraz jeszcze myślą o domu i o spódnicz-  
kach dziewcząt, które tam zostały. — Machnął ręką w stronę  
niknących na horyzoncie zarysów lądu.

Dampier skinął głową.

— Ale co poczniemy z tym cieślą Foxem? — zapytał. — To  
jest właściwie pański kłopot, ale może się okazać kłopotem dla  
nas wszystkich.

— Fox jest do niczego — rzekł wesoło Watson, nie tracąc by-  
najmniej dobrego humoru. — Mówiłem już, panie kapitanie, że  
trzeba było wziąć kogoś innego na jego miejsce.

— Admiralicja nie zgadzała się na zmiany — odrzekł Dam-  
pier. — Niepokoi mnie nie tylko to, że z niego kiepski cieśla, ale  
że na dobitkę stara się własną nieumiejętność pokryć narzeka-  
niami na okręt.

— Właściwie mówiąc, to on ma rację, panie kapitanie — rzekł  
Watson z niezmaconą pogodą, która kontrastowała z poważną

i niespokojną twarzą kapitana. — Przecież „Roebuck” to łajba, która w ogóle się nie nadaje na tak daleką wyprawę.

W głębi ducha Dampier przyznawał mu słusność, ale wołał zamilczeć o tym. Odwrócił wzrok i znowu jał obserwować swoich marynarzy. Każdy był inaczej odziany — w owych czasach nie było umundurowania nawet w królewskiej marynarce. Nosili, co kto miał lub co uznał za wystarczająco atrakcyjne, jeśli mógł sobie pozwolić na kupno — szerokie spodnie, jaskrawe bluzy, czarne płaskie kapelusze lub fantazyjnie zawiązane chustki na głowie, najczęściej czerwonego lub pomarańczowego koloru. Bywali tacy, co nigdy dalej jak do wybrzeży Gwinei nie zapłynęli, ale złoty kolczyk w uchu nosili. Im który był młodszy, tym groźniejszy kordelas i pistolety wsadzał za kolorowy pas.

Wieczorem pierwszego dnia podróży Dampier zdecydował, że trzeba załagodzić niesnaski, które zarysowały się pomiędzy porucznikiem Fisherem z jednej strony, a doktorem Borthwickiem długokościstym Szkotem, młodziutkim, piegowatym midszypmenem Jamesem Burnaby i pisarzem okrętowym Jamesem Brandem, także Szkotem. Z okrętów wojennych Fisher wyniósł przyzwyczajenie traktowania „medykusa”, Bp go pogardliwie nazywał, tak jak traktował prostych marynarzy. Życie wśród bukanierów, gdzie o lekarza, zwłaszcza dobrego, było trudno, nauczyło Dampiera szacunku dla tego zawodu. W oczach zawodowego oficera królewskiej marynarki midszypmeni też byli istotami nieskończenie niższymi od tak ważnej osoby jak porucznik. A co do pisarza okrętowego — „przekłete skryby, wysługujące się kapitanowi” — to go w ogóle nie raczył zauważyć młody człowiek, oddychający jeszcze aromatem morskich bitew.

Kapitan Dampier zaprosił ich wszystkich, z dodatkiem dwóch jeszcze oficerów: Hughesa i Knighta, na szklaneczkę ponczu w kabinie kapitańskiej. Nie był to sukces dyplomatyczny. Porucznik Fisher rozmawiał wyłącznie z kapitanem i dwoma oficerami, pozostałych trzech jakby nie zauważał, celowo przerywając każde ich odezwanie się, wymuszając pierwszeństwo dla siebie. Ale to nie było wszystko.

— A co pan zamierza przedsięwziąć, kapitanie — zapytał Fisher, gdy waza z ponczem była już w trzech czwartych opróżniona, a na jego twarz wystąpiły czerwone plamy i oczy błysz-

czyły mu nienaturalnie — jeśli w pobliżu Indii natkniemy się na piratów?

Dampier zorientował się w niebezpieczeństwie i próbował je wyminąć.

— Miejmy nadzieję, że potrafimy lepiej od nich żeglować. Nasza załoga, w dodatku nieliczna, nie ma doświadczenia w walce wręcz.

— A ja bym walczył z nimi, zwyciężył, a potem powywieszał wszystkich, jak psów — oznajmił wyzywająco Fisher. — Gdyby każdy tak postępował, nasi kupcy mogliby spokojnie handlować.

— W królewskiej marynarce mówi się często o nieludzkim okrucieństwie piratów — wtrącił John Hughes. — Może więc wypadałoby nam okazać więcej ludzkości, niż pan proponujesz, poruczniku.

— Ta sprawa w ogóle nie wchodzi w rachubę — upierał się Dampier. — Nie mamy żadnej szansy nawet, by wziąć do niewoli jedną szalupę z piratami, cóż dopiero statek. Oni są śmiali i nieustraszeni w walce.

— Pan z pewnością wiesz o tym najlepiej — rzekł Fisher z jawnym szyderstwem w głosie. — Ale od chwili, kiedyś pan uzyskał... — jego pogardliwy głos insynuował przekupstwa, nepotyzm i różne nieprawości — kiedyś pan uzyskał rangę kapitana, obowiązkiem pana, niezależnie od osobistych skłonności do dawnych... niezależnie od pańskich zasad, obowiązkiem kapitana jest piratów chwycić i wymierzać im sprawiedliwość.

Gdybyż na miejscu Dampiera był w tej chwili Bartłomiej Sharp! Biedny kapitan czuł, że wzbiera w nim głucha pasja, ale poradzić sobie z przeciwnikiem w tej szermierce słownej nie umiał. Wzgardliwa arogancja tamtego mieszała go i zbijała z tropu.

— Nie rozmawiamy teraz o moich zasadach — powiedział niezręcznie. — Stwierdzam, jakie byłyby nasze praktyczne szanse w danych okolicznościach.

Fisher głębokim haustem wypróżnił szklanke ponczu i wstał. Zachwiał się nieco, rękoma wsparł o stół, po czym, nie pytając o pozwolenie i nie żegnając się z nikim, odwrócił się i odszedł. W otwartych drzwiach przystanął jeszcze i rzucił w twarz kapitanowi:



— Piraci nie mogą rozmawiać o zasadach — bo ich nie mają!

Doktor Borthwick i młody John Knight porwali się na nogi, każdy chwytając za rękojeść swojej szpady. Dampier, nie ruszając się z miejsca, podniósł rękę uspokajającym gestem. Fisher trzasnął drzwiami.

— Ależ, kapitanie, to zniewaga!

— Wolę nie wszczynać burd, jeśli możemy tego uniknąć — rzekł Dampier głosem spokojnym na pozór, ale nabrzmiałym tłumioną pasją.

Od pierwszej chwili, gdy Fisher wstąpił na pokład, jego zarozumiała pewność siebie drażniła Dampiera. Urodzony w katolickiej irlandzkiej rodzinie, George Fisher wyparł się swoich współbraci i pomagał Anglikom umocnić znienawidzone rządy protestancko-angielskie w Dublinie. Wtedy też zawarł znajomości z wysoko ustosunkowanymi osobistościami w brytyjskim rządzie i w armii. Byłoby bezcelowe prosić o przeniesienie go na inny okręt.

Fisher dał do zrozumienia kilku marynarzom, których wybrał sobie za zauszników, że po przebyciu równika kapitan zamierza wysadzić załogę na jakiejś bezludnej wyspie i zebrawszy nowych ludzi zająć się pirackimi napaściami. Namawiał więc, aby załoga zażądała powrotu „Roebucka” do Anglii, gdzie Fisher miał nadzieję, skompromitowawszy Dampiera, samemu objąć komendę statku. Jego zausznicy przyrzekli wciągnąć do buntu całą załogę. O tym wszystkim James Brand, pisarz okrętowy, powiadomił kapitana, ale ten nie umiał zdecydować się na żadną energiczniejszą akcję, dopóki okoliczności go do tego nie zmusiły. Na szczęście, arogancja nie idzie w parze z taktyką i Fisher, gdy tylko mógł się dorwać do władzy, zrażał sobie ludzi nadmierną surowością. Dampier zachorował i przez dwa dni nie opuszczał kajuty: Fisher natychmiast za nie dość szybkie wykonanie rozkazu skazał Griggesa na sześć uderzeń batogiem.

„Roebuck” zawinął do Santa Cruz, głównego portu na wyspie Teneryfa, by zaokrętować wino i koniak. Santa Cruz zasłynęło z wina, zwanego verdone, które, chociaż mało cenione w Europie, cieszyło się wielkim powodzeniem w tropikach, gdyż przechowywało się dobrze w gorącym klimacie. Morze było dość burzliwe i gubernator, przyszedłszy na pokład, w obliczu zastawionego do

uczty stołu zbladł nagle, zzieleniał i rozejrzawszy się wokół rozpaczliwie uciekł, by więcej nie powrócić. Odwiedzono również wyspę Mayo, by zaopatrzyć się w sól, która kosztowała tutaj tyle tylko, ile trzeba było zapłacić ludziom za zgrabienie białej warstwy z dna wysychających, płytkich zalewów, a potem za przywiezienie pełnych worów na grzbietach osiołków. Odzież tubylców zdradzała rodzaj zapłaty, jaką otrzymywali za swą pracę: zniszczone pantalone, bluzy, kaftany, kapelusze — nosiły nieomyślne znamię żeglarskiego gustu.

Wkrótce po wyjściu okrętu „Roebuck” znowu na pełne morze bosman Norwood natknął się na Raynsa, który prznosił hamak i pościel porucznika Fishera do pinasy umocowanej na pokładzie.

— Fora ze dwora, mój chłopcze! — rzekł bosman. — W tej łodzi nikt spać nie będzie, rozkaz kapitana.

— Ale mój porucznik...

— Nic na to nie poradzę. Taki jest rozkaz kapitana.

W tym momencie na scenę wkroczył sam porucznik Fisher.

— Mnie kapitan takiego rozkazu nie wydawał — oznajmił. — Rayns, zrób co ci powiedziałem. Pod zwrotnikami przywykłem sypiać pod gołym niebem.

Norwood sprowadził Dampiera.

— To jest przeciwne moim rozkazom, poruczniku — powiedział Dampier. — Oczekuję po moich oficerach, iż będą świecili przykładem, a nie próbowali podważyć mój autorytet.

Wypinając pierś, z głową zadartą do góry, Fisher potrząsnął pięścią przed samym nosem Dampiera i zawołał:

— A mnie nic nie obchodzą rozkazy jakiegoś przeklętego pirata!

— Awanturowanie się w obliczu załogi tylko utrudni nasze położenie — powiedział Dampier bardzo spokojnie, ale rękę mocno zacisnął na lasce, którą zwykł nosić ze sobą. — Proszę do mojej kabiny, poruczniku Fisher.

Fisher poszedł za nim z butną miną, odwracając się jeszcze, by mrugnąć porozumiewawczo do paru marynarzy, których zwabiły odgłosy zapowiadającej się zwady. W nieświadomości obyczajów obowiązujących w marynarce królewskiej, Dampier udzielił o wiele zbyt łagodnie sformułowanej nagany porucznikowi Fisher.

rowi, od którego nie doczekał się nawet zdawkowego przeproszenia.

Ten incydent skłonił Fishera do jeszcze energiczniejszego spiskowania i buntowania załogi przeciw kapitanowi. Gdy któregoś dnia kwatermistrz przyniósł na pokład worki z sucharami, porucznik podniósł jeden i pokazując go tym spośród załogi, którzy znaleźli się w pobliżu, zawołał:

— Przyjaciele! Te suchary nie są jadalne! Ja tu niczyjego nazwiska nie wymieniam, ale ktoś was chce otruć, to jasne!

John Hughes kazał wyjąć wszystkie suchary z worka i przełamawszy parę, ugryzł kawałek i smakował uważnie.

— No cóż, jadalem w życiu gorsze, nawet w Anglii — rzekł, na w pół do kwatermistrza, na w pół do Fishera.

Na widok coraz liczniejszego zbiegowiska, Dampier przyszedł i kazał marynarzom powrócić do swoich zajęć.

— Nie dostaniecie zepsutych sucharów — zapewnił ich. — Panie kwatermistrzu, proszę przebrać te suchary i każdy nadpsuty — za burtę!

— Pięknie powiedziane — szydził Fisher. — Ale dobrze się składa, że przynajmniej ktoś na tym statku troszczy się o ludzi!

Dampier zdecydował, że „Roebuck” popłynie na południe, do Brazylii, gdzie chciał jeszcze dopełnić zaopatrzenia statku i dać wypoczynek ludziom przed ostatnią, najdłuższą i prawdopodobnie nieprzerwaną częścią podróży do wybrzeży Terra Australis — którą zwano także Nową Holandią. Na statku już się pojawiły choroby, głównie z winy samych marynarzy. W pobliżu równika natknęli się na gwałtowne nawałnice przerywane okresami ciszy. Po każdej takiej ulewie, gdy wszyscy byli przemoczeni do nitki, Dampier kazał kwatermistrzowi wydawać porcję rumu na głowę, a doktor przypominał, że każdy musi się przebrać w suchą odzież. Byli tacy, którzy nie mieli koszuli na zmianę, ale najczęściej nie przebierano się po prostu z lenistwa, lekceważąc zarządzenia. Nastrój intryg i waśni na statku źle wpływał na subordynację. Leżeli więc w swoich hamakach, parując z mokrej odzieży, a rezultatem była febra.

— Odgaduję pańskie intencje — dowodził któregoś dnia oskarżycielskim tonem Fisher. — Chcesz pan wysadzić mnie na ląd

w tej Brazylii. Jeżeli pan to uczynisz, klnę się Bogiem, że spotka pana sąd wojenny! Już ja to urządzę! I nigdy więcej nie dostaniesz pan dowództwa okrętu. Mam w Anglii pod dostatkiem wpływowych przyjaciół, by to przeprowadzić!

Dampier nie miał wcale takich intencji. Ale w parę dni później zmienił zdanie i doszedł do przekonania, że ten pomysł jego porucznika może być najlepszym rozwiązaniem sprawy. A zmienił zdanie dlatego, że jego długo tłumiona złość wybuchła wreszcie z nieopanowaną pasją. Było to pewnego wczesnego ranka, gdy Dampier, wszedłszy na pokład, by objąć wachtę po Fisherze, znalazł wszystkich wachtowych wokół beczułki z piwem i mocno już podpitych. Posłał po marynarza sprawującego pieczę nad trunkami.

— Jak to się stało, że otrzymaliście beczkę w nocy, wbrew regulaminowi? — zapytał.

— Z rozkazu porucznika Fishera, panie kapitanie.

— Porucznika Fishera? — Dampier zwrócił się do niego.

— A tak! Ja kazałem! — rzekł wyzywająco Fisher, zadzierając głowę do góry.

— Wbrew moim instrukcjom? — Gniew wzbierał w nim gorącą falą. Fisher posunął się za daleko. Teraz był już po niejednym kuflu piwa i stał w aroganckiej pozie, chwiejąc się z lekka.

— Mówiłem już i powtarzam raz jeszcze — odparł Fisher bardzo głośno, aby wszyscy mogli usłyszeć — że akurat tyle dbam o pańskie instrukcje...

Nie dokończył. Poczul na swoich ramionach zamaszysty cios laski Dampiera. Upuścił kufel z piwem, który z brzękiem potoczył się po pokładzie. Laska podnosiła się i opadała z niespodziewaną energią. Porucznik wrzeszczał wniebogłose, choć chronił go gruby płaszcz, który zwykle nosił na nocnej wachcie i Dampier nie mógł mu uczynić wielkiej krzywdy. Uciekł w stronę rufy, wrzeszcząc bez przerwy, a Dampier za nim, nie przestając go okładać. John Hughes, przywołany przez Raynsa, wpadł na pokład w samej tylko koszuli i chwycił kapitana za ramię. Dampier ochłonął. Gdy grad pocisków ustał, Fisher odwrócił się, bliski płaczu z upokorzenia i bezsilnej złości:

— Ty rozbójniku... rzezimieszku... co za kapitan, żeby okładać

kijem podwładnego oficera... na pokładzie... na oczach całej załogi... ty piracie.

— Podwładnego, który podburza przeciw zwierzchnikowi — rzekł Dampier już spokojny. — Panie Hughes, proszę zaprowadzić porucznika do jego kajuty i zamknąć go na klucz. Poruczniku Fisher, jesteś pan aresztowany.

Powróciwszy na pokład, już ubrany, Hughes rzekł:

— Proszę mi wybaczyć śmiałość, panie kapitanie, ale pozwolę sobie zauważyć, że pan nie powinien był tego robić.

— Co? Nie powinienem był go zamknąć w kajucie? — spytał Dampier zdziwiony.

— Nie. Wybić, go.

— Wiem — przyznał Dampier niechętnie. — Ale już nie mogłem tego dłużej ścierpieć.

— Rozumiem — zgodził się Hughes. — Tylko, że na czym innym rzecz polega. Musi pan go teraz wysadzić na ląd. A porucznik Fisher potrafi narobić panu nie lada kłopotu.

Dampier wzruszył ramionami.

Zamknięty w swojej kajucie Fisher nie cierpiał w milczeniu. Rozpuścił język i wymyślał Dampierowi, aż się statek trząsał. Załoga podzieliła się na dwa obozy. Zwolennicy Fishera ostentacyjnie odwracali się plecami do kapitana, ilekroć przechodził. Bosman Norwood, ze względu na swą wieloletnią służbę w marynarce królewskiej, zdecydował się po namyśle opowiedzieć po stronie Fishera, a przeciwko „nawróconemu bukanierowi”. Grigsen przyniósł wieści, że stronnicy Fishera knują spisek i zamierzają porwać kapitana i Hughesa, powierzyć dowództwo porucznikowi i zawrócić do Anglii. Dampier zlekceważył te wiadomości, ale młodszy oficer John Knight i płatnik Douglas nakłonili go, by sypiał w ciągu ostatnich trzech czy czterech nocy przed przybyciem do Brazylii, do Bahia de Todos los Santos (dzisiejszy Salvador), na pokładzie, razem ze wszystkimi oficerami, wyjąwszy kwatermistrza Watsona i młodego Chadwicka, o których lojalności powątpiewano. Artylerzysta Pain poprosił o pozwolenie, którego mu udzielono, trzymania pod zamknięciem prochowni i zbrojowni.

W tym stanie na wpół obłączenia zawiązał „Roebuck”, pierwszy

okręt pod komendą Dampiera, do portu w Bahia dnia 23 marca i rzucił kotwicę między trzydziestoma okrętami europejskimi i sporą ilością drobnych stateczków.

Nastrojony ugodowo Dampier wezwał na naradę swych oficerów. Chodziło mu o to, czyby nie powinien uwolnić porucznika Fishera, jeśli ten da słowo honoru, że na przyszłość będzie traktował swego kapitana i jego zarządzenia z należytym respektem.

— Ja bym głosował za wypuszczeniem go na wolność — odezwał się Baptysta Watson. — Według mnie potraktowano go niewłaściwie...

— Traktowano go niewłaściwie aż nadto długo! — odparował Douglas. — Od dawna mu się należała porządna nauczka. Gdyby kapitan osadził go na miejscu dużo wcześniej...

— Nie rozrządzamy kwestii mojego dawnego postępowania — uciął Dampier. — Pytam panów o zdanie, jak mamy teraz postąpić.

— Chciałbym uniknąć kłopotów w przyszłości — rzekł John Hughes.

Lekarz milczał, choć miał wszelkie powody, aby życzyć sobie odjazdu aroganckiego i obelżywego porucznika.

— Proszę najpierw to przeczytać — artylerzysta Pain podał przybrudzoną kartkę papieru.

— Co to jest? Gdzie pan to znalazł?

— Pan Knight, doktor i ja przydybaliśmy dziś marynarza Bugsby w ciemnym kącie i pozwoliliśmy sobie obszukać go. Mieliśmy pewne podejrzenia. Tę kartkę znaleźliśmy przy nim. Wypisane jest tutaj żądanie, aby kapitana Dampiera złożyć z komendy.

— Czy Fisher maczał w tym palce?

— Marynarz Bugsby przyznaje, że porucznik Fisher kazał mu to napisać i kolportować wśród załogi, bo narady spiskujących mógłby ktoś podsłuchać.

Przywołano Bugsby, który powtórzył swoje zeznania.

Gubernator w porcie Bahia zgodził się zatrzymać Fishera pod aresztem do czasu, kiedy będzie go można odesłać do kraju na innym okręcie. Uzbrojony po zęby oddział marynarzy odstawił Fishera na ląd, a z nim marynarzy Bugsby, bosmana Norwooda i służącego Raynsa.

Fisher zszedł do łodzi i wygrażając pięścią w stronę rufówki krzyknął:

— Choćbym miał ostatni dech z siebie wyprzeć, nie ustane, póki nie ściągnę sprawiedliwości na głowę tego pirackiego bękarta, który zwie siebie dowódcą królewskiego okrętu!

Dampier nawet się nie odwrócił w jego stronę. Gdy łódź oddalała się od burt „Roebuck”, powiedział z satysfakcją do doktora Borthwicka, który stał przy nim:

— No! Teraz zajmijmy się spokojnie przygotowaniami do dalszej podróży. Wylecz pan prędzej swoich chorych, mój kochany konsyliarzu, i w drogę!

Ale długokościsty Szkot posępnie potrząsnął głową, patrząc za oddalającą się łodzią:

— Kiepska sprawa! Jeszcze o nim posłyszemy!

— Takie rzeczy się zdarzają — odrzekł Dampier, stukając laską w burzę. — Franciszek Drake musiał skazać na śmierć osobistego przyjaciela, człowieka bardzo wpływowego na dworze, zanim osiągnął zgodę i ład w swojej flotylli, z którą wyprawił się na opłynięcie globu ziemskiego.

## Rozdział XXVI

### WZGARDZONA AUSTRALIA

Gdy w miesiąc później „Roebuck” wypłynął z portu Bahia, kwatermistrz Watson i młodszy oficer Chadwick nie pozwalali się nikomu prześcignąć w usłudze i uwielbieniu dla kapitana. Odkąd zabrakło prowodyrów buntu, załoga uspokoiła się i zabrała do normalnych zajęć. Aleksander Beale, rozkoszując się z młodzieńczym entuzjazmem swoją pierwszą żeglarską wyprawą, zapomniał o narzekaniach i spiskach i zapowiadał się na doskonałego marynarza, najlepszego z całej załogi. Wszelkie znaki wskazywały, że Dampier zaprowadził ostatecznie ład i dyscyplinę na statku; dowiódł, że nie będzie tolerował lekceważenia swego

autorytetu. Nieszczęściem zabrał się do tego za późno i w porywie pasji, która zaćmiła na chwilę jego trzeźwy, zdrowy rozsądek. Jego niepohamowany wybuch miał być później ukarany i publicznie osądzony jako „gwałtowny i okrutny”.

Według sprawozdania, które Dampier miał opublikować po powrocie do Anglii p.t. „Podróż do Nowej Holandii i innych krain w roku pańskim 1699”, przeprawa z Brazylii aż do chwili, gdy ujrzeli brzegi Australii, przebiegała bez nadzwyczajnych wydarzeń. Początkowe wschodnie wiatry zmusiły ich do trzymania się kursu na południe, dopóki nie dostali się w strefę wiatrów zachodnich. Załoga przypatrywała się harcom delfinów i polowała na rekiny, które gotowano w occie z dodatkiem korzeni. Potrawa ta tylko o tyle cieszyła się powodzeniem, że stanowiła zmianę w monotonnym marynarskim jadłospisie.

»Nic szczególnie ważnego do zanotowania — pisał Dampier w tym czasie. — Przepłynęliśmy obok zdechłego wieloryba i widzieliśmy tysiące chyba morskiego ptactwa żerującego na nim albo też unoszącego się na falach w oczekiwaniu swojej kolejki. [...] Różnego kształtu, wielkości i barwy; niektóre rozmiarów sporej gęsi, o szarym upierzeniu na grzbiecie i skrzydłach, a białe pod spodem; zaobserwowałem też gołębie kapsztadzkie, wielkością prawie kaczkom dorównujące, biało-czarne.«

Nieustanną niepewność żeglarza z XVIII wieku co do położenia jego statku dobrze ilustruje zdumienie Dampiera, gdy dnia 2 czerwca na południowej szerokości trzydziestu pięciu stopni zaobserwował »sporego, czarnego ptaka o dużym płaskim, białym dziobie«. W jednej z bardzo nielicznych książek, które służyły jako pomoc w nawigacji, zatytułowanej „Angielska locja” wyczytał, że pojawienie się takich ptaków należało przyjąć za oznakę, iż są nie dalej, jak o dziewięćdziesiąt mil od Przylądka Dobrej Nadziei. Tymczasem według jego obliczeń odległość wynosiła dwieście siedemdziesiąt mil — ale ptak wiedział lepiej! Następnego dnia „Roebuck” napotkał statek „Antelope”, płynący do Indii Wschodnich, który poprzedniego dnia opuścił Przylądek Dobrej Nadziei oddalony zaledwie o sześćdziesiąt mil.

Spotkanie z „Antelope” sprawiło wielką satysfakcję Dampie-



rowi, gdyż przekonał się, jakiej sławy przysporzył mu pierwszy tom jego „Podróży”. Zarówno kapitan statku Hammond jak i Sir Edward Littleton, który płynął do Bengal, gdzie miał objąć stanowisko dyrektora kompanii wschodnioindyjskiej, obaj znali i gorąco chwalili jego książkę. Powitali go na pokładzie swego statku z wielką serdecznością, a gdy wreszcie wracał na „Roebuck”, obdarowali go bardzo pożądanymi w owej chwili prezentami, jak świeżym mięsem, warzywami, masłem i innymi cennymi dodatkami do codziennego jadłospisu.

Nie zawinęli do portu w Kapsztadzie ani nigdzie indziej. Dnia 1 sierpnia o świcie zaobserwowali kilka ptaków podobnych do albatrosów, ale o rozdwojonych ogonach i czarnym upierzeniu koło oczu. Tegoż dnia o godzinie dziewiątej rano Aleksander Beale obwieścił radośnie z topu:

— Łąd!

Kapitan we własnej osobie, oficerowie, i kto żyw, każdy wspiął się na maszty.

— Ziemia jak ziemia — zaśmiał się Knight.

— Jeszcze jakieś trzydzieści mil odległości — ocenił Dampier. — Na taka odległość oczywiście nie można żadnych szczegółów zobaczyć.

W południe widać już było z pokładu wybrzeża Nowej Holandii, oddalone o około osiemnastu mil.

— Sondować! — polecił Dampier Grigsenowi, którego awansowano na bosmana po Norwoodzie. Wkrótce Grigsen zaczął wywoływać:

— Czterdzieści sążni!

Gdy podpłynęli bliżej wybrzeża, coraz wyraźniejszego, przerywanego tu i ówdzie czerwonymi lub białymi skałami, dno oceanu zaczęło im „uciekać”.

— Pięćdziesiąt cztery sążnie!

Rozglądali się za przystanią w nadziei szybkiego wylądowania po podróży, która trwała z górą czternaście tygodni. Dostrzegli coś w rodzaju zatoki.

»Lecz kiedyśmy bliżej podeszli do ujścia szerokości około sześciu mil morskich — pisał Dampier — widzieliśmy tylko skały,

wybrzeże haniebne, żadnego drzewa, ani krzewu, ani nawet trawy, więc odeszliśmy znowu dalej. Było tam dwadzieścia sążni głębokości na odległości dwóch mil od brzegu. Sondując, wyciągaliśmy bardzo rozmaite rodzaje piasku: to drobniejszy, to znowu gruby, żółtawy, biały, szary, brunatny albo też niebieskawy.«

W ciągu kilku dni jeszcze płynęli wzdłuż wybrzeża, wypatrując dogodnego miejsca. Kwatermistrz Watson choć zawsze wesół niecierpliwiał się coraz bardziej.

— Musimy gdzieś wreszcie zakotwiczyć! Na gwałt nam potrzeba wody i świeżej żywności! — nalegał i bardzo słusznie ze swojego punktu widzenia, ale Dampier i Hughes też mieli rację, gdy nie zgadzali się zakotwiczyć wśród skał, na głębokich wodach w pobliżu skalistego wybrzeża, gdzie nieco silniejszy sztorm mógł uszkodzić okręt.

Dopiero 6 sierpnia znaleźli dogodniejszą zatokę. Pierwszy oficer i kwatermistrz popłynęli najpierw łodzią, sondując bez przerwy i podając głębokości Knightowi, który czuwał na forkasztelu „Roebuck”.

Głębokość zmniejszała się stale. Na koniec Watson zawołał:

— Siedem i pół sążnia!

John Knight powtórzył, odwracając się do rufówki:

— Siedem i pół sążnia, kapitanie.

— Dość! — odrzekł Dampier. — Rzucić kotwicę, Grigsen.

Watson i Chadwick pierwsi wyskoczyli z łodzi na brzeg.

— Z wodą będzie kłopot — zawiadomił kwatermistrz Dampiera po powrocie. — To wybrzeże nie wygląda obiecująco.

Następnego ranka Dampier wybrał się na ląd, a z nim prawie cała załoga niosąc łopaty, kilofy i siekiery. Brzeg był niski, piaszczysty, podnoszący się stopniowo w miarę oddalania się od morza, ale gleba nadal pozostawała piaszczysta, tylko o nieco czerwonym zabarwieniu, porośnięta kolczastymi krzewami i kępami szorstkiej trawy. Dalej widniały drzewa, do trzech stóp w obwodzie, wysokości dziesięciu stóp, pokryte barwnym, wonnym kwieciem.

Żartując po swojemu Watson zaganiał jednak ludzi do kopania studni, ale kilkakrotne próby nie dały rezultatów. Tylko słonawa ciecz sączyła się z głębokich dziur. Pierwszy oficer Hughes, który

poprowadził część załogi po drewno na opał, miał więcej szczęścia i wkrótce przyniesiono cały stos polan, których aromatyczne drewno paliło się dobrze i zyskało uznanie starego Johna Pary, kucharza. Upominał się tylko o świeże mięso.

Dampier, artylerzysta Filip Pain, lekarz Borthwick i płatnik Douglas, który choć o jednym oku, był wybornym strzelcem, wybrali się na polowanie. Wkrótce uszu tych, którzy kopali w poszukiwaniu wody i tych, którzy rąbali polana, doszły pożądane i wiele obiecujące odgłosy strzałów. Pod wieczór myśliwi powrócili niosąc dzikie kaczkę oraz dziwaczne zwierzę, w rodzaju legwana, czarno nakrapiane, o wielkiej, brzydkiej głowie i sterczącym ogonie, który wyglądał z dala, jakby druga głowa: tylne łapy były tego samego kształtu, co przednie.

John Pary nieufnie obejrzał zwierzę i bez zwłoki ostrym nożem rozciął mu brzuch. Myśliwi, nachyleni z ciekawością nad swoją zdobyczą, odskoczyli gwałtownie, jak jeden mąż. Okropny smród uderzył ich w nozdrza. Przekonali się wkrótce, że mięso tych zwierząt tak było tym zapachem przesiąknięte, że okazało się niejadalne. Dampier, który legwany uważał za przysmak, z żalem zanotował tego wieczora w swoim dzienniku:

»Jadałem już węże, krokodyły i aligatory, i różne stwory o dość okropnym wyglądzie, ale żołądek mój, nawet przyciśnięty głodem, odmawiał przyjęcia tych legwanów z Nowej Holandii, gdyż zarówno ich wygląd, jak i zapach były na równi odstręczające.«

Gdy myśliwi wędrowali po okolicy, szukając nie tylko zwierzyzny, ale i śladów ludzkich osiedli, zdumiał ich widok niewielkich zwierzątek o bardzo długich tylnych i nieproporcjonalnie krótkich przednich łapach, posuwających się nadzwyczaj długimi skokami. Dampier określił zwierzątko jako podobne do szopa pracza, popularnego w Ameryce, a późniejsi czytelnicy jego „Podróży” przypuszczali, że chodziło tu o kangury. W rzeczywistości był to najprawdopodobniej szczur kangurowy, rozpowszechniony w północno-zachodniej Australii. Strzały żeglarzy dosięgły paru sztuk, a gdy okazało się, że mięso ich jest smaczne, wynagrodziły one podróżnikom rozczarowanie, jakie sprawiły im „legwany”.

Jeśli chodziło o żywność, dzień ten przyniósł dużo różnorodnej

zdobyczy. John Knight, szperając po nadbrzeżnych zaroślach z Robertem Edlingtonem i Fredem Foxem, znalazł pod dostatkiem krewetek, ślimaków jadalnych i ostryg, a także dwa duże żółwie pozostawione przez odpływ morza za stromą skałą, przez którą nie mogły przeleźć. Tego jednego odkrycia wystarczyło, by zapewnić załodze kilka doskonałych i pożywnych posiłków.

Przez siedem dni „Roebuck” stał na kotwicy przy tym wybrzeżu, gdzie nie znaleziono ani dobrej wody, ani jadalnych roślin, ani żadnych śladów osiedli ludzkich. Pod kierunkiem zapalonego rybaka Johna Knighta złowiono kilka rekinów, które poszły pod nóż starego Johna Pary; a tyle tych groźnych rozbójników morskich krążyło wciąż dookoła statku, że Dampier nadał zatoce miano, które nosi do dziś dnia: Zatoka Rekinów.

Pewnej nocy obudził Dampiera, śpiącego w swojej kabinie, przeraźliwy krzyk, a zaraz potem głuchy odgłos, jakby coś ciężkiego zważyło się na pokładzie tuż nad jego głową. W mgnieniu oka naciągnął spodnie, pochwycił kordelas i skoczył w górę po schodach, potykając się w ciemnościach bezksiężycowej nocy. Gdy głowa jego wynurzyła się nad pokładem, cofnął się nagle. Jego oczy, przywykły do mroku, dostrzegły jakby zawieszoną w powietrzu potworną głowę bez kadłuba, o olbrzymim, kwadratowym pysku, a prawie bez czoła. Wielkie jak przepaść usta o grubych wargach, z których zwisały długie włosy, były szeroko otwarte.

Dampier stłumił mimowolny okrzyk przestraszenia. W tej samej chwili zdawało mu się, że dostrzegł ruch jakiś za bezanmasztem. Na pokładzie ktoś tarzał się po deskach bełkocąc i wzywając na przemian świętych i diabłów. Przerażająca zjawą zakolysała się z lekka. Dampier dał zamaszysty cios kordelasem w powietrzu ponad zjawą. Kordelas przeciął sznur i potworna głowa spadła na pokład z wstrętym młaśnięciem. I znowu jakby jakiś cień się przesunął za bezanmasztem! Dampier udał, że idzie w prawo wokół masztu, potem szybko przemknął w lewo i wpadł wprost na kwatermistrza Watsona, który dusił się ze śmiechu. W rękach trzymał kawałek sznura.

— Co to jest? — wykrzyknął Dampier, jeszcze przestraszony.

— Demon Terra Australis — wykrztusił Watson między jednym a drugim paroksyzmem śmiechu.

Dampier zwrócił się w stronę leżącego na pokładzie. Płatnik Walter Douglas podniósł trwożnie rękę, by dotknąć niesamowitej głowy, którą kapitan odciął. John Knight wyszedł z ukrycia, także pękając ze śmiechu i zawołał:

— Jednakże dwoje oczu kapitana lepiej widzą, niż Douglas swoim jednym!

— Co to wszystko ma znaczyć? — powtórzył Dampier, który nie miał poczucia humoru. Pochylił się nad niesamowitą głowę. — Hipopotam! — wykrzyknął z niedowierzaniem. — Skądżeście go wzięli?

— Żeby wasze pieskie dusze wszyscy diabli do piekła zawlekli! — wybuchnął płatnik, zanim Watson czy Knight zdążyli odpowiedzieć kapitanowi. — Byłbym ataku serca dostał!

Tamci dwaj na nowo ryknęli śmiechem.

— Kucharz go znalazł — wyjaśnił Watson ocierając łzy z oczu — w żołądku tego rekina, długiego na jedenaście stóp, któregośmy dzisiaj ułowili.

— Pomyśleliśmy, że się pośmiejemy trochę z każdego, kto tu na pokład przyjdzie — wtrącił Knight. — A Douglas...

— Człowiek nawet nie może spokojnie odetchnąć świeżym powietrzem po paru szklaneczkach rumu, żeby mu jakiegoś psiego figla nie splatali! Ja wam się jeszcze odwdzięczę! Popamiętacie wy mnie! — I płatnik, pogroziwszy pięścią, zszedł na dół.

Dampier skarcił obu młodych oficerów, ale nie mógł się zdobyć na surowy ton, bo sam się wreszcie śmiać począł.

— Przewiesiliśmy go przez reję. Watson trzymał drugi koniec sznura — tłumaczył Knight.

Kwatermistrz zwinął resztę sznura i wyrzucił za burtę.

Głowa hipopotama była równie przerażającym zjawiskiem zawieszona w ciemności na sznurze, jak zdumiewającym znaleziskiem w żołądku rekina. Ryba, która połknęła staruszka hipopotama, miała dwadzieścia cali między oczyma, a osiemnaście od jednego kąta pyska do drugiego. Pary z największym trudem przeciął wyostrzonym kordelasem grubą skórę jej żołądka.

Zanim głowę hipopotama wyrzucono w morze, by następny rekin mógł się nią delektować, Dampier wyrwał ze szczęki dwa największe zęby, długości ośmiu cali i tak grube, jak kciuk tegie-

go mężczyzny. Istotnie, był to okaz odmiennego rodzaju od tych, które dnia tego Dampier zebrał na brzegu: »wiele sztuk niezwykłych i pięknych bardzo muszel, nadzwyczajnych kształtów i barw, nakrapianych czerwono, czarno, żółto, jakich nie widziałem nigdzie indziej«.

Zdecydowawszy, że na tym wybrzeżu wody nie będzie można się dokopać, kwatermistrz Watson zaczął nalegać, aby płynąć dalej. Zapasy wody na okręcie zmniejszyły się zastraszająco pomimo obciążenia wydawanych codziennie porcji. Dnia 14 sierpnia odkotwiczono więc z zatoki, a na pełnym morzu silny północno-wschodni wiatr pochwycił ich od razu w swoje objęcia i odpędził od lądu, na wody tak głębokie, że osiemdziesięciosążniowa lina nie sięgała dna. Dopiero, gdy powiał wiatr z południa, wpłynęli na płytsze morza, gdzie okrążyły ich stada wielorybów wypuszczających fontanny wody z niesamowitym hałasem. Były przy tym ogonami tak wściekle, że morze wokół pienilo się i burzyło, jak wiry pod wodospadem.

Na szerokości osiemnaście stopni dwadzieścia jeden minut rzucono znowu kotwicę o milę od brzegu, w małej piaszczystej zatoce, gdzie za wzgórzami dostrzeżono cienkie spirale dymów. Dampier z Watsonem zeszli na ląd dnia 31 sierpnia, a z nimi dziewiciu marynarzy z załogi.

— Czarni — powiedział kapitan, śledząc wybrzeże z dziobu łodzi. — Trzech widzę, w zaroślach pewno jest więcej.

Aleksander Beale podniósł muszkiet, mierząc w nagie czarne postacie na jasnym piasku.

— Odłóż to natychmiast, głupcze jakiś! — krzyknął Dampier.

Gdy znowu zwrócił się w stronę brzegu, tubylcy biegli już w głąb lądu. Łódź zazgrzytała po piasku. Dampier wydawał rozkazy:

— Bosman Grigsen zostanie w łodzi. I Owen Harris. Trzymać łódź w pogotowiu o parę jardów od brzegu. Musimy uważać, żeby nam łodzi nie porwali.

Trzej tubylcy uciekli na wzgórek oddalony o jakieś ćwierć mili. Obok nich pojawiło się jeszcze kilka czarnych postaci, ale gdy biali przybysze ruszyli w ich stronę — tamci uciekli. Ze szczytu owego wzgórzka rozciągał się widok na rozległą sawannę, a jesz-

cze pół mili dalej Anglicy dostrzegli coś w rodzaju dużych stogów, które przyjęli za prymitywne chaty tubylców. Poszli więc w tę stronę, ale mniemane chaty czy stogi okazały się tylko skałami dziwnego kształtu. Nie było żadnych śladów osiedli ludzkich i nie było upragnionej wody.

— Musimy znaleźć wodę! Musimy! — powtarzał kwatermistrz.

Dampier, przyznając słuszność Watsonowi, acz z ociąganiem, poprowadził cały oddział z powrotem w stronę wybrzeża, gdzie zaczęli kopać kilofami i łopatami.

— Są znowu, panie kapitanie! — wołał wskazując na wzgórek Aleksander Beale, który stał na straży.

Około tuzina czarnych sylwetek rysowało się wyraźnie na przestrzeni między wzgórkami a brzegiem. Skakali czy też tańczyli, wymachując dzidami i wykrzykując coś, czego nikt z białych nie mógł zrozumieć. Dampier poszedł im na spotkanie. Z odległości pięćdziesięciu jardów mógł dostrzec, że wódz czarnych jest młody, o zręcznych ruchach, niskiego wzrostu. On jeden tylko był umalowany: miał białe kręgi wokół oczu, pionową kreskę od czoła do końca nosa i białe zygzaki na piersi i ramionach — »nie dla piękności czy ozdoby, jakby można było mniemać, ale po to, by groźniej wyglądać«. Pozostali krajowcy mieli wstrętne twarze i odpychający wygląd: »ze wszystkich Murzynów, jakich spotykałem w moich podróżach, ci byli najgorsi«. Przyglądali się teraz przybyszom z wrogą nieufnością, mrugając oczyma, jak owi tubylcy, których przed jedenastu laty Dampier widział z pokładu „Cygnet” na wybrzeżach Australii nieco dalej na północ.

Dampier gestami zachęcał czarnych, aby się przybliżyli. Odłożył swoją strzelbę na znak przyjaznych intencji i kazał Aleksandrowi Beale uczynić to samo. Watson nie miał broni ze sobą. Ale malowany wódz i jego drużyna ponownie uciekli za wzgórze.

— Gdybyśmy tak mogli złapać jednego — westchnął Watson. — Pokazałby nam, skąd oni biorą wodę.

— Warto by pójść dalej wzdłuż wybrzeża — podsunął myśl Beale.

Dampier zgodził się i poszli we trzech. Gdy tylko oddalili się nieco od ludzi kopiących studnię na brzegu, Murzyni wynurzyli się zza wzgórze i zaczęli się posuwać w ślad za nimi.

— Chcą nas odciąć — ostrzegł Dampier. — Musimy uważać.

Piaszczysta wydma oddzieliła ich na chwilę od tubylców. Beale wdrapał się po sypkim piasku na wydnię i zobaczył, że czarni rozdzielili się: część zawróciła w stronę kopiących, część podchodziła do nich kryjąc się za wydmami. Zanim Dampier mógł temu przeszkodzić, Beale zsunął się z wydmy na drugą stronę i pobiegł w stronę tubylców.

— Wracaj, durniu! — krzyknął Dampier.

Młokos nie słuchał. Kapitan i kwatermistrz przyglądali się bacznie. Krajowcy uciekali wśród piaszczystych wydm, ale szybko konogi młodzieniec zaczął ich doganiać. Odwrócili się i przystanąli w groźnych postawach. Młodego marynarza to nie przestraszyło, więc wódz krajowców cisnął w niego dzidą. Beale przystanął na chwilę, podniósł rękę do twarzy, po czym pobiegł dalej, wymachując kordelasem.

— Uwaga! Tu też są — zawołał Watson.

Dampier odwrócił się i znalazł się oko w oko z dwoma krajowcami, którzy próbowali zająć go od tyłu. Skoczył ku nim: uciekli. Gdy powrócił na wydnię, ujrzał, że krajowcy otoczyli Aleksandra Beale i nacierają na niego coraz energiczniej. Młody żeglarz bronił się dzielnie, ale właściwie tylko jedną ręką, gdyż drugą co chwila podnosił do twarzy. Jeden z Murzynów, widocznie zraniony wycofał się chwiejnymi krokami.

— Strzelaj — krzyknął Watson do powracającego Dampiera.

Kapitan już zorientował się w sytuacji i podniósł strzelbę do ramienia. Ujrzawszy to wódz dzikich cisnął w niego włócznią, która przeleciała tak blisko Dampiera, iż poczuł podmuch na policzku. Wystrzelił, mierząc ponad głowami czarnoskórych wojowników, którzy zmusili już młodego żeglarza do przykłonienia. Huk wystrzału przeraził ich: znieruchomieli na chwilę, po czym zwrócili się do ucieczki. Dampier raz jeszcze pociągnął za cyngiel, mierząc znowu w powietrze. Tubylcy, widząc, że hałas spowodowany wystrzałem jest nieszkodliwy, rzucali w powietrze swoją broń, wydając bojowe okrzyki.

Strzały pozwoliły jednakże Aleksandrowi Beale odłączyć się od dzikich, tak że za trzecim razem Dampier mógł bez obawy zranienia go mierzyć w napastników. Wycelował starannie w uma-



lowanego wodza i trafił go. Czarnoskórzy wojownicy stanęli jak wryci i ogarnięci śmiertelną trwogą patrzyli z otwartymi ustami na swego rannego wodza. Padli przed nim na kolana, jęcząc i zawodząc. Beale skorzystał ze sposobności i puścił się pędem z powrotem. Tubylcy, rzucając przerażone spojrzenia przez ramię, unieśli rannego i uciekli w głąb lądu. Dopiero wtedy Dampier zobaczył, że Beale, który dopadł ich zdyszany, ma ranę w policzku.

— Mam nadzieję, że te dzikusy nie zaturawają swoich włóczy — powiedział z niepokojem młodzieniec, któremu wcale nie przypadła do gustu perspektywa pogrzebu na morzu albo na piaszczystym brzegu dalekiej, obcej ziemi.

— Mało prawdopodobne — pocieszał go Dampier, ale bez przekonania.

Watson oddał kawalek swojej koszuli, by zatamować krew.

— Zranili cię jakimś dość tępym narzędziem — mówił Dampier, badając i opatrując ranę. — Zagoi się szybko, zobaczysz.

— Więc mogę się nie martwić? — upewniał się Beale.

— Z pewnością nie — uspokajał go Dampier. — Natomiast ja się martwię o tego malowanego wodza, którego postrzeliłem.

— Miałbyś pan więcej powodów do zmartwienia, kapitanie, gdybyś go nie postrzelił — powiedział ze śmiechem Watson.

— A raczej ja bym miał więcej powodów do zmartwienia — poprawił Beale.

— Ranić tubylca, w którego kraju zamierza się podróżować i ewentualnie nawiązać stosunki handlowe, to kardynalny błąd — rzekł ostro Dampier.

Trzej mężczyźni szli w stronę marynarzy kopiących studnię. Watson widząc, że Dampier jest zirytowany, uznał za wskazane opowiedzieć się po jego stronie.

— To wszystko była twoja wina — napadł na młodego marynarza. — Wołaliśmy, żebyś wracał.

— A kto mówił, że trzeba schwytać jednego z tych czarnych dzikusów — bronił się Beale. — Miał nam wskazać, skąd dostać wody.

— Nie myślałem tego na serio — wykręcał się Watson.

— Przeklęty ląd — mruknął Dampier. — Nic nam się nie wie-dzie, odkąd zapłynęliśmy do tej Nowej Holandii!

Był to właściwie błahy incydent, ale jak się zdaje, wpłynął na decyzję Dampiera, który postanowił opuścić wybrzeża Australii. W dwa dni później znaleziono wodę o nieco gorzkawym posmaku i napełniono nią cztery beczki, gdyż nadawała się ostatecznie do gotowania potraw i można było w ten sposób zaoszczędzić wody do picia, której skąpy zapas jeszcze mieli. Ale krajowcy nie pokazali się więcej, nie znaleziono też żadnych warzyw czy owoców. Marynarze narzekali, nie chcąc dłużej pozostawać na tym jałowym, pustym wybrzeżu, gdzie prażyło ich nieznośne słońce i dokuczały muchy, tak napastliwe że włąziły do ust i obśiadały oczy. Watson nieustannie dopominał się o wodę. Doktor Borthwick oznajmił, że wobec braku świeżych warzyw i owoców nie będzie mógł opanować szkorbutu, który zaczął się szerzyć wśród załogi.

Dampier nie miał argumentów, które by mógł przeciwstawić niezadowolonym. I on doszedł do przekonania, że jego pierwsze, niekorzystne wrażenie, jakie wywarła na nim Terra Australis, było słuszne: »Gdyby nie satysfakcja, jaką odnosi się z odkrycia nowych krain, choćby najbardziej jałowych pustkowi, nie pociągałyby mnie wcale te wybrzeża Nowej Holandii.« Ale i Dampier, nie mogąc zaspokoić swojego instynktu urodzonego przyrodnika, skłonny był nie doceniać owej satysfakcji, o której wspominał. Charakteru jego nie cechował ów niepokonany pęd do odkrywania nowych krajów, kreślenia nowych nazw na białych plamach map, ożywiający takiego na przykład podróżnika jak James Cook, który w sto lat później potrafił własnym zapałem natchnąć swoją załogę i wraz z nią przezwyciężać nadludzkie trudy badania wrogich, nieznanych, odległych ziem.

Po pięciu tygodniach wędrówki wzdłuż dziewięćsetmilowego odcinka wybrzeża Dampier zaprzestał dyskusowania ze swymi oficerami i załogą i kazał wziąć kurs na Timor.

— Czemu nie mielibyśmy spróbować wziąć kurs na południe?  
— radził Hughes.

Ale Dampier przekonany, że wartość handlową mają jedynie korzenie, kierował się ku cieplejszym strefom.

— Na wyższych szerokościach geograficznych — argumentował — nie możemy odkryć żadnych ziem, które by dorównywały wartością krajom gorącym.

— To tylko przypuszczenia — próbował jeszcze dowodzić Hughes.

— Jeśli wpłyniemy w bardzo zimną strefę, to nasza załoga żółtodziobów wymarźnie!

Mówiąc to Dampier kierował się być może nie tyle troską o zdrowie załogi, ile o swoje własne, gdyż wieloletni pobyt pod zwrotnikami sprawił, iż bał się ostrzejszego klimatu. Odrzucając uparcie wszelkie rady, pożegłował na północ. A była to równie nieszczęśliwa decyzja, jak wybór trasy wyprawy do Australii, do której zbliżył się od niegościnniej i jałowej strony północno-zachodniej, zamiast od strony wschodniej, o wiele bogatszej. Na wybór ten również wpłynęła niechęć Dampiera do zimnych stref. Wyprawa „Roebuck” zbadała tylko najmniej urodzajne okolice Australii, gdzie dziś znajduje się rezerwat czarnoskórych krajowców.

## Rozdział XXVII

### ZATONIĘCIE „ROEBUCK”

W powziętej przez Dampiera decyzji żeglowania na północ, do wyspy Timor i Nowej Gwinei kryła się ironiczna złośliwość losu. Gdyby pożegłował w odwrotnym kierunku, przekonałby się, że najbardziej na południe wysunięty przylądek Zachodniej Australii nie leży na wyższym stopniu szerokości geograficznej od Kapstadt. Miałby wówczas sposobność— i sam brałby udział w zyskach — odkrycia urodzajnych terytoriów o sto dwadzieścia lat wcześniej, niż to się stało. Tymczasem popłynął na północ i wyprawa jego nie dała bezpośrednich korzyści gospodarczych, przyniosła natomiast znaczne zdobycze naukowe. Dampier miał sporządzać mapy, zbadać i nadać nazwy wybrzeżom, zatokom i przylądkom wyspy (Nowej Brytanii) położonej na wschód od Nowej Gwinei, szerokości pięćdziesięciu, a długości trzystu mil, którą do tej pory uważano za wschodnią część Nowej Gwinei.

Przeznaczeniem Australii było rozwinąć się w kwitnące domi-

nium, a nawet te południowo-zachodnie okolice, od których Dampier odpłynął tak niefortunnie, miały okazać się bogate w minerały, drewno, pastwiska. Natomiast Nowa Brytania do dzisiejszego dnia jest mało użyteczna; jedynie Japończycy mieli tam bazę wojskową w czasie drugiej wojny światowej. Do 1939 roku nikt z białych ludzi nie przeszedł wyspy od południa do północy, gdyż na przeszkodzie stoją trudno dostępne łańcuchy górskie, zamieszkałe przez ludożerców. Jedynym produktem o wartości ekonomicznej są orzechy kokosowe.

Oplłynawszy północno-zachodnie wybrzeże Nowej Gwinei, a później żeglując prosto na wschód „Roebuck” natknął się na północny kraniec wyspy, której Dampier nadał miano Nowej Brytanii. Skierował się pomału wzdłuż jej wschodnich i południowych wybrzeży, badając, mierząc, kreśląc mapy, na których nanosił takie nazwy, jak Zatoka Św. Jerzego, Przylądek Orford, od nazwiska ówczesnego Pierwszego Lorda Admiralicji, albo Port Montague, od nazwiska prezesa naukowego Towarzystwa Królewskiego. Nie była to wyprawa śmiałego kapitana i odkrywcy, a raczej przezornego pilota i nawigatora. Przepłynęli cieśninę, którą nazwali Cieśniną Dampiera. Istnienie jej było właśnie dowodem, że Nowa Brytania nie jest częścią Nowej Gwinei, lecz oddzielną wyspą. Dalej natknęli się na wysepkę z czynnym wulkanem, z którego:

»[...] przez całą noc dobywały się płomienie i dym, ku naszemu zadziwieniu; za każdym wybuchem dochodził nas okropny odgłos, jakby grzmotu potężnego i widzieliśmy nowe wybuchy ognia, istotnie przerażające. Przerwy między wybuchami trwały po pół minuty, a największy wybuch, jakiego byliśmy świadkami, wyrzucił w powietrze ze strasznymi hałasem płomienie na wysokość dwudziestu do trzydziestu jardów; i widać było wielki strumień płynnego ognia, spływający po zboczu gór aż do samego brzegu. [...] zapewne siarka i jej związki, wyrzucone z krateru wulkanu, które leżały potem u stóp góry i płonęły bardzo długo.«

Czarni mieszkańcy Nowej Brytanii wydawali się dość liczni, ale uparcie nieprzyjaźni. Gdy Dampier z płatnikiem Douglasem próbowali się wybrać z oddziałem ludzi w głąb lądu na wschod-

nim wybrzeżu, krajowcy obrzucili ich kamieniami z proc — i dzięki temu zatoka zarobiła na nazwę Zatoki Procarzy. Wobec trzystu lub czterystu krajowców nie było innej rady, jak wystrzelić nad ich głowami z muszkietów. To ich odstraszyło i Watson pośpieszył napełnić kilka beczek wodą. Przez ten czas John Knight zorganizował bardzo udany połów ryb z brzegu, a Robert Chadwick na czele innej grupy ludzi ścinał drzewa na opał i zbierał orzechy kokosowe. Dampier, Grigsen i Beale poszli do opustoszałego osiedla i ustrzelili kilka świń. Jako zapłatę, pozostawili na brzegu parę siekier, noży, lusterek, kilka sznurów paciorków i puste butelki.

Gdy załoga „Roebuck” powróciła na statek, kilkudziesięciu krajowców, mężczyzn i kobiet, wyszło na brzeg i zabrało pozostawione przedmioty. Marynarze przyglądali się z pokładu, jak mężczyźni z zachwytem próbowali ostrza, jak kobiety przeglądały się w lusterkach i śmiały się albo gniewnie rzucały je na ziemię i deptały nogami. Mężczyźni mieli na głowach ozdoby z różnokolorowych piór; kobiety nie nosiły żadnych ozdób, zresztą w ogóle nosiły na sobie bardzo niewiele: »tylko dwa wiechcie trawy z przodu i z tyłu, zatknięte za sznurek, a przewiązane w pasie«. Kobiety za to nosiły ciężary, mężczyźni tylko broń.

Brak dogodnych wybrzeży w Australii uniemożliwił oczyszczenie kadłuba statku; w Nowej Brytanii znowu wrogie usposobienie krajowców przeszkodziło podjęciu tak długotrwałego zadania. Młodziąca załoga niecierpliwiła się i narzekała, znudzona długim pobytom przy niegościnnych wybrzeżach i monotonnym żywieniem. Wysłano Johna Boate w delegacji do kapitana, z prośbą, by jak najszybciej płynąć na zachód. Dampier w gruncie rzeczy sam już skłaniał się do powrotu. W pobliżu wysp leżących na zachód od Nowej Gwinei spotkali statek wiozący holenderskich osadników. Obecność jego dowodziła, że wysiłki Brytyjskiej Admiralicji były już spóźnione. „Roebuck” żeglował powoli, hamowany grubą warstwą muszli i wodorostów, pokrywającą jego kadłub. Pod koniec czerwca 1700 roku zawinęli do portu Batavia na Jawie, gdzie holenderski gubernator pozwoił im na zakupienie w składach portowych potrzebnego ekwipunku.

Okręt wyciągnięto na brzeg i rozpoczęto oczyszczanie. Oficerowie potrzęsali głowami.

— Całe szczęście, żeśmy obrośli tymi muszlami — żartował Watson. — Bo gdyby nie one, toby ta łajba rozpadła się w kawałki.

Szpar było rzeczywiście dużo, a i niektóre deski groziły odpadnięciem.

— Ten okręt nie nadaje się do żeglugi — orzekł pierwszy oficer Hughes.

Załoga przypatrywała się pracy cieśli Foxa i jego pomocników. John Boate i Owen Harris zaczęli znowu gardłować po swojemu i dowodzić, że kto wróci na pokład „Roebuck”, pójdzie z pewnością na żer rekinom. Tym razem jednak nie znaleźli posłuchu, bo młodzi marynarze zapewniali chełpliwie, że oni potrafią zapłynąć do Anglii nawet na dziurawej balii.

— Nie opuszczę okrętu tak długo, dopóki jeszcze może żeglować — upierał się Dampier, z satysfakcją słuchając chełpliwych zapewnień marynarzy.

Dampier zdawał sobie sprawę, że osiągnięcia wyprawy „Roebuck” nie znajdą wielkiego uznania w oczach Admiralicji Brytyjskiej. Nie miał chęci narażać się jeszcze na sprawę o pozostawienie okrętu, który został mu powierzony, chociaż obecny stan „Roebuck” dowodził wyraźnie, że kadłub był spróchniały już od dawna, na lata całe przed obecną wyprawą. Wziąwszy pod uwagę, jak nędznie bywali wyekwipowani przez Admiralicję, tym bardziej są godne podziwu osiągnięcia brytyjskich żeglarzy owej epoki.

Przez trzy miesiące Fox ciosał, stukał, piłował i łątał, nie przejawiając wszakże wielkiego kunsztu w swoim rzemiośle. Gdy w połowie października Dampier wypłynął na morze na okręcie, o którym sam wiedział, że się nie nadaje do żeglugi, zapisał w swoim dzienniku: » Dostarczyłem cieśli wszystkiego, co mu było potrzebne do naprawy Okrętu, który jednakowoż przecieka teraz więcej niż przed naprawą.«

Pod koniec roku 1700 opłynęli Przylądek Dobrej Nadziei i wzięli kurs na północny zachód. Wyspę Wniebowstąpienia dojrzeli 21 lutego 1701 roku. Następnego dnia bosman Grigsen, niespokojny i wystraszony, przyszedł na rufówkę do kapitana.

— Okręt ma silny przeciek, panie kapitanie — oznajmił. — Trzeba chyba pompować.

Dampier sam poszedł zobaczyć.

— Źle jest. Uruchomić pompę obrotową. Musi być gdzieś duży otwór.

W godzinę później Hughes przyszedł zameldować, że pompa obrotowa nie nadała z wyczerpywaniem wody.

— W takim razie zabierzemy się do ręcznych pomp — rzekł Dampier. Sam poszedł i pompował razem z pół tuzinem marynarzy.

Po godzinie ciężkiej pracy przekonali się, że pompy zwyciężają, więc podniesieni na duchu harowali noc całą. Wczesnym rankiem rzucili kotwicę w zatoce przy Wyspie Wniebowstąpienia, na głębokości dziesięciu i pół sążnia.

— Panie Pain, opróżnić prochownię — zarządził Dampier. — Przeszukamy cały okręt i musimy znaleźć ten przeciek. Spróbujemy załatać otwór od wewnątrz.

— To się nam nie uda, kapitanie — wtrącił Hughes.

— Jedyne szansa — odrzekł Dampier. — Otwór jest bez wątpienia poniżej linii wodnej i nie możemy go załatać od zewnątrz na morzu. A tu nie widzę żadnej możliwości wyciągnięcia okrętu na ląd.

Hughes wzruszył beznadziejnie ramionami. Ale pomimo swych posepnych przewidywań pierwszy oficer pracował z całym poświęceniem. Pain i bosman Grigsen zwołali do pracy marynarzy i opróżnili komorę amunicyjną w parę godzin. Dampier zabrał się do lustracji razem z pierwszym oficerem, bosmanem i cieślą Foxem. Woda podnosiła się znowu, chociaż pompa obrotowa pracowała cały czas.

— Czy będziecie mogli otwór znaleźć i załatać, Fox? — pytał Dampier.

— Jeżeli otrzymam pozwolenie usunięcia desek wewnętrznego poszycia, panie kapitanie.

— Cóż, skoro trzeba, to niech i tak będzie! — zgodził się niechętnie Dampier.

Cieśla zabrał się do roboty, ale wysiłki jego spełzły na niczym, gdyż okazało się, że otwór znajduje się za wręgą.

— Jeśli będę mógł przepiłować wręgę, załatam otwór — zapewnił Fox.

— Nigdy nie słyszałem, żeby przepiłowywać wręgę po to, by załatać otwór — zaprotestował Dampier. — Czyście pewni, że to konieczne?

— Nie ma innego sposobu. — Fox łączył w sobie ignorancję z zarozumiałością. Dampier poszedł poradzić się z Hughesem i Watsonem.

— To najgorszy cieśla, jakiego spotkałem — rzekł Hughes. — Bardzo wątpię, czy on w ogóle wie, co robi.

— Nikt z nas też nie wie — zaśmiał się Watson. — Może on i kiepski cieśla, ale jedyny, jakiego mamy.

O godzinie jedenastej rano Dampier pozwolił Foxowi na przecięcie wręgi.

— Dziś o czwartej statek będzie w porządeczku! Jak nowy — beztrudnie zapewniał cieśla.

— Jeśli tego dokonasz, będziesz miał we mnie przyjaciela do końca życia — odrzekł Dampier.

— Ręka! — zawołał Fox i mocno uściśnął dłoń kapitana. Gdy w dwie godziny później Dampier zszedł na dół, Fox przecinał belki ponad otworem.

— Mógłby równie dobrze wyciąć kwadratowy otwór w dnie! Akurat na to samo się przyda — zrzędził John Boate. Pół tuzina innych marynarzy doradzało, każdy co innego, a wszyscy jednocześnie.

— Trzymajcie języki za zębami i zostawcie Foxa w spokoju — warknął Dampier zły.

— Fox jest nieuk i dureń, ot co! — mruknął Owen Harris niby cicho, ale tak, aby kapitan mógł go słyszeć.

— Nic tu po was — rzekł ostro Dampier. — Kto nie pracuje przy pompach, niech tu znosi pakuły, koce, odzież, co tam macie, żeby zatkać otwór natychmiast, jak się do niego dostaniemy. Beale, przynieście na początek pościel z mojej kabiny.

Gojące życzenia cieśli i kapitana pozostały w sferze marzeń. O piątej bosman Grigsen mógł tylko przynieść nowinę, że woda się podnosi i pompy nie nadążają. Zszedłszy na dół Dampier stwierdził, że nic nie przygotowano do zatkania otworu po odsłonięciu i teraz ludzie pracowali po kolana w wodzie. Beale przy-



niósł pościel Dampiera, jak mu kazano, ale nikt więcej niczego nie dostarczył.

— Przeciąć poprzeczną grodź, niech woda spłynie z tego przedziału — zarządził Dampier. — I opróżnić następny przedział, żebyśmy mogli czerpać!

Cała załoga wyczerpywała wodę pompami albo ręcznie i połączone ich wysiłki doprowadziły do nieznacznego obniżenia poziomu wody.

— Jakie szanse, Fox? — pytał Dampier.

— Bez obawy, panie kapitanie — odpowiadał wesoło niezmieszany cieśla. — O dziesiątej wieczorem staruszek „Roebuck” będzie gotów opłynąć świat dokoła!

Dampier był mniej optymistycznie usposobiony. John Hughes tylko głową potrząsał. Watson śmiał się:

— „Roebuck” nie nadawał się do żeglowania od dwudziestu lat. Postawię o to w zakład mój dom i moją żonę na dodatek!

Dampier nawet się nie uśmiechnął na słowa kwatermistrza. Artylerzysta Pain objął komendę nad pompowaniem: zachęcał i poganiał ludzi na zmianę, intonował rytmicznie piosenki żeglarskie, dodawał otuchy. John Knight pracował z tymi, którzy wyczerpywali wodę i dowcipkował na temat niestrawności u rekinów, które ich połkną. Watson otrzymał wdzięczne zadanie wydzielania co pewien czas, na rozkaz kapitana, porcji rumu. Marynarze wcale zresztą nie tracili humoru, zerkając co chwila na bliskie wybrzeża wyspy leżącej na uczęszczanym przez europejskie statki szlaku.

Dziesiąta godzina minęła, a cieśla Fox wciąż jeszcze nie dopełnił swoich obietnic. W godzinę później Grigsen zameldował pośpiesznie, że wszelkie wysiłki powstrzymania napływającej wody zawiodły. Na dole panował chaos. Deska, w której powstała dziura, okazała się tak zmurszała, że »rozpadła się na próchno«. Woda podniosła się we wnętrzu okrętu ponad otwór. Dampier, zdeterminowany, choć bezradny w obliczu katastrofy, wszedł po pas w wodę i sam na zmianę to pracował przy pompach, to wyczerpywał wodę. Wkrótce przekonał się o beznadziejności tego wysiłku.

— Z równym skutkiem moglibyśmy próbować wyczerpać ocean — rzekł odrzucając naczynie, którym czerpał wodę.

Uczył wszystko, co do niego należało. Nie znał się na ciesielce, a Fox zawiódł — jeżeli w ogóle naprawienie tego statku było w granicach możliwości najlepszego nawet cieśli. Tego, co teraz pozostało do zrobienia, Dampier dopełnił spokojnie, z rozwagą, podtrzymując na duchu swą młodą, niedoświadczoną załogę.

— Spuścić łódź, Chadwick — wydał rozkaz młodszemu oficerowi. — Okręt może pójść na dno prędzej, niż się spodziewamy, ale to nie powód, byśmy i my zatoneśli.

Gdy łódź kołysała się na falach, odwaga opuściła jednookiego płatnika, Waltera Douglasa. Zeskoczył od razu do łodzi, zabrawszy ze sobą pisarza okrętowego Jamesa Branda. Ani błagania, ani groźby oficerów nie poruszyły go z miejsca. W parę godzin potem, późną nocą, przyłączyli się do nich John Boate i Owen Harris. Reszta załogi obrzucała dezerterskie pokłady szyderstwami, a czasem przekleństwami.

O świcie Dampier kazał podnieść kotwicę. Pół tuzina marynarzy siadło do wiosel i łódź ruszyła z miejsca, by przyholować bliżej lądu skazany na zagładę okręt. Doholowali „Roebuck” na głębokość trzech i pół sążnia, nim wreszcie dali za wygraną.

Cieśli zlecono zadanie, które mieściło się w granicach jego umiejętności: miał zrobić tratwę z zapasowych części i luźnych desek. Spuszczano ją na wodę, by przewieźć na brzeg kufarki marynarskie, koce i zapasy z magazynów. Tej nocy większa część ludzi z załogi „Roebuck” ulokowała się na odpoczynek już na wyspie; tylko Dampier został na okręcie z dwoma młodszymi oficerami, bosmanem i artylerzystą Painem. A gdy nad ranem opuścili tonący okręt, stwierdzili, że w ciągu nocy niewykryci sprawcy ukradli większą część ryżu z zapasów, a także sporo książek i papierów kapitana.

— Bukanierów można nazwać morskimi rozbójnikami — rzekł sucho Dampier — ale nie było wśród nich zwyczaju okradania własnych towarzyszy okrętowych. Jak się zdaje, mają oni tę wyższość nad marynarzami okrętów Jego Królewskiej Mości.

Wyspa Wniebowstąpienia była w owych czasach nie zamieszкана i jałowa. Mogły się tutaj wyżywić jedynie kozy i kraby. Szczęściem przyplływały tu licznie żółwie z zachodnich wybrzeży Atlantyku, by składać jaja, które zagrzebywały płytko w piasku wybrzeża. Z tych jaj i morskiego ptactwa składało się pożywienie

rozbitków. Na zboczu Góry Zielonej, która jest wygasłym wulkanem o szczycie wznoszącym się na tysiąc metrów nad poziomem morza, odkryto obfite źródło dobrej wody do picia, które do dnia nosi nazwę Źródła Dampiera. W pobliżu rosła trawa i trochę drzew. Ludzie z załogi „Roebuck” rozbili namioty, pogoda im sprzyjała. Tak spędzili sześć tygodni, aż pewnego ranka do zatoki wpłynęły trzy okręty marynarki królewskiej i statek handlowy należący do kompanii wschodnioindyjskiej.

Gdy już oddalali się od wyspy, zażywny i wesoły jak zawsze kwatermistrz Watson, stojąc na pokładzie „Anglese” obok Dampiera i śledząc niknące na horyzoncie zarysy Wyspy Wniebowstąpienia, rzekł do swego kapitana:

— Gdybyśmy jeszcze mieli po dwie kobiety na jednego marynarza, moglibyśmy bardzo przyjemnie spędzić na tej wyspie rok lub dwa.

— A ile by czasu upłynęło — zapytał Dampier — zanim byście zaczęli się wszyscy kłócić i mordować o te kobiety?

— Ja właśnie dlatego wyliczyłem, że potrzeba by było dwóch kobiet na jednego mężczyznę. Wtedy one by się o nas kłóciły, a my byśmy żyli w spokoju!

Dampier nie uśmiechnął się. Wiedział aż nadto dobrze, że dwie kobiety to czasem o jedną za dużo dla spokoju mężczyzny.

## Rozdział XXVIII NARESZCIE SUKCES

Piękny okręt „Duke”, o trzystu dwudziestu tonach wyporności, trzydziestu działach, osiemdziesięciu stopach długości i dwudziestu pięciu szerokości, liczył o wiele więcej oficerów, proporcjonalnie do całej załogi, niż to było w zwyczaju. Ale wszyscy prawie zdołali się pomieścić w kapitańskiej kajucie pewnego grudniowego dnia roku 1709, a oprócz nich jeszcze dowódcy okrętów towarzyszących: „Duchess” o dwustu sześćdziesięciu tonach i dwudziestu sześciu działach oraz brygu „Marquis” niedawno zdobytego pryzu. Dębowe belki sufitu kajuty nieledwie że doty-

kały głów oficerskich zagrożonych dodatkowo staromodną, zawieszoną u stropu latarnią, która kiwała się do wtóru kołysania okrętu. Znajdowali się u zachodnich wybrzeży Meksyku w zasięgu widoczności Dolnej Kalifornii. Nad okrągłym stołem zasłanym mapami pochylali się oficerowie w granatowych surdutach i obcisłych, krótkich, jedwabnych spodniach kremowego koloru. Najbliżej stojący przesuwali palcami po mapie, dalsi wyciągali szyje i dorzucali swoje uwagi, które nikły w ogólnej, hałaśliwej dyskusji.

Wreszcie kapitan Woodes Rogers, pierwszy oficer Thomas Dover i pilot William Dampier — wszyscy trzej z „Duke” — oraz kapitanowie dwóch okrętów towarzyszących wyprostowali ścierpięte od długiego schylania się plecy. Pozostali cofnęli się z westchnieniem ulgi i poprzysiadali na krzesłach i kuferkach pod ścianami. Rogers, dowódca wyprawy — średniego wzrostu szczupły, żylasty i energiczny, o bystrym spojrzeniu i szybkich ruchach — nakazującym gestem podniósł dłoń.

— A zatem postanowiliśmy: jeszcze jeden tydzień czekamy na okręt skarbowy płynący do Acapulco. Dłużej czekać w żaden sposób nie możemy, gdyż zapasy żywności nie starczyłyby nam do Indii Wschodnich, nawet przy sprzyjających wiatrach.

— Obyż nam fortuna zesłała ten statek — westchnął Dampier. — Raz mnie o mało nie zjedzono w czasie podróży z tego wybrzeża do wyspy Guam. Za drugim razem może być gorzej.

Zanosilo się rzeczywiście na bunt wśród załogi, jak to często się w owych czasach zdarzało w okresie beczynności i oczekiwania. Marynarze, których zwerbowano w Anglii obietnicami bogatych łupów, zmusili oficerów do podpisania umowy zapewniającej tym razem sprawiedliwy podział zdobyczy. Do tej pory jednakże szczęście im niezbyt sprzyjało. Oczekiwali teraz — z szybko topniejącymi zapasami i perspektywą opłynięcia połowy globu przed powrotem do domu — od kilku tygodni na okręt do Acapulco, wiozący złoto z Filipin do królewskiego skarbcza hiszpańskiego. Okręt był już spóźniony o miesiąc i załoga podejrzewała, że się im wymknał, o co obwiniali swoich oficerów.

Ci marynarze nie byli ani gorsi, ani lepsi od innych, z którymi Dampier i Rogers żeglowali od lat: brutalni, ciągle, pijani, skłonni do buntów, a tak bezustannie przeklinający, że pewien ówczesny

kronikarz wypraw morskich notuje, iż chyba nawet w piekle nie można by spotkać gorszych przekleństw i bluźnierstw. Ale jeśli marynarze byli brutalni, to dlatego iż tryb ich życia, sposób zdobywania jedzenia, wymierzane przez oficerów kary — wszystko było brutalne. Nie było w tym nic dziwnego, że niepewność oczekiwania skłaniała ich do buntowniczości. Nie było też dziwne, że oficerowie odczuwali pewien niepokój. Woodes Rogers, gdy zażądał zaokrętowania prawie podwójnej ilości oficerów, tłumaczył swoje żądanie tym, że będzie mógł łatwiej opanowywać ewentualne bunty załogi.

Wieczorem tego samego dnia William Dampier siedząc bez surduta, w samej tylko koszuli za stołem w swojej kabinie, odłożył z westchnieniem pióro i zapatrzył się na karty papieru porozrzucone wokoło.

Okręt do Acapulco. Ileż to razy miał nadzieję uczestniczyć w bajecznych łupach skarbowego okrętu! Ile razy jakiś drobny błąd w obliczeniach, jakaś błaha przygoda pozbawiła jego i jego towarzyszy upragnionego przyżu! Gdybyż nareszcie... powodzenie... kilkaset funtów szterlingów... nie potrzebowałby więcej wypływać na morze... chyba mu się to należało... po tylu trudach...

Pędził życie trudne, wyczerpujące siły. Przeważną część swych pięćdziesięciu siedmiu lat przebył w upalnym niezdrowym klimacie; głodował, jadał zepsutą żywność, leżał bez osłony na pokładzie w ciągu niejednej tropikalnej, przesycanej febrą nocy; zaznał wielu rozczarowań — nawet jak na bukaniera — i nigdy nie wiedział, co to dostatek. Cień uśmiechu przemknął mu po wargach, gdy zdał sobie sprawę z goryczy tych rozmyślań: bo w głębi serca wiedział dobrze, że gdyby mógł wybierać po raz drugi, nie zmieniłby ani jednego dnia tego życia, trudnego, ale pełnego przygód. Przecież robił zawsze to, na co miał ochotę. I takie właśnie życie przyniosło mu sławę, która go samego zdumiewała.

Przekonał się o tej swojej sławie i jej znaczeniu po powrocie z podróży do wybrzeży Australii i Nowej Brytanii. Porucznik Fisher dotrzymał swych gróźb, a miał dość stosunków i wpływów, aby przeprowadzić w sądzie wojennym wyrok na swego dawnego kapitana i skazać go na grzywnę w wysokości pensji za cały okres

podróży. I oto właśnie wtedy, gdy Dampier burzył się, głęboko rozżalony niesprawiedliwością, zawezwano go — jego, bukaniera i rzeźmieszka, którego sąd wojenny ogłosił niegodnym dowodzenia okrętami Jej Królewskiej Mości — przed oblicze królowej we własnej osobie, królowej Anny, która w 1702 roku wstąpiła na tron. Najjaśniejsza Pani prosiła, by jej opowiadał o swoich podróżach; Pierwszy Lord Admiralicji przedstawił go, jako najwybitniejszego współczesnego żeglarza i nawigatora; spędził kilka godzin z królową rozmawiając o swoich wrażeniach i przygodach!

Tymczasem Woodes Rogers zaproponował, by popłynął z jego wyprawą w charakterze pilota. Miał zajmować się nawigacją, występować jako ekspert o poważnym doświadczeniu i znajomości dalekich lądów, nieznanych większości oficerów, i brać udział w zebraniach starszych oficerów. Woodes Rogers, śmiały, rzutki dowódca, żeglował zaopatrzony w list kaperski na okrętach, wyposażonych przez prywatnych fundatorów, ale z upoważnieniem Pierwszego Lorda Admiralicji, który zlecił mu atakować okręty hiszpańskie i francuskie, gdyż z tymi państwami Anglia prowadziła naówczas wojnę.

„Duke” i „Duchess” wypłynęły dnia 2 sierpnia 1708 roku. Na Pacyfiku wpadły im w ręce dwa przyzy o nieznaczej wartości. Podpłynąwszy nocą do rzekomo nie zamieszkałej wyspy Juan Fernández zdziwili się i zaniepokoiли widokiem płonącego ogniska. Hiszpański garnizon czy też piraci? Nad ranem wysłano pinasę, by przeprowadzić ostrożny rekonesans. Po powrocie marynarze przynieśli kapitanowi wiadomość, że na wyspie znajduje się »człowiek odziany w kozie skóry, a z wyglądu dziwszy od kóz«. Jak się okazało, był to Aleksander Selkirk, który przed czterema laty i czterema miesiącami pokłócił się ze swoim kapitanem i zażądał, by go wysadzono na ląd. Cały ten czas na wyspie Juan Fernández żył samotnie, budując i fortyfikując dom, oswajając kozy, uprawiając ziemię. Przygody Aleksandra Selkirka natchnęły Daniela Defoe do napisania słynnej powieści „Robinson Crusoe”.

Wyprawa pod wodzą śmiałego i przedsiębiorczego Woodesa Rogersa zaatakowała następnie i zdobyła miasto Guayaquil na wybrzeżu Ekwadoru. Kaprzy zdobyli szpady o srebrnych ręko-

jeściach, tabakierki, srebrne naczynia, brali nawet guziki i sprzączki, o ile były srebrne, i wycisnęli od Hiszpanów okup w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy talarów za uwolnienie miasta. Z kolei Rogers, który okazał się surowym rygorystą, jeśli chodziło o dyscyplinę, ale hojnym i wspaniałomyślnym przy podziale łupów, powiodł wyprawę na trasę okrętu skarbowego płynącego do Acapulco...

Postanowili czekać jeszcze tydzień. Dwa okręty kolejno strażowały, podczas gdy trzeci odpływał, by zaopatrzyć się w wodę i drewno na opał, w mięso żółwie i ptactwo. Dnia 21 grudnia okręt „Duke” miał z kolei płynąć po prowiant. Dampier właśnie wydał rozkaz sternikowi, by wziął kurs na ląd, gdy z bocianiego gniazda rozległ się krzyk:

— Żagiel od zachodu! Odległość około dwudziestu mil!

Na okręcie zawrzało. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znikły narzekania, lenistwo, grubiańskie odpowiedzi na rozkazy oficerów. Jeśli to tylko będzie okręt do Acapulco, każdy z załogi powróci do domu z kuferkiem wyładowanym dublonami!

Dampier odwołał rozkaz wydany sternikowi. Rogers krzyknął:

— Podnieść flagę angielską!

„Duke” i „Duchess” — „Marquis” nabierał wodę przy lądzie — wzięły kurs na nieznaną żagiel, który nieświadomy grożącego mu niebezpieczeństwa płynął dalej w kierunku meksykańskiego wybrzeża. Na rejach, na dziobie, przy burcie okrętów kaperskich spalone na brąz twarze, rozgorączkowane oczy śledziły niecierpliwie bielejący, w słonecznym blasku horyzont. Na rufowce oficerowie nie odejmowali od oczu lunet.

— Wiele razy przeżywałeś już taką chwilę, Śledziu? — pytał Rogers.

— Wolałbym zapomnieć o nich — odmruknął Dampier.

— Tej chwili nigdy nie zechcesz zapomnieć — zawołał młody kapitan.

Ledwie skończył mówić, gdy z pokładu, z masztów i rej zerwała się istna burza przekleństw i bluźnierstw. Wiatr ustał.

— Spuścić pinasę! — rozkazał bez chwili wahania kapitan. — Panie Dover, podpłyniecie tak blisko, żebyście mogli stwierdzić, co to za statek.

Ostatnie, pełne napięcia chwile oczekiwania: okręt do Acapulco czy też jakiś inny? Nic więcej nie można było robić, jak tylko śledzić pinasę, do której przyłączyła się wkrótce łódź spuszczone z „Duchess”. Najłżejszy nawet powiew wiatru nie wypełniał żagli. A może ten statek to po prostu „Marquis” wracający z prowiantem? Dwie łodzie były już ledwo widoczne, jak dwa punkciuki tuż obok siebie na oceanie. Potem rozdzieliły się, by wracać każda do swego okrętu. Rogers nie był w stanie czekać dłużej: kazał dać salwę kanonierom. W chwilę później odpowiedział mu daleki wystrzał nieznanego okrętu.

— A więc to nie „Marquis” — orzekł Dampier. — Nasi nie odpowiedzieliby strzałem, bo rozpoznaliby nas po położeniu.

Wreszcie pinasa wróciła z radosną wieścią: okręt do Acapulco! Lekka bryza poruszyła ciemne, połatanne żagle „Duke”, które przestały łopotać leniwie o drzewca masztów. Wypełniły się, wydeły — i okręt popłynął naprzód, ale wolno, o wiele zbyt wolno dla żeglarzy, którzy podskakiwali nieomal z niecierpliwości, dla kanonierów, którzy stali w gotowości, obnażeni do pasa obok niemych jeszcze, ale przygotowanych do strzału armat.

I znowu wiatr zamarł po paru zaledwie milach. Zapadał zmrok i kaprzy rozpaczali na myśl, że pod osłoną nocy upragnioną zdobycz może się im wymknąć.

— Do stu tysięcy szatanów! Nie umknie mi, choćbym miał płynąć za nim do samego Acapulco! — wybuchnął Rogers. — Łódź spuścić! Trzymać się tamtego okrętu, jakby was uwiązali! I palić łuczywo, byśmy was widzieli.

Długo trwała ta noc. Napięcie było tak wielkie, że ludzie nawet przestali rozmawiać: tylko z rzadka odezwał się cichy głos przeklinający ciszę na morzu i wlokące się w nieskończoność godziny nocy. Nikt nie kładł się spać. Najspokojniejszy ze wszystkich był Dampier, który zbyt wiele zaznał już w życiu rozczarowań, aby się przejmować jednym więcej. Chwilami w oddali błyskało światło: to pinasa krążyła uparcie w pobliżu okrętu skarbowego. Na pokładzie „Duke” oficer artylerii zapowiadał kanonierom, że jeśli nieprzyjaciel wdrze się na ich okręt, on wysadzi w powietrze prochownię. Ludzie zwrócili się gniewnie ku niemu.

— Nie ma potrzeby takimi groźbami do walki nas zapędzać. Byleśmy tylko ten okręt przyłapali, to już wykastrujemy każdego hiszpańskiego sukinsyna na pokładzie, nie ma obawy!



Dniało. Każda para oczu na pokładzie „Duke” wpatrywała się w przestrzeń oceanu, gdzie ostatnio widniały światła. Jak powoli się rozjaśniało! Wreszcie jasny promień błysnął od wschodu. Z mgieł wynurzyły się zarysy upatrzonej ofiary.

— Bogowie! Piękny galeon! Nie dalej, jak o trzy mile! — wykrzyknął Woodes Rogers.

Słowa jego zagłuszył radosny wrzask załogi. Potem pojedynczy głos krzyknął:

— A teraz, hiszpańskie bękarty, ściągajcie tę flagę, jeśli wam życie miłe!

Ale sparaliżowany ciszą „Duke” ledwie się poruszał.

— Założyć wiosła! — ryknął kapitan. j

Tym razem nie zabrakło ochotników do popychania długich wiosel. Aż się klócili o ten przywilej.

— I nawet kropli rumu nie mam, by dać porcję na głowę! — martwił się Rogers.

Kok starał się, jak mógł: ugotował czekolady i rozdzielił ją wśród załogi. Kto nie był przy wiosłach, ukląkł teraz do modlitwy — aby Bóg im dał bogaty łup i pozwolił pozabijać ludzi, którzy nie zaczępieni nic by im złego nie zrobili.

O godzinie ósmej „Duke” wyprzedziwszy „Duchess”, znalazł się w zasięgu ognia działowego.

— Dajcie salwę — rozkazał kapitan.

Działa przemówiły, deski zatrzeszczały, poleciały drzazgi, a z nim dym się rozwiął, zagrzmiał ryk armat hiszpana. Przez jakiś czas trwała kanonada i można było zaobserwować, że strzały Anglików, celniejsze, więcej szkód wyrządziły. „Duchess” spieszył się jak mógł.

Na pokładzie „Duke” wszystko było gotowe do abordażu: beczułki napełnione prochem, starymi gwoździami i kawałkami żelaza, które miano rzucać na nieprzyjaciela, gdy tylko haki zaczępią o burtę statku; bomby, które wypuszczały śmierdzące i dławiące dymy; broń zwana organkami, to znaczy kilka muszkietów razem złączonych, które jednocześnie dawały ognia; a za nimi szeregi kaprów zbrojnych w najgroźniejszą ze wszystkich ówczesnych broni w rękach angielskich marynarzy: abordażowe piki.

Wreszcie okręt kaperski dopadł swej ofiary. Ostatnia salwa, najstraszniejsza, bo na odległość zaledwie paru metrów, wstrząsnęła obu statkami — i z masztów „Duke” posypał się grad bomb, kuł Ognistych, granatów, rzucanych z dzikim wrzaskiem przez ludzi o czarnych od dymu twarzach. Na dole inni — baczni, milczący, z jednym okiem przymrużonym — unosili długie lufy muszkietów mierząc w wyróżniających się strojem hiszpańskich oficerów.

Ale nie tylko Anglicy byli gotowi do strzału.

Gdy dwa statki rozdzielała odległość nie większa od paru jardów, Woodes Rogers chrząknął dziwnie, pochylił się z twarzą w dłoniach i osunął na pokład, przestrelony przez policzek. Dampier klęczał już przy kapitanie, który wypluwał krew i zębę z roztrzaskanej szczęki.

— Zniosę ciebie na dół — rzekł Dampier.

Rogers odepchnął go gniewnie i wsparłszy się na łokciu pokazał gestami, żeby mu przyniesiono materiały do pisania. Trzymając twarz przechyloną na bok, aby krew ściekała na pokład, skreślił na przyniesionych kartkach, parę rozkazów i uparcie odmawiał, gdy chciano go zabrać z rufówki.

— Ale przecież tak nie można — zaczął go przekonywać Dampier.

Ranny wskazał palcem maszt hiszpańskiego okrętu.

„Duchess” dogonił ich wreszcie śląc pośpiesznie salwę za salwą, aby nie można było powiedzieć, że jego załoga nie brała udziału w bitwie. Haki na pokładzie „Duke” wznosiły się groźnie chcąc zaczepić o burty hiszpana. Dampier powiódł wzrokiem za palcem kapitana. Na wielkim galeonie spuszczano flagę.

W parę dni później „Duke” kołysał się łagodnie w zatoce, a przy nim „Duchess” i zdobyty galeon „Nuestra Señora de la Incarnacion Disenganio”. Kaprzy wciąż spoglądali z niezmięszonym zachwytem na wspaniałą przyz, naoczny dowód, że zdobyli łup wartości trzystu tysięcy funtów szterlingów, z czego połowa należała się angielskim kupcom, a połowa oficerom i marynarzom, którzy ryzykowali życie. Hiszpańską załogę zmniejszoną o dziewięciu poległych w bitwie — odesłano na łąd na poprzednio zdobytym przyzie, zaopatrzywszy ich w wodę i prowiant. Poza kapitanem „Duke”, który leżał na swojej koi, osłabiony upływem

krwi, ale nadal silną ręką sprawujący władzę, tylko jeszcze jeden Anglik został zraniony. Flotylla szykowała się do podróży do Indii Wschodnich.

Dampier, odpoczywając po dniu spędzonym na doglądaniu czyszczenia kadłuba, zasiadł za stołem w swojej kabinie. Wziął pióro i dopisał do sprawozdania ze zdobycia statku skarbowego:

»Nareszcie powodzenie bez zastrzeżeń. Pościg bezbłędnie przeprowadzony. Artyleria sprawiła się wybornie. Woodes Rogers świetnym wodzem. Jeńcy potraktowani po rycersku«.

Westchnął z satysfakcją i odłożył pióro.

Podróż do domu, choć długa, bo trwająca dwadzieścia dwa miesiące, nie miała zatrzeć tego uczucia głębokiej satysfakcji.

Dnia 14 października 1711 roku William Dampier po raz ostatni zszedł z pokładu statku na ziemię ojczystą. Dobiegał wówczas pięćdziesiątego dziewiątego roku życia. Miał jeszcze przez trzy i pół roku cieszyć się pogodną przyjaźnią kobiety, która — choć pozostała mu wierna przez całe życie — zgodnie z konwencjami ówczesnej moralności nie mogła się z nim połączyć. Miał również zaznać szacunku ze strony najwybitniejszych ówczesnych ludzi — uczonych, pisarzy, pamiętnikarzy — którzy odnosili się z uznaniem do jego sprawozdań z trzykrotnego opłynięcia naokoło globu ziemskiego, zachwycali się jego ścisłymi opisami podzwrotnikowych krain, ich mieszkańców, flory oraz fauny, i zdawali sobie sprawę, że to książki Dampiera skłoniły Admiralicję Brytyjską do wysiłków uwiecznionych powodzeniem dopiero w sto lat później, zbadania wybrzeży mitycznej Terra Australis.

Ten człowiek, który brał udział w tylu bitwach, stawiał czoła tylu niebezpieczeństwom, tylu groźnym wrogom, miał wreszcie umrzeć spokojnie we własnym łóżku, pozostawiając w testamencie jedną dziesiątą swojej fortuny bratu George'owi, a dziewięć dziesiątych »mojej drogiej kuzynce, pannie Grace Mercer w Londynie«.

TOWARZYSZE OKRĘTOWI POSZCZEGÓLNYCH PODRÓŻY  
WILLIAMA DAMPIERA

TOWARZYSZE Z ZAŁOGI STATKU „TRINITY” I Z PRZEPRAWY  
PRZEZ PRZESMYK PANAMSKI 1681 (ROZDZ. I—V)

William Bowman  
John Cook  
Edmund Cooke  
Ambroży Cowley  
Ned Daws  
George Gayney  
Ryszard Gopson  
Dawid Green  
Patrik Hagan  
John Hingson  
Bazyli Ringrose  
Bartłomiej Sharp — kapitan  
Robert Spratlin  
Vasco — Indianin  
Lionel Wafer — lekarz okrętowy

TOWARZYSZE PODRÓŻY DO NIKARAGUI, WYBRZEŻY PANAMY,  
PÓŁNOČNYCH WYBRZEŻY AMERYKI PŁD. 1681—1682 (ROZDZ. VI—VII)

William Bowman\*  
Edmund Cooke\*  
Ned Daws\*  
Ryszard Gopson\*  
Patrik Hagan\*  
John Hingson\*  
Robert Spratlin\*

---

\* Występowali w poprzednich wyprawach

Vasco\* — Indianin  
Lionel Wafer\* — lekarz okrętowy  
Wright — kapitan

TOWARZYSZE PODROŻY DO WIRGINII, ZACHODNICH WYBRZEŻY AFRYKI,  
NAOKOŁO PRZYŁĄDKA HORN I DO PANAMY 1683—1686 (ROZDZ. VIII—XII)

John Cook\* — kapitan  
Edmund Cooke\*  
Ambroży Cowley\*  
Ned Daws\*  
Patrik Hagan\*  
John Hingson\*  
Robin — Indianin  
John Smallbone  
Vasco\* — Indianin  
Lionel Wafer\* — lekarz okrętowy  
Will — Indianin

TOWARZYSZE PODROŻY Z PANAMY DO KOŁA ŚWIATA DO ANGLII 1686—1691  
(ROZDZ. XIII—XXIII)

Andrew  
Billy Bowman — chłopiec okrętowy  
George Brandt  
John Cookworthy  
Herbert Coppinger — lekarz okrętowy  
John Damerel  
Patrik Hagan\*  
Robert Hall  
Harold Harthop — agent handlowy  
Jeoly — księżę, Malajczyk  
Ernest Morgan — bosman  
Angus Nelly — pierwszy oficer  
John Reed — nawigator  
Bazyli Ringrose\*  
Brian Smith — agent handlowy  
Karol Swan — kapitan

Teat — szyper  
Walter Thacker  
Daniel Wallis  
William Williams

TOWARZYSZE PODROŻY DO AUSTRALII I NOWEJ BRYTANII 1699—1701  
(ROZDZ. XXV—XXVII)

Aleksander Beale  
John Boate  
William Borthwick — lekarz okrętowy  
James Brand — pisarz okrętowy  
Joseph Bugsby  
James Burnaby — midszypmen  
Robert Chadwick — młodszy oficer  
Walter Douglas — płatnik  
Robert Edlington  
George Fisher — porucznik  
Fredrick Fox — cieśla  
John Grigsen  
Paul Hallaway  
Owen Harris  
John Hughes — starszy oficer  
John Knight — młodszy oficer  
John Norwood — bosman  
Filip Pain — artylerzysta  
John Pary — kucharz  
Rayns  
Baptysta Watson — kwatermistrz

TOWARZYSZE PODROŻY DO KOŁA ŚWIATA 1708—1711  
(ROZDZ. XXVIII)

Thomas Dover — pierwszy oficer  
Woodes Rogers — dowódca okrętu  
Aleksander Selkirk

## SŁOWNICZEK MNIEJ ZNANYCH TERMINÓW MORSKICH

- a b o r d a ż** — powszechnie stosowany do połowy XVII wieku sposób walki na morzu, polegający na tym, że atakujący okręt podchodził do okrętu nieprzyjacielskiego i szepiał się z nim za pomocą specjalnych haków i lin; po przerzuconych pomostach piechota wdzieriała się na pokład wroga i w boju wręcz zdobywała okręt
- a s t r o l a b i u m** — instrument nawigacyjny używany niegdyś do określania wysokości ciał niebieskich
- b a g u i o s** — orkany tropikalne w okolicach Filipin
- b a r k** — trójmasztowy statek z żaglami rejowymi na dwóch przednich masztach i z żaglem gaflowym na bezanmaszcie (nazwa żagiel gafłowy pochodzi od gafla — drzewca służącego do umocowania górnego liku żagla czworokątnego, podnoszonego wzdłuż masztu za pomocą fałów — lin)
- b e z a n** — żagiel na bezanmaszcie
- b e z a n m a s z t** — tylny maszt; ostatni maszt na wielomasztowym żaglowcu lub na statku dwumasztowym tylny maszt, jeśli jest on niższy od przedniego (w skrócie nazywany bezanem)
- b r a n d e r** — stosowany dawniej w wojnie morskiej statek naładowany materiałami zapalnymi, który po podpaleniu puszczano z wiatrem na flotę nieprzyjacielską celem spalenia jej
- b r y g** — dwumasztowy żaglowiec pełnorejowy, tj. z żaglami rejowymi na obu masztach
- b r y z a** — wiatr lokalny wiejący rano i wieczorem w pasie wybrzeża wskutek różnicy w nagrzewaniu się i stygnięciu lądu i morza
- b u k s z p r y t** — belka umocowana do dziobnicy i wystająca ukośnie do góry przed dziób statku żaglowego; służy do rozpinania lin i żagli
- c u m a** — lina służąca do umocowania statku przy nabrzeżu
- d r y f** — znoszenie statku z obranej drogi pod wpływem wiatru
- d u l k i** — oparcia dla wiosł
- f o k** — skrócona nazwa fokżagla — głównego żagla na maszcie lub fokmasztu — pierwszego masztu od dziobu; wszystkie żagle, części omasztowania i osprzętu należące do przedniego masztu mają dodawany do nazwy człon „fok”
- f o r k a s z t e l** — znajdujące się na dziobie pomieszczenie załogi na dawnych okrętach

- f o r p i k** — pomieszczenie pod pokładem na samym dziobie statku
- g r o t** — skrócona nazwa grotżagla — największego żagla na grotmaszcie lub grotmaszcie — drugiego od dziobu masztu na brygu, fregacie, szkunerze; na wielomasztowych żaglowcach wszystkie maszty prócz pierwszego i ostatniego nazywane są grotami; wszystkie żagle, części omasztowania i osprzętu należące do głównego masztu mają dodawany do nazwy człon „grot”
- g a l e o n** — żaglowy okręt wojenny z XVI—XVII wieku o ostrym długim dziobie, cofniętym kasztelu przednim oraz wyższym od przedniego kasztelu tylnym, przeważnie kilkupokładowym
- k a m b u z** — pomieszczenie, w którym znajduje się kuchnia
- k a p e r s k i e o k r ę t y** — okręty dowodzone przez żeglarzy opatrzonych patentem upoważniającym do używania bandery tego kraju, w którego służbę wstąpił kaper, i określającym na jakie statki wolno napadać, a także ustalającym podział łupów; kaperstwo zostało zakazane na międzynarodowym kongresie w Rzymie w 1856 roku
- k a s z t e l** — wysoka, nieraz kilkupokładowa nadbudówka na dziobie i rufie dawnych żaglowców; znajdowały się w nim pomieszczenia dla oficerów, umieszczano tam także działa; kasztele były zwykle bogato ozdobione z zewnątrz rzeźbami i malowidłami
- k l i w e r** — przedni żagiel trójkątny podnoszony na sztaku, linie mocującej maszt od strony dziobu, umocowany do bukszprytu
- k w a d r a n t** — drewniana tarcza, do której mocuje się linę z węzłami logu ręcznego
- l i k** — brzeg żagla
- l o c j a** — 1. dział wiedzy morskiej zajmującej się opisem mórz, oceanów i wybrzeży z punktu widzenia bezpieczeństwa żeglugi; 2. wydawnictwo zawierające opis wybrzeży trudnych dla żeglugi oraz wyszczególnienie znaków nawigacyjnych
- m a r s e l** — prostokątny żagiel na marsarei — drugiej licząc od pokładu
- n a w i g a t o r** — osoba zajmująca się na okręcie sprawami związanymi ze sposobem prowadzenia okrętu (nawigacją)
- p i n a s a** — duża łódź wiosłowa, również typ okrętu żaglowego używanego do osłony większych okrętów
- p r y z** — zdobycz morska, zdobyty nieprzyjacielski statek wraz z ładunkiem
- r e f o w a ć** — zmniejszać powierzchnię żagla przy silnym wietrze
- r e j a** — pozioma belka zawieszana w swym środku ciężkości na maszcie
- r e l i n g** — barierka wokół pokładu statku
- r u d e l** — ster
- r u m b** — 1. jednostka miary kątowej odpowiadająca jednej trzydziestej drugiej kąta pełnego; 2. kierunek wyrażony w mierze kątowej rumbowej, określanej



za pomocą skrótów E (wschód), N (północ), S (południe), W (zachód) i ich kombinacji

s e k s t a n t — przyrząd do mierzenia kątów używany przy obserwacjach astronawigacyjnych

t a k i e l u n e k — ogólne olinowanie statku wraz z osprzętem pomocniczym

t e n d e r — pomocnicza jednostka floty

t o p — szczyt, wierzchołek drzewca ustawionego pionowo, np. masztu

w a n t a — lina podtrzymująca maszt od strony burt

w r ę g a — część szkieletu kadłuba okrętu

## SPIS TREŚCI

### CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział I	Podział łupów.....	3
Rozdział II	Od drwala do pirata.....	18
Rozdział III	Ku międzymorzu.....	30
Rozdział IV	Spódniczka koloru nieba.....	40
Rozdział V	O nieszczęśliwych wypadkach.....	48
Rozdział VI	Pirackie zabobony.....	57
Rozdział VII	Ludzie kapitana Wrighta.....	63

### CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział VIII	Ku afrykańskiemu wybrzeżu.....	72
Rozdział IX	Statek zdobyty i statek sprzedany.....	82
Rozdział X	Ostatni Hiszpan kapitana Cooka.....	92
Rozdział XI	Chępliwi władcy mórz.....	104
Rozdział XII	Kłęska bez bitwy.....	117
Rozdział XIII	Przez Pacyfik.....	127
Rozdział XIV	Zakładnik, który miał szczęście.....	139
Rozdział XV	O przyjaźni platonicznej.....	147
Rozdział XVI	Taniec wojenny.....	158
Rozdział XVII	Kapitan pozostał.....	163
Rozdział XVIII	Gdzie złoto?.....	171
Rozdział XIX	Zdemaskowani spiskowcy.....	179
Rozdział XX	Wyspy Batan nie są bezludne.....	185
Rozdział XXI	Dobrowolni zesłańcy.....	192
Rozdział XXII	W zawody ze śmiercią.....	200
Rozdział XXIII	Wędrowny ptak powraca.....	212

### CZĘŚĆ TRZECIA..... 226

Rozdział XXIV	W służbie królewskiej.....	226
Rozdział XXV	Pod grozą buntu.....	234
Rozdział XXVI	Wzgardzona Australia.....	247
Rozdział XXVII	Zatonięcie „Roebuck”.....	259
Rozdział XXVIII	Nareszcie sukces.....	267

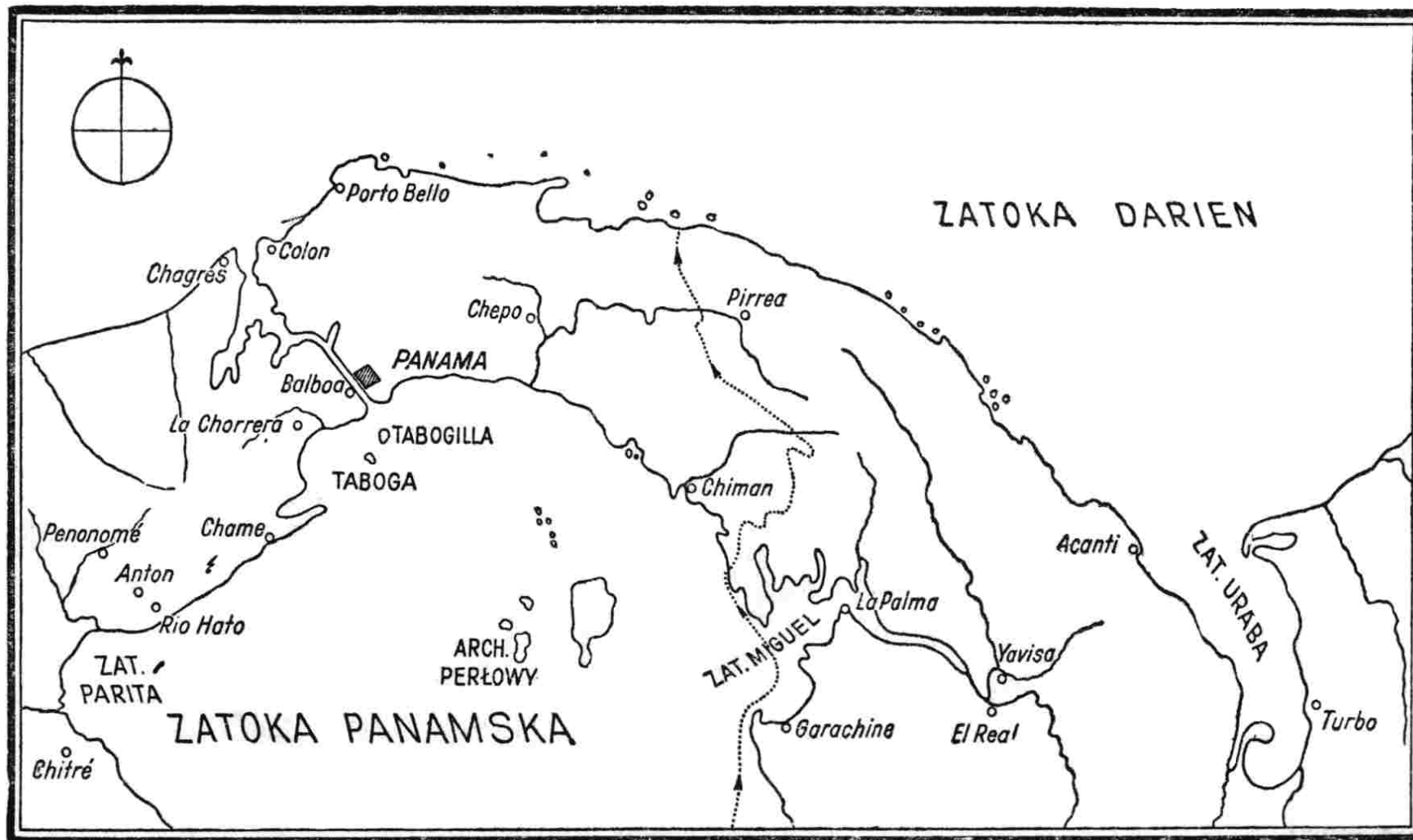
Towarzysze okrętowi poszczególnych podróży Williama Dampiera.....	276
---	-----

Słowniczek mniej znanych terminów morskich.....	279
---	-----



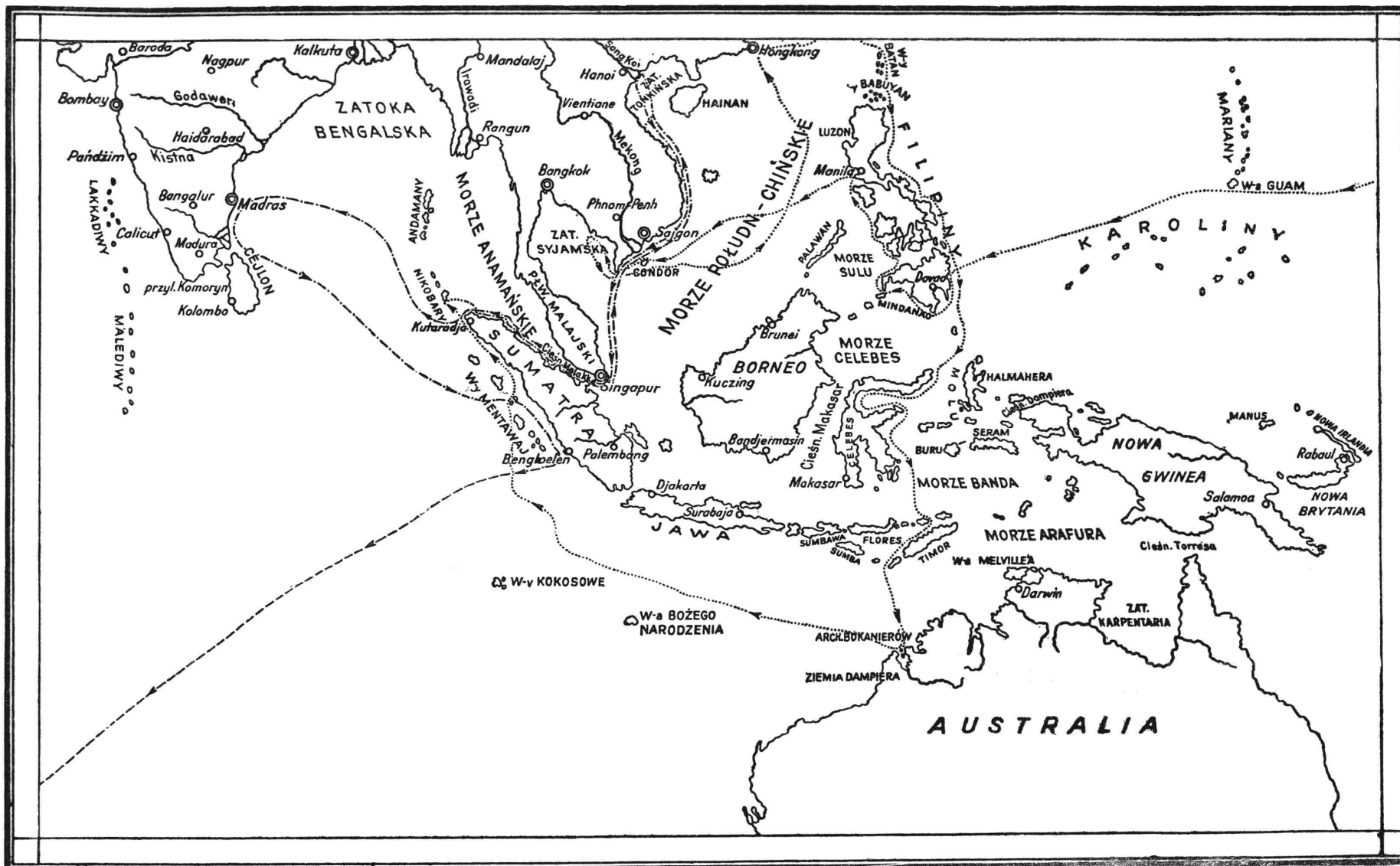
**1. Mapa przesmyku Panamskiego;**

..... trasa podróży bukanierów przed marszem przez Przesmyk Panamski oraz trasa samego marszu (mapka pochodzi z dzieła Williama Dampiera: „A New Voyage Round The World”; London 1717)



1a. Mapka współczesna Przesmyku Panamskiego (przybliżona skala 1 : 2 000 000);  
 ..... trasa marszu bukanierów przez Przesmyk Panamski





2a. Mapka współczesna Indii, Półwyspu Indochińskiego i Indonezji (przybliżona skala 1 : 50 000 000)

..... podróż odbywana na statku bukanierskim, - - - - - podróże odbyte po opuszczeniu statku bukanierskiego,  
 - - - - - trasa powrotu do Anglii